C. NIEWIADOMSKA, Z. SZMYDTOWA

NASI PISARZE

ICH ŻYCIE I DZIEŁA

KRÓTKI ZARYS DZIEJÓW PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO

CZĘŚĆ II.

B

POWIEŚĆ. HISTORJA. FILOZOFJA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

SKŁADY GŁÓWNE:
„The Polish Book Imp. Co., Inc.“ — New-York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sk. Akc.“ — Katowice.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15

POWIEŚĆ.

I dzieci lubią „bajki“. Ludzie pragnęli zawsze opowiadań, które budzą ciekawość, zdumienie i zachwyt, wzruszają albo bawią. To początek powieści. Jest ona baśnią u ludów pierwotnych, wraz z rozwojem oświaty i cywilizacji coraz nowe przybiera formy.

Baśń ludowa istnieje wszędzie własna, z własnej duszy i wiar wysnuta, lecz przestaje wystarczać z chwilą, kiedy naród wchodzi w stosunek umysłowy z bogatszemi w literackie skarby narodami. Zaczyna się poznawanie i naśladowanie rzeczy obcych, zanim własna twórczość zakwitnie w nowej formie.

Takie też były dzieje naszej literatury powieściowej. Ku zaspokojeniu odwiecznej potrzeby ciekawości i serca ludzkiego powstają i u nas już w XV wieku legendowe opowiadania na tle Biblji, głównie o życiu Chrystusa, oraz przerabiane z łaciny dziwne i fantastyczne historje np. o Aleksandrze Macedońskim.

Nic to nie przeszkadzało nikomu, że prawdziwa historja Grecji, Aleksandra, była zupełnie nieznana. Nikt nie myślał o kraju ani czasie, kiedy się ta rzecz dzieje, dość że był taki niezwykły bohater, walczył z potworami, spuszczał się na dno morza — zadziwiał i zachwycał.

W XVI wieku mnożą się takie historje, zwłaszcza odkąd u nas powstają drukarnie. Publiczność pragnie ciekawych nowości, drukarnia chce zarobku, łączą się te dwa dążenia i wydają szereg broszurek najrozmaitszej treści. Zajmują się przygotowaniem ich do druku przeważnie bakałarze akademji, a jednego z nich znamy z nazwiska: Jan z Koszyczek.

Treść broszurek tych rozmaita: więc biblijna, z życia Chrystusa, niby historyczna: o Helenie trojańskiej, Aleksandrze Macedońskim, Eneaszu, Dydonie, Poncjuszu, synu Deoklecjana i t. d. Ucieszna: „O Marchołcie grubym a sprośnym”, „O sowizdrzale krotochwilnym i śmiesznym” i t. d. przerobione z niemieckiego. Mamy nawet początek rzeczy oryginalnych: Powieść o założeniu klasztoru na Łysej Górze

i drzewie św. Krzyża. Książeczki te i dziś jeszcze, a przynajmniej przed kilku laty, cokolwiek pod względem języka zmienione, można było znaleźć na każdym jarmarku i w koszach t. zw. Węgrów.

W wieku XVII pojawiają się powieści wierszowane, przerabiane przez najlepszych autorów z włoskiego, francuskiego i innych języków, zmieniane przez nich, albo niby własne, o treści wziętej z kilku innych. Największem powodzeniem cieszyła się historja Hieronima Morsztyna „O królewnie Banialuce", podobna do baśni ludowych. Występuje tutaj królewicz, zazdrosna rywalka, czarownica, zdradziecki giermek. Do najlepszym językiem napisanych należała „Nadobna Paskwalina", „Argenida", „Syloret" i t. d. wszystko przeróbki wierszowane.

Możnaby więc zapytać: czy to były powieści? Powieść wierszem nazywamy dzisiaj poematem, wówczas jednakże one zajmowały to miejsce w literaturze i spełniały zadanie, jakie dopiero później wyraziło się w powieści właściwej.

Pierwszą powieść polską dopiero w wieku XVIII napisał Ignacy Krasicki „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki". Jest ona w pierwszej części niewątpliwie już oryginalna, satyryczna i tendencyjna, polskie maluje życie, polskie błędy. Lecz część II i III całkiem inny mają charakter: w drugiej — dziwaczny pomysł społeczeństwa, który nie powstał w głowie Krasickiego, naiwny, do urzeczywistnienia niemożliwy. Część trzecią — możnaby nazwać powieścią awanturniczą, tyle w niej nagromadzono przygód nieprawdopodobnych. To nie jest polska treść, ani oryginalna twórczość, — znowu naśladowanie.

Bardziej oryginalną jest druga powieść Krasickiego „Pan Podstoli", dająca wzór obywatela, pod względem artystycznym słaba. Szereg luźnych obrazków, związanych osobą tytułowego bohatera.

Tymczasem na Zachodzie powieść rozwinęła się w różnych kierunkach, a ponieważ w drugiej połowie XVIII w. jesteśmy — jak wiadomo — pod wpływem literatury francuskiej, więc ona najwyraźniej oddziaływa na twórczość naszych pisarzy. Jej zawdzięcza Krasicki część awanturniczą p. Doświadczyńskiego, filozofję i społeczne utopje kombinuje z różnych wpływów, przeważnie angielskich.

Do utworów obcych, najlepiej u nas znanych i rozpowszechnionych, należała „Nowa Heloiza" Rousseau i „Cierpienia młodego Wertera" Goethego, powieści sentymentalno-romantyczne, które długo karmiły w Polsce dusze „tkliwe", zawdzięczając siłę uroku pierwszorzędnym talentom autorów.

Tragiczne losy kraju w końcu wieku XVIII w innym kierunku zwracają polskie uczucia i myśli: duch narodu

wymaga przedewszystkiem czynu, powstają legjony, walka, tęsknota, nadzieja i pieśni.

Prócz poezji jednakże tworzą legjony powieść oryginalną, „Grenadjer-filozof" Godebskiego. Tytuł zawiera treść: uczucia i myśli na temat miłości ojczyzny i obowiązku dla niej.

To już wiek XIX. Burza minęła, czy też przycichła na chwilę, duch narodu, skąpany w otchłani cierpienia, skupia się, szuka nowego wyrazu, nim przemówi potężnie głosem wieszczów.

Takiem poszukiwaniem jest w r. 1815 oryginalna powieść Niemcewicza: „Dwaj panowie Sieciechowie", gdzie przedstawia różnicę charakteru dwóch pokoleń: epoki saskiej i odrodzenia narodu.

Jednocześnie inne rodzaje powieści, powstałe na Zachodzie, u nas znajdują echo: hr. Anna Mostowska pisze cały szereg powieści fantastyczno-romantycznych, z upiorami i światem duchów, odkupywaniem win, tajemniczością: „Strach w Zameczku", „Zamek Koniecpolskich", „Matylda i Daniło" i t. p. (od 1806).

Z powieści sentymentalnych największy rozgłos miała „Malwina czyli domyślność serca", ks. Marji Czartoryskiej, na tle wojen napoleońskich, napisana z talentem, odbijająca wpływy Zachodu wyraźnie, pomimo polskiej treści (1816).

Z powieści satyrycznych pierwsze miejsce zajmuje „Podróż do Ciemnogrodu" Stan. Potockiego, pełna gorzkiej ironji (1820).

Pojawiają się historyczne obrazki p. Tańskiej: „Listy Elżbiety Rzeczyckiej" i „Dziennik Franciszki Krasińskiej" (1824—25).

Fryd. Skarbek daje powieść obyczajową „Pan Starosta" (1826). Elżbieta Jaraczewska łączy z powieścią obyczajową tendencję: „Wieczór adwentowy" (1827).

Na Zachodzie tymczasem nowe wschodzi słońce: nowy autor siłą wielkiego talentu i nowością typu utworów oddziaływa na piśmiennictwo wszystkich krajów Europy. To Walter Scott i jego powieść historyczna (ur. 1771 † 1832).

Zdaje się ludom, że podniósł kurtynę i odsłonił tajemnice średniowiecza. Jakież barwne, ciekawe i porywające! A więc tak się maluje przeszłość!

Dziś pod względem historycznym powieści Waltera Scotta podlegają dosyć surowej krytyce, ale wówczas krytyki takiej być nie mogło, a talent autora rzucił czar na czytelników. Ujrzeli te niezłomne rycerskie postaci, których spragnione były chciwe oczy, — ujrzeli tkliwe serca, gorące uczucia, potężną wiarę, cuda, tajemnicze zamki, barwne stroje, nieznane zwyczaje, obrzędy, przesądy —

Naśladownictwo stało się powszechne, mniej lub więcej udatne, zależnie od talentu naśladowców. Niemcewicz w „Janie z Tęczyna“ roztoczyć chce walterskotowskie bogactwo — ale wpada w przesadę i tonie w nadmiarze nagromadzonych rysów i szczegółów (1827). Szczęśliwiej się powiodło Bernatowiczowi w bardzo ciekawym obrazie przeszłości „Pojata, córka Lizdejki“, na tle dziejów Litwy i stosunku jej z Krzyżakami. Powieść cieszyła się długo zasłużoną zupełnie poczytnością.

Wpływ Waltera Scotta widzimy w młodzieńczych utworach Krasińskiego, zwłaszcza w Agaj Hanie i Dworze Wład. Hermana, — w wielu zresztą innych utworach, których tutaj wyliczać nie możemy. Szukajmy go jednak nawet u współczesnych.

Ten króciutki zarys pozwala nam tylko — nim rozpatrzymy twórczość najwybitniejszych naszych powieściopisarzy XIX w. — zdać sobie sprawę, pod jakiemi wpływami polska powieść się rozwijała i jakie już zdobyła sobie drogi. Mamy więc na początku tego wieku powieść sentymentalną, historyczną, obyczajowo społeczną, fantastyczną, filozofującą, a nawet pierwszą z życia Żydów—„Lejbe i Siora“ Niemcewicza. W niektórych uwydatnia się tendencja.

Te wszystkie rodzaje zostaną w dalszym ciągu rozwinięte, zbogacone, pogłębione, rozgałęzione zczasem na mnóstwo odcieni, świadcząc tem o rozwoju oryginalnej naszej twórczości.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Początek powieści wogóle. Najdawniejsze dzieje powieści w literaturze polskiej. Powieść w literaturze polskiej w XVII w.

Rozwój powieści u nas w wieku XVIII. Pierwsza powieść polska. Ogólna tendencja. Charakter poszczególnych części.

Wiek XIX. Wpływ Zachodu. Walter Scott. W jakich utworach dostrzegamy ten wpływ najwyraźniej?

Powieści Niemcewicza. Tendencje, — tematy, — strona artystyczna.

Jakie najważniejsze rodzaje powieści rozróżniamy w pierwszej połowie wieku XIX w naszej literaturze? Ich początek i autorowie.

HENRYK RZEWUSKI

1791 — 1866.

Wiekiem najstarszy z powieściopisarzy XIX w. choć pisać zaczął późno, mając lat czterdzieści kilka.

Urodzony w Sławucie na Wołyniu, potomek możnego rodu, otrzymał wychowanie po części domowe, pod wpływem i kierunkiem cudzoziemców, a po części w szkołach klasztornych.

Podczas wojen napoleońskich, które przypadają na młodzieńczy wiek Rzewuskiego, nie okazywał bynajmniej patrjotycznego zapału. Wprawdzie rok 1809 zastaje go w służbie wojskowej, ale po ukończeniu kampanji podaje się do dymisji, w r. 1811 spędza wesoły karnawał w Krakowie, w ruchu następnych lat nie brał udziału. Przebywa w Petersburgu, dużo podróżuje, bawi kilka lat w Rzymie, w Paryżu, uczęszcza na wykłady Mickiewicza; — podobno zdanie Mickiewicza zachęciło go do pracy pisarskiej.

Religijny i przywiązany do tradycji, nie uznawał nowych form ani zdobyczy umysłowych, wielbiciel czasów saskich i epoki Stanisława Augusta, w ówczesnem pokoleniu widział wszystkie cnoty. Z rozbiorami kraju pogodził się szczerze, Rosji oddany wiernie i zaznaczający przy każdej sposobności swoje przekonania—często jednakże sprzeczne.

Skoro ucichły echa powstania listopadowego, zamieszkał na Wołyniu w majątku rodzinnym i został marszałkiem szlachty powiatu Żytomierskiego. Wtedy poznał się bliżej z obyczajową stroną życia dworów, wtajemniczył w ich polityczne i społeczne stosunki i poglądy, ocenił do pewnego stopnia stan umysłów. Do żadnego porozumienia dojść nie mogło. Oburzały go nadzieje narodowe jako wyraz głupoty, słuszne i niesłuszne zarzuty wytworzyły wzajemną niechęć, ze strony Rzewuskiego prawie nienawiść i wzgardę, którym dał później wyraz w „Mieszaninach obyczajowych“ i „Teofraście polskim“, uogólniając swoje sądy i spostrzeżenia na cały naród polski.

Nie od tego jednakże zaczął swój zawód pisarski, i nie to mu zapewnia poważne miejsce w dziejach literatury polskiej.

Jego niezwykły dar opowiadania, malowanie scen i postaci z nadzwyczajną obrazowością, budziły wielkie zainteresowanie. Mickiewicz miał powiedzieć: Pisz, jak mówisz, a będziesz sławny. — Ta czy inna zachęta stała się przyczyną wydania „Pamiątek Soplicy“, które zapewniły mu istotnie sławę.

Przed oczyma czytającej publiczności stanęły w żywych barwach obrazy przeszłości, czasów saskich, proste, jasne, malujące epokę potępioną z najdodatniejszej strony. Czy prawdziwie—to inna kwestja. Książę Karol Radziwiłł „panie kochanku“, w historji i w „Pamiątkach Soplicy“ — to dwie postaci różne, ale—przecież to powieść. Bohaterami barwnych opowiadań najczęściej są ludzie dzielni i uczciwi, a chociaż nieuczeni, lecz szlachetni. Jeśli grzeszą zbytkiem energji i temperamentu, to umieją za grzechy szczerze pokutować, słowem nie aniołowie, ale ludzie z sercem, dlatego do serca przemawiają.

Talent był niezaprzeczony i rozbrajał zarzuty historyczne; Rzewuski zdobył zupełne uznanie.

Od tej chwili nie wypuszcza pióra z ręki. W „Mieszaninach“ i innych pismach satyrycznych sam wystawia sobie świadectwo, że współczesnego pokolenia nie zrozumie, więc sądzi je niesprawiedliwie i nieudolnie zarazem. Dość powiedzieć, że Filaretów, Promienistych i wogóle „pokątne“ patrjotyczne związki nazywa „robactwem, toczącem ciało społeczne po ulotnieniu się ducha“. Niedojrzałe i wsteczne sądy i dowodzenia, zaznaczanie swej lojalności dla Rosji— w najwyższym stopniu oburzały wszystkich. Weźmy np. kilka niewielkich ustępów z artykułu: „Arystokracja“.

„Jeżeli na stanowisku politycznem czyli społecznem Monarchja ma znaczyć jednego, Arystokracja kilku, Demokracja wszystkich — udzielność nie może być inną, tylko monarchiczną, jak w Rosji, Austrji, Prusiech... lub arystokratyczną, jak w Anglji, Francji, Szwajcarji, a w żadnym względzie demokratyczną, bo udzielność jest władzą rozkazującą, a społeczeństwo ciałem posłusznem. Nie może być ciało społeczne bez udzielności, nie może być udzielność bez poddaństwa, a rząd jest organem, którym udzielność do tego poddaństwa przemawia. Udzielność demokratyczna byłaby takiej natury, że wszyscyby w niej rozkazywali, a niktby nie był do posłuszeństwa obowiązany, — alboby wszyscy rozkazywali, a znowu wszyscy spełniali ten rozkaz. Niema potrzeby zbijać podobnych niedorzeczności, kiedy intuicja przekonywa nas przed wszelkiem rozumowaniem, że przy równości powszechnej posłuszeństwa być nie może, że rozkazujący musi być koniecznie wyższym od tego, któremu daje rozkazy“.

„Jeżeli udzielność żadnym sposobem nie może być demokratyczną, rząd jeszcze mniej nim być może... Każdy więc rząd, jakabykolwiek była jego natura, nie może być inny, tylko arystokratyczny. Arystokracja, posiadając w niektórych społeczeństwach udzielność, w każdem społeczeństwie sprawując rząd, jest żywiołem politycznym, rzeczywistym, niezbędnym. Demokracja zaś, nie mogąc być udzielnością, tylko przypu-

szczeniem, — nie mogąc być rządem, nawet przypuszczeniem, czemże będzie w odnoszeniu politycznem? oto absurdum i nic więcej".

...„Zasada ścisła demokracji jest zbrodnią,—ta zasada umiarkowana jest absurdum logiczne, bo jakże miarkować to, co jestestwa nie posiada? Monarchja, Arystokracja, będąc żywiołami dodatniemi, rzeczywistemi, mogą — stosując się do czasu i ludzi — miarkować ścisłość swoich zasad, ale czemże modyfikować zasadę ujemna? jakże zmniejszać życie temu, co nie żyje?"

Wystarczy chyba ten urywek, ażeby dać pojęcie o wartości sądu, logiki i wiedzy autora. Pamiętać także trzeba, że to wiek dziewiętnasty, połowa; pół wieku upłynęło od wielkiej rewolucji francuskiej, jej hasła i zasady stały się własnością wszystkich narodów Zachodu. Rzewuski jednak rozumuje, jak przeciętny szlachcic czasów saskich.

„Nigdy człowiek wielce narodowy nie będzie skłonnym do reform Kto pragnie reform, ten nie kocha swojego świata. „Człowiek powinien postępować z wiekiem" — mówią. — Wyznaję, że nigdy jaśnie nie rozumiałem, co chcą przez to powiedzieć".

Wkrótce jednak ukazał się Listopad, znowu rzecz niepospolitej wartości, jedna z najlepszych naszych powieści historycznych. Autor maluje dwa odrębne światy, a maluje tak obrazowo i barwnie, z taką wyrazistością, iż nie możemy wątpić, że je widzi: muszą żyć w jego duszy. Jest to epoka, którą naprawdę odczuwa i najlepiej rozumie, początek panowania Stanisława Augusta do konfederacji Barskiej i porwania króla. Stawia naprzeciw siebie dwa obozy: dwór szlachecki i rezydencja Radziwiłła z całym poprostu przepychem szczegółów — z drugiej strony stolica, dwór królewski. Tam tradycja, polski obyczaj, typowe cnoty, wady i przekonania — sarmatyzm, — tu francuzczyzna, postęp, reformy, obca moda, obcy wykwint. I to jest główna treść. A fabułę stanowi historja dwóch braci Strawińskich. Michał, konfederat barski, wielbiciel ks. Radziwiłła, mężny, dzielny, szlachetny, wierny we wszystkiem starym obyczajom; i Ludwik, wychowany we Francji, wytworny wersalczyk, stronnik króla Stanisława, który darzy go względami. Ludwik odbija bratu narzeczoną. Los stawia ich naprzeciw siebie w walce o osobę króla po porwaniu. Michał, postać historyczna, kończy tragiczną śmiercią, Ludwik samobójstwem.

Powieść, którą i dzisiaj mimo usterek w kompozycji oceniamy bardzo dodatnio, w swoim czasie musiała sprawić imponujące wrażenie. Nie mieliśmy powieści historycznej, napisanej z takim talentem, dającej takie obrazy.

Przytem należy przyznać, że bez względu na osobiste sympatje, autor starał się być bezstronnym. Zaznacza to na wstępie:

„W jednej rodzinie wystawiłem dwa typy dawnego i nowego ukształcenia, a ich przeznaczenie usiłowałem wyprowadzić z ich zasad. Oddadzą mi sprawiedliwość, że choć nie taję moich pociągów do cywilizacji wywłaszczonej, okazałem się sprawiedliwym i bezstronnym, gdyż jej nie wywyższyłem przez poniżenie wyrazicieli cywilizacji nowej. W obu stronach zachowałem równą szlachetność uczuć i postępków".

Tak sobie wyobraża, czytelnik jednakże musi ocenić, że wychowanek Paryża i przyjaciel króla, Ludwik Strawiński, niezawsze jest pod względem charakteru i czynów bez zarzutu, i niezawsze na krętych drogach ulega konieczności lub fatalizmowi (korzystanie z gościnności brata dla zawiązania stosunków z dyssydentami na korzyść czy z rozkazu niby króla, a właściwie machinacje Katarzyny II).

Króla stara się przedstawić wiernie, pomija tylko zupełnem milczeniem wpływ Rosji, tak niedający się usunąć z dziejów konfederacji Barskiej. Lecz autor o Suworowie wyraża się jak gdyby mimochodem „dowódca wojsk posiłkowych króla Stanisława". W procesie o porwanie króla wzmianki o Rosji niema. Król sam wszystkiemu winien, raz tylko mówi, że jest „skrępowany".

Trudno nazwać to zupełną bezstronnością.

Kiedy chodzi o Radziwiłła, postać dziś dostatecznie ocenioną przez historję, którego rola w konfederacji Radomskiej wkońcu jemu samemu wydała się ciężką tak dalece, że „wspaniałomyślna monarchini" musiała strzec wiernego sługę, aby nie doznać zawodu z jego strony — autor jednak inaczej sądzi o nim, a nawet o konfederacji Radomskiej, co w obszernym przypisku wyjaśnia.

„Król nie przestawał wystawiać księcia (Radziwiłła) przed dworami sprzymierzonemi z Polską jako barbarzyńca, uciskającego spokojnych obywateli zapomocą utworzonej zgrai, która go otacza, zgrai, złożonej z wichrzycieli, opierających się wszelkiemu porządkowi. Tak księcia oczerniwszy, a odjąwszy mu wszelką nadzieję wsparcia nawet od dworu, z nim związkami krwi połączonego, stronnictwo króla zemstę swoją nad nim do ostatniego kresu posunęło. Wyzuty z urzędów, z majątku, najpotężniejszy, najpopularniejszy magnat został banitą i tułaczem i możeby nim był do końca życia swojego, gdyby Stanisław August, którego całkowite panowanie było pasmem intryg, sam siebie w nich nie był uwikłał. Zdało mu się, że zdoła poróżnić między sobą mocarstwa, które jego królestwo okrążały. Najpotężniejszemu z nich (Katarzynie II), lubo wszelkiemi

czynnościami i oświadczeniami okazywał najuniżeńszą powolność, przecie się naraził: usiłował albowiem wejść w ścisłe stosunki z innem mocarstwem i zawiązał tajemne układy, by otrzymać rękę tamecznej królewny; lecz nietylko, że ta nadzieja spełzła na niczem, jeszcze zdradzonym został przed potęgą, której wszystko był winien (Rosją). Ale na tem najlepiej wyszedł książę wojewoda, bo mocarstwo oburzone niewdzięcznością i chytrością króla, dopuściło Radziwiłłowskim przyjaciołom zawiązać konfederację w Radomiu. Ta konfederacja, silna taką pomocą (Rosji), uchyliła dekret, skazujący księcia na banicję, powróciła mu urzędy i dobra i ogłosiła go swoim marszałkiem, a Rzeczypospolitej aljanci, uznawszy w tej konfederacji, wkrótce zamienionej w sejm, pełność władz narodowych, odnowili z nią aljans, a jej marszałkowi powierzyli nawet dowództwo wojsk swoich, konsystujących bądź w Polsce bądź w Litwie".

(Listopad, tom I, rozdz. V).

Co tu więcej podziwiać: czy ścisłość historyczną, czy pogląd na wypadki, które Rzewuski sprowadza do walki króla z Radziwiłłem, których całej poniżającej okropności zdaje się wcale nie rozumieć? Podług tego konfederacja Radomska jest jedynie triumfem Radziwiłła, można się nią chlubić i cieszyć. Radziwiłła wprost nazywa „b o h a t e r e m".

Jakimże rażącym kontrastem jest sąd autora o sejmie czteroletnim i nienawistnej dla niego konstytucji 3-go maja.

„Ten projekt praw Zamoyskiego był czytany na sejmie 1789 r. i odrzucony prawie jednomyślnością posłów. Nawet wielu się domagało, by ten projekt, niszczący przywileje stanu szlacheckiego, przez kata był spalony. Jest to ciekawy pomnik tego ducha reformy, co tyle klęsk nagromadził na Europę".

Na Listopadzie kończą się dzieła Rzewuskiego, mające wartość rzeczywistą, choć pisał jeszcze wiele. Okazało się jednak, że wyłącznie początek wieku XVIII — choćby stronnie — odtwarzać umie. Dlatego A d a m Ś m i g i e l s k i — (czasy Leszczyńskiego) — jeszcze może interesować, — inne powieści — Z a m e k K r a k o w s k i (Samuel Zborowski), R y c e r z L i z d e j k o (potop szwedzki) Z a p o r o ż e c i t. p. rozwlekłe, niezgodne z prawdą — nużące.

Oprócz powieści pisał artykuły i broszurki najrozmaitszej treści: społeczne, filozoficzne, polityczne, które świadczą jedynie, że nie umie myśleć logicznie, nie posiada gruntownej wiedzy i nie jest przygotowany do roli, jaką odegrać pragnie.

Rażą w nim krańcowe i dziwne sprzeczności: szczery patrjotyzm, który możemy ocenić w „Rejtanie", i — uznanie dla Targowicy — po dość długim przeciągu czasu, ażeby

mógł zrozumieć jej następstwa; — w konfederacji Barskiej jest przeciwnikiem Rosji, — po rozbiorach najlojalniejszym poddanym; — Konstytucję 3-go maja namiętnie potępia (reformy!), również jak wszelkie wystąpienia zbrojne przeciw Rosji, a nawet marzenia o odzyskaniu niepodległości państwowej. Obok tego zaś wiara w przyszłość, w jakieś odrodzenie — może pod berłem carów.

Człowiek wogóle dziwnie niezrównoważony, do czego niewątpliwie przyczyniło się wychowanie i bardzo powierzchowne wykształcenie. Talent niepospolity, nadzwyczajny dar malowania przeszłości obrazami — zwłaszcza najlepiej znanej i odczutej przez siebie epoki, — a myśl niewyrobiona, brak ścisłości sądu, fundamentów. Trochę z tego powodu przypomina Paska, jako rodzaj talentu bez umysłowej kultury w tym kierunku, lecz tryskający z żywiołową siłą, kiedy maluje rzeczy dobrze znane.

Smutny był koniec życia Rzewuskiego. Stanowisko urzędnika do szczególnych poruczeń przy ks. Paszkiewiczu nie zjednało mu serc ani szacunku rodaków, a wobec satrapy położenie „dowcipnisia zamkowego“ było „bolesne i upakarzające“ (Kraszewski). W r. 1851 z polecenia władzy założył „Dziennik warszawski“, wiernopoddańcze pismo urzędowe. Po śmierci Paszkiewicza usunął się na wieś, gdzie umarł 1866 r., jako zniedołężniały starzec.

TADEUSZ REJTAN.

z Pamiątek Soplicy.

„Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedy bo i czasy i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie sądy Boże! Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej 10-ciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie stało, aby Ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę: widać, że nasz upadek był chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, a nie zagłada, omdlenie, ale nie śmierć; poczem życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako z ziarna, co w ziemię rzucone, przegniwa, potem dziesięcioronasób obfitszy plon wychodzi. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach Boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, w mocnej są obawie, gdy wszystko im się dobrze wiedzie, jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością, i radzi są, kiedy jaki niespodziany frasunek przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejtan, Podkomorzy Nowogródzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać (ojciec Tadeusza Rejtana).

...„Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważyć wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jedenby Ojczyznę ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, nie powiodło się jemu (Tadeuszowi) — co jest niezawodnem, to pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zaginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu".

Następuje charakterystyka Tadeusza Rejtana jako ucznia szkół jezuickich, wyróżniającego się już wtedy stałością charakteru, siłą woli i miłością ojczyzny. Karany kilkakrotnie za znieważenie kolegi, pod groźbą nowej kary, jeśli go nie przeprosi, odpowiada:

„Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mię zabić miano; a każdego uderzę, co mi powie, że godzi się wchodzić w umowy z najezdnikami Ojczyzny".

Tutaj Rzewuski wielbi to szlachetne zdanie, sam jednak jest stronnikiem Targowicy. O konfederacji Barskiej wyraża się w ten sposób:

„nareszcie rozwiązała się konfederacja Barska: zbrodnie i przemoc zgniotły nienawiść i prawość".

Że jest po stronie ruchu szlacheckiego w myśl starych ideałów — to rzecz naturalna, ale że podnosi głos przeciw „przemocy i zbrodni", to znaczy przeciw Rosji?.. Dalej czytamy:

„Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przezeń okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na Ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i nawet unikał dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szańcu prawa bronić sławy narodu. W poselstwie nowogródzkiem Michał Korsak został kolegą polskiego Katona. Zgromadzają się zatwardziałe lub przelękłe prawodawce w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy a zarazem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogródzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej Ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli Moskale, lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatków sumienia w sobie nie przytłumił; zniewieściały Monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym uporem nie gubili Ojczyzny i siebie. Zasiadają posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy łzami zdradzają i poczciwość uczuć i słabość duszy; kilku tylko wypogodzonem obliczem pokazuje, że wszystko

prócz Boga poświęcą, że za drzwiami izby zostawili, co tylko do żywota przywiązywać ich mogło, że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Kanclerz ogłasza propozycję królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na Marszałka. — Zgoda — odpowiedzieli (jednak drżącym głosem) zaprzedani posłowie. — Zgoda — jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przelęknieni. — „Niema zgody" — odezwał się Rejtan — „na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru Marszałka walnego Sejmu." — Tadeusza Rejtana obieramy Marszałkiem — zawołał Korsak, Bohuszewicz i trzech innych posłów, kupiących się przy Rejtanie. Zdumieli się wszyscy. Rejtan porywa laskę i sesję zagaja. Przez kilka chwil kanclerz, Poniński i inni jurgieltnicy moskiewscy zamilkli, większa część Izby poczuła chętkę do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziałe zdrajce, z drugiej lonty przybliżające się do panewek, przydusiły ten słaby płomyk cnoty. Okropny szmer powstaje, jakby na zbiorowisku piekielnych duchów. — Nie damy się owładać pięciu posłom, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej Marszałka! — Wyrodni wydzierają laskę Rejtanowi; pięciu opiera się wszystkim. — „Niema zgody na konfederację!" — krzyczy Rejtan — „na Boga, na rany Chrystusa zaklinam was, bracia, nie plamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! Pamiętajcie, że podział kraju zaraz po konfederacji nastąpi!" — Świętokradzkie ręce biją Rejtana i jego kolegów. Poniński ośmielony, już z laską w ręku, śmie Sejm zagajać. Korsak i Bohuszewicz, szamocząc się między oprawcami, krzyczą: — „Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę Ojczyzny nie pozwolim".—Ostatniego środka legalnego chwyta się Rejtan: — „Sisto activitatem! — mówi — Sejm zerwany, niemasz Sejmu!" — Niemasz Sejmu — powtarzają wierni męczennicy. — Panowie bracia — odzywa się Poniński — widać, że ci panowie zmysły mają pomieszane; nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam Panów do spisania aktu konfederacji. — „Zdrajco — krzyknął Rejtan — jak ty śmiesz Marszałkiem się ogłaszać, kiedy niema Sejmu!" — Poniński salwował sesję na dzień pojutrzejszy, a Posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy zostali dla zaniesienia manifestu".

Z „LISTOPADA".

„Elegancja dwóch światów".

„Na żółtych safianowych butach nałożył wojski karmazynowe hajdawery, które oskórzem jedwabnym z kutasami zawiązał ściśle niżej brzucha. Przywdział żupan z atłasu błękitnego tak świeży, jak dopiero rozkwitły w pszenicy bławatek, zapiął go na szyi czterema guziczkami jedwabnemi tejże samej barwy, pośrodku których zaczepił spinkę z emalji błękitnej,

gdzie błyszczała brylantowa cyfra księcia Karola Radziwiłła, nie zaniedbawszy spuścić kołnierzyk od koszuli na dwa palce szeroki, a biały jak opłatek, na kolędę ofiarowany dobrodziejowi klasztoru. Na tem wszystkiem kontusz z sajety koloru słomianego, błyszczący jak złoto, z kołnierzem błękitnym, z takiemiż obszlagami, a podszyty atłasem z tejże sztuki co i żupan. Za pomocą p. Szabańskiego opasał się pasem litym, cudowną słucką robotą, gdzie na tle szczerozłotem równianki z niezabudek i astrów błękitnych zdawały się być świeżo zerwane. Pięć razy okręcił się w pasie, a za każdym razem zrobił memento do rany Zbawiciela. A węzeł tak zgrabnie ułożył p. Szabański, że jakkolwiek nasz wojski był mało próżnym, kilka razy z upodobaniem popieścił wzrok kutasem od pasa, a myśl obrazem swojej narzeczonej, którą miał za chwil kilka oglądać. Przyczepił do pasa karabelę, która mu się dostała w zdobyczy pod Łobojskiem, gdzie mu ją oddał wzięty przez niego w niewolę hrabia Tyszkiewicz... Klinga była hiszpańska — jak mówiono — ze starych mulich podków wykuta przez jakiegoś Araba dla księcia Alby. Ten książę oddał tę szablę naszemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, służącemu przy jego boku, w nagrodę jego męstwa; a później z posagiem jednej Chodkiewiczówny weszła w dom tyszkiewiczowski. Napróżno hrabia Tyszkiewicz ofiarował wojskiemu trzydzieści tysięcy na jej okup. Kiedy się ona dostała wojskiemu, nazywała się Czarownica, i dawał się na jej klindze widzieć złotem nabijany arabskiemi literami jakiś wyjątek Koranu. Ale nowy jej właściciel przezwał ją Alfa i Omega, kazawszy wprzódy zetrzeć bisurmański napis, a nabić na jego miejsce te dwa wiersze Psalmisty:

„Stąd wedle Ciebie tysiąc głów polęże,
Stąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże".

...Rękojeść szabli była szczerozłota, w turkusy oprawna, ale na znak małej żałoby była owinięta przezroczystą krepą. Na tej rękojeści położył wojski czapkę z aksamitu błękitnego, okoloną jasnokasztanowatym wyporkiem krymskim, wysokiej wartości. Wyloty od kontusza zarzucił i kazał je zapiąć na hafcik; wąsa wymuskał przed zwierciadłem, i zupełny Albańczyk, poszedł z gospodarzem do izby brata, by się u niego upomnieć o przyobiecany list do generała.

Zastali starostę siedzącego w pudermantlu z jedwabnej białej materji przy małym stoliku, makatą turecką okrytym. Na tym stoliku stała miednica i kubek srebrny pozłacany, kilka elegancyj do toalety potrzebnych i duża kryształowa szklanka, wiekiem przykryta, z herbatą tak tęgą, że ją można było zrazu wziąć za wino królewieckie. Przed starostą dwóch służących trzymało zwierciadło w ramach srebrnych, w tem zwierciadle starosta się przeglądał, podczas gdy fryzjer ufry-

zowawszy mu głowę, sypał na nią starannie szron pudru biało-żółtawego, a tak zaprawionego piżmem, że niewzwyczajonemu trudno było dosiedzieć.

Kamerdyner starosty, który służył mu czasem za sekretarza, kończył był właśnie list, co mu dyktował jego pan do generała. A pan, podpisawszy go, bez użycia nożyczek ale jedynie palcami zrobił nań zgrabną kopertę, z wielkiem podziwieniem p. Szabańskiego, który się niemniej nad tem zastanawiał, jak nad użyciem tak tęgiej herbaty, on, co jej zażywał tylko po wielkiem przepiciu, i to dwie szczypty z szafranem zmieszanej, rozgotowane w trzech kwaterkach wody.

Zapieczętowawszy list herbowną pieczęcią od kieszonkowego zegarka, wręczył go starosta bratu.

... — Comme vous vous etes fait beau, mon frère — odezwał się starosta roztargniony, pilnie przed zwierciadłem oskrobując z czoła puder nożykiem srebrnym, tępym, plioir nazwanym, a oprawionym w trzonek złoty kameryzowany. Poczem za danym znakiem lokaje ze zwierciadłem rozstąpili się, a pan powstał i raptownie zrzuciwszy pudermantel, wziął na siebie szlafrok z perskiej materji w wielkie kwiaty różnobarwne na tle ponsowem, przepraszając p. Sz. że przy nim się ubiera. Usiadł na nowo i podał nogi klęczącemu kamerdynerowi, który z nich zdjąwszy skarpetki z surowego jedwabiu, na ich miejsce wciągnął pończochy, spodnie blado inkarnatowe, a wierzchnie à jour, z robótkami po bokach, a cienkie jak tkanka pajęczyny. Te pończochy uchwyciły niżej kolan złote sprzążeczki spodni z mory białej, ostatniej mody wersalskiej. Wciśnięto mu na nogi trzewiki z wysokiemi korkami ponsowemi, a tak lakierowane, że zwierciadło mało co jaśniej odbijało przedmioty. Te trzewiki zacisnęły się na nodze złotemi wielkiemi sprzączkami. Zrzucił na chwilę szlafrok, by odmienić koszulę: wziął koszulę z najcieńszej holenderskiej tkanki, prania paryskiego, z poczwórnemi żabotami koronki brabanckiej, a szyję kamerdyner obwiązał chustką wąską, haftowaną, na której mu narzucił krzyż komandorski św. Jana Jerozolimskiego, cały w soliterach, i jakiś drugi krzyż, mało co mniej bogaty, na zielonej wstążce. Znowu podano mu szlafrok, a Lafler z taką powagą, jak dziś marszałek prowadzący w czasie wyborów szlachtę swojego powiatu do przysięgi, układał jego kos w harbajtlu kitajkowym, na którym przyszyta była misterna kokarda.

... Wstał, rzucił za sobą szlafrok i wziął na siebie westę długą, z atłasu białego, haftowaną blaszkami złotemi. Pod nią przyczepił kamerdyner pendent ze szpadą, której rękojeść ze stali angielskiej co do blasku równała się brylantom, zwłaszcza przy świetle kunsztownem. Nareszcie zarzucił wstęgę świeżo ustanowionego orderu św. Stanisława, długą wstążką obwinął

rękaw od koszuli, żeby ogarnirowanie koronkowe z pod rękawa gładko się wysunęło... ...podano mu suknię, a tę ze wszystkich stron oglądał z najskrupulatniejszą uwagą, azali najmniejszy fałdzik nie znieważa jej świeżości. Suknia była z aksamitu, koloru nazwanego w Paryżu p o m p a d o u r... Ten kolor, trzymający środek między najżywszym szafirem a najświetniejszym amarantem, był w największej modzie w Wersalu.

... Kamerdyner podał mu kapelusz jedwabny do trzymania w ręku, tabakierkę złotą z portretem królewskim, otoczonym brylantami, w którą nie omieszkał nasypać winegreli, żeby na każdy przypadek mieć czem damy trzeźwić; drugą tabakierkę, p r i n t a n i e r k ą zwaną, którą otworzywszy, zapach rozchodził się wokoło; trzecią tabakiereczkę z piórkiem do zębów; zegarek z brelokami i kieskę z dukatami holenderskiemi. To wszystko starosta rozlokowawszy po różnych kieszeniach, zlekka rzucił na barki płaszcz ponsowy, białym racymorem podszyty, ozdobiony szczerozłotemi guziczkami; wziął trzcinę z bogatą skówką, chustkę do nosa uperfumował jakimś wonnym paryskim wyskokiem i wyszedł z bratem do zajeżdżającej przed ganek karety.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

U w a g a. W zadaniach ustnych i piśmiennych dajemy niekiedy rozbiór utworów w tekście nierozpatrywanych. Liczymy na to, że poza obowiązkową lekturą mogą być one znane lub uwzględnione obszerniej przez wykładających. „Zadania" dają materjał d o w y b o r u.

Wpływ urodzenia i wychowania na rozwój umysłowy i poglądy życiowe Rzewuskiego. Społeczne i polityczne przekonania Rz. Jaką epokę odtwarza w powieściach swych z zamiłowaniem i jak ją rozumie?

P a m i ą t k i S o p l i c y. Co zapewniło tym obrazkom powodzenie? Jak wygląda w nich epoka saska, postać Radziwiłła, inne typy?

L i s t o p a d. Treść, obrazy, zamiar autora, stronność czy bezstronność w ocenie dwóch światów, główni ich przedstawiciele jako typy. Zalety artystyczne i słabe strony powieści.

Wartość innych powieści Rz. Czy można Rz. nazwać powieściopisarzem historycznym?

Charakterystyka twórczości Rzewuskiego.

Idealizowanie czasów saskich przez Rzewuskiego i Pola.

Do czytania: „Sto lat myśli polskiej" t. VIII. H. Rzewuski w oprac. M. Kridla.

IGNACY CHODŹKO

1794 — 1861.

Urodzony w Zabłoczyźnie nad Wilejką, młodość i resztę życia spędził w powiecie Oszmiańskim, w Dziewiętniach. Dom rodziców był staropolski, przechowywał żywą tradycję obyczaju i dziejów, otrzymał więc Chodźko wychowanie religijne, uczył się miłości ziemi, ludzi i przeszłości, czci dla cnoty i bohaterów. Dziadek Michał zasilał młodą duszę skarbami opowiadań o przeszłości.

Po ukończeniu szkoły bazyljanów w Borunach wstąpił w r. 1810 do uniwersytetu w Wilnie i tam go zaskoczył rok 1812. Temu epizodowi poświęcił kilka kartek w najlepszej swej pracy, „Pamiętniki kwestarza“, nie wspomina jednak o sobie. Podobno był tłumaczem w kuchni sztabowej cesarza.

Po ukończeniu uniwersytetu pozostał w Wilnie pod opieką stryja, który go umieścił jako urzędnika w kancelarji dóbr Radziwiłłowskich. Tym sposobem doczekał tutaj czasów Mickiewicza i ruchu filareckiego, w którym już nie brał udziału, lecz należał do Tow. Szubrawców, owiany prądem nowym.

Nie oddziałało to jednak na jego pisarskie teorje. Próbował rymotwórstwa klasycznego, zamierzał dać satyrę do Wiadomości Brukowych, lecz skończyło się na zamiarach.

Podróż ze stryjem do Warszawy była jedynem jego wyjrzeniem na świat szerszy. Po powrocie osiadł w rodzinnych Dziewiętniach, ożenił się i zajął gospodarstwem. Towarzyski, wesoły, gawędziarz, uczynny, względnie wykształcony, pozyskał w krótkim czasie nietylko życzliwość, lecz szacunek i zaufanie sąsiadów. Posypały się urzędy z wyborów — deputata, podkomorzego, kuratora szkoły w Święcianach i t. p., starał się je pełnić sumiennie, gorliwie, ku zadowoleniu wyborców.

Życie płynęło spokojnie, — w chwilach wolnych pisywał pracowite wiersze i mniej więcej udatne obrazki np. „Poddany“, „Panna respektowa“, „Samowar“ (niby humoreska), nie mógł jednakże znaleźć odpowiedniej dla siebie formy.

Wskazała mu ją dosyć późno książka stryja, zawierająca opowiadania z przeszłości. Ta przeszłość to przecież jego bogaty skarbiec. Zrozumiał, co posiada i malować może.

Tym sposobem dopiero po 40 latach z zamiłowaniem stanął do pracy pisarskiej, której już nie porzucił.

Pierwszą pracą większej wartości był „Domek mojego dziadka“, rysowany z natury, ożywiony serdecznemi wspomnieniami. Następuje szereg „Obrazów Litewskich.“ Znajdujemy tutaj „Boruny“ i szkolne czasy autora. „Brzegi Wilji“, „Dworki na Antokolu“, „Pamiętniki kwestarza“, „Nowe pamiętniki kwestarza“ — znacznie później, obciążone już dysputami, rozumowaniami, „Podania Litewskie“ i kilka innych rzeczy w tym rodzaju.

Żadna praca całości większej nie stanowi, każda składa się z pojedyńczych, oddzielnych obrazków, bardzo luźno związanych czy to osobą podróżującego kwestarza, czy granicznym sporem, czy innemi sąsiedzkiemi stosunkami, w których jednakże miłość gra zwykle rolę drugorzędną.

Ludzie Chodźki to typy przeważnie przeciętne, bez silnych namiętności, orlich skrzydeł, szerokich horyzontów. W złem i dobrem — umiarkowani. Umie ich jednak charakteryzować, uwydatniać drobne rysy odrębności. Jego sceny są pełne życia, rozmowa toczy się łatwo i gładko, daje nawet swoim postaciom właściwe dla każdej z nich wysłowienie. Całość wypada swobodna i żywa, lecz nie należy wątpić, że jest w niej dużo pracy, a nawet pewnych studjów, o czem świadczy wyraźny już wpływ Waltera Scotta. Chodźko stara się jego wzorem odtwarzać przeszłość drobiazgowo, poglądowo, nie pomija nigdy zewnętrznych szczegółów, które ją uwydatniają i barwią.

Nie posiadając talentu twórczego, najlepiej maluje to, co zna i widział, co na mocy opowiadania mógł wyobrazić sobie doskonale. Bez tego zewnętrznego materjału zapada w mglistość i bezbarwność. Zresztą zasób wspomnień zwykle mu wystarcza. W niektórych obrazkach razi czułostkowość, nie w temacie, lecz w sposobie malowania, przeciętnie jednak pisze żywo, jakgdyby ze spokojnym uśmiechem na widok własnego obrazka.

Dopiero koniec życia zatruła mu gorycz krytyki nie utworów, lecz czynu. W r. 1858 z powodu bytności cesarza Aleksandra II w Wilnie, grono miejscowych literatów ofiarowało „uwielbianemu“ monarsze „Album“ pełne panegiryków. I Chodźko wziął w tem udział ze szczerą naiwnością polityka parafialnego.

Na niefortunny pomysł i autorów posypały się jednak ciężkie gromy. Kleczko nazwał Chodźkę „odstępcą“, Ujejski — „człowiekiem bez godności“. Dla cenionego dotąd powszechnie pisarza było to przygnębiające.

W tym samym roku, jako prezes komisji włościańskiej, zaznaczył swoje stanowisko w tej palącej kwestji. Zniesienie poddaństwa uznał za konieczne, ale bez uwłaszczenia.

Taki jest obraz zdolnego odtwórcy życia i stosunków

domowych na Litwie w końcu XVIII i pierwszej połowie XIX w. Obrazki Chodźki mają wartość trwałą: to przeszłość. Nie ta wielka, ale codzienna, maleńka, zwyczajna, w której jednak poruszają się tysiące, nim wśród nich zabłyśnie gwiazda, co musi wzlecieć nad poziomy. Uchronił od zatraty w niepamięci tło szerokie, napozór szare, ponieważ barwy jego nie mają nigdy jaskrawości, lecz w tej szarości wiele jest odcieni, którym się przyjrzeć warto.

Parę wyjątków powie o jego sposobie pisania np. szereg obrazków „domowych", bardzo luźno związanych sporem granicznym, pod tytułem:

DWORKI NA ANTOKOLU.

WSTĘP.

Znikły już z ulic i nazw miejscowych dworki, któremi niedawno przedmieścia miast większych i niektóre mniejsze miasteczka gęsto były zabudowane. Były to zwykle mierniejszej szlachty na starość schronienia, i jej cnót i obyczajów przybytki.

Stare małżeństwa, zdawszy gospodarkę dzieciom, kupowały sobie dworki w mieście i spokojnie przy chwale Boskiej pędziły wiek podeszły, karmiąc najczęściej jeszcze i opatrując wnuków, chodzących tamże do szkoły.

Niejedna ciepła i podstarzała wdówka, dostawszy od nieboszczyka męża dworek na Antokolu, czy pod Zielonym Mostem na dożywocie, uciekała doń z gotówką od pasierzbów, wychowując także przy sobie ze dwie siostrzeniczki lub synowiczki, z któremi nie opuszczała festów w każdym kościele, i dla których—gdy podrosły i wyładniały, sprawując wieczorynki i wabiąc mościpanów, sama różując się trochę, młodsze swoje przypominała latka.

Niekiedy osiadł we dworku marcowy podsiwiały kawaler, bywalec na świecie, wędżega spekulant, z niewielkim zapasikiem grosza, i mały, przekupny drzewem, zbożem, miodkiem, i wszelkimi wiktuałami prowadząc handelek, nie pracowity, ale swobodny wiódł żywot.

W miasteczkach pańskich, przyległych zwykle do wspaniałych zamków i pałaców, dworki zamieszkane były przez wysłużonych gracjalistów, żyjących z ordynarjów dożywotnich i modlących się do Boga za swych benefaktorów i chlebodawców.

W miasteczkach zaś sądowniczych prześwietna palestra budowała sobie dworki, i w nich bywał kantor jurystowskich konsyljów i statutowych sentencyj, z tą różnicą w ich położeniu, że gdy tu, obok dworku pana wicerejenta lub adwokata, stał często brudny szynkowy dom żydowski, w miastach więk-

szych dworek szlachecki nie zniósłby tego uwłaczającego sobie sąsiedztwa, i takim lub owakim sposobem wykurzony Żyd, uciekaćby musiał między swych jednowierców.

Dworki miejskie i ich gospodarze mieli swoje jakby atynencje i spiżarnie na wsi; krewny, przyjaciel, sąsiad, dawny ksiądz proboszcz parafji, w której się pierwej mieszkało, lub jego komendarz, przyjeżdżając do miasta za interesami, nie frasował się bynajmniej o wikt i kwaterę. Zajeżdżał śmiało do dworku swych życzliwych, jak do własnego, a oddawszy do spiżarni imości baryłeczkę staruszki i inne zapasy przywiezione, pewnym był smacznego barszczu, pieczeni i jakiegokolwiek jeszcze miejskiego specjału, którym miłego gościa uprzejma gosposia częstowała. Mieścił się zaś, jak mógł, bo wzgląd na wygodę nie był, jako dziś, na szczególniejszej uwadze, a poczciwa drużba i uprzejmość wzajemna nagradzała niedogodność lokaty.

Wśród miastowego zgiełku dworki wiązały się w osobne towarzystwa: jednostajność wieku i trybu życia mieszkańców, konfraternia w bractwach, wspólne obchodzenie festów i uroczystości, a nadewszystko wzajemny szacunek szlachectwa, a stąd wzajemny afekt i respekt spokrewniały ich mieszkańców i rozlewały spokój i zgodę na tę maleńką rzeczpospolitą, złożoną z panów skarbników, podczaszych, derewniczych, mostowniczych, a w rodzaju żeńskim podczaszaneczek, skarbnikówien i t. p., piastujących te honory per viam haereditatis od trzeciego częstokroć pokolenia...! Jeżeli zaś i wmieszał się między nich jaki woźny emeryt, jako szlachcic, miał wprawdzie uczestnictwo w tem poważnem gronie, lecz przybierał tytuł generała, nie ubliżający ich dostojnemu koleżeństwu.

Ktoby chciał widzieć razem wszystkich tych zacnych jegomościów, niechby się udał do najbliższego ich rezydencji kościoła na pierwszą mszę ranną; znalazłby całą ławkę przed którymkolwiek uprzywilejowanym ołtarzem przez nich zajętą, mógłby z nimi razem zmówić różaniec i przypatrzyć się tym poczciwym obliczom, których czerstwość i gracki rumieniec czynił naprzekór czuprynie siwych włosów, na wierzchu wygolonej głowy jakby na datę ich wieku zostawionej, i na których prosta i prawdziwa pobożność w serdecznych modłach i w oczach ku świętej ofierze wzniesionych pałała.

Ktoby zaś chciał widzieć same imoście, ciotulki i babulki z asystencją siostrzeniczek i wnuczek, miałby się wybrać na wotywę i opuściwszy pierwsze, zlustrować drugie i trzecie ławki; spojrzeć, jak zajmując robrontami szerokie w nich miejsca i wrzekomo modląc się gorliwie z książek, poważne matrony nie spuszczały jednak z oka swych drobniejszych krewniaczek, a śledząc za ich oczkami, często nieostrożnie ukrad-

kiem na bok rzucanemi, przerywały swoje: módlmy się — gorzką panienkom przymówką: — „Gdzie waspanna zerkasz, czy to obrazek w tej węgierce?“

Zachowajmy tu jeszcze i topograficzne opisanie dworków. W Wilnie kamienice wzrosły na ich miejscu, albo jeżeli gdzie został który w zakątku, to przystrojony firankami w niskich swych okienkach, a upstrzony wewnątrz, z poczciwego jakby szlachcica został ladajakim paniczem. Stara zaś generacja mieszkańców jego wywlekając się powoli na cmentarze, nowym ścianom i nowym dziedzicom pozazdrościła bodaj dawnej swej prostoty obyczajów i przymiotów i do grobu je z sobą zaniosła.

Dworek więc, zwykle w głębi dziedzińca zbudowany, miał najprzód sień wielką; w niej magle pod wschodami, prowadzącemi na porządne i zamczyste poddasze. Od sieni na jedną stronę mieszkanie ichmościów, to jest: wielki pokój, drugi mniejszy za przepierzeniem, trzeci jeszcze mniejszy, graniczące przez ścianę z poważną w sieniach pieczurą i równejże z nią obszerności; kącik to panienek lub chłopców, uczepionych do rodziny.

Gdybym chciał wewnętrzne ozdoby tych izb opisywać, musiałbym powtórzyć z małą odmianą opisanie domku mojego dziadka, bo w każdem szlacheckiem domostwie obraz Zbawiciela lub Matki Boskiej, stanowił główną ozdobę izby i orędownictwo rodziny. U możniejszych szafa królewiecka dębowa, w filigranowe floresy wysadzana, rzeźbą sztuczną ukoronowana i mosiężnemi antabami ozdobnie okuta, szerokiemi plecy swemi podpierając ścianę, chlubą była gospodyni, a solą w oku sąsiadkom. Zresztą kanapa nieco wygodniejsza i kształtniejszej formy, kilka przy niej raźniejszych krzeseł, miejską we dworkach objawiało politykę, przy piecu jednak od kominka stał ukochany zedelek, na którym częściej i chętniej niżeli na kanapie, zwłaszcza w zimie, domowa sadowiła się gromadka. Za przepierzeniem łóżka ichmościów, nad niemi obrazków w ramkach i bez ramek cała litanja; a między łóżkami pod oknem, stoliczek imości, białemi falbanami aż do dołu opięty, na którym lusterko z szufladką i kilka a czasami i kilkanaście książek do nabożeństwa leżało.

W ciasnym nakoniec alkierzyku łóżeczka panieńskie, zakrótkie trochę na ich wysmukłe figurki, a w kątach kuferki, na których nietylko same ich właścicielki, ale niekiedy i estymowany a akceptowany konkurent:

„U nóżek swojej kochanki
„Trawił wieczory i ranki“.

Naprzeciwko jedna obszerna izba czeladna i kuchnia razem uzupełniała rezydencję sług i panów.

Rozporządzenie dalszego zabudowania: stajen, spichrzów i rozmaitych składów, zależało od substancji i sposobów wybranych do utrzymania się w mieście właściciela, lecz zawsze w głównym planie jednostajne, otaczało dziedziniec, szczelną bramą zamykany, w środku którego studnia dachem pokryta, częstokroć sama jedna kilka dworków poiła.

Ogródek rozlegał się za dworkiem; w nim kilka lip starych, kilka grusz i jabłoni, pod których cieniem ujrzałbyś jegomościa, siedzącego na ławce z dobrym sąsiadem, i popijających razem balbierzyskie piwko, sławne niegdyś na całe Wilno; a w kordjalnem wynurzeniu wzajemnych afektów i w spokojnem zadowoleniu ze swego bytu i stanu, dyskurujących poufale, a kończących dyskurs składaną sentencją:

— „Ten pan, zdaniem mojem“, mospanie,

— „Kto przestał na swojem“, mości dobrodzieju! —I obaj siwego pokręcali wąsa.“

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

Znowu szereg obrazków, z których każdy całość stanowi, związanych postacią kwestującego bernardyna. Więc mamy słówko o jego dworskiej przeszłości i chwili przypadkowego wstąpienia do zakonu. Obraz sejmiku, pełen ruchu i plastyki. Postać Radziwiłła „panie kochanku“. Śmierć Wołodkowicza w opowiadaniu jego dworzanina; dworek, pałac pański, dwór dorobkiewicza, zajazd, bernardyńskie dowcipy, Wilno w r. 1812, przygody na drodze itd. Jedna z tych przygód nosi tytuł:

Casus fatalis.

XIX.

Już ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie, i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziła mię moja włóczęga.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę, bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: Boże dopomóż! to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: Na zdrowie jegomości! Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kosców; natenczas radzi oni z tego bardzo, i my radzi! Częstujemy się, co Bóg dał, nawzajem; a że z łaski gorliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególniej puzderko zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A potem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczera i życzliwa. Czasami staniemy i przy dwornem polu, to już tam pan ekonom rej wodzi.

Chłopki natenczas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomowie po większej części staruszkowie, a przynajmniej podżyli; niejednego z koronką na szyi trzepiącego różaniec spostrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otóż tak wlokąc się zawczoraj spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas, i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza że słońce dopiekało, roztasowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać casus fatalis, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derkach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy i zdawszy wartę na Pamfila, toż samo co i ja uczynił; a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczułce, a zobaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę.

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem — Marcinie! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Porwał się Marcin, i oglądając się na wszystkie strony — Pamfil! krzyknął, Pamfil! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Pamfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eljasz i Barabasz odezwali się do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręku; komenderował on kilku chłopcami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do bliskiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! — wrzasnął, ujrzawszy mnie ten jegomość.—A to ty, popie! przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem! mea culpa, dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

— Piękna komparacja! — pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze

bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy prowodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zajechał, ale nie zobaczyłem dworku pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu: Eljasz i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie bukisz, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym prowodyrom. Pamfil wył i ujadał, barany beczały, myśmy krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencji lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbójników! pokaleczyli mi chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię oplażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Eljasz i Barabasz z kilku baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wolaż Pana Boga! Ten mnie nagrodzi, rzekłem, podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę nazad po moich dobrodziejach; opowiem im moją krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie, zaprzęgaj i zawracaj. A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego, bo krzywda każda o pomstę do Boga woła, i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potem odpędzać własnemi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie... Bo Bóg widzi — czas ucieka — śmierć goni — a wieczność czeka.

— Cóż to? proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi ta wiadomość potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już jegomość pokój i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko: napijemy się na ten frasunek i powleczemy się do łaskawszych czy litościwszych ludzi.

— Marcin podniósł flaszeczkę: — Do ciebie — rzekłem — nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A wtem ujrzałem wracające ze dworu moje barany: pędzili je też same chłopaki, a za nimi spostrzegłem imość, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek — Pogodzimy się, księże kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! — odezwała się serjo nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiem o wszystkiem. Proszę darować tę mitręgę, księże kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wie, co robi. Cośby miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz. Ja wątpiąc, czy po takim certamencie jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się, milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję: we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana! Jeżeli jegomość nie masz rankoru, to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu..

— A milczże, waspan! już mówiłam, milcz! ot lepiej pomóż księdzu kwestarzowi przeprawić się do dworu przez mostek, bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam dotąd nie naprawiony.

Widzisz, moje serce... ekonom, proszę uniżenie...

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkiem.

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja? — zapytała imość, a jegomostek, stojąc za nią z tyłu, kłaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodzice za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na prowodyra, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed porcyunkułą wracać do klasztoru i sukurs na fest przypędzić.

— Ot, widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dalibóg, wyspowiadam się w środę.

— Da milcz waspan! — Odeszli.

Patrząc za nimi i pokręcając głową — Hic mulier — rzekłem. A Marcin obok mnie, kręcąc także głową — szwed baba! — rzekł. Wytłumaczył więc regularnie moją łacinę, i ruszyliśmy dalej.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dom rodzinny Chodźki i jego wpływy wychowawcze. Znaczenie uniwersytetu w wykształceniu Chodźki. Pierwsze obrazki i rodzaj talentu: co maluje i jak maluje?

Pamiętniki kwestarza: budowa, treść, zalety artystyczne. Znaczenie. Społeczne i narodowe uczucia w utworach Chodźki.

Jego poglądy polityczne i społeczne w życiu.

Ogólna charakterystyka Chodźki jako człowieka i autora.

Zestawienie obrazów Chodźki i Rzewuskiego — światy, ludzie, sposób malowania.

Drobna szlachta w obrazkach Chodźki i Kondratowicza.

Do czytania: „Sto lat myśli polskiej“ t. VIII I. Chodźko w oprac. Borowego.

MICHAŁ CZAJKOWSKI

(Sadyk Pasza)

1804 — 1886

Ukrainiec, pokrewny uczuciowo B. Zaleskiemu, lecz różniący się awanturniczem, gorącem usposobieniem.

Urodził się w zamożnym szlacheckim domu na Wołyniu (w Halczyńcu). Przez kilka lat uczył się w prywatnej szkole dla paniczów w Berdyczowie, czas krótki uczęszczał na prawo w Warszawie, lecz po śmierci rodziców rzucił

studja naukowe, niby zajął się gospodarstwem, lecz przebywał głównie w Kijowie, bawił się, hulał, szukał wrażeń. Kochał stepy, kurhany, marzył o rycerskiej przeszłości kozaczyzny, budował na niej jakieś nieokreślone nadzieje.

W r. 1830 wstąpił do oddziału Karola Różyckiego, walczył mężnie, z brawurą, lecz po upadku powstania musiał emigrować i osiadł w Paryżu. Tu pod wpływem tęsknoty za daleką a drogą Ukrainą zaczął snuć o niej kozackie powieści, które pod tym tytułem ukazały się w druku. „Powieści kozackie".

Tak jak Zaleski, maluje tu Kozaków z wyobraźni, przypisuje im własne uczucia braterstwa i miłości względem Polski, podkreśla ich odwagę, męstwo, zaciekawia tajemniczością, awanturniczą treścią, opowiada żywo i barwnie.

Powieści miały wielkie powodzenie, wartości historycznej nikt nie sprawdzał, zachwycały brawurą, werwą, szczerością uczuć narodowych, opisami przyrody odczutej i kochanej.

Talent pisarza i uznanie czytelników zachęciły autora do pracy. Ukazuje się Wernyhora, najlepiej do dziś znana powieść Czajkowskiego, malująca hajdamaczyznę jako podstępną grę Rosji, wiernych Polsce Kozaków i poważną postać lirnika Ukrainy, z budzącemi ciekawość i wiarę proroctwami.

Nowe powieści szybko następowały po sobie, oryginalne, niezwykłe, zaciekawiające: Gawędy, Kirdżali, Hetman Ukrainy, Stefan Czarniecki i inne. Postaci Kozaków zaczynają jednakże nużyć jednostajnością, sposób pisania staje się prawie manierą. Wyróżnia się Stefan Czarniecki, na tle tak dobrze znanych wojen szwedzkich. Czajkowski wprowadza nowe typy szlachty, pełne humoru, jest ktoś niby pradziad Zagłoby, wiele życia, ruchu, ciekawych sytuacyj, zajmująca intryga miłości Kozaka Tetery i p. Lanckorońskiej, energiczna charakterystyka i czynna rola bohatera — zapewniają całości poważniejsze znaczenie. Pomimo braku studjów nad przedmiotem jest to niewątpliwie krok naprzód w rozwoju powieści historycznej w naszej literaturze.

Do najlepszych utworów należy także Owruczanin, obraz ucisku polskości i szlachty w okolicach Owrucza przed pojawieniem się oczekiwanej armji Napoleona w 1812 r.

Bliższy stosunek z ks. Adamem Czartoryskim zwrócił na inną drogę czynną naturę Czajkowskiego. W r. 1841 udaje się do Turcji pod pozorem studjów dla zbadania tam kwestji polskiej i możliwości wytworzenia ruchu przeciw Rosji. Z zadania wywiązuje się gorliwie, ale zwraca na siebie uwagę władz tureckich i przyjmuje mahometanizm, aby nie być z granic państwa wydalonym.

Podobno wpłynęła na to Ludwika Śniadecka, którą tu poznał i pojął za żonę.

W r. 1853 rozpoczęła się wojna z Rosją, i Czajkowski (Sadyk Pasza) sformował pułk Kozaków otomańskich z osiadłych w Turcji wychodźców. Jako jeden z wodzów armji tureckiej zajął Bukareszt, Dobrudżę, rozwijał plan szeroki. Ponieważ jednak zaszły wewnętrzne niesnaski pomiędzy nim a Wł. Zamoyskim, który także formował pułk Kozaków, — przybył Adam Mickiewicz dla rozpatrzenia tej sprawy i o Sadyku Paszy wyrażał się z uznaniem.

Wojna skończyła się porażką Rosji, ustały działania wojenne, Sadyk Pasza jednakże snuje dalsze plany. Chce pod opieką Turcji stworzyć Kozaczyznę, wiernie oddaną Polsce, bohaterską, której może przypadnie wziąć rozstrzygający udział w walce o niepodległość.

Rok 63-i nie budzi w nim zapału, — obserwuje zdaleka, nie przeszkadza jednak dezercji Polaków z pod jego komendy do oddziału Zygmunta Miłkowskiego (Jeża), który pragnie się przedrzeć na pomoc powstańcom do Polski. I upadek powstania nie przejmuje go wielką obawą o przyszłość — jego sny i marzenia mają inną drogę. Lecz oto cios gwałtowny i niespodziewany: rozkaz sturczenia jego kozackich pułków i wcielenia do armji tureckiej. Rok 1866. Sadyk Pasza podaje się do dymisji.

Zawiedzione nadzieje i głęboka gorycz. Żal do Turcji, do Polski, do powstania i powstańców, do całego narodu. W jednej z powieści (Nemolaka) ośmiesza Jeża i ostatnie powstanie. Czuje, że gdzieś zabłądził na manowce i szuka nowego kierunku. W której stronie?

Dotąd pod względem uczuć narodowych nic zarzucić mu nie było można, obecnie jednak awanturniczy temperament nasuwa mu wyjście nieprawdopodobne. Podaje prośbę do Aleksandra II o pozwolenie powrotu do kraju, przyjmuje poddaństwo rosyjskie i osiada w Kijowie.

Jest to rok 1872, okres najcięższego ucisku polskości, mściwej i krwawej zemsty. Czajkowski tego nie rozumie, nie odczuwa. Dziwnie zmieniły się jego poglądy. Widzi w Rosji naturalną opiekunkę Polski, uznaje ją za ojczyznę, za macierz wszystkich ludów słowiańskich, i oddaje jej się bezwzględnie. — „Zgrzybiały wróciłem do prawdy, już z niemocą pracy, ale z mocą stawiania siebie za przykład“ — pisze do jednego z dawnych towarzyszów broni.

Wygłaszanie takich przekonań odsuwa od niego polskie społeczeństwo. Zdaje się nie dbać o to. Córkę z ostatniego małżeństwa z Greczynką chrzci w cerkwi prawosławnej, ojcem chrzestnym jest cesarz Aleksander II. Zaparcie się narodowości zupełne.

Osamotniony w Kijowie, przenosi się na wieś, do zakupionego folwarczku w gub. Czernichowskiej, i wiedzie ciężkie życie z powodu niezgody z żoną i opuszczenia przez wszystkich. Popełnia wreszcie samobójstwo. Pochowany na cmentarzu prawosławnym.

Człowiek oryginalny, utalentowany i niepospolity — w tak smutny sposób zmarnowany. Jako renegat — odstępca — przekreśla samego siebie. A jednakże uczucia jego były szczere, nie możemy o tem powątpiewać, gdyż mają wyraz i w życiu i w pismach, i dopiero w starości bujny temperament i mętna głowa spowodowały koniec tak okropny.

Bezkrytyczne marzenia o wielkiej Słowiańszczyźnie, które snuł od młodości, o roli kozaczyzny, ich idealizacja i nieznajomość historji — wytworzyły w umyśle starca chaos pojęć, z którego już nie znalazł wyjścia.

Ideje te najjaśniej i najszczerzej wypowiada we wstępie do nowego wydania Wernyhory w r. 1862.

„Lat 30 zgórą upłynęło od czasu, jak opuściłem dom rodzinny i ziemię rodzinną. W puściźnie po Matce, po Dziadku moim po kądzieli, odziedziczyłem myśl o Kozaczyźnie:

Rycerską hulaszczością Kozaków postawić na nogi Polskę.

Braterskością Polaków spolszczyć Kozaków.

Myśl ta marzeń dziecinnych z wiekiem rosła na święte przykazanie kozacze do wykonania".

Mówi potem o udziale kozackich ochotników w powstaniu 1830 r. wyraża się nawet:

„Kiedy w 1831 r. Kozacy moi z Halczyńca, Siomek, Agatówki — wołali: — My, nasze dzieci, z tobą, Panie, pójdziemy walczyć z wrogami Polski, bić się za Polskę.

Kiedy ksiądz Paweł Niemiotowski, pop Błahoczestiwy z Halczyńca, wyszedł z krzyżem w ręce, z cerkiewnemi cechami, nas błogosławić, i błogosławił" —

Mówi o połączeniu się z Różyckim, o walkach, zwycięstwach, o nadziejach.

„Z wieszczem Padurą wołaliśmy pieśnią: Książę Romanie, przybywaj! Przybywaj do nas. Szablą i spisą policzymy wraże pułki, jak niegdyś twój prapradziad liczył pułki tatarskie. Policzymy czy to przy świetle księżyca, czy przy jasnem słońcu, przybywaj! Wołaliśmy, ciągnąc z Uchań do Zamościa, z mnogim jasyrem, ze zdobyczą i ze sławą, jak przystało na pułk kozaczy — a tam nas przyjął kwaśną prozą generał Chrzanowski. Mąż w wojskowości wyuczony, ale ni z pierza, ni z mięsa, ni z serca, ni z postawy — na wodza dla szlachty polskiej, dla butnych mołodców Ukrainy".

Klęska, opuszczenie kraju, tęsknota i powrót do marzeń:

„Moje marzenie przeobrażało się w teorję, w system, którego ja byłem pisarzem i musiałem być wykonawcą, bo nikt się nie znalazł, ktoby się chciał podjąć tej pracy dla kozaczyzny i — dla Polski.

Rzuciłem w świat polski powieści kozackie: Wernyhorę, Ukrainki, Hetmana Ukrainy i inne pisma tegoż samego ducha, dążące do tego samego celu; i po tym moim programacie udałem się na Wschód.

Kiedy wychodziło drugie wydanie Wernyhory, byłem już w Turcji, pod opieką monarchy, którego przodkowie, którego rząd nie podpisał żadnej umowy, uświęcającej rozbiór Polski. Byłem między Kozakami Ukrainy, Zaporoża i Donu, których przodkowie albo oni sami przed wiekiem, przed mnogiemi laty, schronili się pod opiekę przemożnych sułtanów, cesarzów Otomańskiego państwa, — uczciwie, jak przystało na Kozaków, z bronią w ręku, jako wojsko do służby swojego nowego opiekuna i pana. Po raz drugi marzenie przybierało postać rzeczywistości; po raz drugi teorja przeobrażała się w czyn.

Zostałem muzułmaninem i poddanym wielkiego Sułtana..."

Historyczna wartość powieści Czajkowskiego także zmalała zczasem, pomimo rzeczywistego talentu, gdyż niema w nich podstawy prawdy historycznej. Są to fantazje autora na tle mniej więcej znanych wypadków dziejowych. Więcej znaczenia mają obyczajowe obrazki, bardzo oryginalne i malowane przeważnie z natury.

Wyjątki:

WERNYHORA.

Wieszcz ukraiński.

Tłem historycznem powieści jest bunt hajdamaków, rzeź Humania, konfederacja Barska. Wśród Kozaków rozróżniamy sługi moskiewskie i obrońców Polski. Z tych ataman Nekrasa kocha szlachciankę, p. Chiczewską, i posiada miłość wzajemną, ale walczy z rozmaitemi przeszkodami: możnym konkurentem moskiewskim, wolą opiekuna, podstępem i t. p. Tytułowa postać Wernyhory jest symbolem pojednania „bratnich ludów" i warstw społecznych, a „proroctwa wieszcze" słynęły szeroko, napełniając serca otuchą.

Wyjątki: Rozdział I.

...„Przybycie trzeciej osoby przerwało rozmowę; był to Błahoczynny czehryński, w czarnej rasie długiej po kostki, włos ciemny, gładko zamuskany, nad środkiem czoła dzieląc się na dwie równe części, spadał na plecy i tył ramion; na twarzy nosił wyraz Judasza wtenczas, kiedy zaprzedał Chrystusa i chciał

łudzić jeszcze Mistrza udaną gorliwością o wiarę i jego osobę. Hołowaty z całą pokorą powitał, całując go w rękę, Dudar skłonił głowę nisko, ale z tak niecierpliwym ruchem jak koń, kiedy go ubodzie w podniebienie ostra szubienica munsztuka; wziął się w boki i przechylił na szablę, a po skrzywieniu wargi widać, że mu nie do smaku osoba ojca Bazylego.

— Niech Bóg zsyła błogosławieństwo—rzekł Błahoczynny Bazyli, żegnając znakiem krzyża świętego na wiernych synów przeczystej wiary. — Jakiż to anioł sprowadził was, asawuło Serykowskiego kurenia, w te progi, gdzie wybrani radzą o wybawieniu Izraela z niewoli egipskiej? Czy Duch Święty zesłał promień opamiętania na waszego atamana kurennego? czy zerwał występne związki z niewiarą lacką? Łono kościoła otwarte zawsze dla obłąkanego syna; z radością przyjmiemy go do swego grona, rzucając w morze zapomnienia wszystkie grzechy.

Choć nie lubił Dudar popa, przez cześć dla wiary wolnym i pełnym poszanowania głosem odpowiedział:

— Ojcze duchowny, źle was oświecono o wszystkiem. Ataman naszego kurenia nigdy nie odłamywał się od przeczystej wiary. Cerkiew prawosławna liczyła i liczyć go będzie zawsze między najgorliwszych swoich synów; a że z Lachami jedno trzyma, a nie lubi Moskwy, to dlatego, że umie rozróżniać szych od złota, zdradę od przyjaźni: i my i Lachy jedną dumkę nucimy, jednej chcemy rzeczy... wolności, — niechajno o nią i o wiarę rozpocznie się wojenny taniec, zobaczycie, czy Serykowski kureń ostatni kopytami końskiemi o ziemię uderzy, czy ostatni z pochew szabel dobędzie; ale wprzódy skały porohów na piasek pokruszycie, nim nas potraficie związać z Moskwą.

— Synu, hamuj twój zapał — rzekł Błahoczynny — niechaj wiara święta zwróci ciebie znowu na ścieżkę, z której zboczył w tej chwili. Czy ucisk ludu Ukrainy, czy znieważone cerkwie nie wołają o pomstę do Boga? My prawowierni wyznawcy wierzymy, że jeden jest patrjarcha sofijski, jak jeden Twórca świata i wszechrzeczy, — nie powinniżeśmy porwać się do oręża na wytępienie służalców rzymskiego antypapy i tych wychodźców palestyńskich, których przodkowie niemiłosiernie Zbawiciela ukrzyżowali?... I toż to na Moskwę, na naszych jednowierców powstawać będzie ten, który 40 lat stracił na posługach kozaczyzny, a 30 piastuje asaulstwo w kureniu,— godzien wyższych godności, i pewniebyś ich dostąpił za swoje męstwo i zasługi, gdyby przez jakiś nadzwyczajny traf atamaństwo kurenne nie było wpadło w ręce młodzika, którego całą zaletą ciemny wąsik i porozumienie się z Lachami. Przeciw kureniowi nic nie powiadam: jest on waleczny i wierny cerkwi, ale grzeszy zaślepionem przywiązaniem do dowódcy. Przyjdzie on kiedyś do siebie i niewiernych z swego grona

wyrzuci, a wtenczas silny łaską cerkwi i szczodrotą carycy może kto inny, z dawnemi zasługami, obejmie szczytny stopień dowódcy, i wolno mu nawet będzie sięgnąć po większe dostojeństwa.

Żywy rumieniec wycisnął się na lice Dudara, oko błysnęło ogniem gniewu, a potem wzgarda z niego wyjrzała, ręka nawet już łapała palcami rękojeść pałasza, ale wnet ją zwrócił napowrót, a przygryzając wargi, tak mówił.

— Gdyby nie wasz stan, ojcze duchowny, gdyby nie wasza rasa, jużby inna była między nami rozmowa, jużby tam nie same tylko słowa burczały koło waszych uszu; porzućcie silić się na wymowę, nie trwońcie jej nadarmno: znam się na lisich kluczkach. Pókiście prawili o Lachach — to pół biedy, ale kiedyście mnie chcieli łechtać waszemi obiecankami, to aż politowanie i gniew razem bierze. Sami powiadacie, żem służył 40 lat ojczyźnie, i jażbym to nie umiał oddać należytej czci zasłudze? Nie ślepy traf ale męstwo dało stopień Nekrasie. Oj, gdyby on wyżej siedział, toby caryca i carzątko nie wpisywali się w księgę Zaporoża, a Kozak Pułtawski nie nosiłby czczego zwania atamana całej kozaczyzny. Naszego w Petersburgu nie zwanoby tylko koszowym, i wy, dobrodzieju, nie pałamarowalibyście tak swobodnie. Moskwaby uciekła za niżowskie stepy jak wilk, kiedy trąba zadzwoni w kniei, a wybyście siedzieli po dziurach jak szczury, kiedy blisko czują kota.

Hołowaty kiwał głową i ważył w myśli, kto lepiej mówi, a boi się, aby nie przyszło do żwawszych przymówek. Zna on wprawdzie moc nad sobą Błahoczynnego, ale zna też i żartkość Dudara. Asawuła dawny przyjaciel, niejedną się kwartę razem wychyliło, czworo dzieci do chrztu trzymał, w młodości nieraz wałęsali się po Wołoszczyźnie, nieraz razem szablami krzesali ognia po moskiewskich i tatarskich karkach. Ojciec Bazyli — człowiek święcony, namiestnik cerkwi czehryńskiej; starość ku ziemi przychyla, przyjdzie śmierć, a Błahoczynny może paszportu odmówić, a przykra to rzecz na tamten świat puszczać się jak na wołokitę. A zatem rzekł:

— No, ojcze, no, kumie, podajcie sobie ręce, niechaj ludzie nie wiedzą, że w domu Hołowatego dwaj jego najlepsi przyjaciele zukosa na siebie patrzyli.

— Gniew mną nie miota — odpowiedział Bazyli — jeślim się uniósł w mowie, niechaj mi przebaczy asawuła, było to przez gorliwość o wiarę, której jestem stróżem; o swobodę ludu, której i z moich uczuć i z mojego obowiązku bronić powinienem. Nie miałem na celu obrazić człowieka, dla którego szacunek głęboki tkwi w mojej myśli; jak bracia razem teraz pójdźmy na wspólną naradę, tam nie unosząc się czczym zapałem, ani nierozważną nienawiścią, roztrząśniemy wszystko, co będzie ku wspólnemu dobru.

Dudar ani słowa nie rzekł, ale szli razem ku chacie jak dwa psy, warczące nad kością; już zęby na siebie szczerzyły, już wznosiły karki sierścią zjeżone, kiedy myśliwy podzwonił sworą, włożył im na szyję i wiódł za sobą w tak pozornej zgodzie, jak gdyby nic między nimi nigdy nie było. Szedł Błahoczynny, bo tak mu nakazywała chęć doprowadzenia swych zamiarów do skutku, — szedł Dudar, bo przyjaźń chwilowo ścisnęła kagańcem i język i rękę.

Koło chaty dwie czeremchy wznosiły czoła kędzierzawe liściem, a splatając rosochate gałęzie, tworzyły niejako żyworodny sufit. Tam stały dwa długie stoły, przykryte czystą bielizną, na nich w ogromnych misach solone sudaki i czarnomorskie śledzie pływały w burej polewce; miód w plastrach i kołacze pszenne, bochenki razowego chleba, sól grudkami i pieprz napół stłuczony; w glinianych dzbanach stał miód i krupnik, a w bakłaszkach po rogach stołu wódka, czysta jak łza; stosy drewnianych łyżek, cynowych widelców i noży, rzędy szklanek i byczków kończyły zastawę skromnej biesiady. Był to piątek, a cerkiew prędzejby przebaczyła jeden z siedmiu grzechów śmiertelnych, jak skalanie ust w dzień zakazany mięsnym pokarmem. Wkoło stołów mnóstwo Kozaków. Jedni siedzieli na trawie, drudzy przechadzali się po dwóch i po trzech i cicho rozmawiali, a szable ponuro szczękały po miękkiej murawie. Nie był to obraz Rembrandta flamandzkiej rodziny, ucztującej w wiejskiem zaciszu, gdzie pędzel mistrza rozlał sędziwość na pobielone wiekiem głowy starców, a wesołość bez śladu niszczących namiętności po pyzatych twarzach młodzieży, — tu dzikość latała po licach i we wzroku, jak jaskółki przed burzą, a pogoda i wesele tak daleko z ich rysów uleciały, jak szczęście od serca wygnańca z ziemi ojczystej.

Otwarły się drzwi chaty, długo oczekiwany wszedł Protopop w sobolej czapce, obok niego młodzieniec jasnowłosy w kozackim stroju, który tak do niego przystawał, jak kolczasta obroża wilczarza do szyi utrefionego pudla. Przechodząc między dwa szeregi Kozaków, rozstępujących się przed nimi z poszanowaniem, rzucał wzrok dworaka na obie strony i chciał pozyskać mizgiem zalotnicy serca mężnych dzieci stepu. Za nimi postępował Dudar z Błahoczynnym, który z powodu jakiegoś wyrachowania udawał najlepsze porozumienie z przybyłym asawułą. Hołowaty kończył orszak. Skoro Protopop pobłogosławił i przeżegnał krzyżem św. biesiadników i biesiadę, Hołowaty pokłonił się nisko i wziął byczek, nalany wódką.

— Za zdrowie ojca Protopopa i w jego ręce — wychylił i nalał. Protopop wypił w ręce Błahoczynnego, i tak dalej kolejką pito do siebie, nigdy jednak nie przeskakując starszeństwa wieku. Kiedy się stłumiły pierwsze chęci jadła i wychyliły się liczne szklanice miodu i krupniku, Protopop splunął,

poczesał grzebieniem z palców kruczą brodę i tak przemówił żegnając znakiem krzyża po kilka razy.

— Cześć Najwyższemu! cześć patrjarsze! cześć carycy! błogosławieństwo na was, bracia! Przybyłem między was za wolą Synodu, a za rozkazem Katarzyny II, szczęśliwie dziś panującej Rosji. Dla tej możnej imperatorowej posłuszeństwo, i poszanowanie mieć powinniście tak wielkie, jak dla samej cerkwi. Niedola wasza znalazła pożałowanie u jej tronu — a do was teraz należy, aby krew lacka i żydowska spłynęła po nożach, święconych przez kapłanów przeczystej wiary. Idą mnogie maże, naładowane tym drogim darem, który wam caryca ofiaruje. Jak słowa Boże roznieście je po chatach Ukrainy, od Dniepru aż do Bugu niechaj się ręce wiernych broczą w jusze niewiary; — a biorąc młodzieńca z nim przybyłego za rękę — Oto jest Tamara, Kozak zadnieprzański, wychowany na dworze petersburskim, którego caryca nakazuje wam przyjąć za watażkę tej wyprawy. Taka jest wola cerkwi, taka wola Rosji.

Część biesiadników przekrzywiła brwiami, jak gdyby cierpkość chrzanu zaleciała im do nosa, bo słowa wola, rozkaz, caryca szczypią myśl wolnego syna stepu; drudzy wzrokiem pogardy i pośmiewiska pozierali na owego przysłanego watażkę, któremu — wedle ich rozumienia — lepiejby przystało prząść na kądzieli, jak wieść pułki kozacze na rzeź; niektórzy zaś (między którymi był Szwaczka, opasły mieszczanin Kaniowa), zalawszy ślepie miodem i wódką, na wspomnienie o nożach święconych, nie słuchali reszty słów Protopopa, ale wrzeszczeli na całe gardło — Rznąć Żydów i Lachów! Błahoczynny lisiem okiem śledząc najmniejsze poruszenia asawuły Serykowskiego kurenia, kiedy ujrzał, że krew mu się warzy pod skórą, jak woda przed zakipieniem, a będąc pewny, że mowa jego niejednego może sparzyć, niejednego odstraszyć, — aby uciszyć wrzawę, która już poczęła szumieć, a razem posiąść głos przed drugimi, zaczął przemawiać wlekącemi się słowy tak, iż jedno od drugiego zdawało się być odległem o werstę i łączyć się tylko samem brzmieniem.

— Bracia, nie chciejmy wywracać na złą stronę mowy wielebnego Protopopa. Zbyteczny zapał i gorliwość o wiarę i swobodę, o byt pomyślny Ukrainy—naniosły może na język jego wyrazy, które niemile zabrzmiały waszym uszom. Nie rozumiejcie, aby przez wolę carycy rozumiał on konieczność poddania się pod jej rozkazy, albo żeby Moskwa miała zamiar ujarzmienia nas. Ma się to rozumieć, że ta wszechwładna Pani, rządząca z taką mądrością i sprawiedliwością swoim narodem, ma niezachwianą wolę podać nam braterską rękę do zrzucenia gniotącego jarzma Lachów. Ma ona wolę, abyśmy się sprzymierzyli z jednowiercami naszymi i razem ukrócili dumę rzymskiego fałszerza, razem wytępili plugastwo hebrajskie, które jak sza-

rańcza objada naszych braci, ostatni grosz wydziera oszustwem, a na obchodach talmudowych spija krew chrześcijańskich dzieci, wmieszawszy ją w przeklętą macę.

Tu wrzasnęła większa połowa biesiadników: — Rznąć Lachów i Żydów! — a szklanice napełnione wódką lały się w gardła jednym duszkiem. Błahoczynny mówił dalej.

— Powiadam wam, iż nikt nie powstaje na waszą wolność. Caryca mocno jest o tem przekonana, iż tylko wolni i niepodlegli możemy stać się groźnym narodem. Ona chce, abyśmy wytępili Lachów w naszej krainie i stali się zaporą ich swawoli, a tem samem zabezpieczyli jej państwo od wciskania się doń nieładu, jaki panuje w Polsce.—Przez słowo: rozkaz — nie myślcie, aby go nam dawano. Jakiemże prawem chcianoby nam go narzucić? Jakichże sposobów obranoby do wykonania tego zamysłu? Nierozważnie byłoby tak mówić, a jeszcze nierozważniej myśleć, aby to mogło kiedyś nastąpić. Rzecz całą wyjaśnię w kilku słowach. Oto ten zacny potomek jednego z nami szczepu — i wskazał na Tamarę — wychowany na dworze carycy, wysyłany przez nią w cudzoziemskie kraje, aby ćwiczył się w naukach wojennych, pielęgnowany jak własne dziecię, odebrał od mojej dobrodziejki rozkaz zgodny z swojemi chęciami, aby spieszył między nas i wspólnie z nami walczył przeciw naszym wrogom. Do nas to należy ocenić jego zdolności i powierzyć mu dowództwo. Caryca nie rozkazuje, ale miłoby jej było widzieć swego wychowańca użytecznym współbraciom; nie widzę przyczyny, dlaczegobyśmy tego zrobić nie mieli. Nieregestrowcy, w niewoli lackiej nękani, zapomnieli nawet o sztuce wojennej; Regestrowcy po dalekich granicach carycy służą; Zaporożce zaś — jedni zatwardzieli jak w grzechu śmiertelnym w przyjaźni z Lachami, — drudzy niechętnie poglądają na związki nasze z Moskwą wybawicielką; — woleliby psa Turczyna albo Tatara zbójcę uznać za brata;—mało nawet jest obojętnych.

Uważając twarze rozpalone trunkiem, wziął to za skutek uroku swej wymowy, co było dziełem wódki; spojrzał na asawułę i uśmiechnął się uśmiechem fałszywego świadka, który swem świadectwem potępił cnotę, a wyniósł zbrodnię. Dudar zrozumiał wyzwanie, namarszczył powieki, uderzył pięścią w stół, aż szklanki i miski podskoczyły i zabrzęczały jak szyby okien domu, w który piorun palnął.

— Milcz, obmierzła gadzino! psie z wyprawnym językiem! Chcesz obroży, nadstaw swoją szyję, poco ciągnąć drugich. Mniejsza o Żydów, wyrżnijcie ich co do nogi, niechaj na nasienie żaden nie zostanie, niewielka szkoda, — ale Lachów — czy ciebie wiara, czy twój stan uczy, abyś zbroił brata na brata? Chcesz zmącić wodę, a carycy podać zręczność, aby nas wszystkich siecią zaciągnęła. A wyż, bracia, przystąpicie do obioru

sroki, aby przywodziła orłom do boju? Rozpocznieciež rzeź ze swoimi, aby potem nas obcy smagał?

Próżno mówił, próżno słowa pełne zgrozy i gniewu buchały jak wody na łotoki, kiedy wyprą zastawki; pijane kozactwo bełkotało językami, zataczało się na boki, a nieposłuszne ręce błądziły, nie mogąc znaleźć rękojeści szabli. Protopop porwał nóż i cisnął na Dudara, ale ten przeleciał mimo ucha i utkwił w ziemi. Tamara, ukryty pod stołem, ze strachu drżał jak listek osiki, asawuła porwawszy nahajkę w rękę, rzekł do Protopopa.

— Słuchaj, wielebny kapłanie, nie szablą ale tym kańczukiem należałoby ci wygarbować grzbiet, abyś miał się z czem przed carycą pochwalić, — ale co się przewlecze, to nie ucieczze, zobaczymy się.

A potem, obracając się do Hołowatego, który jak słup drożny stał z wyciągniętą ręką, gotów albo powściągnąć zapęd dawnego przyjaciela, albo bronić go od napaści drugich.

— Bądź zdrów, kumie Hołowaty, wkrótce ci ja wykurzę te szczury z twego młyna; zatrzymaj ich u siebie, a nim trzecia jutrznia zejdzie na niebie, wyprawię ja tu im biesiadę po swojemu — rzekł i żywo wyniósł się z sadu na podwórze.

Protopop wrzasnął: — Zabić, mordować Lacha! — a piana mu się z ust toczyła i spluwał często, bo wódka paliła wewnątrz. Wielu porwało się z trawy, a kreśląc wężykowatą linję i w prawo i w lewo, jedni wpadli na płot, drudzy do wrót, ale nie mogli ich odemknąć, bo Hołowaty zakręcił zawiertkę łyczaną. Przebudził się Szwaczka, odemknął napół przymarłe od pijaństwa oczy, wklęsłe w głąb tłustej twarzy i wrzasnął:

— Na pohybel Lachom i Żydom! wódki i miodu!"

Tak maluje kuszenie Moskwy i dwa prądy wśród kozaczyzny, które ścierają się w ciągu powieści. Czajkowski jeden z pierwszych wprowadza do powieści opisy natury. Zwróćmy na nie uwagę i porównajmy z opisami Sienkiewicza, Dygasińskiego, Prusa lub Orzeszkowej".

Próby krajobrazu.

„O, jakże to miło na Zaporoskim stepie!.. piersi rozdymają się szeroko, daleko oddech powietrzem leci, spragnione usta łykają wiatr stepowy, a dusza poi się trunkiem wielkości — ucho na milę dokoła najmniejszy szelest słyszy; przelatując z jeziora do jeziora, dzikie gęsi skrzydłami ponad głową świszczą i czasem pogęgują; w rozdole igrając, młode wilczęta łoziną klekoczą, a stare po stepie jak płaczki żałośnie wyją; na wabca lis z głucha szczeknie, po stepie sumak skokami załopocze; gadzina i wąż szerkną szuwarem; gdzieś daleko zarży ogier, stróż tabunu, albo na noclegowej paszy zaryczą czuma-

cze woły. Zaszedł księżyc i pełną twarzą na ziemię patrzy, gwiazdy ze wstydu pochowały twarze za siną zasłonę i tylko zalotniejsze z pomiędzy obłoków strzygą jaskrawemi oczkami na pana księżyca. Nekrasa patrzy, obraca okiem na wszystkie strony, step i step — a cień jeźdźca i konia zwalił się olbrzymią postacią na ziemię i zwolna przesuwał się po trawie. — Duma zagrała w serce i myśl atamana. Poprawił się na siodle, pokręcił wąsik i rzekł sam w sobie: Ja król stepu, pan nad pany!"

Złotem kołem słońce świeci, srebrną wstęgą Roś płynie, blady błękit po niebiosach się pociąga, jasna zieloność po ziemi się ściele, na niebie obłoki i chmurki wędrują, na ziemi przylaski, zboża, skały, wioski i futory leżą bezładnie rozrzucone; — trzepiąc skrzydełkiem, ptak w powietrze się wznosi, muskając rosę, zwierz lekką nogą po niwie pomyka; trzody się pasą i pastuszki w dudki grają, i ryba się w wodzie pluszcze, i robak po ziemi pełza, — z białym dniem świat martwy zaweselał pstremi kolory, z białym dniem świat żyjący się przebudził, i wszystko śle dobry dzień jasnemu słońcu, białemu dniowi".

Zakończenie.

„Wszyscy weszli do izby, gdzie leżał Wernyhora. Starzec podniósł się na łożu; ani śladu choroby na jego twarzy, czoło pogodne, oko jasne, tylko w ruchach ciała coś ociężałego; z wysiłkiem ręką się podpierał, z wysiłkiem nogę dźwignął, mówił jednak czystobrzmiącym choć powolnym głosem.

— Dobrze, żeście przyjechali, pożegnam was; już ostatnia godzina się zbliża; 90 lat zgórą przeżyłem, czas, abym poszedł zdać rachunek przed Bogiem z moich czynów. Nie żałuję życia, ale żałuję, że umieram w chwili, kiedy mógłbym się na coś przydać naszej matce Polsce.

Wszyscy smutnie słuchali, a komornik się odezwał. — Co tam o śmierci myśleć, jeszcze ona daleko od waścinej czupryny, mówmy o tem, jakby Moskali bić.

Wernyhora skinął głową...

...„Sparł się na poduszkę, przymknął oczy; po chwili się podniósł. Tym razem oczy mu pałały ogniem brylantu — nad jego głową wystrzeliła jasność, podobna do korony błogosławionych nieba. Jak przed zjawiskiem cudu skorzyli czoła, złożyli ręce przyjaciele Wernyhory — a on zawołał:

— Polsko, Ojczyzno moja! biedna twoja dola na teraz — hojnie się przeleje krew synów twoich — wysokie mogiły wzniosą się z ich kości — spustoszenie, rozpacz i bujny smutek pociągną się po twej ziemi — trzy postronne sępy trzy razy ciebie rozszarpią — i upadniesz. — Na niczem spełzną usiłowania polskich synów, król twój dzisiejszy jak zaczął, tak

ohydnie skończy, płaszcząc się na dworze moskiewskiej carycy. Ojczyzno! długo jęczeć będziesz pod jarzmem obcych, część twoich dzieci wywiozą w niewolę na bezludne obszary — druga pójdzie w dalekie kraje żebrać pomocy krwią i słowem dla nieszczęśliwej Matki. Po długich latach zjawi się olbrzym Zachodu, i nadzieja zabłyśnie dla Polski; Polacy na polskiej ziemi walczyć będą ze swymi wrogami, ale ta nadzieja zajaśnieje i zniknie, jak spadająca gwiazda z nieba. — Jednak ci, co ją rozszarpali, powiedzą: — Jest Orzeł Biały, jest Królestwo Polskie. i ludzie słabi łudzić się tem będą, a nawet błogosławić mordercom Ojczyzny. Ale zły car, chciwy przelewu krwi swoich poddanych, zasiędzie na tronie Jagiellonów i pokaże, że blichtr nie jest prawdą. Naród Polski powstanie we wszystkich częściach polskiej ziemi — ale zabraknie mu na ładzie, zgodzie i człowieku, jak dawniej tak i tym razem upadnie. — Polacy — jedni jak orły po spustoszeniu gniazda polecą na wędrówkę daleką, drudzy na wygnaniach i w niewolach smutne dni liczyć będą — Polska nasiąkła krwią swoich dzieci, użyźniona ich trupami, długo znosić będzie ciężar ciemięzców. — Ale nareszcie nadejdzie czas, kiedy Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, Muzułmanin konie napoi w Horyniu — Polacy liczni jak drzewa litewskich borów, jak ziarnka piasku brzegów Wisły, jak burzany stepu — powstaną i walczyć będą z wrogami. Pierwsze zwycięstwo odniosą w jarze Hańczarychy, drugie koło mogił Piata i Pierepiatychy, trzecie przy siedmiu mogiłach, czwarte i ostatnie między Rzeszczowem a Jańczą. Dniepr całkiem krwią się sfarbuje, potaszczy o porohy roztrącać trupy wrogów, a od Czarnego morza do Baltyckiego, od Karpatów po Nizowskie stepy — nie będzie ani Niemca ani Moskala na polskiej ziemi — i Polska będzie wielka, potężna po wieki wieków!..."

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Awanturnicza młodość Cz. rok 30 i jego następstwa.

Powieści kozackie Czajk., ich charakter i powodzenie; przyczyny. Typy.

Wernyhora. Przyczyny idealizacji kozaczyzny: wstęp do 2-go wydania. Kozacy i gra Rosji w Wernyhorze. Wartość artystyczna, znaczenie w literaturze, przyczyny powodzenia.

Czajk. w Turcji, fantastyczne plany polityczne. Sadyk - Pasza i jego rola.

Ostatni przewrót w życiu Cz., przyczyny i następstwa.

Wartość literackiej spuścizny Czajk.: treść, ludzie, tendencja, prawda,

Obrazy przyrody w powieściach Cz.

Kozacy Czajkowskiego i B. Zaleskiego.

Wernyhora i Listopad Rzewuskiego.

Obrazy Czajk. i Chodźki, jako dwa środowiska, typy ludzi i sposób malowania.

Do czytania: „Sto lat myśli polskiej", t. VI. M. Czajkowski. w oprac. G. Korbuta.

JÓZEF KORZENIOWSKI

1797 — 1863.

Urodzony pod Brodami w Korzeniówce, w skromnym lecz polskim domu, wychowywał się w serdecznej, cichej atmosferze kochającej rodziny. Jeden z zamożnych krewnych chciał zająć się zdolnym chłopcem i zabrał go do siebie, lecz gdy matka na imieniny otrzymała po roku powinszowanie w języku niemieckim, rodzice zrezygnowali z pomocy i odebrali syna.

W Liceum Krzemienieckiem Korzeniowski należał do najzdolniejszych uczniów. Musimy jednak uprzytomnić sobie, że był starszy od Mickiewicza i kształcił się na wzorach wyłącznie klasycznych, świt romantyzmu budził się dopiero w Wilnie, gdy Korzeniowski już opuszczał mury szkolne.

Gorące wzloty nowego kierunku nie porwały Korzeniowskiego. Główną przyczyną było niewątpliwie usposobienie spokojne, ze znaczną przewagą rozsądku. Świadczy o tem wymownie rok 1812, który widocznie nie zostawił głębszych śladów w duszy młodzieńca, bo nie znajdujemy ich w jego twórczości, a potwierdza to Oda na rok 1815, zawierająca zimny i krytyczny sąd o Napoleonie. W epoce entuzjazmu, bólu i zawodu, chłopiec 18 letni uznaje za dobro ojczyzny spokojną drogę pracy w narzuconych warunkach i umie się z nią pogodzić. To nie jest brak uczucia, lecz temperamentu, dający przedwczesne może zrozumienie twardej i niewzruszonej narazie konieczności.

Wkrótce po ukończeniu szkoły Krzemienieckiej objął Korzen. miejsce nauczyciela Zygmunta Krasińskiego i zajął się gorliwie niezwykle zdolnym uczniem. Nie umiał się jednak przystosować do wymagań nowego środowiska i usunął się wkrótce, poszukując innego zajęcia. Otrzymał je w bogatej bibljotece Zamoyskich i pozostał na tej posadzie do końca swego pobytu w Warszawie. Dawała mu ona nieocenioną możność dalszej pracy nad sobą i uzupełnienia braków wykształcenia. Tu zapoznał się bliżej z literaturą niemiecką, francuską, Szekspirem, o czem świadczą próby przekładów.

W r. 1823 Krzemieniec ofiarował byłemu uczniowi posadę profesora literatury polskiej. Opuścił więc Korz. na długi czas Warszawę, rozpoczynając zawód nauczycielski. Ożenił się przed wyjazdem z córką profesora i widział przed sobą lata spokojnej pracy i cichego szczęścia domowego.

Był to istotnie najszczęśliwszy okres jego życia. Krzemieniec w utworach swoich opromienia serdeczną aureolą, —

widocznie był mu zawsze bardzo drogi. Praca w liceum wybrana i miła, tu powstają pierwsze utwory sceniczne.

Korzeniowski zawód autorski rozpoczął od teatru i na tem polu ogromne położył zasługi, zasilając ubogą polską scenę coraz nowemi dramatami, komedjami, przeważnie oryginalnemi, wartości nierównomiernej, lecz świadczącemi zawsze o talencie i szlachetnej tendencji autora.

Do tych pierwszych utworów należy „Mnich“, pokutnik, król Bolesław Śmiały w Osjaku. Surowe prawo ludzkie drzwi świątyni zamyka przed wyklętym, lecz postać zamordowanego biskupa prowadzi go przed ołtarz i wymawia słowa przebaczenia, które pozwalają skończyć mu ziemską wędrówkę, krusząc lepiankę ciała.

Dramat „Dymitr i Marja“ to treść Marji Malczewskiego, przerobiona na scenę. Postaci mają tu inny charakter niż w znanym poemacie, widać także wpływ romantyzmu.

Zajęty pracą w szkole, piórem i szczęściem rodzinnem, zdala od kraju, Korzeniowski nie odczuł prawdopodobnie dość silnie strasznej tragedji 30 roku, lecz następstwa tej klęski i w Krzemieńcu odbiły się dość szybko. W 1832 liceum zostało zamknięte, Korzeniowski przeniesiony do Kijowa na posadę prof. łaciny i starożytności rzymskich.

Znalazł się nagle w otoczeniu obcem, oderwany od miejsc i ludzi, z którymi go łączyły najserdeczniejsze węzły. Odczuł to jako rozbicie i wykolejenie, złączył w duszy z klęską ogólną. — Trzeba jednakże istnieć. Trzeba się o coś oprzeć. Trzeba znaleźć jakieś zacisze, ucieczkę przed wzburzoną falą.

Więc znowu ściele gniazdo, szuka pociechy w pracy. Nie daje mu jej szkoła obca, obce przedmioty, pragnie wrócić do pióra. Lecz parę lat upływa, zanim umysł tak spokojnego człowieka odzyska równowagę i będzie znowu zdolny do twórczości. Oprócz drobnych rzeczy scenicznych, próbuje sił w noweli, pisze „Wtorek i Piątek“, „Dobrze to wiedzieć na te ciężkie czasy“. Wtem nowy piorun burzy ciche życie.

W 1838 r. przeniesiony zostaje na posadę dyrektora gimnazjum w Charkowie. Odczuwa to głęboko jako wygnanie z kraju. Czuje się teraz zupełnie odcięty, zniechęcony, zgnębiony. Budzi się chęć powrotu, tęsknota do swoich.

Może szczęśliwe warunki rodzinne pomagają mu jednak rozpalić ognisko polskie na obczyźnie. W jego domu skupia się tutaj całe życie narodowe, gromadzą się nauczyciele Polacy, studenci uniwersytetu, urzędnicy. Bije stąd jakieś ciepło, jakieś dobroczynne światło, pociąga, jednoczy, rozgrzewa. Musi być dosyć silne, skoro tak rozjaśnia duszę,

że tu powstają najlepsze utwory dramatyczne i powieściowe dojrzałego już teraz talentu.

Z utworów dramatycznych wyróżnia się przedewszystkiem tragedja ludowa na tle stosunków galicyjskich p. t. „Karpaccy Górale.“ Rzecz dzieje się w okolicach Kołomyi, miejscowości, którą Korz. zwiedził podczas jednej z wycieczek wakacyjnych i jak zapewnia—z ust ludu wziął wątek tragedji.

Bohater, Antoś Rewizorczuk, najdzielniejszy z młodzieży wiejskiej, szlachetny i gorący chłopak, przez intrygi austrjackiego urzędnika wzięty zostaje do wojska, chociaż jest jedynakiem. Przyjaciel i narzeczona spieszą za nim, ułatwiają mu ucieczkę. Dezerter powraca do wsi, aby pomścić swą krzywdę na nikczemnym urzędniku, który zburzył mu szczęście i sponiewierał matkę. Po zabójstwie Prokopa zostaje opryszkiem, bo niema już dla niego spokojnego dachu na świecie. Zarządzona obława ujmuje go wreszcie, kara spełnić się musi. Dla kogo ma żyć zresztą: matka umarła, narzeczona dostała obłąkania i spoczywa na dnie Czeremoszu. Lecz komisarz, przysłany w tej sprawie, ocenia położenie i rozumie, kto jest winowajcą. Ma głębokie współczucie dla Antosia:

„Jakbym rad go uratować! Ale niepodobna. Prawo nie zna litości i znać jej nie może”.

Zapewnia tylko, że kłamliwy urzędnik zostanie ukarany, ponieważ „on jest zbójcą“.

Nikomu to szczęścia nie wróci.

Dramaty Korzeniowskiego wystawiała najchętniej scena lwowska, z tym jednak miała kłopot. Trzeba było przynajmniej zmienić Austrjaków na Moskali. Trochę to psuje sens, ale grać można.

Dramat grają i dzisiaj, w pierwotnej postaci. Charaktery zarysowane wyraźnie, język z domieszką gwary, sceny malownicze, treść z życia wzięta, przemawiały głośno. Scena pierwsza zawiera już wątek intrygi (Patrz wypisy).

W dramacie „Żyd“ przeciwstawia utracjuszom i spekulantom Polakom uczciwego Żyda, który z ich niedołęstwa i marnotrawstwa korzysta, lecz umie oceniać ludzi i być wdzięcznym.

Dramatów i komedyj jest wogóle kilkadziesiąt, na tematy społeczne i etyczne, historyczne, ludowe, przeróbki z dzieł obcych, mniej lub więcej szczęśliwe i zręczne. Pierwsze raziły sentymentalnością, większość mało ma akcji, a zbyt długie monologi i rozmowy, pomimo to jednakże i wielu innych scenicznych usterek, były one nieocenionym skarbem dla teatru, zasilały go stale rzeczami nowemi, budzącemi ciekawość i przeważnie cieszącemi się

powodzeniem. Niektóre z nich możemy z przyjemnością i dziś jeszcze widzieć na scenie, np. bardzo zręczną komedję salonową „Panna mężatka“, albo „Doktór medycyny“. W teatrach amatorskich grywają fraszkę „Pierwej mama“, w ludowych „Majster i czeladnik“ it. d.

Wogóle Korzeniowski najpierw pozyskał zasłużone uznanie jako pisarz sceniczny, później dopiero zajął się powieścią.

Pierwsze powieści większe napisał w Charkowie. „Spekulant“ i „Kollokacja“, nieodrazu przez krytykę słusznie ocenione, w dziejach powieści polskiej już stanowią poważny postęp. Autor opiera się na obserwacji, doskonale uwydatnia charakter postaci, żywo i z humorem nie pozbawionym ironji maluje sceny zbiorowe, daje nam ciekawe obrazki rodzajowe współczesnej mu epoki.

Obie powieści osnute na tle stosunków wołyńskich. Spekulant typ zręcznego łowcy serc i posagu, z którym toczy walkę instynkt macierzyński; Kollokacja — to drobna szlachta, posiadająca wspólnie wieś Czaplińce. Śmieszności. życie nad stan, niezgoda i głupota ułatwiają chciwemu sąsiadowi zagarnięcie odłużonych drobnych działek. Z jednej strony mamy szereg typów ograniczonych i małej wartości. z dużemi pretensjami. które autor przedstawia znakomicie w zbiorowej scenie imienin pani Płachciny. (w aksamitach. berecie z piórem i nieodzownym lokajem Żorżem), z drugiej chciwy, przebiegły pająk, chytrze zastawiający na nich sieci przy pomocy pośrednika. Żyda Szlomy. Na takiem tle wyróżnia się dworek Starzyńskich, który maluje z wyraźnem uczuciem, prawdopodobnie pod wpływem osobistych wspomnień domu rodzicielskiego.

Do momentów najbardziej charakterystycznych należy chwila, kiedy mieszkańcy Czapliniec, wezwani do spłacenia zaciągniętych długów, orjentują się wreszcie, co im grozi. kto jest ich nieprzyjacielem, i zdobywają się na jałową chęć obrony. (Patrz wypisy).

Przerzucenie się do powieści — chociaż sceny zupełnie nie zaniechał — nie było u Korzeniowskiego zwrotem przypadkowym: uznał jej wielką dla społeczeństwa potrzebę. Wprawdzie już na tem polu pracował Kraszewski, pisał Chodźko i paru innych, ale nie było to wystarczające. Rozumiał Korzeniowski, iż każdy z autorów inne wartości daje czytelnikom, bo inne sam posiada, — zapragnął więc przemówić i w tej formie, dorzucić swoje myśli. spostrzeżenia. a niekiedy poprostu wskazać nową drogę.

Mimo jednak znośnych warunków w Charkowie rosła w nim stale tęsknota do kraju. Po ośmiu latach porzuca posadę i wraz z rodziną zjeżdża do Warszawy. Szczęśliwie

otrzymuje tutaj miejsce dyrektora gimnazjum, a następnie wizytatora szkół w Królestwie.

Nowe obowiązki wymagają ciągłych podróży, objazdów, dostarczają bogatego materjału dla obserwatora-pisarza, który pragnie go spożytkować i rozpoczyna pisać „Dziennik wizytatora".

W wypadkach dziejowych (rok 1846 i 48) nie bierze udziału, pomija je milczeniem w swoich pracach, co się tłumaczy cenzurą rosyjską. Jest przecież urzędnikiem. Spostrzegamy jednakże coraz częściej w dziełach jego myśl o przeszłości (Pani kasztelanowa, Wąsy i peruka, Stolnikowicz). Świadectwem pracowitości niezwykłej są coraz nowe powieści i nowele: „Wędrówki oryginała" i „Nowe wędrówki oryginała", nie mające związku z pierwszemi, „Emeryt", „Garbaty", „Tadeusz Bezimienny", gdzie znajdujemy ciepły i słoneczny obraz Krzemieńca, kilka innych, a wreszcie niepowszedniej wartości w tendencji i opracowaniu — „Krewni".

Powieść dłuższa, na tle stosunków warszawskich, które maluje z dużą znajomością świata, zacząwszy od salonów arystokratycznych, a kończąc na warsztacie rzemieślnika. Korzeniowski nie pisze z fantazji, rzecz każdą musi zbadać, poznać rzeczywiście, — stąd obrazy jego są pełne, wyraźne, a postaci — które wprowadza — żyjące. Celem książki — zachęcić młodzież do szukania niezależności poza protekcją możnych i urzędem. Wskazuje nowe drogi. Usiłuje zwalczyć chwiejące się już uprzedzenia co do wartości rzemiosł i pracy fizycznej. Bohaterami są bracia Zabużscy. Jeden, wychowany przez bogatych krewnych, stacza się niemal w przepaść, gdy zabrakło mu tego oparcia. Ocala go poświęcenie się za brata i karność wojskowa. Drugi — uposażony przez naturę rozsądkiem i silną wolą, pod wpływem pragnień młodzieńczej miłości — rzuca żmudną i martwą karjerę biurową i staje do pracy w warsztacie stolarza, gdzie niejedną przezwyciężyć musi i przykrość, ale zdobywa dobrobyt i szczęście.

Krytyka współczesna, oceniając wartość tej pracy, rzuciła jednak ciężki zarzut autorowi, że w rosyjskiej służbie wojskowej każe zdobywać charakter. Zarzut był niesprawiedliwy i bolesny, gdyż Korzeniowskiemu chodziło o wojsko, i nie miał innego wyboru. To też jeszcze na łożu śmierci wspomina o tej krzywdzie, aby ją nakoniec przebaczyć.

Przytaczamy z tej pracy rozmowę Ignasia Zabużskiego z majstrem Heblem, malującą zapatrywania autora. Czytając przytoczone tu wyjątki — zwrócić należy uwagę na język Korzeniowskiego, sposób prowadzenia rozmowy — i porów-

nać z późniejszymi pisarzami, Prusem, Reymontem, Sienkiewiczem.

W r. 1861 Wielopolski powołał zasłużonego pedagoga i pisarza na stanowisko Dyrektora Wydziału Oświecenia w nowoutworzonej Komisji Wyznań i Oświecenia publicznego, stanowiącej jedną z najważniejszych reform, jakiemi chciał Petersburg ruch narodowy zażegnać.

Po raz pierwszy przeżywał Korzeniowski podobne chwile w kraju. Niewątpliwie dokładnie zdawał sobie sprawę z trudnego położenia i wewnętrznej walki dwóch kierunków w uczuciach i nadziejach narodowych. Jednak zgodnie z usposobieniem i opinją znacznego odłamu społeczeństwa, stanął do pracy pod opieką rządu z gorliwością i wiarą, że uczciwie spełnia zadanie. W życiu wyczerpanego pracą i chorobą starca był to wielki wysiłek, a szybko i rozumnie opracowany plan szkolnictwa wraz z otwarciem tak chlubnie zapisanej w dziejach Szkoły Głównej (zamiast niedozwolonego uniwersytetu) świadczą najwymowniej o przewodniej myśli i uczuciach niestrudzonego pracownika.

Rok 63-ci był dla niego ciosem śmiertelnym. Druzgotał pracę, w której złożył wszystkie nadzieje przyszłości, przejmował najwyższą trwogą co do następstw. A jednakże w tym właśnie czasie powstaje najgorętszy wiersz Korzeniowskiego, świadczący o niezwykłem napięciu uczucia i zupełnem zjednoczeniu się z narodem. „Nasza prawda, scena z życia Polski w r. 1863".

Po wybuchu powstania wyjechał do Drezna i tam wkrótce życie zakończył. Uczciwe, pracowite, bez skazy, oddane w miarę sił na służbę kraju, pożyteczne i twórcze. Dzieła jego to plan myśli narodowej na poziomie zadań społecznych.

Umiał i uważał za konieczne przystosować się do warunków istniejących, nie zaznaczył jednakże ani razu, aby je uważał za niewzruszone i trwałe. Do wybuchów i walki nie był zdolny, wobec wstrząśnień chronił się instynktownie za mur pracy i życia rodzinnego; nie świadczy to jednakże o braku uczuć narodowych, lecz o braku temperamentu i poczucia siły. To nie orzeł, lecz cicha mrówka, sumienny i wytrwały budowniczy, nie rycerz. O istnieniu uczucia mówi zarówno praca, jak jej treść i osobiste wynurzenia; mówi ból, jaki mu sprawia zarzut niesprawiedliwy krytyki; — jasność, jaką otacza wspomnienie Krzemieńca; — nostalgja, która go sprowadza do kraju; — wreszcie ostatni wybuch: Nasza prawda w r. 63.

Jako talent, pozostawił rzeczy niepowszednie, których wartość w rozwoju myśli polskiej pozostanie trwałą, — skutkiem jednak przewagi rozsądku i rozumu nad uczuciem — zazwyczaj przekonywa, nie porywa. Mickiewiczow-

skie hasła romantyzmu słabo oddziaływały na niego, nie zdołały zachwiać spokojnej jego równowagi. Malarz obyczajowy, realista, portretujący życie, nie szukający prawie nigdy ideałów w wyobraźni, ani na szerokich polach wszechludzkich.

Na człowieka patrzy spokojnie i z pewną pobłażliwością, rozumie jego błędy i słabości, i szydząc z nich nawet, lubi i w typach ujemnych podkreślić jakąś dodatnią iskierkę. Najsłabszą stroną utworów jego jest brak siły w malowaniu potężnych namiętności i gorących, gwałtownych uczuć, których sam nie odczuwał. Dlatego ile razy staje przed nim takie zadanie, nie umie się z niego wywiązać.

KARPACCY GÓRALE

dramat w 3 aktach

Scena odbywa się w Karpatach, między wsią Żabie a węgierską granicą po Czeremoszu.

AKT I. SCENA I.

Miejsce przed karczmą we wsi Żabie. Huculi, kobiety i dziewki w świątecznych sukniach. Starzy siedzą przy stole, młodzi koło kobiet i dziewcząt, różnie ugrupowani. Ubiór mężczyzn następujący: opięta kurtka bez rękawów, barankowa, włosem na spód; pas szeroki, nabijany żółtemi gwoździkami; spodnie granatowe lub czerwone, na które spuszczona koszula; chodaczki lekkie, skórzane; za pasem łyżka, nóż i para pistoletów; włosy długie, spadające w kędziorach na ramiona; kapelusz czarny okrągły, z dużemi skrzydłami i z piórkiem; na ramionach płaszcz amarantowy, bez rękawów, nie dosięgający do kolan, po brzegach czarnym sznurkiem wyszyty, takimże sznurkiem zawiązany pod szyją. Starzy jednakowo odziani jak młodzi. U każdego bez różnicy wieku w lewej ręce toporek. Kobiety ubrane jak galicjanki. U dziewek w końcu warkoczów, zarzuconych na wierzch głowy, wplecione białe kosteczki i amarantowe tasiemki lub wstążki poza uszy spuszczone, spadają na piersi; rękawy u koszul wyszywane; koszule bez kołnierzów, ale wysoko pod szyją ściągnięte; mnóstwo paciorek i koralów z dukatem. Przy podniesieniu kurtyny słychać nutę znanej kołomyjki przy akompanjamencie fletu.

Chór (kończy pieśń)

Już wam więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi.

Maksym (wuj Praksedy, narzeczonej Rewizorczuka — powstaje od stołu i wychodzi na środek). Ej, przestańcie, do licha! Ja tej pieśni cierpieć nie mogę. Ona zawsze coś złego przepowiada.

Prakseda. Czemuż to, wujciu Maksymie?

Maksym. A ot, czemu! Gdy mnie brali w rekruty, jakiś djabeł wówczas tę pieśń mi zaśpiewał. Za to też piętnaście lat nosiłem karabin i ubierałem się codzień w czarne kamasze. Teraz gdy mię Niemcy wypuścili, daj im Boże zdrowie, i pozwolili obaczyć swoje jodły i połoniny, nie chcę, żeby mi się

nawet śnił biały mundur. Hej, Fediu, chodź tu! Ty moją mi piosenkę zagraj, a ja stary wam zaśpiewam po swojemu.

(Fedor występuje z fletem, inni grupują się koło niego, Maksym śpiewa).

Czerwony płaszcz, za pasem broń, I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń, To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk, I Czarna Góra zczernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg — Odżyły nasze nadzieje!

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód, Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas kędziory trzód Weseli kąpcie, górale!

Połonin step na szczytach gór, Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur, Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość, Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie rość, Tam idźcie na całe lato.

A gdy już mróz posrebrzy las, Ładujcie ostrożne konie;
Wy z plonem swym witajcie nas, My z czarką podamy dłonie.

Chór. Czerwony płaszcz itd.

Starzec. Dziękujemy, Maksymie, dziękujemy. Prawdę powiedziałeś. Tak zawsze bywało, i dobre były czasy.

Jeden z młodych. Alboż teraz złe, ojcze? Spojrzyjcie na nas, czy to my nie zuchy? A tu spojrzyjcie, czy to nie jagódki? (Chwyta za rękę jedną z dziewek i pokazuje starszym, ona się wykręca i ucieka).

Starzec. Prawda, chłopcze! dla was to i teraz czasy dobre, ale dla was także mogą być i złe. Nam starym już wszystko jedno.

Młody. Będzie, co Pan Bóg da, ojcze!

Maksym. Dobrze mówisz. Lubię cię za to. Będzie, co Pan Bóg da. A teraz, kiedy piosenkę pochwalili, szynkarko, daj wódki! ja zapłacę. (pije) Dobra! Dajże jeszcze i ojcom. Pijcie, ojcowie, za zdrowie tych zuchów i tych jagódek.

Młodzi. Dziękujemy!

Prakseda (przystępuje i głaszcze go pod brodę). I my dziękujemy, wujciu Maksymie.

Maksym. A nu, dzieci, czyj tu topór najlepszy? Kiedyś, nim mię wzięli w kamasze, nikt się nie śmiał spróbować z Tychończukiem, a teraz Bóg wie. Precz! Odstąpcie! Wiele kroków do tego drzewa?

Kilka głosów. Z dziesięć.

Maksym. Dziesięć — dobrze. Ale pierwej po dawnemu. Dawajcie tu kapelusz. Kto chce ze mną rzucać?

Kilku. Ja — i ja — i my.

Maksym. Dobrze, dobrze. Ochota gorsza od niewoli. A będzie wam wstyd, jak was stary zwycięży. Praksedo, trzy-

maj! (daje jej trzymać kapelusz). Rzućcie tu każdy po pięć krajcarów. Kto odetnie tę oto gałąź o dziesięć kroków, wszystko, co w kapeluszu, to jego.

Prokop. Czekajcie! (Rzuca cwancygiera).

Prakseda. Oho, jaki szczodry! cwancygiera rzucił.

Prokop. Nie turbuj się, moja miła, wróci on do mnie.

Prakseda. Może i wróci, bo najlepszego między wami niema.

Prokop. I któż to ten najlepszy? hę?

Prakseda. He! niby to ty nie wiesz, o kim mówię. Gdyby on tu był, jabym swoje korale i swego dukacza wrzuciła.

Prokop. Dla mnie?

Prakseda. Jutro rano — dla ciebie.

Maksym. Czy twój Antoś Rewizorczuk taki zuch? O, patrzcie, jak poczerwieniała — pewnie zgadłem. (Prakseda daje znak potwierdzenia z figlarnym uśmiechem). Kiedy tak, zaczekajmyż na Antosia.

Prokop. A toż znowu co? Gromadzie czekać na jednego? starszym na młodzika?

Młody. Nie do smaku mu topór Antosia.

Prakseda. Cwancygier to pieniądze.

Kilku. Boi się.

Prokop. Nu, czekajcież, jeżeli chcecie (Na stronie) Przeklęty młokos!

Młody. Niedługo będziecie czekać — patrzcie — otóż i on!

Antoś (wchodzi szybko) Co się tu robi? Co ty masz w ręku, Praksedo?

Prakseda. Potrzymaj, Antosiu (Daje kapelusz, sama zdejmuje korale i rzuca). Tylko mię nie zawiedź, niech cię Pan Bóg broni! (Grozi).

Antoś. Co to znaczy?

Maksym. Zakład, Antosiu! Kto tę gałąź odetnie o dziesięć kroków, weźmie wszystko, co w kapeluszu.

Prakseda. I moje korale — pamiętaj!

Antoś. Zgoda — tylko o dziesięć to mało; o dwadzieścia.

Prokop. I ja o dwadzieścia.

Inni. I my — i my.

Antoś. Staremu można i o dziesięć.

Maksym. Nie chcę. I ja — jak wszyscy. Nie trafię — powiecie, że stary, i basta. Trafiłbym o dziesięć, tobyście powiedzieli: niewielka sztuka! Nie, nie chcę. A potem — wziąłbym korale Praksedy, które pewno nie dla mnie.

Prakseda. Nie dla ciebie, wujaszku, nie!

Maksym. Odmierzcie kroki. Ja zaczynam. (Odmierzają, Maksym staje i rzuca topór).

Wszyscy. Chybił!

Starzy (za stołem) Chodź, bracie Maksymie, do nas za stół. Już to nie nasza robota.

Kilka głosów. Któż teraz?
Maksym. Niech Prakseda naznacza.
Antoś. Praksedo, mnie na ostatku.
Prakseda. (woła) Fedio! (Ten rzuca).
Kilku. Chybił!
Prakseda. Czarny! (ten rzuca).
Inni. Chybił!
Kilku. To za daleko! My nie chcemy.
Prokop. Puszczajcie mnie. Praksedo! wołaj.
Prakseda. Strzelec! Zausznik Mandatarjusza! (Prokop występuje) Ach, to wy, Prokopie? (wszyscy śmieją się, Prokop rzuca topór).
Jeden z młodych. Zadrasnął gałąź, ale nie odciął. Szkoda!
Prakseda. Szkoda cwancygiera. Może go pan Mandatarjusz dał za jakie porządne kłamstwo.
Antoś. Milcz, Praksedo!
Prokop. I ja mówię: milcz! Teraz się śmiejesz, wkrótce możesz płakać.
Antoś. Tylko jej nie groź. Ona moja, a ja — ty wiesz o tem — nie zaraz się zlęknę. — No, Praksedo!
Prakseda. Antoś! (pokazuje mu z umizgiem korale).
Prokop. Czekajcie! A jeśli i on nie odetnie? Mój topór drasnął gałąź?
Wszyscy. Starzy rozsądzą.
Prakseda. (tupa nogą). Obejdzie się. Któż wam powiedział, że nie odetnie?
Antoś. Na bok! (Rzuca topór. Niektórzy biegną i przynoszą gałąź).
Młodzi. Patrzcie — jak brzytwą odciął. (Prakseda rzuca mu się na szyję. Antoś oddaje jej korale. Ona wydobywa cwancygiera, pokazuje go strzelcowi, który przy śmiechu innych odwraca się).
Antoś. Gosposiu, za te wszystkie krajcary piwa! Pijcie, chłopcy! Kto wie, co jutro będzie? Dzisiaj nasze, a jutro może być cesarskie (pije, potem porywa Praksedę) Fediu graj! (Tańcuje).
Młodzi (niespokojni, zatrzymują go). Przestań, Antosiu, powiedz — ty coś wiesz.
Antoś. Pewnie że wiem. Posłuchajcie. Byłem w Jaworowie. Tam spotkałem znajomych panów, którzy jadą do Burkutu[1]). Przeszłego lata służyłem im. Dobrzy to panowie. Ja ich lubiłem, i oni mnie lubili. Chodzili ze mną na wyścigi na Czarną Górę, oni na koniach, a ja piechotą. Niejednego cwancygiera dali mi za to, żem spuszczał jodłę z góry, rzucał za nią topór, doganiał ją i uchwyciwszy za toporzysko, zatrzymywał na miejscu. Wszak i wy to umiecie.

---

[1]) Burkut wody mineralne na granicy węgierskiej, — górale przewożą tam gości i usługują im w czasie sezonu.

Młodzi. No, to niekażdy potrafi.

Prokop. Ale cóż ci oni powiedzieli?

Antoś. Oho, ciekawy jesteś? Wasze żniwo się zbliża. Tyś strzelec, ale ty nie wyciągasz lisa z nory, nie ścigasz sarny po jarach, nie mocujesz się z niedźwiedziami na połoninach; ty, bratku, łowisz Hucuła i oddajesz go Niemcom. Idź precz! Co ja im powiem, to tobie na ucho powie Mandatarjusz.

Prokop. Może już i powiedział.

Jeden z młodych. Antosiu! zmiłuj się, co oni ci powiedzieli?

Drugi młody. Mów, dla Boga! bo mi się zdaje, że już niemiecka ręka łaskocze mię po szyi.

Antoś. Ot, co powiedzieli. Pan Jan Melbachowski, jak mię obaczył, rzekł: — A co, Antosiu, bieda niedaleko? U nas już biorą rekrutów.

Młodzi. Rekrutów?

Kobiety. Rekrutów!

Dziewki. Rekrutów! — Ach, mój Boże!

Antoś. Mandaty już i do nas podane—mówił panu Janowi Krajshauptman w Kołomyi. — Strzeż się, Antosiu! Szkoda ciebie — rzekła p. Melbachowska. Ja odpowiedziałem: — Wola Boska — wola cesarska, wielmożna pani! Ale ja się nie boję, mnie prawo broni; jam jeden u matki.

Prokop. (na stronie) Niewiele ci to pomoże.

Pierwszy młody. Szczęśliwyś, Antosiu! A ja nie jedynak.

Drugi młody. Djabeł tam będzie jedynakiem, kiedy potrzeba. U mnie braci i sióstr jak jagniąt w oborze.

Inni. Źle! źle!

Maksym. (odprowadza ich na przód sceny). Tyś nie jeden u matki, i ty nie jeden u ojca.

Kilku. Oj, nie! Maksymku.

Maksym. I cóż stąd? A patrzcieno, chłopcy, co to tu wokoło.

Kilku. A cóż ma być? Góry.

Maksym. A w górach puszcze, w których noga żadnego Niemca nie była; a w górach skały i urwiska, że możesz leżeć pod kamieniem, i koło ciebie stu Niemców przejdzie, a żaden cię nie obaczy; a w górach jodły jedna na drugiej od pięciudziesiąt lat zwalone, gdzie was nawet gończy pies nie znajdzie, nie dopieroż strażnik tabaczny. A co, głupie głowy? wielka wam turbacja?

Młodzi. Dziękujemy, Maksymie, za dobre słowo.

Inni. Chłopcy, nie traćmy czasu! Bywajcie zdrowi, ojcowie! bywajcie zdrowe, matki! bywajcie zdrowe, dziewczęta! (wychodzą)

Starzec. Pora i nam do domu. Dziękujemy za piwo, Antosiu. (wstają i rozchodzą się).

Antoś. (pokazując na Prokopa). Jemu podziękujcie, ojcowie! to jego cwancygier. Praksedo, idź do domu, ja pójdę do matki. (wychodzi).

Dziewki. (wziąwszy się za ręce, i śpiewając, odchodzą).

„Gdzieś daleko ich pogonią, Z łańcuchem u szyi,
Już im więcej nie zadzwonią Dzwony Kołomyi".

(pieśń coraz dalej ginie. Wszyscy się rozeszli. Zostaje tylko Prokop, stojący na stronie w zamyśleniu).

Prokop. (po chwili). Rób, co chcesz, nic nie pomoże. Wychowaj razem psa z wilkiem, jak poczują siły, pogryzą się. Tylu tu jest chłopców, żwawych, młodych, którzy mnie starszego uważają; gdy między nich wejdę, pokłonią się i poczęstują. Z nimi to mi dobrze, mogę pogadać i poweselić się. Ten przeklęty młokos, jak tylko przyjdzie, podniesie głowę, nos zadrze i z góry na mnie popatrzy, zaraz mi się tak robi, jak gdyby nam dwom na świecie Bożym było ciasno. — I djabli go wiedzą, za co go wszyscy tak uważają? Gdzie się pokaże, każdy zaraz na niego obraca oczy. Niechże dziewki — no, nie dziw: dwadzieścia trzy lata, rumiane lice, czarny wąsik, bujne kędziory! Ale czemuż i starzy słuchają, kiedy mówi? (po chwili). — Rekruty! hm!— Gdyby to ostrzyc go jak barana, odjąć mu ten przeklęty topór, gdyby to wetknąć mu w rękę karabin i oblepić ciasnym mundurem, żeby wyglądał jak pobielany Niemiec! hej! toby dobrze było; ażby mi lżej się zrobiło na sercu. (Zastanawia się). Ale cóż? trudno, trudno! Nie da się i dziesięciu; a przytem onże jeden u matki. — Ale otóż i pan Mandatarjusz. On na to niechaj znajdzie radę. Oho, musi coś wiedzieć, bo idzie pomalusku i gębą rucha. On jak wół, kiedy się czem dobrem napasie, spokojnie leży i przeżuwa — tylkoby popijał.

Mandatarjusz. (wchodzi wolno). A co, Prokopie?

Prokop. Nie wiem, wielmożny panie.

Mandatarjusz. A ja wiem; to jest mandat przyszedł z cyrkułu, albowiem kazano brać rekrutów.

Prokop. Rekrutów? a skądże ich wziąć, wielmożny panie?

Mandatarjusz. Jakto skąd ich wziąć? albowiem że i u nas mało chłopaków, to jest, zdatnych nosić karabin? Każ mi wynieść piwa.

Prokop (stuka do karczmy i podaje kufel z piwem). Prawda, wiemożny panie! ale gdzież oni? Ani jednego nie znajdziesz.

Mandatarjusz (popijając). Od czegóż wy, to jest—strzelcy rządowi? albowiem inni Huculi robią pańszczyznę, to jest, dwanaście dni na rok czepiają się po górach, walą jodły i robią tratwy. Wam nie potrzeba spławiać się do Kut, byleście spełniali moje rozkazy t. j. mandata. Od tego ja Mandatarjusz, żebym wam kazał brać rekrutów; od tego wy strzelcy, żebyście ich zwietrzyli i wzięli. A co?.

Prokop. Wszystko to prawda, wielmożny panie, kiedy chłopcy nic nie wiedzą, kiedy można na nich napaść, jak na lisa w jamie. Ale kiedy się rozbiegną po górach, pozałażą w nory jak krety, pochowają się w szpary skał, jak jaszczurki, poprzylepiają się do jodeł jak dzięcioły, jaki djabeł ich wtenczas znajdzie?

Mandatarjusz. Skądże wiedzą, to jest, kto im powiedział?

Prokop. Któż zawsze wszystko wie, jeśli nie panowie, co do Burkutu jadą? Któż zawsze z panami, jeśli nie Antoś Rewizorczuk? Ot, i dziś przyszedł z Jaworowa i dawaj trąbić tu, gdzie wszyscy byli, i pili, i śpiewali, że mandat już posłany.

Mandatarjusz. To jest do mnie?

Prokop. Tego on nie powiedział, wielmożny panie.

Mandatarjusz. A widzisz go, hultaj! Albowiem do kogóż miał przyjść mandat z cyrkułu? he?

Prokop. Zapewne, że... Ale on ani wspomniał wielmożnego pana. Ot tak, jak gdyby tu wielmożnego pana nie było, rozpowiedział wszystkim. Moje chłopcy, widząc, że nie przelewki, dalej w nogi, w góry, co do jednego.

Mandatarjusz. To źle, to paskudnie... Każże mi dać piwa.

Prokop (na stronie). Bodaj cię djabli wzięli! Wszystko to ja zapłacę (głośno). Wielmożny panie.

Mandatarjusz (wypróżniwszy kufel). Albowiem co?

Prokop. Ponieważ on sam rozegnał sposobnych chłopaków, to niech sam idzie. U nas tu nigdy nie będzie posłuszeństwa, ani uszanowania dla starszych, póki on tu będzie. Zdarza się, że się ludzie poswarzą, poczubią tak, iżby z tego mogła się śliczna sprawka wytoczyć przed sądem wielmożnego pana. Nic z tego. Gdzie kłótnia, tam i on; przyjdzie, słowo powie — i zgoda. A czyż to jego rzecz kłótnie godzić? Czy to do niego należy sądzić, czy do Mandatarjusza?

Mandatarjusz. Albowiem naturalnie do Mandatarjusza.

Prokop. Kiedy tu naprzykład, ot, jak dziś w niedzielę lub we święto siedzą przed karczmą starzy, młodzi, kobiety i dziewki, patrzaj, niech się tylko pokaże, wszyscy na niego wytrzeszczają oczy, każdy mu się pokłoni, każdy powita. Czyż to jemu tu powinni się wszyscy kłaniać?

Mandatarjusz (czupurząc się). Naturalnie, że nie jemu.

Prokop. Kiedy przyjdzie gdzie którego posłać, ot, naprzykład kiedy jaki pan z cyrkułu jedzie do Burkutu, i trzeba mu dać ludzi do posługi, chodzisz, wołasz, każesz, mówisz, że p. Mandatarjusz kazał — nie słuchają, niema dašby. Niechże jedzie jaki pan, jego znajomy, a on tylko piśnie, oho! dwudziestu Hucułów z końmi jawi się prędzej, niż Ojcze nasz zmówisz.

Mandatarjusz. Hm, to on taki! Każże mi dać piwa.

Prokop. Dziś np. gadał, że on jedynak, że on sobie żartuje z mandatu i Mandatarjusza.

Mandatarjusz. Niechże z mandatu, ale z Mandatarjusza? O, hultaj!

Prokop. Jego koniecznie, wielmożny panie, potrzeba oddać w rekruty.

Mandatarjusz. To jest, masz rację, oddać, koniecznie oddać.

Prokop. Cóż stąd, że on jeden u matki? Można napisać, że hultaj, że rozgania rekrutów, że z Węgier kontrabandę przekrada, że strażników bije.

Mandatarjusz. Że z mandatów się naśmiewa.

Prokop. Że nie słucha swojej zwierzchności.

Mandatarjusz. Że jego wszyscy słuchają, a nie Mandatarjusza.

Prokop. Może wielmożny pan każe sobie dać jeszcze piwa?

Mandatarjusz. To jest, dawaj, a jego bierz. Już ja sam napiszę relację.

Prokop. Dobrze, wielmożny panie! Trzebaż mi się gracko zwijać, żeby go schwytać. To istny niedźwiedź; żeby czasem jego pazury nie ugrzęzły w mojej głowie.

Mandatarjusz. Idź, postępuj caute et prudenter[1]), a ja tymczasem pójdę i trochę się położę, albowiem interesa rządowe zmęczyły mię. (Rozchodzą się).

KOLLOKACJA.

Wyjątek, roz. XIII.

Externus timor maximum concordiae vinculum[2]) — powiedział stary Liwiusz. Wielka ta prawda rzymskiego historyka nawet i do Czapliniec tym razem zastosować się dała. Ustały gniewy, zaczęły się schadzki, odwiedziny, wzajemne naradzania się, ściskanie rąk, a nadewszystko częste zachodzenie i wzajemne zapraszania się do Mortka, który wytrzymawszy pierwszy wybuch za ustąpienie swoich wekslów prezesowi, zyskał znowu względy i ufność dawaniem jak pierwej na kredyt. Gdy raz panowie Smyczkowscy, pan Skrętski i pan Zarzycki zeszli się u niego, Żyd korzystając z tej zręczności, podał im myśl, aby części swe w Czaplińcach odprzedali prezesowi, dodając ze znaczącym uśmiechem i kiwaniem głowy, że tym tylko sposobem pozbędą się biedy. Wtenczas otworzyły się im oczy. Poznali, że Mortko był kreaturą i agentem prezesa, i obszedłszy wszystkich braci, postanowili zrobić formalny związek i wspólnemi siłami opierać się tak zgubnym zamachom. Zebrali się więc wszyscy u p. Płachty. Pan Skrętski objawił swoje myśli, wyłożył całą chytrość postępowania prezesa, przypomniał jego sposoby z ową wdową w Żurawce, mówił z ogniem

[1]) Przezornie i roztropnie. [2]) Zewnętrzne niebezpieczeństwo (obawa) stanowi najsilniejszy węzeł zgody.

o karczmie, która się wznosiła przy samej bramie p. Remigjusza, o gorzelni, od której miały spłonąć ich toki, o kuźni, która miała podpalić oborę p. Biruckiej, i o tej nieszczęśliwej owczarni, od której p. Płachcina miała dostać suchot. Dalej wyłożył całą piekielną chytrość, z jaką na ich zgubę nastawiony był Mortko; jak od dawnego czasu z poduszczenia prezesa czyhał na nich Szloma; jak nareszcie ten sam prezes ze zdradzieckiem przymilaniem wciągnął ich w swoje sidła, pożyczając z taką łatwością tak wielkie sumy i dostarczając nawet walorowego papieru. Jasno jak na dłoni wyłożył potem mówca cały plan prezesa i jego nieustanne dążenie do owładnienia ich majątkami. — Chce nas wydziedziczyć, chce nas z torbami puścić! — wołał z zapałem, powstawszy z miejsca i bijąc ręką o stół, że aż się okna trzęsły. — Czyż na to panowie pozwolicie? Czyż nam nie stanie dosyć sił, dosyć energji, aby się temu oprzeć? Prawda, winniśmy mu wiele, czasy złe i dochodów niema, ale czyż nie możemy sprzedać naszego zboża na gruncie, kiedy się tak pięknie zieleni? czy nie możemy pozbyć się wszystkiego, co niepotrzebne, co zbytkowe? Będziem chodzić piechotą, spać na sianie, odziewać siebie i żony nasze płótnem, karmić się nakoniec suchym chlebem, byle prezes nie triumfował, byleśmy nie byli zmuszeni wyzuwać się ze swojej własności. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszyscy.

Przyrzeczmyż sobie jedność, wspólne działanie, nie żałowanie wspólnej ofiary, bo tu idzie o dach, który okrywa nasze żony i dzieci...

— Przyrzekamy! przyrzekamy! — zawołali, i wszystkie ręce splotły się węzłem jedności, przyjaźni i zgody.

— A teraz przystąpmy do wybrania prezesa naszego związku — rzekł pan Skrętski, czerwieniąc się i spuszczając oczy skromnie, bo się spodziewał, że jednogłośnie okrzykniętym zostanie. Wszakże oszukał się w swoich nadziejach czaplinieckí Cycero. Chociaż wszyscy słuchali jego filipiki z zajęciem i aplaudowali jego wymowie, nikt się jednak nie odezwał. Zaczerwieniła się znowu twarz p. Skrętskiego, ale już nie ową skromnością oczekiwanego wyboru, lecz gniewem, gdy pierwszy p. Zarzycki, a za nim p. Cepowski, którzy przy tej okazji przypomnieli sobie swoje gęsi i prosięta, zaproponowali p. Płachtę. Tu znowu okazał jawną opozycję p. Birucki. Przypomniawszy sobie żonę i wyobraziwszy sobie to piekło, jakieby miał w domu, gdyby się na takie wyniesienie p. Płachty zgodził, zaproponował p. Remigjusza. Pokręcał wąsa p. Remigjusz z lewej strony, co zwykle czynił, gdy był kontent, i spojrzał na brata, aby wybór jego poparł. Ale p. Paweł, będąc aż nadto przekonany, że miał więcej rozumu, chociaż brat lepiej grał na skrzypcach, niż on na klarynecie, że zatem był godniejszym do piastowania takiej godności, zdziwił się, czemu wybór nie padł na niego, i zmarszczywszy brwi, pokręcił wąsa z prawej strony.

Spostrzegł to p. Remigjusz i nie spodziewając się, że się utrzyma, kiedy go nawet brat opuszcza, zrzekł się powierzonego sobie urzędu i zaproponował znowu p. Płachtę. Tak więc po wielu krzykach, po zaciętych debatach i sporach, w których już przychodziło do zerwania całego związku, za pośrednictwem p. Jakóba, który się w połowie sesji zjawił i melodyjnym swym głosem opanował serca i gniewy złagodził, wybrano nareszcie znaczną większością p. Płachtę. W nagrodę zaś tak czynnego udziału, jaki miał p. Jakób w szczęśliwem dojściu do skutku zbawiennego dzieła, a bardziej z tego względu, że jako syn muz zdolniejszy był do pióra od innych, jednomyślnie obrany był sekretarzem związku.

Wtenczas otworzyły się drzwi; pani Płachcina, na której twarzy odbijał się nowy lustr, który padał na całą familję, weszła otoczona córkami, i pierwsza powinszowała mężowi. Za nią szedł Żorż w liberji i trzymał tacę, na której był kielich i butelki z winem. Pierwsza p. Płachcina wypiła zdrowie męża i kolej poszła rzędem. Pili potem zdrowie p. prezesowej, zdrowie panien prezesówien, zdrowie sekretarza, a gdy podano więcej butelek, zdrowie każdego z członków związku zosobna, potem zdrowie całego związku wogólności, potem zdrowie Czapliniec. Nareszcie p. Birucki, zapomniawszy o żonie i o świecie, ditto na kolanach wzniósł zdrowie prezesa związku. Wszyscy po kolei klęcząc, wypili zdrowie p. Płachty, a potem krzyknąwszy, aby podano więcej kielichów, wszyscy klęcząc, ściskając się, całując i płacząc, wypili zdrowie: Kochajmy się!

Nazajutrz gdy każdy przypomniał sobie, co się wczoraj stało, i opowiadał żonie całą kolej wypadków w miarę tego, jak mu się rozjaśniało w głowie, wszedł p. Jakób do p. Skrętskiego i z polecenia prezesa objawił mu, że się mają oba udać do p. Starzyckiego w deputacji i zaprosić go do związku.

Gdy stanęli pod tym dachem cichym i spokojnym i przed człowiekiem poważnym, którego wzrok przenikliwy padał na nich z pewnym rodzajem wyższości, p. Skrętski cokolwiek się zmieszał i nie wiedział, od czego zacząć. Ale nareszcie rozgadał się i ze zwykłą sobie krzykliwością rzecz poselstwa swego wyłożywszy, cały wypadek dnia wczorajszego opowiedziawszy, do związku przeciwko zamachom prezesa w imieniu wszystkich i p. Starzyckiego zapraszał.. Uśmiech jakiś przebiegł po ustach poważnego człowieka, a za nim nastąpiło krótkie ale stanowcze odmówienie.

— Czyż pan myślisz — zawołał p. Skrętski — że on pana pożałuje dlatego, że panu baki świeci i kłania się? To filut, jakich jeszcze nie było.

— Prezesa znam dobrze — odpowiedział p. Starzycki — zamiarów jego domyślam się, a co będzie, tego nie wiem. Żyję pod opieką praw i pod opieką Boga; wierzę w skuteczność

pierwszych i w sprawiedliwość Opatrzności. Pewny zatem jestem, że jeżeli sam w dół nie wlezę, nikt mnie weń nie wepchnie.

— A obaczymy — rzekł p. Skrętski, przygryzając wargi.

— Naturalnie, jeżeli żyć będziemy — odpowiedział p. Starzycki.

— Więc nam pan stanowczo odmawiasz?

— Odmawiam — odpowiedział — i dziwię się nawet, że panowie, znając mój sposób życia i mój sposób myślenia, przychodzicie z taką propozycją.

— I nawet słowem, jeżeli nie czynem, nie zechcesz poradzić braciom i sąsiadom? — rzekł p. Skrętski.

— Każdy najlepiej radzi sobie sam — odpowiedział — bo każdy za siebie odpowiada. A jeżeli panowie chcecie...

— Powiedz pan, nie zatrzymuj się. My wiemy, żeś pan człowiek myślący i z doświadczeniem. Cóż pan nam radzisz?

— Radzę panom — odpowiedział — abyście tę piękną modlitwę pacierza: „Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń Boską, miłość ludzką", którą odmawiacie zapewne po razu i bez uwagi, odmawiali po trzy razy i z zastanowieniem się nad jej głęboką mądrością.

— I więcej nic?—zapytał p. Skrętski, spojrzawszy z szyderstwem.

— Jeszcze radzę panom, abyście codzień rano i wieczór przypatrywali się tym dwom palcom lewej ręki, z których jeden dłuższy, a drugi krótszy.

— I na cóż to? — zapytał z gniewem p. Skrętski.

— Na to — odpowiedział — abyście panowie pamiętali, że ten dłuższy powinien oznaczać waszą perceptę [1]), a ten krótszy — wasz ekspens [2]). Więcej już panom nic nie mam do powiedzenia.

Pan Skrętski odwrócił się z pogardą i wyszedł, a gdy byli za bramą, zawołał:

— To gałgan, egoista, bratać się chce z wielkim panem. Zapłaci on mu za to.

— Może spodziewa się jeszcze, że prezes za synka jego córkę swą wyda — rzekł pan Jakób. — Pani Włodzimierzowa mi o tem mówiła — a co?

— Dureń! — krzyknął p. Skrętski, da on mu figę, nie córkę.

I poszli do p. Płachty zdać sprawę ze skutków deputacji. Pan Płachta, jako dyplomata, nie łajał p. Starzyckiego, nie hałasował wcale, ale zrobiwszy tylko tę uwagę, że nie jest wcale komilfo tak kuso przyjmować deputację, którą on wysłał, i pokazywać jej dwa palce, naznaczył sesję generalną na przyszły wtorek, gdzie miano materję tę roztrząsnąć i przedsięwziąć stanowcze środki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

---

[1]) Dochód, [2]) Wydatki, rozchód.

Ale w księdze wyroków inaczej było napisano. Właśnie gdy p. Skrętski, upokorzony przyjęciem p. Starzyckiego i zdawszy z niego sprawę, wracał do domu zły i głodny, spostrzegł na swoim dziedzińcu cudzego chłopca i dziewczynkę, którzy z jego ludźmi szarpali się i ciągnęli do siebie za jedno skrzydło gęś, którą kobieta pp. Skrętskich trzymała za drugie i wyrywała im z całej mocy. Krzyczała biedna gęś od gwałtownego bólu, krzyczał chłopak i dziewczyna, że to ich gęś, krzyczały kobiety domowe, że ich; pani Placyda, stojąc na ganku otoczona dziećmi, piskliwym głosem powiększała wrzawę, którą pokrył grzmiący głos p. Skrętskiego, wpadającego na tę scenę jak aktor czynny i straszliwy. Pan Skrętski nie rozsądził tej sprawy, jako niegdyś król Salomon spór dwóch matek, ale kijem, który miał w ręku, zaczął grzmocić chłopca i dziewczynę, a poznawszy ich, że to byli ludzie p. Zarzyckiego, podwajał razy, zachęcając, aby ich połowę oddali swemu panu. Gdy biedni ludzie zbici i złajani, uciekli, wyrzekłszy się swojej gęsi, zaniesiono ją do kuchni i, żeby się nie męczyła, zarznięto.

Wypadek ten ważne za sobą pociągnął skutki. P. Zarzycki przyprowadzony do ostatniej niecierpliwości, wyszedłszy wraz z synem na ganek, zaczął łajać i wymyślać na p. Skrętskiego. Usłyszawszy to p. Skrętski, ze swojej strony wyszedł, i wybuch gniewu był tem okropniejszy, że długo pokrywana i tajona zawziętość otworzyła sobie nareszcie krater i z płomieniami, dymem i lawą wyrzuciła się w powietrze. Nareszcie p. Zarzycki pogroził p. Skrętskiemu śledztwem i kazał natychmiast synowi osiodłać konia i udać się do stanowego. Wrócił p. Skrętski do pokoju, sapał i zżymał się, klął i krzyczał, aż nareszcie zbliżywszy się do swego stolika, żeby napisać także do stanowego i całą rzecz objaśnić, spostrzegł list prezesa i wielką cyfrę długu najstaranniej wykaligrafowaną. Przyszła mu myśl światła; uśmiech zemsty przebiegł po jego ustach, porwał się z miejsca i zawołał; — Chcesz śledztwa? dobrze, będziesz miał tu niejedno śledztwo, ale nie ze mną.—Kazał więc natychmiast zaprzęgać konie, pojechał do prezesa i pierwszy ów założyciel pamiętnego związku, ów orator gwałtowny i zawzięty, na złość p. Zarzyckiemu część swoją odprzedał. Przyjął go prezes otwartemi rękami, nie targował się ani chwili, wziął ekspensa na siebie i jeszcze zaprosił na obiad. Gdy przedugodne punkta przy uproszonych świadkach były podpisane, prosił tylko p. Skrętski o pozwolenie pomieszkania przez miesiąc lub dwa i o sekret na takiż termin.

Tegoż samego dnia—bo jak pomyślności tak i klęski lubią się skupiać i spadać razem — p. Birucka wyszła przed wieczorem na ogródek, z którego widać było dziedziniec p. Płachciny. Owce wracając z pola, nie pozwalały przechadzać się po ogrodzie i przesiadywać w altanie, musiała więc p. Płachcina z córkami używać gdzieindziej świeżego powietrza. Dostąpiw-

szy tak wysokiej godności w Czaplińcach, nie zdejmowała już teraz aksamitnej sukni i bereta, i tak przystrojona przechadzała się po podwórzu. Zabawnem się to pokazało p. Biruckiej do tego stopnia, że się wgłos zaśmiała. Obrażona p. Płachcina, przypomniawszy sobie fałszywy przepis na baby i rozmaite ruszania ramionami, zbliżyła się z arystokratycznem chwianiem się ku płotowi i rzekła z powagą:

— Cóż to asanię tak śmieszy?

— Asanię! — zawołała p. Birucka — Aj! patrzaj, jaka mi wielka pani!

Od słowa do słowa przyszło do ostrych przycinków. Przyszłoby było i do ostrzejszych, tem bardziej że i p. Płachcianki zaczęły się już odzywać, i p. Biruckie także wybiegły, niosąc sukurs matce, ale p. Płachcina nie chcąc kompromitować swojej godności, odwróciła się z powagą i poszła. Wszakże nazajutrz rano—niewiadomo, czy to była swywola panienek, czy wzajemny rozkaz matek, na bramie p. Płachciny napisane było wielkiemi literami słowo: O w c z a r n i a, a na bramie p. Biruckiej słowo: K u ź n i a.

Tu już wszelkie względy ustały, i eksplozja gniewu, zapalczywości i zemsty rozległa się jak huk burzy. Wróciwszy pani Birucka ze swojego ogródka, gdzie się od ostatnich słów skłóciła z p. Płachciną, napadła pozostałym jeszcze zapasem furji na męża. Nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki, i kazawszy natychmiast zaprzęgać, i zabrawszy z sobą p. Biruckiego i potrzebne dokumenta, pojechała do prezesa, któremu — także na złość swojej sąsiadce — część swą odprzedała.

We dwa dni potem p. Remigjusz Smyczkowski, położywszy przed sobą list prezesa, zaczął obliczać wszystko, co może mieć, obrachowywać sperandę z pola, oceniać remanent, meble, suknie, słowem wszystko, oprócz skrzypców. Spostrzegł, że jeszcze wiele niedostaje. Posłał więc do Żyda, który siedział na ich wspólnej karczmie i od czasu pojawienia się Mortka znacznie tracił, aby mu przyniósł tenutę za ostatni kwartał. Przybiegł Żyd przestraszony i oświadczył, że wczoraj wszystkie pieniądze zabrał p. Paweł. Gniew nadzwyczajny porwał p. Remigjusza. Przypomniał sobie ową haniebną dezercję brata w czasie wyborów i chcąc tymczasem spędzić złość na tym, kto był pod ręką, wyszturchał Żyda, jak śmiał oddać pieniądze bez jego wiedzy, kiedy to karczma wspólna.

— Nu—zawołał Żyd—co mnie do tego? P. Paweł także gniewał się i mówił, że pan jemu z przeszłego kwartału nie dał ani grosza.

— Łżesz—krzyknął p. Remigjusz—i ten łajdak łże także. Ale poczekajcie, dam ja wam! wypędzę cię, huncwocie.

— Aj-waj! co to z tego? ja i sam już nie chcę.

— Nie chcesz, nie chcesz, kanaljo! a kontrakt, szelmo a kontrakt?

To mówiąc, trzymał Żyda za rękę i okładając go cybuchem, obracał się z nim wkółko.

Wyrwał się Żyd z rąk p. Remigjusza i pobiegł, krzycząc, do p. Pawła. Ale trafił z deszczu pod rynnę. P. Paweł wpadł w nadzwyczajną wściekłość na brata, a gdy Żyd obraził go jeszcze jakiemciś słowem, wykropił także Żyda i wypędził. Odebrawszy tym sposobem przez prokurację wielkie cięgi, arendarz dwóch braci zgodnych wracał płacząc do domu; ale jakież było jego podziwienie, gdy obaczył p. Remigjusza, który zwoławszy naprędce ludzi z toporami, piłami i drągami, kazał karczmę rozbierać.

— Aj-waj! co pan robi?—wołał Żyd nieszczęśliwy.

— Nie dajecie mi pieniędzy — odpowiedział zimno p. Remigjusz—to ja swoją połowę zabieram.

Dowiedziawszy się o tem, p. Paweł zawołał.

— O, kiedy tak, poczekajże, to ja ci zrobię lepiej.—I kakazał zaprząc konie, pojechał do prezesa i na złość bratu część swoją odprzedał.

Tym sposobem prezes był już posiadaczem prawie połowy Czapliniec, a nikt jeszcze o tem nie wiedział, prócz tych, co sprzedali — bo każdy prosił o sekret. P. Zarzycki tylko nie mógł zmiarkować, co to znaczy, że p. Skrętski spotkawszy go, ukłonił mu się z umizgiem i ironją. P. Płachcina zadziwiła się, że p. Birucka wyszedłszy na ogródek, przybliżyła się umyślnie, aby była lepiej widziana, a gdy p. Płachcina na nią spojrzała, wzięła się za poły i bardzo nisko jej dygnęła. P. Remigjusz także nie pojmował, dlaczego mu brat nie mówił ani słowa za rozebranie części karczmy, ale przechadza się spokojnie, pali fajkę, spogląda na niego z uśmiechem i z lewej strony wąsa pokręca.

Łatwo się czytelnicy domyślą, że wtorek minął, a sesji generalnej nie było. Pogłoska o wzajemnych kłótniach i zatargach najcelniejszych członków związku rozeszła się prędko, i nikt z pozostałych nie chciał się ryzykować. Widząc to p. Płachta i zauważywszy, że żadne środki z prezesem nie pomogą, że mu winien wiele, że żyjąc komilfo, jak nic wprzódy nie zebrał, tak i na przyszłość nie zbierze, wziął na sekret żonę i z dyplomatycznym uśmiechem objawił jej, jakiego figla chce zrobić sąsiadom i jak zręcznie pozbędzie się kłopotu. Żona, która także ze swojej strony chciała pozbyć się owiec i p. Biruckiej, rękami i nogami chwyciła się projektu męża. Ułożyli się więc o cenę, jaką miał zaproponować, ale że to był dyplomata, prosił żonę o sekret, aby myśl jego nie rozleciała się po Czaplińcach, aby go nikt nie uprzedził i ceny nie zbił. Zabrawszy więc potrzebne dokumenta, cichaczem, ma-

nowcami, niby w zupełnie inną stronę wyjeżdżając, udał się do prezesa i na złość sąsiadom część swoją odprzedał.

Gdy te najważniejsze tranzakcje były napisane, podpisane i posłane do akt, wtenczas dopiero prezes podniósł głowę i rzecz cała gruchnęła. Krzyk powstał na zdrajców, ale już było za późno. Każdy z pozostałych miał pod bokiem prezesa i każdy prędko to uczuł. Wszystka woda we wsi była w jego ręku. P. Starzycki tylko miał sadzawkę pod swoją brzezinką, obfitą i rybną, ale ta była starannie ogrodzona, zamknięta, i wystarczała tylko dla jego bydła i koni. Do pól także, do sianożęci, wszędzie trzeba się było otrzeć o prezesa lub się przez jego grunt przedzierać. Wszędzie tymczasem były warty, nigdzie nie puszczano, grabiono, jeżeli co wpadło, i znaglono do swojej ziemi obchodzić po pół mili i więcej. Zmuszeni taką surowością, przyciśnieni długiem, którego termin ekspirował, jedni po drugich zbywali swoje posiadłości, tak że ledwie lato upłynęło, a już prezes był panem całych Czapliniec, wyjąwszy części p. Starzyckiego.

KREWNI.

Wyjątek.

Jednego więc wieczora w połowie września, skończywszy korepetycję z dziećmi stolarza, (Ignaś Zabużski) udał się do niego samego i objawił mu, że ma mu zrobić pewną propozycję i prosi, żeby go cierpliwie i przychylnie wysłuchał.

— Ej, pan Ignacy, co to ma być takiego, że p. Ignacy z taką ceremonją mnie prosi — rzekł p. Hebel, który siedział w swoim pokoju w kamizelce, z maszestrową czapeczką na głowie, i mając przed sobą lampeczkę z winem, z porcelanowej fajeczki na czarnym dość długim cybuchu, z rogowym i ruchomym munsztukiem, palił drejkenig.

Był to jeden z fenomenalnych Niemców, który szczerze przywiązał się do kraju, w którym mu było dobrze. Przywędrował on tu czeladnikiem, tu został majstrem, tu się ożenił; nauczył się prędko choć niepoprawnie krajowego języka, który przekręcał często i kaleczył, ale dzieci swe tak wychował, że mówiły nim doskonale, i że się im ani zamarzyło o Germanji, skąd ojciec ich pochodził. Uczciwy, pracowity i rzetelny, zyskał sobie rychło reputację, i w owym czasie warsztat jego koło Dominikanów znany był powszechnie i najcelniejsze miewał obstalunki. W życiu jednak i obyczajach został prawdziwym i nienaruszonym Niemcem. Z rana zaglądał często do warsztatu i trzymał czeladź w rygorze; przy obiedzie musiał mieć kufel piwa, a po obiedzie filiżankę blumenkafee, którą przy fajeczce spożywał; herbaty sam nie pijał, ale miał ją w domu, ponieważ żona jego, prawdziwa warszawianka, chciała dom na wyższej postawić stopie. Nie bronił jej tego Hebel, który swoje Rózia bardzo kochał, ale sam wtedy — czy

byli u żony goście, czy nie, odsiadywał swoją godzinkę w kamizelce w pokoju, który się nazywał jego kantorem, wyciągał lampeczkę lekkiego wina, samotnie, lub z jakim kolegą majstrem, który go odwiedzał, i wypalał ową porcelanową fajkę, którą najregularniej co kilka minut odkręcał i sok nagromadzony wylewał. W niedzielę i święta musiał odwiedzić ogródek pod Węgrem, tam odegrać parę partyj w kręgle i wypić parę kufelków piwa; a gdy przyszła piękna pora, zabierał żonę i dzieci i wywoził je ins Freye.

Hebel miał już 40 kilka lat; miernego był wzrostu, dość otyły, z twarzą rumianą i uczciwem wejrzeniem. Miał się on dobrze, kochał żonę i dzieci, z czeladzią umiał sobie dać radę, bo jej płacił sprawiedliwie i regularnie, był więc zawsze spokojny i wesoły. Chociaż Niemiec, że był gorliwym katolikiem, miał więc i z tego względu poważanie u kolegów i szacunek od swej czeladzi, jak wiadomo, pobożnej i gorliwie obrzędy religijne zachowującej. Jakoż gdy przychodziła uroczystość, lub taka, gdzie sama tylko czeladź występowała ze swą chorągwią, u Panien Wizytek złożoną, jak święto opieki św. Józefa w niedzielę trzecią po Wielkiej Nocy, albo procesja Bożego Ciała w archikatedralnym kościele św. Jana, albo oktawa tegoż święta na nieszporach u Panien Wizytek, lub wreszcie konkluzja nieszporów Najświętszego Serca Jezusowego, gdzie już całe zgromadzenie majstrów i czeladzi kunsztu stolarskiego, łącząc się z sobą, w komplecie i strojno, z właściwemi chorągwiami i ze świecami występuje, — wtedy wszyscy ze zbudowaniem widzieli p. Hebla na przodzie, z najgrubszą świecą w ręku, śpiewającego wprawdzie z przyciskiem, z myłkami i akcentem niemieckim pieśń i litanję, ale donośnością głosu i wyrazistością śpiewu nie dającego się nikomu wyprzedzić.

W pokoju bawialnym pani majstrowej było nawet dosyć elegancji, często bowiem odwiedzała magazyn gotowych już mebli, i gdy jej się co podobało, brała bez ceremonji i mieniała swoje stare za nowe i świeższej formy. Hebel śmiał się i pozwalał jej tak wybredzać, nazywał ją marnotrawną warszawianką, i wziąwszy czasem jej pełne i ładne policzki w dwa palce, patrzył jej w oczy z przywiązaniem i mówił: — Aj, ty Rózia! teraz byłaś kontenta, żeś swego Wilhelma zrabowała. No, no, schad nichts. I twój Wilhelm będzie także kontent. Nicht wahr? — Ale zato w jego kantorze czyli gabinecie wszystko było proste i wygodne. Dębowe biuro, takaż kanapa obita skórą, takież krzesła i fotel. Tylko misterny kantorek prześlicznej roboty i formy, z kosztownego drzewa, stał tam na widoku, chociaż do żadnego nie służył użytku. Był to ów majstersztyk, za który otrzymał patent mistrza, i który mu zjednał rękę jego ukochanej Rózi. Dawano mu już za niego kilkadziesiąt dukatów, ale Hebel za nic w świecie nie chciał

się rozłączyć z tą pamiątką, na którą wiele razy spojrzał, przypominał sobie najszczęśliwszy moment swego życia.

— No, pan Ignac, powiadaj, co masz za prośba — dodał stolarz, gdy Ignaś się zawahał, zastanowił i spuściwszy oczy, zaczął się namyślać, jakby żądanie i zamiar swój wyrazić. — Jeszcze piętnasty niema, ale może p. Ignac potrzebowałeś pieniędzy? to ja będę dawał zaraz. Czy to ze mną dla taka mała rzecz potrzebne ceremonje i takie gadanie z ogródka?

— Nie, panie Hebel — odpowiedział Ignaś — pieniędzy mi teraz nie trzeba; tu o co innego chodzi.

— O cóż tedy chodzi? Siądź, p. Ignacy, i powiadaj, jak przed dobry znajomy i przyjaciel — rzekł stolarz i przysunął krzesło młodemu człowiekowi, który usiadł i zdobywszy się na determinację, rzekł:

— Oto przyszedłem prosić cię, p. Hebel, abyś był łaskaw przyjąć mię do swego warsztatu za ucznia i za terminatora.

Hebel porwał się z krzesła, założył obie ręce w kieszenie od spodni, i nachylając się do bohatera naszego, wpół ze śmiechem, wpół serjo zawołał:

— Was Teufel! Pan Ignacy, co panu do głowa przyszedł? Pan sobie żartowałeś ze mnie. Młodzieniec z taka edukacja, z taka nauka? pfuj! das geht nicht.

— Nie żartuję, p. Hebel—odpowiedział Ignaś, spostrzegłszy ze smutkiem, że nawet na stolarzu złe zrobiło wrażenie wyjawienie tej myśli, którą pierwszy raz głośno wymówił, a z którą się od kilku tygodni nosił. Dodał więc stanowczo:— Owszem, mówię bardzo serjo i bardzo szczerze proszę pana, abyś mnie chciał wysłuchać.

— No, no, das ist was anders. Powiadaj, pan Ignacy, powiadaj. Będę słuchał z uwagą—rzekł Hebel, odłał fajeczkę i wsparłszy łokieć na biurze i puszczając dymek, słuchał go z natężeniem i ciekawością. Ignaś rzekł:

— Niewszyscy mogą i powinni iść taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas kończących szkoły daleko więcej, niźli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nie ustępujących go nikomu. Stąd kierunek tak jest trudny i pomieszczenie się prawie niepodobne.

— No, to prawdę p. Ignacy powiedziałeś. I tu ja widzę rozsądku i zastanowienia—rzekł Hebel. Ignaś mówił dalej:

— Kiedy kto ma cierpliwość i możność czekania, kiedy ma fundusz taki, że próbuje tylko, czy się czego nie dosłuży, to inna rzecz. Bo jeżeli się nie dosłuży, to może nie żałować straconych lat, przez które zawsze się czegoś nauczył, i może sobie wrócić do domu, gdzie znajduje utrzymanie, a czasem i dostatek. Inny znowu ma szczęście i ambicję, służy więc, próbuje i wreszcie wykieruje się tym sposobem, bo juści i tam

znajdzie się miejsce dla cierpliwego i zdatnego, a służba jest pełna zaszczytu i użytku, i warto na nią czekać, kiedy można.

— Ganz recht, ganz recht, pan Ignacy! i to powiedziałeś prawdę — rzekł Hebel.

— Ale ja nie mogę młodości mojej — mówił dalej Ignaś już śmielej — stracić na próbie, któraby mnie do niczego nie doprowadziła, bo i cierpliwszych, i zdatniejszych, i zamożniejszych jest przede mną bardzo wielu. Ja muszę i powinienem użyć tych lat, przeznaczonych na dobicie się czegoś, tak, abym miał chleb, abym miał w ręku przyszły mój los, abym był niezależnym i zawsze pewnym, że gdziekolwiek się obrócę, pracą i pilnością zarobię sobie i na szacunek u ludzi i na opędzenie tych potrzeb, jakich życie wymaga. Otóż widzisz, panie Hebel, od dzieciństwa miałem skłonność do majstrowania różnych rzeczy. Kiedym był malcem, wyrabiałem nożykiem ładne krzesełka, i kanapki, i stoliczki. A teraz, kiedym dojrzał, kiedym spróbował, że mnie siedzenie przy stole urzędowym nudzi i męczy, kiedym się przekonał, że tą drogą zwyczajną do niczego nie dojdę, że przy siłach, jakie mam, przy rozgarnieniu, jakiegom nabył, dawna skłonność nie opuściła mnie, że kunszt stolarski będzie dla mnie i prawdziwym kunsztem i zawodem, w którym znajdę chleb, utrzymanie i niezależność, przyszedłem prosić cię, p. Hebel, abyś mi do tego dopomógł, otworzył mi swój warsztat i swoją radą, nauką i życzliwością wyprowadził na człowieka.

Niemiec uśmiechał się z radości, gdy Ignaś mówił z ożywieniem i przekonaniem; a gdy skończył, podniósł się z krzesła, wyciągnął rękę do młodzieńca, który powstał także, i zawołał:

— No, pan Ignacy, to p. Ignacy pięknie o nasze rzemiosło powiedziałeś. To jest dobre i poczciwe rzemiosło, które na cały świat daje człowiekowi chleb i znaczenia. Z taka głowa i taka rozumna ochota wyjdziesz, p. Ignacy, prędko na doskonałego czeladnika, a potem zrobisz taki majstersztyk, jak ten, za który mnie dali 30 dukatów, ale ja go nie sprzedam za sto, bo on mi dawał reputacja i ręka moja kochana Rózia, i będziesz p. Ignacy majster na cała gębа. A jak ja żyć będę, i wybieramy p. Ignacy na starszy zgromadzenia, to wtenczas będziemy wypić dobra butelka wina i będziemy podać sobie ręka na dozgonne przyjaźni i szacunku.

Hebel mówił z uczuciem, a Ignaś wzruszony także tym wyrazem, jaki w twarzy uczciwego majstra widział, ściskając z wdzięcznością jego rękę, odpowiedział:

— Do tego to jeszcze bardzo daleko, p. Hebel. Ale ja nie tracę nadziei, że przy pomocy i życzliwości pana, czas mojego terminowania nie będzie tak długi, jak zwyczajnego chłopca, który ani czytać ani pisać nie umie. Wiem ja, że czeladzi pańskiej będzie to trochę niemiło, że może zakażesz jej, aby

się ze mną nie tak obchodziła, jak z małemi się obchodzi. Chociaż ja potrafię sobie i ich względność zyskać, a kiedy inaczej być nie może, poddam się cierpliwie wszystkim zwyczajom warsztatu.

— Ej! pfuj! tego nie będzie — rzekł Hebel — no, troszkę tam posłuszeństwo i grzeczności dla dobrych czeladników potrzebne, żeby ich to w oko nie kłół, że się łamie zwyczaj, i żeby każdy z ochotą pokazał, co umie. Ale nie bój się p. Ignacy, już ja w to będę się wdawał, żeby to nie był rzecz bardzo przykra.

— Serdecznie dziękuję panu, p. Hebel — mówił Ignaś — będę się starał, żeby i oni byli ze mnie kontenci, i żebyś pan nie żałował tego, że mi dopomożesz do nauki i pokierowania się.

— Ale mój p. Ignacy! jakże będzie z moje chłopcy?—zapytał zafrasowany cokolwiek Niemiec. Czy p. będziesz ich opuszczałeś? Moja Rózia byłby bardzo z tego markotna, bo ona p. Ignacy bardzo szanowała i z jego nauka bardzo była kontenta.

— Właśnie chciałem zapytać, jakie będą warunki tej łaski, jaką mi pan wyświadczysz — rzekł Ignaś. — Płacić panu za naukę w czasie mego terminowania nie mam skąd. Ale jeżeli pan pozwolisz, powiedziałbym, jakbyśmy się ułożyć mogli.

— Powiadaj p. Ignacy, powiadaj, ja będę chętnie zgadzał— mówił Hebel, nachylając się z uwagą.

— Dzieci pańskich, panie Hebel — mówił młodzieniec, któremu w tej chwili błysła śliczna twarz Julki, jako przyszłej majstrowej — opuścić wcale nie myślę. Przywiązałem się do nich, bo to dobre chłopczyki, i mam nadzieję, że się i oni do mnie przyzwyczaili.

— Oni pana, p. Ignacy, bardzo kochają — odpowiedział uspokojony stolarz.

— Owszem — mówił dalej Ignaś — będę mógł im teraz być pomocniejszym, gdyż położenie moje jest takie, że prosiłbym pana, abyś mnie całkiem do domu swego przyjął. Spać będę gdziekolwiek, to mi wszystko jedno, choćby w jakim kąciku na pablaczu warsztatowym.

— Pfuj! pfuj! das geht nicht! — mówił Hebel — co p. Ignacy sobie pomyślałeś? ja na to nie będę pozwalał i ulokuję p. Ignacy z moje chłopcy, jeżeli zechciałeś.

— I owszem, to mi będzie miło — odpowiedział Ignaś uspokojony — tem lepiej będę mógł ich dopatrzyć. I jeżeli pan pozwolisz, tak czas swój rozłożę. Od 5-ej do wpół do 7-ej będę w warsztacie. Potem będę z chłopcami pańskimi, nim pójdą do szkoły. Potem znowu udam się do warsztatu i tam już pracować będę do 5-ej po obiedzie. Od 5-ej tak jak i teraz zajmę się z dziećmi pańskiemi do 7-ej i dalej, w miarę po-

trzeby. Potem do 9-ej chciałbym mieć chwilkę wolną. Czy pan się zgadza na taki rozkład?

— Jakby ja się nie zgodziłem, mój p. Ignacy — rzekł Hebel — na takie mądre pomyślenie. Ale co ja za to wszystko będę panu dawał.

— Dasz mi pan wiele — mówił Ignacy, powstając — dasz mi pan stancję i stół, żebym już o tych najpierwszych potrzebach nie myślał, a w miejsce tych pieniędzy, jakieś mi dotąd płacił, dasz mi pozwolenie pracowania w swoim warsztacie, i jeżeli szczerze i z serca będę uczył twe dzieci, szczerze i z serca pokażesz mi swój kunszt, nie będziesz mnie zbyt długo trzymał w terminie i dopomożesz, żebym za lat parę mógł się wyzwolić i odpłacić ci potem za twoje nauki i obchodzenie jako uczciwy, pracowity i zdolny czeladnik.

Niemiec wzruszony, powstał z krzesła, otworzył ramiona, przycisnął do piersi śmiałego i otwartego młodzieńca, i pocałowawszy go w głowę, zawołał:

— No, pan Ignacy, ja tego nie spodziewałem się, żebym ja dzisiaj się rozpłakałem, jak baba. Dawaj mi pan swoja ręka. Nasza umowa skończona. Za dwa lata będziesz pan czeladnik, a potem za dwa lata będziesz majster, może najpierwszy z cała Warszawa. A jak będziemy obadwa żyli, i Pan Bóg dopomoże, to ja znowu mój Frycunio oddam do terminu do pan Ignacy; a potem będziemy wybierali pan Ignacy na starszy naszego zgromadzenia, i będziem wypić za zdrowie nasz uczciwy kunszt stolarski taka butelka wina, co będzie starsza niż my obydwa razem.

Ignaś ścisnął rękę rozrzewnionego Niemca, który śmiał się i płakał razem, i oświadczywszy mu, że pojutrze dopiero przyjdzie o 5-ej do warsztatu, prosił go, aby mu utorował tę ciężką drogę i dobre wyjednał przyjęcie.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Co wyniósł Korzeniowski z domu i Krzemieńca? Co mówi o nim rok 1812 i 15?

Praca nauczycielska w Krzemieńcu. Pierwsze utwory dramatyczne. Rok 1830 i następstwa klęski osobiste dla Korz.

Kijów i Charków w życiu, uczuciach i pracy autorskiej Korz.

Karpaccy Górale. Treść, postaci, tendencja. Tragizm w „Karpackich Góralach". Sceniczność sztuki. Znaczenie Karpackich Górali dla współczesnych.

Korzeniowski jako dramaturg: najlepsze jego utwory sceniczne. Ogólna dążność w ich treści. Zalety i wady budowy. Zasługi Korzen. dla sceny polskiej.

Kollokacja. Wspólne rysy występujących tu postaci. Odrębności poszczególnych typów. Obrazowość w scenach zbiorowych. Jakie cechy drobnej szlachty charakteryzuje autor w tym utworze? Wartość artystyczna.

Spekulant jako typ. Zalety i słabe strony tej powieści. Postać Klary.

Krewni. Tendencja autora. Rysunek środowiska i postaci. Arystokracja w Krewnych. Mieszczaństwo. Obrazy. Budowa powieści.

język. Jej wartość artystyczna i społeczna. Zarzut współczesnej krytyki.
Przyczyny powrotu do kraju. Korz. jako wizytator i organizator Szkoły Głównej. Rok 63 w życiu Korz.
Społeczne i narodowe przekonania i działalność Korz. Zasługi.
Korzeniowski jako człowiek i autor. Co dał społeczeństwu i literaturze? Artystyczna i językowa strona w jego utworach.
Drobna szlachta Chodźki i Korzeniowskiego (Kollokacja).
Arystokracja w utworach Rzewuskiego i Korzeniowskiego.
Korzeniowski i Czajkowski jako typy.

Do czytania: P. Chmielowski: Nasi powieściopisarze, serja II, rok 1885. — Wzorowy rozbiór Spekulanta i Kollokacji przez K. Wojciechowskiego. Bibljoteka Narodowa № 25 i 28.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

olbrzym pracy

1812—1887.

Olbrzym pracy! Zjawisko tak zdumiewające, iż za życia jego krążyć zaczęły baśnie o pracy za pośrednictwem kilku pomocników. Przeciętnym ludziom zdawało się niepodobieństwem, ażeby jeden człowiek zdołał napisać to wszystko, co z nazwiskiem Kraszewskiego wychodziło. Było to w latach, kiedy znużony wiekiem i chorobą starzec rzucał w świat rocznie około dwudziestu powieści!—Ogółem napisał w życiu przeszło 600 tomów, nie licząc krytyk, rozpraw na różne tematy, bieżących artykułów, rozpraw naukowych, odczytów i t. p. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę niestrudzoną pracę społeczną w ciągu całego życia zasłużonego autora, ogarnie nas nie podziw, ale największe zdumienie.

Józef Ignacy Kraszewski urodził się w Warszawie w pamiętnym roku 1812-ym. Ojciec jego był właścicielem majątku na Wołyniu, lecz w niespokojnych czasach wolał, by młoda żona miała schronienie w mieście. Po roku pani Kr. powraca do domu, lecz wątłe dziecko pozostawia na Podlasiu w Romanowie, u matki swej i babki. Tam też upływają mu lata dzieciństwa aż do okresu szkolnego.

Tym sposobem od pierwszych wrażeń wychowuje się Kr. pośród ludzi dojrzałych, pod wpływem i kierunkiem wykształconej babki, która sama przygotowała go do egzaminu, prababki i wuja Wiktora, żołnierza z czasów Księstwa Warszawskiego, o zamiłowaniach bardzo artystycznych na polu literatury i malarstwa.

Rzecz naturalna, że podobne otoczenie miało wpływ na przedwczesny rozwój umysłowy dziecka, zdolnego, z wrodzonemi skłonnościami w kierunku artystycznym i lubiącego samodzielną pracę.

Naukę szkolną rozpoczyna w Białej Podlaskiej, lecz przenosi się kilkakrotnie i kończy ją w Swisłoczy na Wo-

łyniu w r. 1829. Mimo zdolności i pracowitości nie należał do uczniów celujących, wolał pracować samodzielnie poza szkołą. Tu zajęły go jakieś znalezione stare papiery, tam powziął myśl zbierania mniej znanych lub starych wyrazów,—to znów spisuje przysłowia. Czyta bardzo wiele, ale bez wyboru. Dobra pamięć gromadzi mnóstwo wiadomości.

W jesieni zapisuje się w Wilnie na wydział literacki, lecz—znowu idzie raczej własną drogą. Uniwersytet wiele w tych czasach nie daje, wykłady mało go zajmują, woli przekładać pisarzy łacińskich, pracować nad historją języka polskiego, wreszcie — pojawiają się pierwsze obrazki powieściowe.

Właściwie nie zdążyły się „pojawić“ z powodu listopadowych wypadków. Kraszewski ulegając prądowi, bierze udział w organizacji powstańczej, lecz już w grudniu aresztowany, mimo starań rodziny, rok przeszło spędza w więzieniu.

Na młodego autora ma to wpływ dodatni: budzi w nim wyobraźnię i uczucie.

Pierwsze obrazki powieściowe Kraszewskiego przeciwstawiają się romantyzmowi, którego wzniosłe i gorące hasła, zarówno jak wybujała fantazja, nie trafiały do przekonania młodzieńca. W pierwszej powiastce ogłoszonej drukiem, — „Biografja sokalskiego organisty“, mówi o tem wyraźnie, chociaż pod przenośnią:

„Wielkich ludzi zajmować mogą opisy dzieł wielkich, które człowieka, w niskim urodzonego stanie i żyjącego pod starą ojców swych strzechą, na przodków zagonie, oślepiają niejako wielkością swoją i bardziej mu upokarzający stan jego czuć dają, niżeli wznoszą i poprawiają jego skłonności i umysł. Dla takich ludzi trzeba pisać biografje mężów, na widok których powiedziećby mogli sami o sobie: Jesteśmy im równi lub nimi być możem“.

To znaczy: chcę przemówić do wszystkich, chcę być zrozumiany przez szeroki ogół ludzi przeciętnych, zwyczajnych, którym przed oczy stawię ich własne postaci, z odrobiną śmieszności i ironji. I to się na coś przyda.

Mamy więc najprzód rodzinny stosunek w domu ojca szanownego organisty, energiczną panią introligatorową, młodzieńcze skłonności syna do literatury i autorstwa, jego miłość, małżeństwo, i zwyczajny koniec, wyrażony w liryce: „Lament po utracie dobrej myśli“, oraz w innych utworach treści uczuciowej z przyprawą goryczy i satyry.

O podobnym nastroju obrazków z tych czasów dostatecznie świadczą tytuły: Wieczór, czyli przygody peruki, Kotlety i t. p. Kraszewski umieszcza je w pis-

mach wileńskich, podpisuje się K. F. Pasternak, i czytany jest chętnie, z zajęciem.

Więzienie — chociaż nie zmienia stanowiska autora w jego zapatrywaniu na pracę literacko-powieściową, zbogaca ją pierwiastkiem uczuciowym i fantastycznym, który wyraźnie zaznacza w tytule pierwszego obrazka z tych czasów: „Pan Karol, powieść fantastyczna“. Inne w tym samym duchu następują szybko i znajdują chętnych wydawców.

Praca nad historją Wilna i parę nieudanych powieści historycznych świadczą o zwrocie myśli ku przeszłości, w której cechy ujemne maluje z goryczą.

Marzy o zawodzie pisarskim. Uniwersytet zamknięto, lecz to nie ma dla niego znaczenia, jego szkołą jest praca samodzielna, a niekiedy chłosta krytyki. Ojciec jednak chce w nim widzieć gospodarza i sprowadza go na wieś Niezadowolenie, a nawet zniechęcenie osładza wkrótce miłość i małżeństwo z bratanką arcybiskupa, p. Zofją Woroniczówną. Rozumie się, że ten okres rozwija w wyższym stopniu uczuciowość autora i jest źródłem utworów wierszowanych: liryk, dramatów fantazyj, powiastek, z których najlepiej znany żartobliwy wiersz: „Dziad i baba“. Każde z nich chce umrzeć pierwsze, aby nie zostać sierotą, lecz wobec ukazania się śmierci żadne nie ma odwagi jej otworzyć.

Z tego czasu pochodzi pierwsza obszerniejsza powieść, traktująca sprawę stosunku poety do społeczeństwa: „Poeta i świat“, tłumaczona wkrótce na francuski, niemiecki, rosyjski, czeski i chorwacki. Świadczy to o wielkiem zainteresowaniu, jakie ten przedmiot zbudził. Dziś jej nie zaliczamy do najlepszych utworów Kraszewskiego. Bohater jest marzycielem, dziwnie oderwanym od życia i ludzi. Niewątpliwie znaleźć w nim można coś z uczuć samego autora, zwłaszcza w chwili gdy wola ojca stanęła w sprzeczności z jego powołaniem. Ale postać jest bardzo różna, z realnym światem nie mająca prawie nic wspólnego. Stąd zawody, cierpienia. Ostatecznie smutna ucieczka — poszukiwanie zapomnienia w trunku.

Pisanie powieści jednak nie wystarczało czynnej naturze Kraszewskiego. Już w r. 1840, mieszkając na wsi, w Gródku, niedaleko Łucka, rozpoczyna wydawanie w Wilnie miesięcznika Ateneum. Pozyskał do współpracy wiele sił wybitnych, pomieszczał w nim utwory własne, nietylko powieściowe, ale publicystyczne, wskazujące główne żądania pracy narodowej, zarówno literackiej jak społecznej. Nie mógł to być jasno określony program, ani stanowczo wytknięty kierunek, pewne jednak zasady wskazywał redaktor jako stałe i niewzruszone: religja, dobro ogółu i praca

Usiłując stać wytrwale na tym gruncie, mimo wielkich trudności pracy na odległość, gorliwości cenzury i t. p. mimo istotnych błędów i nieporozumień, wierząc w użyteczność tego rodzaju katedry, przemawiał z niej Kraszewski lat 12.

Tutaj wygłasza swój sąd o powieści i jej społecznych zadaniach, jeszcze nie ostateczny — jak się przekonamy później — ale już nie młodzieńczy. Najpoważniejszy z polskich powieściopisarzy danej chwili zdawał sobie wyraźnie sprawę ze swoich na tem polu obowiązków, choć jeszcze nad artystą nie przeważyła chęć użyteczności. W powieści widzi teraz przedewszystkiem artystyczne odzwierciadlenie życia, jego dążeń, ideałów, starć duchowych, ciekawych typów i t. d. Użyteczność uważa za rzecz pożądaną, nawet obowiązującą, lecz tendencyjność nie może występować w niej jawnie na plan pierwszy.

„Są tacy, co chcieliby powieść, utwór przedewszystkiem artystyczny z natury swej, i artystyczny cel mający przed wszystkiemi — uczynić sługą myśli socjalnych, politycznych przekonań, wyrobnicą filozofji popularnej i t. p. Tu już zgodzić się na ich żądania nie możemy, i odtrącić musimy rodzaj niewoli, w który zaprząc nas usiłują".

Przyznaje jednak, że oprócz celów artystycznych, powieść ma zadania etyczne i społeczne, chodzi mu tylko o to, jak je wcielić i wypowiedzieć.

„Rozumowane prawdy wcielić się muszą, oblec szaty cielesne (postaci i obrazy) i z całą artystyczną ozdobą wystąpić przed czytelnikiem.

Celem więc powieści nie argumentacja, ale przemawianie do uczucia, które ma zrodzić myśl w czytelniku i wzbudzić w nim wzruszenie, które każe myśleć i zastanawiać się.

... Cel nie w myśli narzuconej zgóry, nie w nadanem przez kogoś zdaniu, ale w sercu pisarza być powinien... Cel powinien jako krew płynąć w całej powieści i ożywiać ją niewidoczny; powinien najdrobniejsze naczynia jej wypełniać, drgać w każdym ruchu, a nigdzie, chyba w rumieńcu uczucia, nie wychodzić na jaw.

... Żadna powieść bez myśli, a zatem bez celu być nie może."

Z tych urywków widzimy jasno, że nie chodzi mu wcale o usunięcie tendencji, przeciwnie—uważa ją za rzecz niezbędną, krew i ducha utworu, a staje tylko w obronie artystycznych środków, wskazuje, jak tendencja ma być wyrażona.

Roztrząsanie licznych a poważnych kwestyj w Ateneum i innych pismach jeszcze nie było czynem, żywą działalnością. Kraszewski oddaje swoją wieś w dzierżawę i prze-

nosi się do Żytomierza. Tu ma przed sobą nowe, rozmaite pola. Zajmuje go nauka szkolna, wychowanie. Zostaje honorowym kuratorem miejscowego gimnazjum i nie jest to czczy tytuł. Honorowy kurator bardzo czynnie wgląda w szczegóły programu i metody, pomocy naukowych, gorąco go zajmuje poziom umysłowy ucznia i nauczyciela, kierunek wychowania, rezultaty. Jako dyrektor klubu szlacheckiego usiłuje rozbudzić zajęcie się kwestją włościańską; rozwija energiczną działalność na stanowisku kierownika Tow. Dobroczynności, naczelnika Komitetu statystycznego i dyrektora teatru polskiego. Kosztem ziemiaństwa wznosi się budynek, Korzeniowski, Kraszewski, Fredro ukazują się kolejno na scenie, która stanowi poważną placówkę polskości.

Trudno nam sobie nawet wyobrazić, jak przy tych wszystkich pracach znajduje dość czasu, aby zasilać swemi powieściami pisma prawie we wszystkich dzielnicach, wydawać coraz nowe powieści, pisać podróże, charakterystyki i obrazy poznanych miejscowości (Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy. Wspomnienia Odesy, Budżaku i inne). W utworach tych widzimy wszystkie stany i warstwy społeczeństwa: arystokrację, szlachtę najrozmaitszych odcieni majątkowych i kulturalnych, mieszczaństwo, lud wiejski. Najsurowiej sądzi rody arystokratyczne, zasklepione wyłącznie w sobie i własnych interesach, oderwane od społeczeństwa, zniedołężniałe, słabe, albo zwyrodniałe, występne. Od mniej uposażonych przez los mniej wymaga. Podkreśla dobre strony drobnej szlachty, ocenia jej wady z wyrozumiałością. Powieści z życia ludu mają szczególne znaczenie: „Historja Sawki“, „Ulana“, „Ostap Bondarczuk“, „Budnik“ — maluje w nich niedolę, krzywdę i głębokie, szlachetne strony duszy chłopskiej. „Latarnia czarnoksięska“, jeden z najlepszych utworów, przesuwa przed oczyma czytelnika szereg zabarwionych satyrą obrazków społeczno-obyczajowych, pozwalających rzucić krytycznem spojrzeniem na rozmaite warstwy społeczeństwa. „Metamorfozy“ dają smutny przeważnie obraz przeobrażeń, jakim podlega człowiek między ławą szkolną a wiekiem dojrzałości. Tu uwydatnia autor wpływ atmosfery domu i trwałość wrażeń wczesnego dzieciństwa. Wielkiem też powodzeniem cieszyła się od początku „Chata za wsią“, przerobiona później na scenę.

Nie będziemy wyliczali kilkudziesięciu tytułów, niektóre jednak są wyrazem treści np. „Pan i szewc“, „Dwa światy“, „Choroby wieku“ i t. p. Mimo pospiesznej pracy widać w nich coraz większe wyrobienie, staranniejszy rysunek postaci, pogłębienie ich psychologji, zabarwienie utworu uczuciowe, przystosowanie się do własnych

słów, że „minęły te czasy, kiedy powieści były prostą zabawką dla pisarzy i zabawką tylko czytelników". Dziś autor jest obowiązany „stać się użytecznym, potrzebnym, być przywódcą do dobrego, do cnoty, do wiary, do piękna, do słusznego".

Nie możemy pominąć jeszcze jednej pracy Kraszewskiego w tej epoce — wielkiego poematu z dziejów Litwy — „Anafielas". Dzieli się na trzy części: pierwsza Witolorauda — bajeczna fantazja o początku Litwy i bohaterze Witolu, druga — Mindows, postać już znana w historji i — Witoldowe boje — kończące się jednakże przed Grunwaldem. Poeta włożył tutaj wiele pracy, całość jednak wypadła blado i rozwlekle, nie zdobyła uznania.

W r. 1859 znany już i ceniony w całej Polsce pisarz powołany zostaje do Warszawy przez Leopolda Kronenberga, właściciela Gazety Codziennej, który pragnie powierzyć Kraszewskiemu redakcję tego pisma.

Jest to stanowisko niezwykle poważne i zarazem odpowiedzialne, jakby objęcie jakiejś katedry narodowej, z której głos rozchodzi się bardzo daleko. Innej mównicy własnej państwo polskie nie ma. Czasy są sprzyjające. Pełne nadziei tchnienie ulgi i swobody rozgrzewa serca i budzi do czynu, naród bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje kierownika i przywódcy.

Kraszewski przyjmuje propozycję, zmienia tytuł pisma na Gazetę Polską, i z najlepszą wiarą, najgorliwszą chęcią służenia społeczeństwu staje na placówce. Rozpoczyna pracę spokojnie, zapowiadając w treści pisma: „przywiązanie do świętej wiary naszej, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy, mającej nam przyszłość zgotować".

Rzeczywiście nowy redaktor z właściwą mu energją czynu rozwija działalność w nowem środowisku. Pozyskuje dla pisma wybitnych współpracowników, wygłasza myśli zdrowe i budzące życie. Jednocześnie organizuje odczyty o kwestjach najżywotniejszych na dochód instytucyj dobroczynnych, w każdej pracy społecznej bierze udział lub głos zabiera. Pismo pod jego redakcją zaczyna rozwijać się świetnie.

Lecz zbliżają się chwile nowego przełomu, i naród potrzebuje wodza, przezornego kierownika i natchnionego wieszcza. Kraszewski gorąco odczuwa tę chwilę i zwrócone na siebie spojrzenia, ale drogi jasno nie widzi, chwieje się w jej wyborze, po berło władzy ducha sięgnąć nie jest zdolny. Wprawdzie bezimiennie ogłasza w Paryżu w r. 1861 rzecz piękną i rozumną, „Sprawa polska", lecz są to tylko dobre rady brata. Przedewszystkiem zaleca uwłaszczenie chłopów, jako podstawę narodowej działalności; — żąda dla nich oświaty i wytężonych na tem polu usiłowań

Poza tem — spokojna praca i wytrwałość, zaniechanie manifestacyj, pozostanie przy ideałach narodowych.

A tymczasem podnosi się temperatura, rozpala już wyraźnie walka wewnętrzna dwóch stronnictw, naród czeka silnego głosu, aby przeważył szalę na tę czy inną stronę. I słowo Kr. mogło mieć wielkie znaczenie, lecz musiało być jasne, stanowcze i mocne, a wielki pisarz sam jest na rozdrożu. Nie może się pogodzić z Wielopolskim, uczuciowo odpycha jego metody działania, a jednocześnie w ruchu zbrojnym widzi zgubę, chciałby od niego powstrzymać. Chciałby, lecz w sobie samym nie ma siły, więc nie może mieć władzy. Przy błyskawicach zapału i bólu jego gwiazda spokojnej pracy zbladła. Nie taka dziś godzina. Jedni widzą w nim przeciwnika, inni słabość i nieudolność. Po wybuchu powstania musi opuścić Warszawę. Przenosi się do Drezna, aby do kraju nie powrócić więcej.

W gorącej i stanowczej chwili Kr. władzy nie miał, nie umiał być wodzem ani kierownikiem, — natomiast ogrom klęski nie przytłoczył go zwątpieniem i rozpaczą, nie złamał męstwa, nie zachwiał spokoju, — można powiedzieć, że nie tracąc chwili, stanął na posterunku narodowym.

Wybór Drezna na stały pobyt okazał się bardzo szczęśliwy. Miasto piękne, spokojne, bogate zbiory i archiwa, bliskość kraju. W danej chwili ta bliskość jest nieoceniona: to pierwsze schronienie uchodźców po klęsce. Kraszewski organizuje Komitet Pomocy, nie szczędzi trudów, zabiegów i grosza, aby osłodzić dolę nieszczęśliwych.

Jednocześnie wielka tragedja narodu — to dla niego nowy, bogaty materjał do pracy dla przyszłości piórem. Pod pseudonimem B. Bolesławity rozpoczyna szereg wydawnictw powieściowych, historycznych i publicystycznych, które dadzą wszechstronny obraz chwili. Najpoważniejszą z tych prac są „Rachunki“, cztery roczniki, dające obraz życia polskiego, pracy narodowej i stanowiska rządów w trzech zaborach. Poglądom autora zarzucają stronność, brak ścisłości — pewną niedokładność, — wydawnictwo to jednak miało ogromne znaczenie, było donośnym głosem w sprawie polskiej. — Pod tymże pseudonimem rzuca w świat szereg niecenzuralnych powieści, sprawozdań i obrazów naszej niedoli, jak „Tułacze“, „Szpieg“, „Dziecię Starego Miasta“ i inne. Zakłada własną drukarnię, aby tem swobodniej i prędzej wykonywać swoje zamiary. Drukarnia rzeczywiście jest niezmiernie czynna, w ciągu lat kilku oprócz kilkudziesięciu powieści cenzuralnych i niecenzuralnych, pism publicystycznych, i t. p. drukowała zbiorowe wydanie dzieł Brodzińskiego, prace Jana Śniadeckiego, Felińskiego, przekłady Szekspira i t. p.

W r. 1875 powziął myśl napisania cyklu powieści historycznych, malującego dzieje polskiego narodu od bajecznych czasów do ostatniej chwili.

Autor ma lat 60, fizycznie chory już i wyczerpany, ale w pełni sił umysłowych. Powieści historycznych napisał do tej pory kilkanaście: Kordecki, Kunigas, Krzyżacy, kilka z epoki Sasów, dwie bardzo piękne z dziejów Rzymu: „Caprea i Roma“, oraz „Rzym za Nerona“, w których świat starożytny odtwarza artystycznie i prawdziwie, nasuwając czytelnikowi jednocześnie porównanie z chwilą bieżącą. Powieści z dziejów Polski, zwłaszcza saskie — nauczyły go traktowania materjału historycznego, czuł się więc przygotowanym do tej pracy, tem bardziej że dostępne mu archiwa saskie już zbadał dość dokładnie, spożytkował parokrotnie z bardzo dobrym rezultatem, i być może ta okoliczność poczęści zrodziła wielki pomysł ostatniej służby narodowi.

Z energją przystępuje do wykonania zamiaru i w ciągu lat 10 obok innych rzeczy wydaje 78 tomów pow. historycznych rozmaitej wartości. Wpośród nich pierwsze miejsce zajmuje najodleglejsza, legendowa, z niezrównaną poezją odczuta epoka, wyśpiewana w przepięknej „Starej Baśni“. Treść i opracowanie zarówno świadczą o miłości, o namaszczeniu prawie, z jakiem wykończał to dzieło, które przenosi naszą wyobraźnię w świat przeczuwany tylko. Dalsze obrazy snują się zależnie od materjału, jakim autor rozporządza, od wniknięcia w epokę, natchnienia, nastroju. Najlepsze z czasów saskich: Bruhl, Hrabina Cozel, Starosta Warszawski i inne.

Niepodobna wyliczyć tu ani powieści, ani innych publicystycznych, krytycznych, historycznych prac zasłużonego autora, zaledwie poruszamy je lekkiem dotknięciem, aby zwrócić uwagę, że nie powieścią tylko zapisał się Kraszewski w dziejach literatury. Niema sprawy i kwestji, którychby w pracach swoich nie oświetlał, a ponieważ jest przekonany, że powieść najdalej sięga i najgłośniej przemawia, rzecz naturalna, że z drogi tej korzysta przedewszystkiem, aby uczyć i wzruszać, ostrzegać i wskazywać, budzić i zachęcać do czynu. I znów arystokracji mówi „Morituri“, skazaliście się na zagładę, straciliście pierwiastek życia, i nic was z niem nie łączy. Wasze dobro i ziemia wasza — to „Mogilna“, którą kochacie szczerze, lecz bez siły, i nie umiecie bronić. Do przepięknych drobnych obrazków należy „Dziennik starego dziada“, malujący szlachetną postać b. wojskowego, o gołębiem sercu i kryształowej duszy. „Kochajmy się“ — potępia walkę stronnictw. Los kobiety „Czarna perełka“. Zmienność losów „Jasełka“. Z kilkunastu komedyj i dramatów naj-

lepszy „Miód kasztelański“ dotąd bawi i cieszy publiczność.

Powieści Kraszewskiego tłumaczono ciągle na francuski, niemiecki, czeski, rosyjski i inne języki, imię jego brzmiało w całej Europie, a choć niewszystkie dzieła były doskonałe, na co nie pozwalała sama szybkość pracy, każde z nich było zdrowem, czystem ziarnem, posiew dobra i piękna.

Oceniając wielkie zasługi pisarza, już w r. 1877 grono wybitnych literatów ofiarowało mu album pamiątkowe, — rok 1879 przeznaczono na uroczysty obchód jubileuszowy pracy pięćdziesięcioletniej.

Do Krakowa zjechało kilkanaście tysięcy delegatów i uczestników obchodu. Oprócz serdecznych przemówień i darów, złożonych jubilatowi przez kraj cały, dla uczczenia dnia tego powstają poważne fundacje, jak Muzeum Narodowe w Krakowie i początek Macierzy Szkolnej. Cesarz austrjacki obdarza orderem pracownika zasłużonego, a bez skazy, Uniwersytet ofiaruje mu dyplom honorowy.

Łatwo jednakże wyobrazić sobie, jak męczące musiały być te uroczystości dla chorego poważnie starca. Powrócił wyczerpany, „ledwo żywy“ — jak sam swój stan określa. Powrócił i szukał odpoczynku w pracy, nie przewidując, jaki cios nad nim zawisnął.

Przed laty—ulegając wpływom emigranta, Bronisława Zaleskiego w Paryżu, przesyłał mu wiadomości o armji niemieckiej, otrzymywane z pomocą opłacanego pośrednika Niemca. Żądania pośrednika stawały się jednak coraz bardziej wygórowane: chciał korzystać z posiadanej tajemnicy. Zniecierpliwiony Kr. odmówił wypłaty wymaganej sumy i niezwłocznie na mocy denuncjacji został aresztowany, uwięziony. Złożona kaucja wyzwoliła go chwilowo, ale wkrótce stanął przed sądem. Chory, znękany cierpieniem i wiekiem — nie zajął jedynego stanowiska, jakie zająć mu pozwalała godność narodowa, nie oparł swej obrony na podstawie przekonania i uczucia, starał się usprawiedliwić więc zapewnił triumf wrogowi. Skazany na kilkoletnie więzienie w Magdeburgu, natychmiast powraca do pracy. Stan zdrowia jednak pogorszył się tak bardzo, że nakoniec dzięki staraniom kilku wpływowych osób otrzymał półroczne uwolnienie dla kuracji. Ze Szwajcarji przeniósł się wkrótce do San Remo, i tu zaskoczyło go trzęsienie ziemi. Następstwem kilku nocy spędzonych w szałasie było zaziębienie — śmierć.

Pisze do ostatniej chwili nieskończoną powieść Czarna godzina, osnutą na wydalaniu z Poznańskiego Polaków, nie mających poddaństwa pruskiego. Tak ciężko chory, że nie chodzi już o własnej sile, uczestniczy jako prezes

honorowy na kongresie literacko-artystycznym w Genewie, zamierza badać wykopaliska w Pompei, marzy o nowych wydawnictwach, odwiedza Lenartowicza, przenosi się z miejsca na miejsce.

Zwłoki zasłużonego pisarza i obywatela złożono w Krakowie na Skałce.

Spuściznę literacką niełatwo objąć rzutem oka. Rozmiary jej olbrzymie, wartość bardzo różnorodna. Prace niby naukowe, dość liczne i narazie pożyteczne, a niekiedy potrzebne, grzeszą brakiem ścisłości, często opracowaniem powierzchownem, pospiesznem, nie wytrzymują najczęściej krytyki. Lecz poruszają wszystkie strony życia, począwszy od tematów historycznych (Litwa za Witolda. Pomniki do hist. obyczajów w Polsce w XVI i XVII w. i inne), potrącają o filozofję (Trentowski), zajmują się cywilizacją i kulturą (odczyty o cywilizacji w Polsce, zamiar opracowania historji cywilizacji w Polsce), polityką (Rachunki. Polska w czasie trzech rozbiorów, „Program Polski“ w 1872 i t. p.) sprawami literacko-artystycznemi i t. p. — Prace publicystyczne już z natury rzeczy mają charakter przejściowy, spełniły jednak swoje zadanie (Wieczory wołyńskie: głównie kwestja włościańska, i inne), podróże i pamiętniki odzwierciadlały życie w najróżnorodniejszych przejawach.

Powieść jednak stanowi najważniejszą zasługę Kraszewskiego. Powieść tylko ogarnąć mogła cały naród, trafić wszędzie, pozyskać nie tysiące lecz miljony czytelników, więc przemawiać do wszystkich, do całego narodu. I przemówiła. Budziła i uczyła. Nowy środek porozumienia się z ogółem, jakiego nie mieliśmy dotąd. Korzeniowski pisał dramaty, z powieścią wystąpił później, idąc za przykładem Kraszewskiego. Rzewuski, Chodźko pisali niewiele i nie dla wszystkich. A ci wybrani także nie będą czytać tego, co już przeczytali. Głód powieści — jako budzącej rozrywki — zaspokoić mógł tylko taki olbrzym pracy, rzucający ciekawym przez pół wieku coraz nowe i coraz inne obrazy i hasła, dostępny dla każdego, poruszający sprawy, które drzemały we wszystkich i wszystkich obchodziły. Przy tak wielkiej twórczości nietylko nie brakło mu nigdy zamówień, pism i wydawców, ale nie mógł wszystkich żądań zaspokoić. To świadczyło wymownie o aktualnej wartości tej pracy, i nie możemy wątpić, że Kraszewski świadomie zrzekł się artystycznego opracowania dzieł swoich, aby je rzucać prędzej, w większej obfitości. Wybór był — obywatelski: dobro ogółu, zrzeczenie się najdroższej dla pisarza sławy artysty. Że mógł po nią sięgnąć — świadczy kilka dzieł opracowanych spokojniej. Inne pisał — jak się mówi — na kolanie, wyzyskując samego siebie, wyjątkowa

i nadzwyczajną łatwość kompozycji. Dla szerokiego ogółu nie trzeba było więcej.

Cóż w tych powieściach dał?

Przedewszystkiem dokładny jak nikt — obraz kraju: ziemi, ludzi, stosunków, potrzeb, celów, dążeń, wad i cnót naszych, poświęceń i trudów, grzechów i zasług, naszych uczuć i nieraz najtajniejszych myśli, naszej wrażliwości, słabości i siły, bohaterstwa i żywotności. A maluje nietylko świat współczesny, ale sięga w najdalszą przeszłość, przesuwa przed oczami czytelnika najróżnorodniejsze epoki i zadania nasze dziejowe, a zarazem tysiące typów, współczesnych i żyjących w duszach naszych nieśmiertelną pamięcią przeszłości. To przecież jest podniesienie zasłony dzielących nas wieków, dzielących nas granic. Z lekkiej i zajmującej powieści ileż się dowiadywał prostaczek, który znał tylko własną okolicę, miasto i dzień dzisiejszy. To była nauka o Polsce, w najdostępniejszy sposób podawana, i gdyby cykl powieści historycznych rozpoczął wcześniej i szczęśliwie skończył — mogłyby stać się dla narodu skarbem niewyczerpanym przez czas długi.

Niestety, prócz epoki saskiej, Starej Baśni i kilku pierwszych — większość wypadła blado. Odczuwamy pośpiech, niedostateczność studjów, pracy przygotowawczej. Niektóre jednak braki mogą zastąpić dawne powieści historyczne Kraszewskiego, z poza cyklu, np. Kunigas, Krzyżacy i inne.

We wszystkich autor daje serdeczne uczuciowe ciepło, miłość ludzi i miłość kraju, pewną wyrozumiałość i wiarę w nasze siły, szczery smutek i współczucie dla wszelkiej niedoli. Umie być ironicznym, lecz nie nadużywa tej broni, — na jedno tylko prawie nigdy zdobyć się nie może — siłę w malowaniu scen tragicznych. Wogóle zbiorowe sceny wypadają u niego słabiej, woli opowiadanie lub djalog od akcji. Dlatego o momentach najważniejszych, decydujących — bardzo często w powieści dowiadujemy się z opowiadania, z rozmowy. Natomiast bardzo subtelnie potrafi odczuwać dusze ludzkie i ich głębokie, utajone drgnienia, ich wartości niedostrzegalne często dla ogółu, a stąd — niespodziewane przemiany.

Przyrodę kocha szczerze i rozumie, jego opisy natury to obrazy prawdziwie piękne i przemawiające, — w prozie takich przed nim nie mamy. Widzieliśmy słabe próby Czajkowskiego.

Dziś za mało tego pisarza cenimy, bo za mało go znamy.

Należy mieć nadzieję, że zdobędziemy się zczasem na zbiorowe wydanie wyboru najlepszych powieści, które długo jeszcze służbę pełnić mogą z pożytkiem i przyjemnością czytelnika.

Podajemy parę wyjątków, które nie zastąpią poznania całości, ale pewne wyobrażenie o sposobie pisania Kr. dają, — więc opis przyrody, — chramu pogańskiego, — scenę.

STARA BAŚŃ.

Epoka Popiela i Piasta nad Gopłem. Obrazy kultury Słowian z owych czasów: sposób życia, prace, obrzędy, stosunek kmieci i Leszków do kniazia. Sąsiedztwo i wpływy Niemiec. Treścią—walka z Popielem i wybór Piasta, oraz miłość Domana do pięknej córki kmiecia Wisza, Dziwy. Porwana podczas obchodu Kupały, Dziwa rani Domana i ucieka pod opiekę chramu, aby życie ślubować bogom.

Podajemy opis poranka w puszczy i opis chramu podczas przybycia Dziwy.

I. Poranek w puszczy.

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła; w powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą, świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwiniętych. Nad strumieniami, wezbranemi jeszcze resztą wiosennej powodzi, złociły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza, tylko ptactwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świegot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściało i umilkło... stado dzikich kóz wyjrzało z gąszcza na polankę... popatrzało czarnemi oczyma i pierzchnęło... Zatętniało za niemi — cicho znowu.

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie: zaszeleścial łoś rogaty, wyjrzał, podniósł głowę, powietrze pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóż zaświeciło oczu dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu, i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańców puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodemi, drżenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśń poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jako dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone, czując, że obcy pan nadchodzi.

Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbka obsłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniło, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków — wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie.

W promieniach wirowały, uwijały się, kręciły niecierpliwie skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocząc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dzięcioły-kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

II. Chram.

Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do którego zdala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry, przychodzili z ofiarami po rady i wróżby pielgrzymi.

Niewiele naówczas takich chramów i świątyń liczono na ziemiach słowiańskich. U Ranów na ostrowiu stał chram Światowida, u Redarów drugi, u Serbów nad Łabą Trygłowa trzeci, w Stargrodzie w gaju czczono Prowego. Ciągnęły do nich na wielkie świątki i dnie uroczyste różne plemiona z dalekich stron, schodzili się ludzie jednego słowa, choć różnej nieco mowy, i u świątyń tych radzili i porozumiewali, co ku obronie od wspólnych wrogów przedsiębrać mieli.

Na ostrowiu Lednicy stał taki chram Nii, do którego szła właśnie Dziwa schronić się od pomsty i poświęcić resztę życia pilnowaniu ognia świętego.

Trzeciego dnia pokazało się jezioro szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono jak ostrów świętem było.

Ostrów też zdala się dostrzec dawał, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. Zakrywały one chram oczom i zdawały się całą wyspę okrywać. U brzegu na palach, wbitych niegdyś w jezioro, stały chatki rybaków nędzne. Przy nich do palów poprzywiązywane czółna kołysały się jak senne, poruszając z falami. Rybacy zamieszkali w tych budkach przewozili na ostrów pielgrzymów.

Wieść niosła, że chaty biednych tych ludzi stały tu od wieków, że ich niegdyś była tu moc wielka, że pale część znaczną wód zajmowały, a na pokładach nad niemi cała niegdyś osada liczna i zamożna zamieszkiwała. Ale zczasem gniły pale, padały chałupy w wodę, ludzie się na ląd przenosili i rozpra-

szali. Teraz tu tylko pozostało ich kilka, zczerniałych, osiadłych nisko, okopconych, a zajmowali je rybacy i przewoźnicy.

U chat na palach pożegnała Dziwa swoich towarzyszów, tu już bezpieczna, sama iść mogła, kędy jej kazała dola. Nie potrzebowała ani druhów, ani drużki. Rzucił się jej Sambor do nóg, bo ją od dziecka szanował i miłował.

— Zdrów bywaj, Samborze—odezwała się—bądź szczęśliwy... pokłon odnieś ode mnie siostrze miłej, braciom, wszystkim... nawet ptakom, co koło naszej latały zagrody.

Z chaty na palach, które się trzęsły pod nim, wyszedł stary, zgarbiony człowiek, w drżących rękach wiosło trzymając. Nie mówiąc nic, zszedł do czółna, zstąpił w nie, odwiązał i czekał. Dziwa siadła, odbił od brzegu, i czółno pomknęło po wodach spokojnych. Towarzysze stali i patrzyli, stara piastunka płakała, padłszy na ziemię. Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły, jakby rozumiały, że się ze swoim rodzonym rozstawała światem.

Czółno płynęło. Już twarzy jej widać nie było, tylko koszulę białą i białą jak ona twarz, a potem plamkę białą, a później ostrów i drzewa zakryły czółenko, i znikło. Dziwa płynęła, gdzie ją dola niosła. Wtem łódka się o brzeg oparła i zadrgała, stary wyszedł na ląd i przytrzymał ją. Para kamieni sterczała nad wodą; dziewczę wysiadło i wyszło.

Na ostrowiu cicho było, cicho... tylko tysiące słowików w krzakach nazabój nuciły. Pomiędzy łozy i olszyny wiodły ścieżki kryte, ludzkiemi powydeptywane stopami.

Dziwa szła zwolna przed siebie, nie spiesząc, wiedząc, że dojdzie, gdzie jej losy iść kazały.

Wśród gęstwiny łączka się otwarła zielona. Tu gromadkami siedzieli ludzie i pożywali z kobiałek, co kto miał z sobą, w milczeniu jakiemś uroczystem.

Widać było po sukniach, ich barwie i kroju, że ludzie tam byli z krajów różnych. Byli tam mową i odzieżą odmienni od siebie, a językiem pokrewni połabiańscy Syrbowie, Wilcy i Redary, byli Dalemińcy, Ukraińce, Łuczanie, Dulebianie, Drewlanie z Dradańskich lasów, — Polanie tutejsi, Łużanie z nad Warty i Odry, Bużanie od Buga, Chorbaci nawet i niezliczone naówczas plemiona, które się różnemi imionami zwały, z jednych rodów odszczepionych od pnia głównego pochodząc. Widok był zaprawdę piękny tych gromad, co się rozumiały, a przecie nie znały, i dziwiły sobie; z których każda miała inną twarz i obyczaj odmienny, a wszyscy czuli się do jednej prastarej matki.

Nie bratali się bardzo, ostrożnie ocierali o siebie, ale zanucona pieśń, rzucone słowo — zbliżały powoli.

Szare, czarne, brunatne, białe świty, siermięgi, opończe, pasami zielonemi, krasnemi, czarnemi i białemi poprzepasywane, odznaczały plemiona. Uzbrojenie też nie było równe. Plemiona z nad Wełtawy i Łaby, bliższe Niemców, już od nich wiele

zapożyczyły; ci, co mieszkali ku Wiśle i w głębi, dziczej wyglądali jeszcze. Z nad Bałtu (białego słowiańskiego morza) mieli dużo przywoźnego sprzętu, który im statki z dalekich krajów przynosiły.

Dziwa przeszła między gromadami, które ją ciekawemi mierzyły oczyma. Chramu stąd jeszcze widać nie było, bo go gęstwina zasłaniała zielona. W pośród zarośli trafiła na kamienny obwód pierwszy chramu. Stały te kamienie ogromne, jak je ziemia zrodziła, jak je morze przyniosło; nietknięte ręką ludzką, z temi twarzami, jakie im dały wieki, jedne nieopodal od drugich, w odstępach równych, jak zaklęci w głazy stróże. Jak zajrzeć w lewo i w prawo, ciągnął ten poświęcony szereg dokoła.

Na jednej z tych brył siedziała kobieta w bieli, podparta na ręku. Stara już była i włos miała srebrny, rozpuszczony na ramiona, a na nim dziewiczy wianek ruciany. W ręku trzymała laskę białą, z korą pozostawioną tylko, by ją jak wąż, jak wstążeczka opasywała. Ubiór miała wieśniaczy, biały, świeży i czysty, a przy nim spinki błyszczące. Na twarzy spokojnej, pomarszczonej i zwiędłej, widać było życie jakby senne, coś nawpół umarłego, nie troszczącego się ani o śmierć, ani o dolę.

Dziwa się pokłoniła przed nią.

Stara oczy powoli podniosła, nic nie mówiąc, ręką jej pokazała na prawo, na drożynę, głowę podparła znowu i dumała.

Dziewczyna szła drożyną wskazaną. O kilka kroków stał na kiju wsparty starzec, niewielkiego wzrostu, odziany bielizną świeżą, w obuwiu z czerwonemi sznury i zarzuconej na ramiona opończy ciemnej. Czapka wysoka, czarna, okrywała mu czoło.

Na zbliżającą się zwolna Dziwę patrzył z pod brwi siwych. Skłoniła mu się do kolan.

— Tyś tu panem i ojcem? — spytała.

— Wizun jestem... tak...

— Przytułku u was prosić przychodzę — poczęła Dziwa, powstając — będę Nii ognia pilnować święcie... Od młodu ślubowałam Bogom!

Stary Wizun łagodnie i spokojnie patrzył i słuchał. Dziewczę wymówiło te wyrazy szybko, rumieniec okrywał jej twarz.

— Sierota jesteś? — zapytał.

— Nie — miałam niedawno ojca i matkę, mam jeszcze braci i siostrę. Kmieć Wisz był mi ojcem — poczęła mówić — Wisza kneziowscy ludzie zabili...

Wizun zbliżył się ciekawie, słuchając.

— Mnie chciał porwać za żonę sąsiad nasz... broniąc się, zabiłam go. Nie chcę, aby się jego krwi mścili... przyszłam tu...

— Zabiłaś? — zawołał zdziwiony stary Wizun — ty? zabiłaś... Jak się zwał ten człowiek?

— Doman! — odpowiedziała, rumieniąc się dziewczyna.

— Doman! Doman! — ręce załamując, rzekł stary — ja go nosiłem małym na rękach.

Zmarszczył się Wizun.

Dziwa pobladła, ulękła się, aby jej nie odepchnięto. Stary nie mówił nic, wsparty na kiju milczał, patrząc w ziemię.

— Doman zabity! — szeptał do siebie — zabity przez dziewkę...

— Mów, jakeś ty go zabiła! — odezwał się.

Dziwa drżącym głosem poczęła opowiadanie, tłumacząc się z tego czynu ślubem swym i popełnionym na niej gwałtem. Wizun pytał, czy wie, że został zabity, nie raniony, — nie chciał wierzyć śmierci. Potem zamilkł.

— Pozwólcie mi tu zostać u ogniska! — zawołała Dziwa.

Nie odpowiadał stary długo, myślał.

— Zostań — rzekł wkońcu — aleś ty dla nas i za młoda i za krasna... Ty nie znasz siebie... zatęsknisz... bądź sobie gościną tylko... inaczej ja cię nie chcę... Jak ci serce odboli, pójdziesz! o, pójdziesz!...

— Nie! nie! — rzekła Dziwa — zostanę...

Wizun się uśmiechnął smutnie, nic już nie mówiąc, wskazał jej do chramu drogę.

Biegła raczej, niż szła we wskazaną stronę Dziwa. Tu stał częstokół i wrota. Częstokół był z polan gładko ciosanych, rzezany u góry misternie w zęby i koła. Wrota też miały słupy drewniane, strojne jak dziewczęta w rąbki, zęby, w pasy, jedne malowane biało, drugie żółto i czerwono. Na daszku nad wrotami wisiały wianki, w części poschłe, w części zielone jeszcze i świeże. Stąd liśćmi zielonemi kosaćca usłana już była droga.

W pniu rzezanym pięknie, u którego stał czerpaczek biały, woda była czysta jak łza, źródlana. Dziwa zaczerpnęła jej i napiła się spragniona.

— Bądź mi zdrowa, wodo święta, wodo nowa! — szepnęła.

Z za wrót wyglądał drugi staruszek, do Wizuna podobny, który się od przychodzącej skrył żywo.

Szła drogą pomiędzy dwoma częstokołami naokół, a drugie opasanie chramu było jeszcze ozdobniej z drzewa ciosane.

Wisiały na niem skóry, oręż różny i dary, które składali pielgrzymi. Tą drogą trzeba iść było, szukając wrót drugich. Do tych spinać się musiała po schodach. Ciemniej tu było, bo drzewa i opasanie światło odejmowały.

Tu już stał sam chram, na gęstych dokoła słupkach drewnianych oparty i okryty dachem gontowym. Pomiędzy słupkami, malowanemi czerwono z żółtemi przepaski, wisiały czerwone sukienne opony, zakrywające wnętrze. Ścian nie było.

Trwoga jakaś ogarnęła dziewczynę, gdy zbliżywszy się ku sukiennej zasłonie, podnieść ją miała, aby się dostać tam, skąd już nie chciała, nie myślała wynijść nigdy. Popatrzyła w świat biały, na dzień biały, posłuchała słowików gwaru i ręką drżącą podniosła zasłonę, która zaszeleściła nad jej głową.

Weszła. Tu ogarnęła ją na chwilę noc, bo oczy jej zrazu nic dojrzeć nie mogły. Na tle tylko czarnem płomień błyskał w głębi. Zapach smoły, bursztynu, spalonych ziół, przesycał powietrze ciężkie i ciepłe. Dopiero oczy oswoiwszy, postrzegła kontynę, na słupach jeszcze wewnątrz opartą, ciemną, smutną i pustą. Daleko przed nią stały kamienie, które otaczały wolno płonące ognisko. Dym i iskry dobywały się z niego to wolniej, to żywiej, i szły ku górze, do otworu w dachu, lub wiatrem zwrócone rozchodziły się we wnętrzu budowy. Przy ogniu dwie białe postaci siedziały, jakby uśpione czy drzemiące.

Z za dymu i płomieni widać było na ścianie kontyny coś niewyraźnego, podnoszącego się wysoko aż pod strop i dach. Była to czarna, okopcona postać dziwna, nieforemna, straszna, u której nóg kilka trupich białych czaszek leżało. Obok niej wisiały łuki, oręż, noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu i krasnych kulek, nanizanych na nici. U góry, w głowie potwornej dwoje oczu, dwa świecące ogromne kamienie czerwone, jakby krwią gorejącą pałały. Nie widać tam było nic, tylko tych oczu płomienistych dwoje, od których skryć się nigdzie nie było można. Patrzały na wszystkie strony, odbijał się w nich ogień u stóp płonący, migotał w czerwonych kamieniach i czynił je jakby żywemi. Wśród ciemności te drganiem płomienia ruszające się oczy bóstwa przerażały, jak spojrzenie ze światów innych, groźne i gniewu pełne.

W chramie teraz nic słychać nie było, tylko trzask palącego się łuczywa i świergot ptactwa, które otworami dostawszy się do środka, niespokojnie pokrzykiwało, latając, aby się stąd napowrót wydobyć.

Dziwa postawszy chwilę, bo w niej czerwonych oczu dwoje zrodziło trwogę i odjęło siłę, wolnym krokiem podeszła ku ognisku, myśląc:

Tu więc miejsce moje.

I nie pytając już nikogo, nie patrząc, zbliżyła się do dwóch siedzących niewiast, co ogień podsycały, siadła jak one na pustym kamieniu, wzięła nagotowane łuczywo i położyła je na ognisku.

MORITURI.

Powieść z połowy XIX w. Książęcy ród Briańskich chyli się do upadku, zrujnowany zarówno nieumiejętnością przystosowania się do nowych pojęć i warunków, jak podstępną zemstą skrzywdzonego niegdyś pokojowca. Autorowi chodzi głównie o rysunek psychologiczny książęcej rodziny. Składa się ona z trzech braci starców: 80-letniego Norberta, szambelana, głowy rodziny, utrzymywanego przez przywiązanych braci w zupełnej nieświadomości położenia majątkowego,—generała zakonu Maltańskiego i księdza sufragana, obu zacnych, zajętych błahostkami, zaciągających długi na spłatę starych długów i nie rozumiejących istotnego stanu rzeczy. Syn ks. Norberta, młody książę Ro-

bert, kocha się nieszczęśliwie, marzy i gotów się poświęcić dla rodziny. Tak samo anielska księżniczka Stella. Zabiegi przyjaciół o ratunek książęcej rodziny mściwy wróg paraliżuje z zaciętością. Nakoniec cel osiągnął. Podstępnie uzyskuje audjencję u ks. szambelana.

W dniu wyznaczonym pan szambelan polecił kamerdynerowi, aby mu dobył dawno nie potrzebowany strój paradny, a nawet niebieską wstęgę i parę zagranicznych orderów, które zwykle wkładał tylko na wielkie uroczystości. Chciał snać tem większe wywrzeć wrażenie na biednego szlachetkę. Pokoje kazano wyświeżyć i przybrać, służba przywdziała liberje wielkie; słowem wszystko było w pogotowiu, jak gdyby na przyjęcie znakomitego gościa. Zarazem jednak zalecone było, ażeby to się nie wydawało umyślnie na ten dzień wziętem, ale jakby powszedniem. Gozdowski miał Zembrzyńskiego przyjąć w ganku i do drzwi szambelana odprowadzić.

Na umówioną godzinę powóz pana Zembrzyńskiego stanął w istocie pod gankiem, a szlachcic wysiadł z niego blady i jakby pomieszany. Wydał jakieś ciche rozkazy ludziom swoim, którzy pomimo nalegania służby od ganku się oddalić nie chcieli i z powozem przy nim pozostali.

Gozdowski rozpoczął rozmowę, lecz przybyły nie zdawał się jej ani słyszeć, ani rozumieć, szedł prosto przed siebie, szukając już oczyma kogoś przed sobą, a gdy mu wskazano drogę i otworzono drzwi, rzucił się w nie z pośpiechem tak, że zdawać się mogło, iż obawiał się, aby go jeszcze nie wyrzucono.

Szambelan sam jeden—wedle umowy—oczekiwał na niego, podwoje się zatrzasły, a Gozdowski, oczekujący niecierpliwie wyjścia Zembrzyńskiego, rozpoczął przechadzkę i nasłuchiwanie, ale drzwi szczelnie zaparte żadnego nie puściły głosu.

My—nim tę scenę opowiemy, wróćmy do Zembrzyńskiego w tej chwili, gdy Gozdowski mu oznajmił, że mieć będzie żądane posłuchanie.

Po odjeździe plenipotenta stary latał, jak oszalały; całe życie pracował on na tę chwilę zemsty, której nareszcie spragnione jego usta napić się miały. Pięćdziesiąt lat palił go na twarzy otrzymany policzek; poświęcił się cały zapłaceniu zań; teraz nadeszła chwila, w której szambelan był w ręku jego.

Zembrzyński namyślał się, co począć? Gorączka nim miotała; chciał najprzód przypomnieć starcowi krzywdę wyrządzoną — i dawszy policzek za policzek, ząb za ząb, siąść do powozu i uciec.

Wkrótce rozwaga przyszła, niebezpieczeństwo takiego postępku, nikczemność porwania się na starca bezsilnego, oburzenie, jakie to wywołaćby musiało, strach zemsty, powstrzymały gwałtowne pierwsze postanowienie. Zembrzyński powiedział sobie, że mu rzuci w oczy rękawiczkę i zemściwszy się sławy, odjedzie. Chciał, ażeby szambelan wiedział, iż on całe

życie nosił się z myślą zemsty, że dla niej pracował, męczył się, znosił nędzę, i że temu tajemnemu prześladowaniu winien był w większej części ruinę swoją i rodziny. Układał plany, jak to ma powiedzieć, jakich użyć wyrazów, lecz wśród snucia projektów napadały go i trwogi i niecierpliwość. Powracał do pierwszej myśli opoliczkowania z namiętną pasją, to znowu słabł i chciał z dumą wystąpić słowem tylko i wyrzutem.

Cały dzień spędził na tem trapieniu się myślami, na przerabianiu swej mowy, na rojeniu o tem spotkaniu, a gdy nazajutrz drżący z niecierpliwości siadał do powozu, nie był pewny, jak postąpi, czy go namiętność uniesie, czy wspaniałomyślność, czy złaje, czy przebaczy, czy się porwie...

W takim stanie rozdrażnienia wysiadł Zembrzyński z powozu i poszedł za Gozdowskim do pokoju szambelana.

Był to dziwnem zrządzeniem wypadku ten sam pokój, ten sam na boku stał w nim dotąd stół, przy którym Zembrzyński niewinnie został opoliczkowany. Gdy wszedł, żywo jeszcze jakby wczorajsza przypomniała mu się cała ta scena, i na nowo wybuchnęła żądza zemsty, ale się pohamował.

Przed nim stał z miną pańską, z całą powagą swą — starzec siwowłosy, mimo wieku tak jeszcze krzepki, imponujący postacią, jak przed pięćdziesięciu laty. Twarz jego miała wyraz tej pewności siebie, tej dumy pańskiej, przed którą Zembrzyński dawniej drżeć był nawykł. Był to ten sam, od którego chłopakiem ubogim uciekł. Dziś mienie, spokój, honor nawet jego były w rękach mściwego człowieka, który dożył uroczystej chwili porachunku.

Szambelan podszedł kilka kroków i grzecznie powitał Zembrzyńskiego. Ten kocie swe oczy wlepił weń milczący, wzrokiem go przeszywając, szedł zwolna, nie mówiąc nic; myśli i wyrazy wirowały mu po głowie i ustach...

Oglądał się, czy nie było zasadzki... ale pokoje były puste i drzwi pozamykane. Od lat pięćdziesięciu nie zaszła tu prawie żadna zmiana: poznawał sprzęty, przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły. Tylko książę Norbert z młodego i żywego mężczyzny stał się starcem, obleczonym majestatem wieku.

Spojrzenie Zembrzyńskiego i wyraz jego twarzy tak dolegały szambelanowi, iż nareszcie oczy spuściwszy, aby nań nie patrzyć, sam postanowił przemówić, by nazbyt przeciągnione przerwać milczenie.

— Witam waćpana dobrodzieja—odezwał się szambelan — i najprzód mu dziękuję za jego uprzejmość, iż chciałeś się do mnie fatygować.

Nim się zebrał na odpowiedź Zembrzyński, wargi sobie do krwi pokąsał.

— Nie uprzejmość żadna mnie tu sprowadza — zawołał — mylisz się, wasza książęca mość, przyjechałem w innym celu.

— Zawsze to z jego strony dla nas... dla mnie bardzo pochlebna atencja.

— Nie z atencją przybyłem, mości książę — głośniej podchwycił Zembrzyński — inny mam cel.

Uderzony wyrazami i tonem, szambelan się wyprostował i spojrzał z góry.

— Radbym go wiedział — rzekł sucho — siadaj asindziej.

— Dziękuję, będę mówił stojąc — odparł gwałtownie Zembrzyński.

— Jak się podoba, ale ja z memi staremi nogami stać nie mogę: pozwolisz, że siądę.

I z największym spokojem szambelan siadł. Spojrzał na gościa, spotkał kocie jego oczy, lecz wzroku ich wytrzymać nie mogąc, swoje od nich odwrócił.

Zembrzyński syczał, nie mogąc przyjść do słowa, spokojność starca go rozniamiętniała.

— Nie wiem, czy wasza ks. mość dawne czasy dobrze dziś sobie przypominasz — począł, trzęsąc się niemal. — Co do mnie, ja mam pamięć doskonałą. Lat temu pięćdziesiąt i kilka, mości książę, na jego dworze służył ubogi chłopak, który nie mógł sobie zasłużyć na łaski pańskie. Bito go i pędzano pod zły humor... Ot, przy tym stoliku, mości książę, racz sobie dobrze przypomnieć — tam... ten chłopak niewinnie dostał od was policzek. Tym chłopakiem jestem ja — uderzył się w pierś — dzisiaj przychodzę ci go oddać.

Książę zrazu snać nie zrozumiał, potem osłupiał w miarę, jak słuchał, naostatek zerwał się, wstał i wyprostowany jak posąg, rękę trzęsącą się naprzeciw siebie wyciągnął.

— Ha! boisz się — zawołał Zembrzyński — bezsilny stary!... Jesteś dziś w moich rękach, na mojej łasce... Lecz cóż to znaczy, gdybym ci dał policzek? Ja ci dam raz w serce, bo ci powiem to, co przed tobą ukrywają i tają, co cię zabije! Jesteście przeze mnie bankrutami, w Briańsku siedzicie na łasce, nie macie nic... jesteście żebracy... gorzej, bo zostajecie ze sromotnemi długami na sumieniu... Rozumiesz to, mości książę? To wszystko zrobiłem ja! Dopomogłem do ruiny, szczerbiłem, gryzłem, jak robak wpiłem się w wasze ciało... i mam tę pociechę, żem dokazał, czegom pragnął... Pójdziecie z torbami, jaśnie oświeceni książęta! Cha! cha! — z torbami! cha! cha!

Nieruchomy stał stary książę, słuchając i patrząc oczyma osłupiałemi, jakby mowy tej zrozumieć nie mógł. Wszystko, co mu się obijało o uszy, zdawało się czemś tak niepojęcie dziwnem, że Zembrzyńskiego wziął za warjata. Jedna okoliczność: wspomnienie policzka danego niewinnie, który on sobie całe życie wyrzucał, nadawała tej scenie prawdopodobieństwo.

Na gwałtowną mowę szambelan — do podobnego apostrofowania nie nawykły, nie umiał odpowiedzieć, — takim tonem nikt nigdy do niego mówić się nie ośmielił, — nie rozumiał, co

to mogło znaczyć... Słuchał więc, a gdy zaperzony Zembrzyński przestał, namarszczył tylko brwi i rzekł:

— Co — co? co to jest? mów asindziej jaśniej, powoli... Nie rozumiem.

— A! wasza książęca mość nie rozumiesz,—jak to? i nie pamiętasz niewinnie danego mi policzka? hę? Naprawdę tobym za niego może i wdzięcznym być powinien, bo on mnie zrobił człowiekiem. Gdyby nie to pragnienie zemsty, jakie on we mnie obudził, byłbym się może zwalał, spadek po stryju stracił, a tak... skąpiłem, szachrowałem, ciułałem, zbierałem, pókim nie dorobił się tyle, aby całym ciężarem mojego majątku siąść wam na karku i ssać. Cha, cha! To może i tego nie rozumie w. ks. mość, żeście bankruci?

— Nigdy żaden Briański nie zbankrutował!—zawołał książę szambelan, rumieniąc się cały.

— Doprawdy? a dlaczegóż?

— Dlatego, że każdy oddał do koszuli, jeśli komu był winien.

— Ale wy dziś i koszulę oddawszy, zostaniecie dłużni!— podchwycił Zembrzyński—i to, co masz na sobie, nie jest już twoje. Winniście Garbowskiemu więcej, niż warto to, co wam pozostało. Ja wam odbiorę pół Briańska, które wygrałem... i pójdziecie z torbami...

Książę ponuro w ziemię spojrzał—zdawało się, że dreszcz jakiś przebiegł po nim; siadł i powlókł ręką drżącą po czole.

— Mów powoli—rzekł cicho—mów powoli. I to asindziej tego cudu dokazałeś przez zemstę?

— Tak, ja, ja!—roześmiał się zwycięsko Zembrzyński — nie macie nic... ja wam zabieram wygrane ziemie, a reszta na spłatę długów nie wystarczy.

Starzec popatrzył nań długo; w tem wejrzeniu przeszły z kolei uczucia różne, milczał, wreszcie się odezwał.

— I jesteś asindziej szczęśliwy teraz? zadowolony? spokojny?

Zembrzyński zabełkotał coś — spodziewał się wybuchu — znajdował niewzruszone męstwo jakieś, które po ochłonięciu z pierwszego wrażenia wracało...

— Będę szczęśliwy—odpowiedział—gdy was zobaczę upokorzonych, odartych, żebrzących, na barłogu.

— Mój panie Zembrzyński, szkoda, że to nie może być— odezwał się szambelan zwolna—majątek możecie sobie zabrać. Większe od nas rody zubożały nieraz, a nie były ubóstwem upokorzone... bo my potrafimy nasze ubóstwo lepiej nosić, niż ty swoje bogactwo. Żebrać nie będziemy... Jam stary, umrę prędko; dzieci pójdą pracować. Moje resztki i gałgany wyniosą tyle, ile twoja fortuna. Zatem mospanie Zembrzyński, gdyś swoje sprawił... a oddałeś mi policzek... bywaj zdrów i idź z czystem sumieniem, jeżeli możesz...

Zembrzyński zbladł z gniewu... ręka mu drżała, myśl zrywała się namiętnie, budząc go, by się targnął na starca; lecz szambelan, który zwykle chodził z laską i miał ją przy krześle, od niechcenia obojętnie wziął ją do ręki i bawił się ciężką jej gałką złoconą. Zembrzyński postrzegł, że niby łatwiejszego nie było, jak w głowę nią dostać za pierwszem gwałtowniejszem poruszeniem.

— Masz mi asindziej jeszcze co do powiedzenia? — spytał stary.

— Nic więcej, mości książę, chciałem ci przypomnieć obelgę... i dowieść, że nad robakiem nawet znęcać się nie trzeba, bo i robaki kąsają.

— Dziękuję waszmości za naukę — odparł zwolna szambelan. — Co się tyczy policzka, winien byłem, przyznaję, a jeśli chcesz, powiem ci, iż przebaczenia proszę. Ja ci też twą zajadłość przebaczam... Nie mogło inaczej być... za mało miałeś serca, abyś się mścił inaczej i szlachetniej. Rzeczy więc zakończone, idź asindziej z Bogiem, idź z Bogiem!

To mówiąc, zadzwonił stary ręką drżącą, wszedł kamerdyner... oczyma książę mu wskazał gościa, któremu szeroko drzwi otworzył. Książę Norbert wstał, postąpił krok i ukłonił się spokojnie, a poważnie.

Zembrzyński zmieszany, zły, rzucił nań okiem mściwem— dopadł progu i wybiegł, snać obawiając się pogoni, bo znalazłszy powóz przed gankiem, rzucił się weń i kazał pędzić co koń wyskoczy do domu.

HRABINA COSEL.

Tragiczne losy faworyty Augusta II, która lat kilka utrzymała władzę nad kapryśnym monarchą, wkońcu usunięta od dworu, uwięziona, po śmierci Augusta nie chciała swojej pustelni opuścić i dokonała w niej życia.

Zabawy Augusta II.

Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światło i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta, zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo opłakiwać swe straty... wysypane próżno miljony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć, by tak szlachetnego

i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezno po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku. Dlaczego? Nikt nie wiedział. Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że naprzekór Szwedowi August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuwający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże, minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie. Straże tu nie wpuszczały nikogo.

Na pierwszem piętrze mimo wichru okna były szeroko poodmykane, z za osłon, które nawpół je okrywały, rzęsiste światło jarzące migało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury... powoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle— jakby po przebrzmiałej mowie — zrywały się znowu oklaski, i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim szyderczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła pod oknami, stawała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię.

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy.

Tam król się weselił.

Od powrotu z Polski takie uczty wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufałych ludzi — nazwijmy ich przyjaciółmi — bywały częstsze, niż dawniej; August Mocny zwyciężony przez dziwacznego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach; zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgrzyna złocistego, po który umyślnie

słano na Węgry co roku, ustawiano puhary, i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzeseł pospadali, a króla Hoffman pod rękę śmiejącego się do łoża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa madziarskiego niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani, a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach dla tych, których niecierpiał — mówiono — był niebezpieczny. Siłę miał herkulesową, gniew olimpijski, a władzę nieograniczoną... W dni powszednie z rana gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną, oczy błysły, wargi zadrżały, odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozpłomienił; — ale po kielichu... niejeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać...

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłem życiu nie było łagodniejszego pana, ani słodszego, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet, że im mniej kogo znosił, tem dlań uśmiech miał milszy, a w przededniu zaprowadzenia do Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ściskał ich jeszcze, jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się — toć przecie panu potrzeba koniecznie... cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, — lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryźli... Ten rodzaj rozrywki najmilszy był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinneć to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem, nawet co zamyślał który z dworaków, — jeśli nie wiedział, to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał — próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tem, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... A król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzał z góry na komedję życia, nie gardząc w niej olympijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorem zaś Bachusa.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Wychowanie i wpływy domu babki, — skłonność do pracy samodzielnej, niesystematycznej. Szkoła.

Uniwersytet i rok 1830 w Wilnie, uwięzienie Kraszewskiego. Wpływ więzienia na twórczość Kr.

Pierwsze obrazki powieściowe, ich charakter. Dla kogo Kr. chce pisać? Stosunek do romantyzmu. Przyczyny powodzenia pióra Kr. Wartość tych drobiazgów społeczna i artystyczna.

Powrót w strony rodzinne i małżeństwo. Upodobania i prace.

Świat i poeta. Cząstka osobista. Typ poety, powtarzający się później kilkakrotnie,—cechy stałe. Czy poeta istotnie musi być niedołężny życiowo? Przyczyny zainteresowania ogółu tą pracą.

Ateneum. Cel pisma i znaczenie. Ówczesny pogląd Kr. na zadanie powieści. Jakiej zmianie ulegał i uległ z biegiem czasu? Niezmordowana praca redaktorska i trudności wydawnicze.

Czynne życie Kr. w Żytomierzu. Praca społeczna i narodowa. Pierwsze utwory sceniczne. Zasługi Kr. w tym okresie.

Kr. w Warszawie przed r. 63-im, jego stanowisko wobec ruchu narodowego. „Sprawa polska". Dlaczego nie mógł być wodzem narodu?

Odporność wobec klęski i czynne życie w Dreznie. Bolesławita: Rachunki i powieści. Ich znaczenie. Działalność wydawnicza we własnej drukarni.

Zamiar cyklu powieści historycznych. Poprzednie prace na tem polu. Materjały. Artystyczna wartość tego cyklu.

Jubileusz 50-lecia autorskiej pracy Kr.

Kraszewski przed sądem pruskim. Niestrudzona praca w więzieniu. Ostatnie tygodnie życia.

Powieść Kraszewskiego Jakie w niej porusza tematy i zagadnienia; — epoki i obrazy? Dlaczego pisze i czego od swojej pracy wymaga? Echa romantyzmu i parcy organicznej w powieściach Kr. Uczuciowość w powieści Kr. Wykończenie i względy artystyczne. Jakie pod tym względem zmiany zachodzą w jego poglądach w ciągu życia? Co dał Kr. w powieści swemu narodowi.

„Stara Baśń". Wielkie odczucie epoki. Krajobrazy. Obrazy. Ludzie. Strona religijna i obyczajowa w „Starej Baśni". Artystyczna wartość powieści. Język.

Lud i jego dola w powieściach Kr. Jak przedstawia sprawę włościańską? Co uważa za jej rozwiązanie?

Dwór szlachecki w powieści Kr.

Arystokracja w powieściach Kr. („Morituri", „Dwa światy", „Mogilna"). Porównanie z Korzeniowskim i Rzewuskim.

Krajobraz Kr.,—zestawienie z Korzeniowskim i Czajkowskim.

Powieść Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Kraszewski i Korzeniowski jako pisarze dramatyczni.

Kraszewski olbrzym pracy. Zasługi. Znaczenie i stanowisko w literaturze.

Jaką pracę Kr. cenisz najwyżej i dlaczego?

Do czytania. „Sto lat myśli polskiej" t. VIII. Kraszewski w opracowaniu Br. Chlebowskiego.

TEODOR TOMASZ JEŻ. — ZYGMUNT MIŁKOWSKI

bojownik wolności

1824 — 1915.

Syn dzierżawcy, żołnierza napoleońskiego, wnuk żołnierza kościuszkowskiego, odziedziczył po przodkach krew rycerską, która na każdem polu robi z niego bojownika z najszlachetniejszemi cechami tego typu.

Urodzony nad Dniestrem w Saracei, Podole i Wołyń najlepiej zna z całego kraju, który wcześnie musiał opuścić. Dom dał mu na drogę życia zdrowie, energję, gorące uczucie i kulturę umysłową, gdyż w skromnym dworku pano-

wało szczere umiłowanie wiedzy, w szczególności — polskich autorów. Tym sposobem w dzieciństwie poznał niektóre utwory Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza i wielu innych.

Obok książki jednakże kochał ruch, swobodę, pełny oddech, piękną naturę. Oddany do szkół w Niemirowie, zdolny chłopiec uczył się łatwo i przechodził z klasy do klasy, nie ukończył jednak gimnazjum z powodu zajścia z dyrektorem. Nie złamało to wcale młodzieńczej energji, przygotował się w domu i po roku zdał w Odesie na wydział matematyczny. Uniwersytet skończył z odznaczeniem i złotym medalem za konkursową rozprawę.

W następnym roku udał się do Kijowa, dążąc do uzupełnienia wiedzy w swej specjalności. Tam go zastał rok 1848 i powstanie węgierskie. Porzuca książkę bez chwili wahania i jako ochotnik wstępuje do szeregów, aby walczyć o wolność. Odwaga, męstwo, przytomność umysłu odrazu zwracają na niego uwagę i szybko posuwają na drodze awansu. Wiemy jednak, że pomoc Rosji dała wkońcu przewagę Austrjakom, a polscy ochotnicy musieli schronić się do Turcji.

Zygmunt Miłkowski w stopniu porucznika, lecz bez grosza w kieszeni, uzyskał tutaj drogą układów międzynarodowych pozwolenie na wyjazd do Anglji. Skoro nie może powrócić do kraju, niechże zobaczy świat. Liczył na własne siły, biedy się nie lękał, już przywykł do twardego życia. W Londynie jednak 10 dni o głodzie szukał jakiegokolwiek zajęcia, zanim przyjęty został w roli posługacza do fabryki obić papierowych. I to dzięki protekcji rodaka. Wkrótce w tejże fabryce zostaje rysownikiem, a jednocześnie trafia do polskiej organizacji. Jest to Zarząd Tow. Demokratycznego, wydalony z Paryża. Oceniają tu zdolności Jeża, dają wskazówki do samokształcenia, z których korzysta chciwie, a zarazem korzystają z jego usług, drukują w swoich pismach jego artykuły.

W r. 1851 wysyłają go z paszportem angielskim na półwysep Bałkański dla dokładniejszego zbadania spraw i położenia południowej Słowiańszczyzny. Po drodze zwiedza Francję, południowe Włochy i Grecję, zawadza o wybrzeże Azji Mniejszej, przebywa w Konstantynopolu, uczy się po turecku, włada nieźle słowiańskiemi narzeczami, kręci się w przebraniu chłopskiem, odwiedza rodziców. Z chwilą wszakże wybuchu wojny z Turcją — chcąc ratować dwóch młodszych braci, którzy u niego szukali schronienia, zostaje zatrzymany przez władze rosyjskie. Ocala go paszport angielski, lecz jeden z braci rozstrzelany, drugi zabrany do rot aresztanckich.

Był to cios straszny, który odchorował ciężko.

Po powrocie do zdrowia łączy się z armją turecką w charakterze informatora przy sztabie naczelnego wodza wojsk egipskich i bierze udział w czynnościach tej armji, choć sprzyjając Turcji w walce przeciw Rosji, jest zarazem jej przeciwnikiem w sprawach południowej Słowiańszczyzny.

W ciągu wojny i po jej ukończeniu Miłkowski pozostaje na półwyspie, przebiegając go w różnych kierunkach, wnikając w życie, uczucia, charakter południowych ludów słowiańskich i zarabiając na chleb w rozmaity sposób: jest handlarzem, agentem spółki przemysłowej francusko-greckiej, której oddaje poważne usługi, chwilowo w Konstantynopolu jest subjektem w modnym magazynie, żadna praca nie wydaje mu się niewłaściwą. Jednocześnie zbliża się w Konstantynopolu do polskiego kółka literatów, którzy go zachęcają do pisania. Przesyła znów korespondencje do Londynu, pisze nawet broszurkę „Udział Polaków w sprawie wschodniej", która naraża go jednak na wiele nieprzyjemności z powodu zbyt wyraźnych i otwartych sądów.

Korespondencje Jeża ukazują się w Gazecie Warszawskiej i budzą, powszechne zajęcie, pojawia się nakoniec pierwsza powieść, „Wasyl Hołub" w 1859, na tle własnych spostrzeżeń i przeżyć lat ostatnich.

Bardzo życzliwe przyjęcie powieści przez publiczność i krytykę zachęca autora do pracy na tem polu. Następuje wzruszająca „Handzia Zahornicka", „Szandor Kowacz" na tle stosunków węgierskich, — wszędzie to samo żywe i szczere uczucie, nowy teren, nowe stosunki, nowe dla ogółu światy, budzenie się nieświadomych własnej siły uczuć narodowych, odsłanianie najszlachetniejszych stron ludzkiego serca, świeże tchnienie myśli dojrzałej i zdrowej.

Jeż zaczyna pisać, mając lat trzydzieści kilka, ogromny zasób przeżyć, doświadczenia i ustalony pogląd na kwestje społeczne. Uczucie narodowe jest rdzeniem jego duszy, tłem wszystkich pojęć, zasad, poglądów i dążeń, podstawą, na której się wszystko rozwija.

Wieczny tułacz jest znowu w Londynie, w Paryżu, w r. 1860 poznaje Warszawę, w r. 61 żeni się w Galicji. W 1863 r. z polecenia Rządu Nar. w Warszawie organizuje w Tulczy pomocniczy oddział powstańców, który ma wkroczyć na Podole, Wołyń, jego rodzinne strony. Po walce jednak z Rumunami zostaje rozbrojony, musi przekroczyć granicę austrjacką i zapoznać się z więzieniem we Lwowie.

Po uwolnieniu znowu wędrówka po świecie, nakoniec ustalenie pobytu w Szwajcarji, gdzie przebywał kolejno w Lozannie, Genewie, Zurychu. Odwiedził nawet w 1900 r.

Amerykę dla zbadania tam kolonij polskich. Umarł w Lozannie 1915 roku.

Od chwili osiedlenia się w Szwajcarji orężna walka Jeża jest skończona, ale nie narodowa ani polityczna: walczy jeszcze czynem i piórem. Wydaje pismo „Niepodległość“, — w 1887 ogłasza broszurkę „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym“, która poruszyła ogół, pobudziła do myśli o przyszłości, stworzyła pewien fundusz, na cele narodowe później zużytkowany. Należy do założycieli Ligi Narodowej Polskiej (z Dmowskim i Balickim Zygmuntem), pisuje artykuły polityczne do „Przeglądu Wszechpolskiego“; jest członkiem Zarządu Związku Wychodźtwa polskiego i Rady zarządzającej Muzeum Narodowem w Raperswilu.

Do najwcześniejszych prac jego należą „Pamiętniki włóczęgi“, już w 1856 rozpoczęte w Dzienniku Literackim lwowskim, które budziły wielkie zainteresowanie nowością tematu i poruszanych przez autora kwestyj.

W powieściach zawsze na tle narodowem porusza kwestje społeczne, znaczenie obowiązku, pracy i postępu, wskazuje smutne i śmieszne następstwa braku oświaty, zwracając uwagę na szczególne zaniedbanie kobiet pod tym względem, podkreśla wartość cnoty, poświęcenia. Patrjota i demokrata, życie maluje realnie, typów, ludowych zwłaszcza, nie upiększa i nie idealizuje, bierze ich z naturalnemi wadami i brakami, ale — mocno i niewzruszenie wierzy w ich szlachetność, w przewagę zawsze pierwiastków dodatnich i — zdrowy chłopski sąd. Zgadzając się w zupełności na wartość „chłopskiego rozumu“, musimy jednak uznać, że przypisuje mu zbytnie wyrobienie i dojrzałość. Gdyby nasz lud był takim, gdyby mógł być takim po wiekowej przeszłości — pogodne jutro nasze byłoby bliskie i pewne.

Do tych złudzeń przyczyniało się zapewne wczesne oderwanie od kraju, który znał tylko ze wspomnień dzieciństwa i dorywczych wrażeń młodzieńczych. Z tego też powodu najswobodniejszym się czuje, opisując Serbów, Bośniaków czy Turków; w naszej literaturze jest jedynym znawcą stosunków w południowej Słowiańszczyźnie i najchętniej odsłania przed czytelnikiem ten nowy i ciekawy teren, malując zawsze ucisk i głupotę okrutnego ciemięzcy i budzenie się świadomości narodowej ludów uciemiężonych. Z własnego kraju najlepiej zna tylko Wołyń i Podole, o innych okolicach Polski mówi z pewną nieśmiałością, gdyż trzeźwy i realny pisarz nie może w tych rzeczach opierać się na wyobraźni. Ta realność obrazów i postaci, zwłaszcza natur silnych, szlachetnych, stanowczych, — dojrzałość poglądów, wynikająca z tego, że autor zaczął pisać dosyć późno

uniknął przez to prób młodzieńczych, — śmiałość wreszcie i oryginalność przekonań, odrębność języka i stylu — odrazu wyróżniły Jeża od współczesnych mu pisarzy, nadając utworom jego cechy samodzielne i bardzo wyraziste zabarwienie.

Pod względem budowy dzieła jego nie są opracowane artystycznie. Rozsadzają je często epizody, rozumowania autora od siebie i t p. — lecz o to mu wcale nie chodzi, nie dąży pod tym względem do doskonałości. Praca autorska — to dla niego służba ojczyźnie, służba narodowa, prosta, szczera i energiczna. Chce wypowiedzieć wszystko, co ma do powiedzenia, chce pociągnąć i zająć. A że tam te obrazki wystąpią w sukmance, choćby łatanej nawet, zamiast w klasycznym stroju, uznanym za doskonały i piękny — nie będzie o to dbał.

Mimo zresztą usterek — mają tyle zalet, że powinny być lepiej znane i bardziej rozpowszechnione, bo stanowią chleb zdrowy i pożywny. Podajemy wyjątki z „Prapradziadka i praprawnuka“, jako rzeczy najdokładniej malującej społeczne tendencje autora, oraz z najlepszej jego powieści „Uskoki“, na tle dziejów południowej Słowiańszczyzny.

HISTORJA O PRA-PRA-WNUKU I PRA-PRA-DZIADKU.

Historja o pra-pra-wnuku i o pra-pra-dziadku, jedna z pierwszych powieści Jeża i najbardziej może programowa, zawiera jego pogląd na chłopów i szlachtę, jej pochodzenie, wzajemny stosunek tych stanów, ich charakterystykę i rozwiązanie kwestji.

W przypuszczalnym protoplaście swego rodu daje przykład, jak powstawać mogło rycerstwo. Mówi o tem we wstępie:

Wojna, kraj potrzebuje obrońców.

„Gmina wezwała ochotników, okryła ich, na drogę opatrzyła, ustroiła i na rycerzy pasowała. Mówiła do nich:

— Idźcie w imię Boże, wy Boży wojownicy, i nie troszczcie się ani o rodziny wasze, ani o dom, ani o rolę, ani o dobytek... Będzie nad tem wszystkiem czuwało oko moje troskliwie, jak matczyne.. Z waszego nic wam nie ubędzie, a z mojego przysporzę wam tyle, aby wam starczyło na wczas po znojach i trudach.

Czyż mogło być co piękniejszego, co bardziej sprawiedliwego nad taki układ wzajemnej pomocy! Lecz nie przetrwał on czasów zamierzchłej przeszłości. Zaledwie zachwycić go na przelotne spojrzenie możemy z epoki pierwotnej organizacji naszego społeczeństwa. Zawiązał go nasz duch narodowy, rozwiązała obczyzna.

Rycerstwo nasze zetknęło się, bo zetknąć się musiało z feudalizmem zachodnim i nim się zaraziło. Olśniły je pańskość i przepych. Domowe, wiecowego pochodzenia pasowanie

na rycerzy wydało mu się jakiemś prostaczem, trywialnem, za mało odznaczającem. Zachciało mu się odznaczenia — herbów, wstęg, pióropuszów, giermków, paziów, turniejów. Zachciało mu się pasowania formalnego, z wkładaniem złotego łańcucha i z przypinaniem złotych ostróg. Na to wszystko chudoba domowa i składkowe zaopatrywanie przez gminę nie wystarczały. Na to trzeba było być panem gminy, panem w swojej własnej i całego swego potomstwa osobie".

W ten sposób szlachta krzywi swoją rolę społeczną, tworzy fałszywe o rzeczy pojęcie, zapomina przeszłości i swego początku, krzywdzi braci i w zaślepieniu win swoich nie rozumie. — A chłop — uciemiężony, przy pracy, zachowuje zdrowy rozum i szlachetność.

Tę myśl ilustruje powieść: Hist, pra-pra-dziadka. Chłop Kuźma z Hrynienek, wysłany przez gromadę na wyprawę wołoską w 1600 r. Młodzi rwali się w świat z reguły, poznać życie, sił popróbować, lecz tą szkołą było dla nich Zaporoże. Tym razem przypadkowe zatrzymanie się we wsi rycerza Lisowskiego, (późniejszego wodza Lisowszczyków), daje Kuźmie inny kierunek. Wyrusza pod jego opieką i jako Kuźma Jeż (herb protektora) przyjęty do chorągwi, daje dowody męstwa i odwagi, roztropności i szlachetności. W boju ocala życie staroście Kamienieckiemu i zamiast niego zostaje na polu ciężko ranny.

Więc jako rycerz — pozyskuje sławę, jako człowiek — wiele zaczyna rozumieć. Lecz niewszystko:

„Patrząc na Zaporożców, zapytywał siebie:

Czem oni są gorsi od usarzów i pancernych? Biją się jak tamci, służą jak tamci, rodzą się i umierają jak tamci, myślą i czują (proszę! on już wiedział coś o myśli i uczuciu) jak tamci; jedni z nich mają rozum, drudzy są głupi, jedni źli, drudzy dobrzy — zupełnie jak pomiędzy tamtymi; dlaczegóż tamci co innego, a ci co innego?"

Waleczność i zasługi Kuźmy domagają się nagrody. Starosta, który mu zawdzięcza życie, chce uczciwie dług spłacić. Pochodzenie Kuźmy budzi od początku niejakie wątpliwości. Oczywiście nikt nie posądza go o proste chłopstwo, ale szlachectwo miało różne stopnie, trzeba je więc zatwierdzić, podnieść. Otrzyma testimonium virtutis, podpisane przez Hetmana, starszyznę i towarzyszy. Z tem ma prawo stanąć przed sejmem i zażądać chlubnej nobilitacji. Tym sposobem Rzplitej przybędzie obrońca, a zasłużony otrzyma nagrodę.

Lecz Kuźma-chłop właśnie o nagrodę nie dba. Mówi to Lisowskiemu, kiedy ten mu wspomina o majątkach i dostojeństwach.

„Co mi po tem? Nie dla pieniędzy ja poszedł na wojnę, nie dlatego się bił. Mam w Hrynienkach grunt, młyn i chatę..."

Nadchodzi jednak dzień uczczenia zasługi, wręczenia mu nagrody.

Na placu uszykowało się rycerstwo, brzmią okrzyki, na krużgankach wkoło niewiasty, dziewice, wjeżdża starosta, świetnym dworem otoczony. Przemawia do rycerstwa, dziękuje w imieniu króla za męstwo, „za cnotliwe i zaszczytne sprawowanie podczas wołoskiej potrzeby".

„Po tym wstępie opowiedział w krótkości dzieje wojny... i od zasług ogólnych przeszedł do szczególnych, w których jako przykład dał Kuźmę Jeża.

— Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i Zaporożce! Imćpan Kuźma Jeż, o czem wszyscy zaświadczyć możecie, zasłużył na to, aby go zaszczytnie wymienić i jako wzór postawić... Nie wiemy, kto on jest, skąd pochodzi, jakie posiada parantele i koligacje... Lecz kto takiej cnoty dał dowód, tego się o parantele i koligacje nie pyta, ten jeżeli nie jest świetnego rodu potomkiem, sam swoją osobą staje świetnie na czele rodu... Panie Kuźmo Jeżu, wystąp z szeregu".

Zmieszany i zachęcany przez towarzyszy Kuźma występuje wreszcie z szeregu i wstrzymując konia, stoi przed Starostą.

„Starosta wydobył z zanadrza arkusz papieru we czworo złożony i pierścień i trzymając jeden i drugi, tak rzecz dalej ciągnął:

— Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby cnota pozostała bez nagrody. Czeka ją wprawdzie niechybna nagroda w przyszłem życiu, lecz wówczas tylko, kiedy jest ukryta, kiedy o niej ludzie nie wiedzą. Wiedząc wszelako, dawałoby to najgorsze o ludziach wyobrażenie, gdyby pomijali ją milczeniem i niezważaniem: dawałoby to bowiem widzieć, że nie umiejąc poznać się na cnocie, nie warci są, aby ta pośród nich kwitła. Z tego powodu, imć panie Kuźmo Jeżu, na propozycję Hetmana wielkiego koronnego i na jednogłośne zgodzenie się wodzów, sporządziliśmy dla waszmości testificatio virtuti następującej osnowy.

Tu rozwinął papier i czytał. Treścią tego dokumentu było poświadczenie waleczności i poświęcenia, polecone jako wzór dla współczesnych i potomnych. Starosta przeczytał wszystko, a wkońcu i podpisy, których było przeszło trzydzieści, gdyż podpisało się wielu pułkowników i rotmistrzów.

Brzmienie nazwisk na podpisach wyrażonych, a kolejno i powoli wymawianych, wywołało szmer powszechnego uznania.

Kuźma stał w milczeniu, słuchał i zdawał się być pogrążony w zamyśleniu.

Skończywszy czytanie, podał Starosta Kuźmie papier z taką przemową:

— Z tem stań waszmość przed Królem i zgromadzonemi na sejm Stanami, i jeżeli jesteś szlachcicem, upomnij się o panem bene merentinus, jeżeli zaś nim nie jesteś — o szlachectwo. Na podstawie tego dokumentu jesteś szlachcicem polskim.

Tu Starosta zamilkł, a widze podchwycili:

— Niech żyje Kuźma Jeż!... Wiwat szlachcic polski!...

— Niech żyje!—powtórzyły szeregi, i podwórze zagrzmiało Kuźmy imieniem.

Kuźma stał ze spuszczoną głową, trzymając papier w ręku. Koń pod nim żuł wędzidło i kopał niecierpliwie kopytem.

Gdy się uciszyło —

— A oto—rzekł Starosta, podając Kuźmie pierścień—dar dla waszmości od J. M. Jeremjasza, mołdawskiego hospodara... Ten pierścień otwiera waszmości przystęp do łask jego hospodarskiej mości.

Kuźma wziął pierścień i z dokumentem trzymał go przez jakiś czas w ręku i milczał. Starosta i widzowie oczekiwali od niego kilku wyrazów, w którychby się podziękowanie zawierało. Uciszyli się więc, jak przed przemówieniem Starosty.

Nagle Kuźma podniósł głowę, wyciągnął rękę i podał Staroście papier i pierścień.

Zdziwionym wzrokiem spojrzał na niego Potocki, jakby pytając:

— Co to znaczy?

Kuźma odpowiedział niezbyt głośno, ale dobitnie.

— Nie potrzebuję, wielmożny Starosto, ani tego pierścienia, ani tego papieru: bo ja nie za hospodara krew przelewał, ale za naszą Rzeczpospolitą; a za Rzeczpospolitą nie dla papieru, ale dlatego, że mnie moja gromada wysłała. Bo ja jestem chłop z Hrynienek, gdzie mój ojciec jest mielnikiem, ma chatę i pole...

Tu nieokreślonego znaczenia ruch jakiś ze szmerem połączony objawił się w zgromadzeniu. Kuźma odchrząknął i dalej mówił:

— Gromada, wielmożny Starosto, wysłała mnie w swojem imieniu... A jak mnie wysłała, tak ja do niej powinien powrócić... A jeżeli zasłużyłem na nagrodę, to ona mnie wynagrodzi... Gdybym powrócił jako szlachcic, tobym ją zawiódł, bo ona mi nie dobijanie się o szlachectwo, ale służenie Rzeczypospolitej poruczyła. Na to mam dowód od gromady... Służyłem, Bogu dzięki, zasłużyłem się, mam od was, wielmożny Starosto, i od moich towarzyszy dobre słowo, za które wam dziękuję... Tego dla mnie dosyć, abym ojcu memu i starszym z gromady śmiało mógł w oczy popatrzeć...

To wyrzekłszy, zawrócił konia i odjechał do szeregu."

Smutne skutki dla bohatera ma jego szczerość i szlachetność: towarzysze odsuwają się od niego, kilku rozumnych tylko nie traci dla niego szacunku. Jeden z nich mu tłumaczy: „Gdybyś był przyjął testificatio i milczał, toby waszmość w tej chwili na rękach noszono“ — Za obłudę — rozumie Kuźma i odwraca się z pogardą.

Szlachectwo jednak w rodzie Kuźmy pozostało, on czy syn je otrzymał — wszystko jedno, autorowi chodzi tylko o wskazanie obrazowo, jaki bywał początek.

A ciąg dalszy?

To znów:

HIST. PRA-PRA-WNUKA.

Hrynienki są własnością Ksawerego Jeża, szlachcica i dziedzica, który jednak — jakby pamiętał tę przeszłość — uważa je za własność wspólną i poleca synowi w testamencie zorganizować w Hrynienkach rodzaj spółki pomiędzy Janem (synem) a gromadą:

„Jan wchodził do niej z warsztatem ziemi i z kapitałem narzędzi rolniczych, inwentarza, pieniędzy, umysłowej pracy. I każdy gospodarz wchodził także z warsztatem ziemi (własnego kawałka, który jeszcze za życia Jegomości należał do niego) i z kapitałem narzędzi, inwentarza, fizycznej (zamiast pieniędzy) i umysłowej pracy. Zasadą tej spółki było połączenie warsztatów i kapitałów w celu wzajemnej pomocy, połączenie, mocą którego nikt ani jednych ani drugich ze spółki samowolnie wycofać nie mógł. Każdy członek spółki rozporządzał dowolnie owocami swej pracy, czystym dochodem — dywidendą, jakbyśmy to technicznie nazwali — ale nie fundamentalnym wkładowym kapitałem. Ten ostatni nie tracił swego charakteru ani przy przechodzeniu z rąk do rąk (w razie sprzedaży, spadku na potomstwo, darowizny, wydzierżawienia), ani przy rozdrobnieniu pomiędzy spadkobiercami. W razie rozdrobnienia, np. warsztat-ziemia rozpadał się na dwa, trzy, dziesięć, i każda z tych cząstek wchodziła jako jednostka do składu całości. To samo działo się i z kapitałem. Ziemi i kapitału oderwać od całości nie można było. Należały one do wszystkich i zależały od wszystkich, związane solidarnością interesów i podległe powszechnej kontroli. Ciężary, jakoto podatki, zsypki, utrzymanie cerkwi, szkółki, szpitala, apteki, dotykały proporcjonalnie wszystkich członków spółki i t. d.“

Następują zastrzeżenia i wskazówki na wypadek złej administracji, zbytniego rozdrobnienia działek, formy dokupu nowych za pośrednictwem gromadzkiego banku i t. d. Wrazie wygaśnięcia linji Jana Jeża, spółka z wyłączeniem braci i wszelkiej bliższej i dalszej rodziny dziedziczy po nim własność ziemską.

Trochę to przypomina Tow. Rolnicze Hrubieszowskie Staszyca, a jest ważne dlatego, bo zawiera nie przelotną

myśl autora, lecz silne i ustalone przekonanie, które rozwija raz jeszcze w powieści „Wnuk Chorążego“, t. j. syn owego Jana, który doprowadza tę spółkę do skutku.

To jest program społeczny Jeża w kwestji chłopskiej dziś, pod obcym zaborem, bo w tych warunkach pisał, to jest przystosowanie się do konieczności, — niegdyś wcale inaczej sprawa ta powinna była zostać rozwiązaną: sposób ocalenia Ojczyzny był jeden.

„całemu narodowi otworzyć i ułatwić przystęp do stanu rycerskiego, zatrzeć różnicę, jaka pomiędzy istniejącem już klejnotnem, a powstającem nie klejnotnem zachodzi rycerstwem... Jednem słowem — potrzeba nobilitować naród cały...

...Niech się narozcież otworzą wrota do stanu rycerskiego i niech się cały naród przez nie wleje!... Kiedy stan rycerski wyobraża Ojczyznę, to niechże wszystkich ogarnie... Kiedy on jest szlachetnym, to niech nie będzie nieszlachetnych... Ojczyzna nie może nie zyskać, zyskując stokrotnie powiększoną liczbę obrońców...“

Marzenia starego Hetmana, — żądania Kołłątaja i Staszyca—nieziszczone. Dlatego pozostała dziś ta druga droga, zależna od jednostek, ich rozumu i dobrej woli.

Lecz rozum i wola jednostek bardzo smutnie się przedstawia w pra-pra-wnuku. Mamy tu nawet typ czczonego pisarza, chluby narodu, który apoteozuje mierność, i właśnie dlatego jest czczony, bo ideały jego tak wygodne!...

Tak gorąco przejęty kwestją chłopską, kwestją największej krzywdy, ani na chwilę jednak nie odrywa jej autor od zadań narodowych, do których w całej swojej działalności sprowadza wszystkie kwestje, bo każda z nich dla niego na tem tle powstaje, z niem łączy się nierozdzielnie i jest głównym dźwiękiem w ogólnej melodji. Pra-pradziad Kuźma walczy za Rzeczpospolitą, widzi w tem obowiązek, który mu tkwi w duszy tak mocno, że cele osobiste — zasługi, nagrody—nie istnieją dla niego. W pra-pra-wnuku Jeż Ksawery zamyka serce i drzwi swego domu przed synem, który szukał i znalazł karjerę w wojsku rosyjskiem. Jeż Jan — niby stryjeczny brat autora, chwilami on sam niewątpliwie — wychowany jak dziecko chłopskie, lecz w atmosferze domu p. Ksawerego, już w uniwersytecie z przygnębiającym smutkiem odczuwa wśród kolegów brak uczuć wznioślejszych, ideałów, — z goryczą i niepokojem patrzy na ich poziome czołganie się wśród przyjemności i wygód. A jednak nie ulega. Sławnemu i wielbionemu autorowi śmie przeciwstawić swoje młode zdanie. Gdy uderza godzina czynu, gdy stare hasła: Ojczyzna i wolność! zabrzmiały gdzieś daleko — nie waha się odezwać do tych martwych sumień i zapasionych ciał — usiłując zbudzić w nich ducha,

porwać z sobą na drogę obowiązku. Nadaremnie. — Więc sam stanie w szeregu — choćby miał nie powrócić.

Powieści Jeża historyczne należą do słabszych (Za króla Olbrachta, Dersław z Rytwian i t. p.), co jest rzeczą naturalną, gdyż historji specjalnie nie studjował i za mało wnika w odległe epoki. Z czasów późniejszych, które już odczuwa, daje obrazy prawdziwsze i lepsze (Z ciężkich dni, w. XVII. Hryhor Serdeczny, wojna Krymska i t. p.). Najlepszą powieścią historyczną Jeża i wogóle jedną z najlepszych powieści historycznych przed Sienkiewiczem są „Uskoki"

USKOKI.

Powieść historyczna z wieku XVI.— Cóż to znaczy Uskoki? — Autor rzecz wyjaśnia.

„Zbiegowie ci i włóczęgowie — z Bośni, Kroacji, Serbji i innych państw południowej Słowiańszczyzny, uchodząc przed prześladowaniem tureckiem, pojawili się w dziejach na schyłku XV i początku XVI w. Oto co o nich historja podaje.

„Gdy się Turcy rozleli po Węgrzech, Grecji, Serbji i Bułgarji, napadli na Kroację i Dalmację, ludzie z sercem, nie mogąc żyć pod tureckiem jarzmem, opuścili ziemię swoją, którą Turcy zajęli, i schronili się w obronnych miejscach chrześcijańskich. Stamtąd prawie codziennie wypadali na Turków i bili się z nimi, albowiem boleśnie im było, że utracili swoją ojczyznę i swoje mienia. Znali dobrze kraj i oswojeni byli z przesmykami górskiemi, a pozostawali w ciągłych tajemnych stosunkach ze swoimi krewnymi i przyjaciółmi".

Magnaci węgierscy dawali tym zbiegom przytułek w swoich posiadłościach, a Niemcy nie mieli nic przeciwko temu, ponieważ — „zbiegowie przybywali z uczuciem wdzięczności za schronienie pod skrzydłem orła cesarskiego, i z uczuciem nieubłaganej nienawiści względem antagonisty państwa niemieckiego".

Na takiem tle rysuje nam autor postaci Uskoków, Turków, Niemców i Wenecjan. Rzecz zaczyna się w Bośni od chrztu bohatera, o którym ojciec mówi:

„Gdyby nie myśl, że kiedyś syn stanie do walki z wrogiem o wolność, że na to się rodzi i na to jest potrzebny, wyjąłbym go z kołyski, wziął za nóżki i o słup roztrzaskał."

Dlaczego? Dlatego, że go Turcy zechcą zabrać dzieckiem i wychować na wyznawcę Mahometa, janczara, wojownika, wroga własnej ziemi.

Oczekuje tej chwili z niepokojem, wie, że nadejdzie i nareszcie nadchodzi. Syn ukryty, lecz ojcu dają do wyboru: śmierć lub wydanie dziecka. Krótki czas do namysłu.

„Luba nieciła ognisko, a niecąc, słuchała opowiadania męża o podwójnych odwiedzinach k i e h a i. Drżały jej ręce, trzęsły się usta, nie zaprzestawała jednakże roboty póty, póki mąż nie powiedział jej o pomocy, z jaką się Turek oświadczył, i nie zapytał.

— Cóż ty myślisz o tem?

Kobieta opuściła ręce, wyprostowała się i odpowiedziała.

— Ja go nie na to urodziła, ażeby mu u Turczyna schronienia szukać...

— Ale tobie samej trudno będzie chłopca uchować... podchwycił Miłosz.

— Toć ja nie sama... toż nas przecie dwoje: ty i ja...

— K i e h a j a wspominał o palu... Jeżeli mnie na pal wsadzą, pozostaniesz sama...

— O Boże! — jęknęła niewiasta — o Boże!

— Mogą to zrobić...

— Ależ za co?... Za to, żeś ty ojciec i swoje dziecko kochasz?... i rozstać się z niem nie chcesz?... Gdzież tu sprawiedliwość?...

— Przemoc o sprawiedliwość nie pyta... Ich siła, ich prawda... Mogą mnie na pal wsadzić, i ty pozostaniesz sama z chłopcem...!

Biedną kobietę do rozpaczy przyprowadzała ta przyszłość, którą mąż ukazywał jej z taką zimną krwią, jakby chodziło o jaką przyszłość bagatelną. Oczy świeciły jej dziwnym jakimś blaskiem, usta drgały konwulsyjnie. Chętnieby się zgodziła wyręczyć męża, wiedziała jednak, iżby Turcy wyręczeń tego rodzaju nie przyjęli. Nie miała więc do powiedzenia nic innego, tylko:

— I ty, bospodarze, ty możesz o tem mówić tak spokojnie?

— A jakże inaczej mówić mam? Gdybym miał mówić inaczej, powinienem się był poturczyć pierwej... Gdym tego nie zrobił, potrzeba, żebym gotów był na wszystko...

— Czyż niema sposobu uratować i ciebie i chłopca? przerwała Luba.

— Jest sposób... Są nawet dwa, ba, trzy sposoby. Jeden — pójść w lasy, za góry, i dostać się na niemiecką albo włoską stronę; drugi — oddać Turkom dziecko, a samemu zostać i spokojnie ostatka dni dożyć; trzeci — wraz z chłopcem się poturczyć. Któryżbyś ze sposobów tych wybrała?

— Pierwszy — bez namysłu odpowiedziała kobieta.

Miłosz głową pokiwał i smutno się uśmiechnął.

— Byłby on dobry, gdybym był o lat przynajmniej trzydzieści młodszy. Mógłbym się tam przydać na coś. A tak?... tam nie przydałbym się na nic, a tu ukradłbym grób jeden, który się naszej ziemi należy. Młody — poszedłbym w świat po to, aby jej wzbogaconą i pomnożoną własność napowrót

przywieźć, jak kupiec, który jedzie w obce kraje z kaletą pustą, a powraca z pełną i przywozi bogactwo do rodzinnego miasta; ale stary — poszedłbym chyba po to, aby tam umrzeć nie na palu, lecz w pościeli wyżebranej. Nie, Luba... ja sposobu tego chwycić się nie mogę. Niech mię Turcy na pal sadzają. Pocierpię trochę i umrę o lat kilka prędzej.

Luba po tej męża przemowie uspokoiła się. Łzy jej z oczu spłynęły, otarła je dłonią i głęboko westchnęła.

— Trzeba być przygotowanym na najgorsze i obmyślić, co robić. Cóż ty poczniesz sama?

— Ach... ja nie wiem... wyłkała kobieta.

— Będziesz Dżordża ukrywała przed Turkami?

— Będę... O! będę, mój hospodarze.

— Będziesz go uczyła modlić się do Boga, jak ojciec jego się modlił, i kochać Bośnię, jak on kochał?

— Och! będę...

— Odważysz się nożem pierś mu przebić, jeżeliby ci Turcy z rąk go wydrzeć chcieli?

Na ścianie izby, nad wezgłowiem małżeńskiego posłania Widuliczów, wisiał w drewnianych ramach mały, poczerniały, weneckiego pochodzenia obrazek męki Chrystusowej. Przedstawiał on Zbawiciela na krzyżu rozpiętego i Matkę Bożą u stóp krzyża, klęczącą ze wzniesionemi do góry oczyma i ze złożonemi modlitewnie rękoma. Do obrazka tego — usłyszawszy ostatnie męża zapytanie, zwróciła się Luba, na kolana padła, oczy do góry wzniosła i ręce złożone wyciągnęła. Chciała się modlić — nie mogła; zapomniała wyrazów modlitwy, a raczej nie umiała żadnej takiej, w którejby się znalazła odpowiedź na żądanie dzikością tchnące, jakie jej mąż postawił. Więc tylko urywanym głosem wołała:

— Boże!... Boże!... Boże!...

Wykrzykniki zawierały w sobie modlitwę o siłę i odwagę, modlitwę, którą Bóg rozumiał.

Miłosz z uszanowaniem patrzał na klęczącą żonę i milczał, i miał za powiekami łzy, które męska wola trzymała uwięzione w głębi źrenic; nie przerwał milczenia, aż Luba — z głębi piersi westchnąwszy, z klęczek powstała.

— Bo gdybym wiedział, że tybyś nie odważyła się trupa twego dziecka pod nogi Turkom rzucić, to...

— Bądź spokojny — przerwała Luba, rękę do niego nagle wyciągając — bądź spokojny, gospodarze mój... Turcy Dżordża nie dostaną. Nie wiem ja jeszcze, co zrobię i jak zrobię, ale go oni nie dostaną. Bądź spokojny... Bóg się może nad nami biednymi zlituje, i będziemy nad nim do ostatka czuwali oboje.

— Bógby to miłosierny dał — wtrącił Miłosz. — Ale słaba nadzieja... Znam ja Sokoliczów... Ich trapi i gryzie własne odstępstwo, i oni zgryzotę sumienia topią we krwi. Tej nocy jeszcze będziemy mieli odwiedziny, a jutro?...

Tu ręką machnął, głową smutnie pokiwał i rozmowę urwał."

Miłosz, skazany na śmierć przez poturczonego brata stryjecznego Osman-beja, prosi o trzy rzeczy: spokój dla żony, księdza przed egzekucją i zwrócenie go na palu twarzą do rodzinnej chaty.

„Gdy Miłosz skonał, po wsi — podawany z ust do ust — przebiegł jeden wyraz:

Już...

Dziwna rzecz! Wyraz ten napełnił serca Bośniaków radością. Każdy z głębi piersi odetchnął, jakby mu ciężar spadł. Zeszli się do kościołka, gdzie katafalk wciąż na środku stał, i dziękczynne modlitwy popłynęły przed tron Najwyższego, a katafalk przybrał pozór woza triumfalnego, na którym dusza Miłosza odbywała wjazd triumfalny do miejsca wiecznej szczęśliwości przy chórach serafinów i cherubinów.

— Już... szeptali ludzie i płakali z rozrzewnienia.

I dziękowali Bogu za cud.

Za cud?

Tak — za cud. Wiszniczanie tego byli przekonania, że Stwórca modłów ich wysłuchał. Prosili Go o lekką dla Miłosza śmierć, i była ona w ich mniemaniu lekka. Nieboszczyk nie krzyknął ani jęknął — podczas kiedy zazwyczaj umierający na palu napełniają powietrze jęczeniem przeraźliwem. Nieboszczyk konał tylko dwa dni i jedną noc — podczas kiedy nad głowami innych po kilka razy słońce wschodzi i zachodzi.

Ludzie w czasach owych znali się na męczarniach. Śmierć na palu, na haku lub na stosie była rzeczą zwyczajną — była widowiskiem gratis, które nie sami Turcy dawali. Wiedziano więc, jak i jak długo człowiek kona. Poczytano zatem za cud śmierć Miłosza, którego dusza odeszła do lepszego świata cicho i prędko.

Wiszniczanie dziękowali Bogu za to, że ich prośby wysłuchał, i zgromadzili się wszyscy do świątyni, gdzie kapłan odprawił modły za duszę nieboszczyka.

Zgromadzili się wszyscy, z wyjątkiem jednej kobiety i jednego dziecka.

Domyśla się czytelnik, co to za kobieta i co za dziecko?

Wisznicę otaczały góry w amfiteatr, piętrząc się zielonemi wierzchołkami, opierając się na zrębach skalistych. Siwe skały wyglądały zdaleka niby gzymsy, ustrojone w girlandy bluszczów i dzikich winogradów; tu i owdzie widzieć się dawały rozpadliny głębsze; tu i owdzie rozpadlina przybierała kształt ambrazury lub niszy, lub też wyglądała jak otwór pieczary, wgłębionej w łono góry.

Jeden z otworów takich widny był z krużganka bejowego konaku. Budując go, natura — zdawało się — radziła się człowieka. Na dwóch dużych kamieniach, formujących ściany, leżał

trzeci wpoprzek i formował powałę. Te trzy kamienie miały pozór otworu, podobnego do wejścia do kopalni. Podanie niosło, że tam przemysłowcy weneccy złoto niegdyś wydobywali. Była nawet legenda do miejsca tego przywiązana, mówiąca o zaklętych skarbach, ukrywających się w łonie góry i bronionych przez siły nadprzyrodzone. Z kamienia poprzecznego zwisały festony dzikich ziół, a na spadzistości przed otworem wyrastał rozłożysty buk, który go grubym pniem i konarami maskował w części.

Pod tym to bukiem od rana dnia tego, w którym Miłosza na pal wsadzono, do wieczora i przez całą noc i przez cały następny dzień siedziała kobieta z dzieckiem. Od punktu tego do placu stracenia odległość była wielka, zwłaszcza na pieszy chód. Trzeba było spuszczać się w głęboką dolinę, i wspinać na stromą spadzistość, i wymijać urwiska; lecz linja prosta w powietrze rzucona nie przedstawiała się tak długą, aby normalny wzrok nie mógł widzieć placu i rozróżnić na nim przedmiotów. Przedmioty przedstawiały się wprawdzie w zmniejszeniu, lecz dość wyraźnie, zwłaszcza jeżeli patrzący z pod buka zgóry wiedział, co one znaczą.

Kobieta siedziała skulona. Na kolanach oparła łokcie, a na dłoniach głowę, i patrzała przed siebie w punkt jeden oczyma, których białka osnuły się całkowicie włóknami czerwonemi. Powieki były zaognione i nabrzmiałe, ciało pokrywające orbity — napuchło. Od jednego rzutu oka poznać było można, że kobieta płakała i wszystkie łzy wypłakała, i za powiekami pozostała jej już tylko krew.

Toć już nie płakała; zaogniony wzrok trzymała wlepiony w plac tracenia, i siedziała nieruchoma, niby skamieniała. Że jednakże skamieniałą nie była, dowodziło tego ciągłe drganie policzków, od których dłonie odskakiwały; dowodziły tego zdarzające się w pewnych czasu odstępach konwulsyjne ruchy całego ciała, oznaczające boleść skupioną w piersi i działającą tak, jak ściśniona para w kotle maszyny; dowodziły tego wydobywające się od czasu do czasu z ust jęki, które się zaczynały od przeciągłego „och!„ i rozpływały w żałosne, tłumione wycie; dowodziły tego nakoniec wyrazy, któremi w długich odstępach milczenia kobieta do dziecka przemawiała:

— Widzisz, synku? czy widzisz? — pytała.

— Widzę, matko, tłum ludzi.

— A śród tłumu?

— Śród tłumu nic nie widzę, ludzie i ludzie, jedni orężni, snać askirlar, a drudzy nasi. A nad tłumem...

— Co nad tłumem?

— Człowiek jeden, niby wielkolud.

— Synku, patrz dobrze, patrz i to sobie zapamiętaj: ten wielkolud — to ojciec twój.

— Ojciec?! — rzekł chłopiec z akcentem zdziwienia. — Zostawiliśmy go w chacie.

— To ojciec twój — odparła kobieta sucho.

I suchem łkaniem odezwała się jej pierś, z konwulsyjnem drganiem poczęły się rzucać jej członki.

Chłopczyna pochwycił ją oburącz za szyję, przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem zawołał:

— Matko!

Kobieta się nagle uspokoiła i zamilkła. Po długiem milczeniu znów zapytała.

— Widzisz, synku?

— Widzę, matko.

— Tłum ludzi?

— Tłum ludzi.

— A nad tłumem?

— Ojciec, taki wielki!

— Och! wielki.

I znów suchem łkaniem odezwały się jej piersi, i znów konwulsyjnem drganiem poczęły się rzucać jej członki, i znów chłopczyna przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem zawołał:

— Matko!

Bolesne jęknięcie wypłynęło z ust kobiety i rozpłynęło się w powietrzu, rozbite na echa, które się odezwały po rozdołach.

— Czy widzisz, synku? — znów zapytała.

— Widzę, matko, widzę — odrzekł chłopczyna.

— Co?

— Ojca.

— Widzisz go dobrze?

— O! widzę, widzę jego twarz, jego włosy siwe.

— Włosy siwe — podchwyciła kobieta echowym sposobem, przeciągle i powoli... Zapamiętajże dobrze, synku, te włosy. Niech one ci będą przytomne na zawsze, w każdej chwili życia twego. Pamiętaj! pamiętaj o tem, co widzisz w tym momencie.

Znów załkała, znów się uspokoiła, i znów z chłopcem kilka wyrazów zamieniła, — wyrazów, z których każdy niby rylcem w pamięć dziecinną się wrażał, niby rozpalonem żelazem na sercu się wypiętnował. Kobieta powtarzała nieustannie:

— Pamiętaj!... Patrz i pamiętaj...

Chłopczyna się wpatrywał — i tem, co w takiej odległości najbardziej wzrok jego uderzało, były siwe włosy starca, podniesionego nad tłumem. Biały kolor — jak wiadomo — jest najwidoczniejszy. Ten więc włos siwy zajął w jego pamięci wśród przedmiotów, jakie w niej krążyły i krążyć miały, takie same stanowisko, jakie słońce zajmuje w systemie planetar-

nym. Stał się on środkowym punktem jego moralnego jestestwa — punktem, do którego odnieść się miało całe życie".

Młody Bośniak wyrasta szczęśliwie, powraca do chaty, lecz musi ją porzucić, uchodząc przed zemstą Osman-beja, który mierząc do Dżordża, zabił własną córkę. Dżordż zostaje Uskokiem. Na obczyźnie zdobywa wiedzę, pomoc możnych i miłość pięknej Wenecjanki wysokiego rodu, która dla niego porzuca ojczyznę i rodziców.

Tymczasem kościół i państwo Niemieckie chce wyzyskać Uskoków w wojnie przeciw Turcji. Ochotnicy ruszają naprzód pod wodzą Dżordża Miłoszewicza, aby odwrócić uwagę głównych sił tureckich od przeprawy wojsk chrześcijańskich. Następuje opis bitwy historycznej nad rzeką Kupa. Dla państwa Ottomańskiego była to klęska, od której „jak świadczą dziejopisarze tureccy — rozpoczyna się Turcji ku upadkowi chylenie". Stają tu naprzeciw siebie Osman-bej Sokolicz i Dżordż Miłoszewicz Widulicz, morderca Miłosza i syn zamordowanego.

„Dzień był gorący. Działo się to bowiem 26 czerwca 1593 roku.

Osman-bej nie zsiadał z konia. Pod gradem kul przed hufcami przebiegał, ustawiał, zachęcał, naprzód słał, cofał, ruchem każdym sam kierował, każdego wykonania sam dojrzał. Przykład jego oddziaływał na wodzów innych. Każdy osobiście znajdował się na czele szyków... ...Wszyscy garnęli się naprzód, ku mrowisku temu, co ze stron wszystkich zionęło ogniem morderczym, wyzywało sztandarem wspaniałym, i jednego pomiędzy wszystkimi Osman-beja w oczy biło, w serce kłóło buńczukiem czarnym.

— Och! ten buńczuk!... jęczał starzec z głębi piersi, spoglądając ku p a l a n c e okiem wściekłem.

(Wmówiono mu, że buńczuk jest z warkocza jego nieżyjącej córki).

I zgromadzał siły coraz to większe. I ściskał okop coraz to gęściej. I na hufce gromkim wołał głosem:

— Naprzód, wyznawcy proroka!... W imię Ałłaha!...

— Ałłah!... Ałłah!... pomrukiwały hufce.

Co godzina, co dwie zawieszano strzelanie. Kolumny do ataku szły.

Opisać niepodobna tego tłumów orężnych kipiątka, jaki się wytwarzał za każdym razem, kiedy do starcia chłodną bronią przychodziło. Wyobrazićby sobie trzeba kłąb gadów, gryzących się zapamiętale. Uskoki strzelali do chwili ostatniej, a gdy nieprzyjaciel w rów się rzucał i po drabinach na wał wspinał, wówczas na parapet wskakiwali i tego tylko pilnowali, ażeby żadna głowa turecka nie wzniosła się ponad wysokość wałów. Ochoty dodawali sobie okrzykami:

— Udri ga!... Nie daj se!...

I siekli i kłóli.

Krew chlupała. Trupy się waliły stosami.

Najwaleczniejsze hufce albańskie i jeniczarskie przeszły przez tę próbę krwawą i ze stratami ogromnemi cofnąć się musiały.

Każde cofnięcie się takie dla Uskoków było momentem wypoczynku. Posyłali za nieprzyjacielem okrzyk grzmotny.

— Żiwio Bośnia!...

Siadali i pot z czoła ocierali i oręż opatrywali.

Wówczas Dżordżi palankę dokoła obchodził i towarzyszy zachęcał:

— To nic jeszcze... Wściekłość turecka rośnie...

W czasie walki, gdzie niebezpieczeństwo groziło największe, tam się zjawiał on; a gdzie on się zjawił, tam się niebezpieczeństwo umniejszało.

Obrońców na wałach coraz to ubywało, i ubytek ten dotkliwym był wielce, gdyż liczebny walczących stosunek miał się jak jeden do sześćdziesięciu. Na Uskoka jednego Turków sześćdziesięciu przypadało. Uskoki widzieli to naocznie. Lecz ich to nie obchodziło. Dżordżi walkę tę zapowiedział im, i spełniło się co do słowa, jak mówił.

Turcy cztery razy z wnętrza okopów wyrzuceni zostali. Już się ku wieczorowi miało. Osman-bej nie posiadał się z wściekłości. Latał przed hufcami z gołą szablą w ręku, usta mu się pieniły, klął. Zgromadził nareszcie wojska wszystkie. Ustawił. Artylerji rozkazał taką zająć pozycję, ażeby do cofających się strzelała. Spahiów spędził. Z konia zsiadł. Sam na czele jeniczarów stanął. Dał do ostatniego ataku znak.

Gęstem mrowiem wojska ze wszystkich naraz ruszyły stron.

Ogień z wałów morderczy, pokotem szeregi naczelne ścielący, nie wstrzymał ich.

Poszli, doszli, drabiny przystawili, jedni drugich wsadzali, pchali, żywi trupami się zasłaniali, darli się na wały, jak łaja psów na powalonego dzika.

Palanka też, jak powalony, ale tchu ostatniego nie pozbawiony jeszcze dzik, kłami się odcinała. Z wałów zepchnięci, skupili się Uskoki około sztandaru, za palisadą. Ratunku dla nich nie było. Im też bynajmniej o ratunek nie chodziło.

— Udri ga!...

Rąbali, siekli, kłóli, zabijali, ginęli, broniąc piędzi ostatniej, jaka im jeszcze do zadawania ciosów pozostawała.

— Synu Widulicza!... wrzasnął głos ochrypły.

Dżordżi obejrzał się i ujrzał przed sobą starca z wzniesioną do cięcia szablą.

— Oto ci buńczuk z dziewiczej Sokoliczanki kosy!...

Starzec z zamachem cięcie spuścił. Dla Dżordża jednakże

zasłonić się i przeciwnika rąbnąć było dziełem jednego oka mgnienia.

Starzec stęknął, zachwiał się i runął.

— Osman-bej! Sokolicz! — krzyknął Dżordżi, poznając go w tej chwili.

Ręka mu opadła.

— U d r i g a!... brzmiały dokoła niego Uskoków okrzyki.

— Nie daj se!...

Dżordżi ogłuchł, oniemiał — zapomniał się na chwilę. Nie czuł dzidy, co mu się w bok wbiła, nie czuł cięcia, co mu na głowę spadło — ukląkł nad drgającym podrygami konania starcem... W oczach mu się zaćmiło.

Nie widział, jak Uskoki z za palisad naprzód za nieprzyjacielem, który tył podał, skoczyli.

Nie słyszał grania trąb, które się z za gór rozległo i dolinę Kupy napełniło echami odmiennemi od tych, co w niej od rana brzmiały.

Nie widział błyszczących w zbrojach świetnych, na koniach dzielnych szeregów, przybywających na pole bitwy i z wzniesionym orężem spadających na tłumy zmieszanych i bojem całodziennym znękanych wyznawców proroka.

Nie słyszał Turków, wydających okrzyki trwogi, jaka ich opanowała na niespodziany świeżego nieprzyjaciela widok.

Nie widział tłumnej ich do mostu ucieczki i załamania się tego ostatniego, i rozpaczliwego rzucania się przestrachem oślepionych w nurty bystrej, pędzącej napływem topniejących od czerwcowego słońca w górach śniegów — rzeki.

Nie słyszał okrzyków triumfu rycerzy chrześcijańskich i otrąbienia zwycięstwa wielkiego na cztery strony świata.

Nie widział bana starego, objeżdżającego krok za krokiem pole bitwy, zatrzymującego się ze zdumieniem przed stosami trupów i powtarzającego co chwila.

— Waleczni!... Waleczni!... Z ludzi tych pozostanie coś, chociaż ich nie stanie. Praprawnucy nasi wspomną o nich... i będą pożywali owoc, wyrosły z krwi ich podlewu.

Tak mówił ban stary, głową kiwając poważnie."

To zakończenie nasuwa nieodparcie myśl czytelnikowi, myśl Miłosza, gdyby mógł patrzeć na syna: — Warto było zginąć na palu!

NARZECZONA HARAMBASZY.

Powieść z dziejów Serbji pod panowaniem tureckiem w przeddzień wyzwolenia. W miasteczku zjawia się obcy. To budzi podejrzenie. Stanął gospodą u poważnego mieszczanina, więc u niego robią rewizję, ponieważ zapewnia, że nie wie, gdzie gość jest.

Hadżi Petar otworzył drzwi, służące do wewnętrznej komunikacji pomiędzy jedną połową domu a drugą, i ustąpił z progu. Turek w futrze wkroczył poważnie, za nim Kir-Kosta,

za nimi dwaj Turcy bez futer, na końcu gospodarz domu. Oglądali najprzód izby. Przechodzili z jednej do drugiej, zawsze z jednakową powagą i zawsze powolnie, zaglądali tu i owdzie i szli dalej. W izbach nie było żywego ducha. Turków to bynajmniej nie dziwiło ani gniewało, według ich bowiem wyobrażeń było to jak najzupełniej w porządku, że się kobiety przed mężczyznami pochowały, że zabrały z sobą dzieci, i nie przypuszczali zapewne, ażeby zabrać miały z dziećmi i dorosłego człowieka. Dlatego snać prowadzili dalej oględziny z flegmą i spokojnie.

Przeszedłszy przez izby i przekonawszy się, że niema nikogo, z kolei wyszli do sieni, a z sieni na czerdak.

Na czerdaku Turkowi w futrze odrazu wpadł w oczy stół, przez Marka urządzony, i porzucone na stole papiery. Nic nie mówiąc, zbliżył się, stanął i począł się przypatrywać zdaleka. Z miny widać było, iż sprawy z tego, co to jest, zdać sobie nie umiał. Stół? — Stół dla Turka jest sprzętem, bez którego on się zgoła obchodzi, i który znany jest tylko tym, co bliższe z Frenkami stosunki mają, a takich — osiem dziesiątków lat temu — dałoby się nieledwie na palcach policzyć. Więc zastanowił go najprzód stół, a potem pióro gęsie. Pióro gęsie? — Patrzył na narzędzie to zdaleka, nie domyślając się wcale, do jakiegoby służyć mogło użytku. Turcy piszą na kolanie, piórami trzcinowemi. Stół przeto i pióro przedstawiały się jako przedmioty nieznane i nieznanemi, zagadkowemi pozostałyby były, gdyby użytku onych nie tłumaczyły w części kałamarz i papier. Kałamarz napełniony inkaustem? — tego to i Turcy używają; a chociaż atrament ich różni się od naszego, zawsze atoli jest czarny i trzymają go we flaszkach, podobnych z kształtu do tych, jakich w chrześcijaństwie używają. Kałamarz przeto stał się niejako kluczem do rozwiązania zagadki, tłumaczącej się ostatecznie ćwiartką papieru, w połowie zapisaną. Turek w futrze poznał, że to pisanie, ale pisanie nie tureckie. Na Kir-Kostę więc skinął:

— Weź to...

Kir-Kosta papier do ręki wziął, począł nań patrzeć, patrzył, głowę pochylił najprzód na prawo, następnie na lewo, potem znów na prawo i — jak się zdaje — nie dowiedział się niczego. Turek go o nic też nie pytał. Zwrócił uwagę na rozłożoną na boku mapę. Zmarszczył brwi. Przekrzywił nieco usta, nadając im wyraz pogardy. Westchnął westchnieniem politowania i brwi podniósł, jak się czyni na widok bądź czynu, bądź przedmiotu, pozbawionego wartości wszelkiej, a przecie zaprzątającego ludziom umysł.

Kir-Kosta, niewiele pono od Turka mędrszy, mimo że umiał trochę po grecku czytać i pisać i był w stanie na kirylicy sylabizować, nie miał jednak o mapach pojęcia. Ta atoli, którą rozłożoną widział, zafrapowała go. Nie rozumiał jej,

wrodzonym jednak sprytem czegoś się w niej domyślał i z tego zapewne powodu tak się — zachowując ton obojętny, odezwał:

— Możeby ten k i t a b wziąć? (kitab — książka).

Kir-Kosta wziął mapę za róg jeden i podniósł; rozłożyła się w wielkości całej; przytrzymał ją więc jeszcze i ręką drugą, i trzymając przed sobą „do góry nogami", wodził po niej oczami od dołu do wierzchu i od strony prawej w lewą. Wszyscy trzej Turcy uczynili to samo, ale z tak wielką powagą i z takim wzgardy na obliczach ocienionych turbanami wyrazem, że patrząc na nich, wydawaćby się mogło, iż oglądany przez się w tej chwili przedmiot mają za igraszkę dziecinną, na którą zważać niewarto. Grek jednak inne miał o tym przedmiocie wyobrażenie. Potrzymawszy jednak mapę przez chwilę i nie dowiedziawszy się z niej niczego, począł ją składać.

Złożona mapa odsłoniła przedmioty, które pod nią leżały. Były to instrumenty niektóre geometryczne: cyrkiel, miarka, linijka z podziałami, kompas etc. Że niektóre z instrumentów tych błyszczały, większe na siebie aniżeli inne przedmioty uwagę zwróciły. Kir-Kosta także do błyszczących rzeczy pociąg miał kruczy. Jak skoro przeto je zoczył, natychmiast nie czekając na rozkaz, ręką sięgnął i kompas pochwycił. Byłby go może w zanadrze schował, ale tego uczynić nie mógł: świadków miał za wielu. Podniósł go więc pod oczy Turkowi w futrze.

Turek cmoknął językiem. Wziął z rąk Greka kompas, położył takowy sobie wypadkiem horyzontalnie na dłoni i ze zdziwieniem niejakiem ujrzał igłę magnesową drżącą i obracającą się.

— S a h a t — (zegarek) — bąknął jeden z Turków bez futer.

Turek w futrze oddał Grekowi kompas i rzekł wzgardliwie.

— Zły to zegarek... Niewiadomo jaki, i zamiast pokazywać godzinę po godzinie, kręci się na tył i na przód odrazu po wszystkich.

Ręką machnął i cyrkiel podać sobie kazał.

Cyrkiel zastanowił go bardziej, niż wszystko inne. Spróbował palcem — ostry. Złożył i oglądał go dokoła. Rozłożył zupełnie i ująwszy w garść pośrodku, miał z dwóch stron dwa końce ostre. Podniósł rękę do góry, próbując uderzenia w powietrzu.

— Hm... — mruknął pod nosem.

Znów oglądał. Głową kręcił. Przedmiot ten tak go zafrapował, że nie wahając się przyznać przed giaurami i podwładnymi swymi do nieświadomości, zapytał:

— Do czego to?

Kir-Kosta, do którego się to pytanie stosowało, odpowiedzieć na nie nie umiał. Udał więc narazie, że nie słyszy, i odwołał się następnie do będącego niemym całej tej sceny świadkiem Hadżi-Petara, powtarzając mu zadane przez Turka zapytanie po serbsku.

— To na świnki — odrzekł zapytany tonem naturalnym.

W chwili tej Turek ponownie zapytał:

— Do czego to?...

— To się tem, effendim, domus (świnie) zabija — odpalił Grek.

— Giaur bezewenk!—krzyknął Turek, ciskając nagle cyrkiel, jakby nim sobie palce poparzył.

— Tfu! tfu! tfu! — splunął raz, drugi i trzeci.

Odwrócił się, czerdak opuścił i dalej powoli, poważnie i w milczeniu na drugiem podwórzu i w ogrodzie rewizję odbywał.

Takich to Serbja miała panów!"

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dom rodzinny, natura, otoczenie, szkoły, — jak się zarysowuje młodzieńczy charakter Miłkowskiego? Przedsiębiorczość i energja w dalszem życiu. Co o nim mówi udział w powstaniu węgierskiem? Następstwa tego kroku i początek wędrówki po świecie.

Charakter Miłk. w walce życiowej o chleb i ideały: Londyn, Turcja, południowa Słowiańszczyzna.

Pierwsze próby literackie Miłk.: nowe światy i nowi ludzie, — dojrzałość myśli, — oryginalność pióra.

Rok 63 w życiu Miłk. Osiedlenie się w Szwajcarji.

Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym— jako wezwanie do nowej pracy dla przyszłości.

Hist. pra-pra-dziadka i pra-pra-wnuka. Społeczne i narodowe poglądy Jeża. Testament Chorążego jako rozwiązanie kwestji włościańskiej.

Uskoki jako obraz południowej Słowiańszczyzny pod panowaniem Turków. Myśl powieści ujęta w zakończeniu. Typy.

Lud polski i południowo-słowiański w powieściach Jeża.

Forma powieści Jeża, — styl i język.

Charakterystyka Jeża jako człowieka i autora. Jego znaczenie w literaturze: co dał nowego i własnego?

Powieść Jeża i Kraszewskiego.

Turcy Jeża i Czajkowskiego.

Jeż i Rzewuski — kontrast.

Sąd własny o Miłkowskim i jego pracy literackiej.

Do czytania: P. Chmielowski, T. T. Jeż (Wstęp do Uskoków, r. 1881). — J. Popławski: Życie i czyny pułk. Z. Miłkowskiego. Lwów 1902 r.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

malarz przeszłości szlacheckiej.

1825 — 1896.

Niepospolity talent i zdolności, wielka praca, ale zarazem nienasycona ambicja, zaćmiewająca lepsze cechy charakteru—to najwybitniejsze rysy Kaczkowskiego.

Urodzony w Kamionce Wołoskiej w Galicji Wschodniej, gdzie ojciec jego czas jakiś zarządzał majątkiem Fredrów, wychowywał się na wsi, w atmosferze polskiego domu

ziemiańskiego, gdzie panował kult Mickiewicza i gorące hasła romantyzmu. Po upadku powstania 1830 r. gościli u Kaczkowskich chwilowo uchodźcy, Pol, Goszczyński, co musiało oddziałać i na wyobraźnię dziecka bardzo rozwiniętego.

Dziewięcioletni chłopiec okres szkolny zaczął we Lwowie, kilkakrotnie jednak przenosił go ojciec do Przemyśla, Sambora, Tarnowa, zanim wreszcie dopłynął do matury. Przyczyną tych zmian była gorąca atmosfera tajnych stowarzyszeń, do których młody Zygmunt lgnął przedwcześnie, lub zatargi z profesorami

Po skończeniu gimnazjum wstąpił na wydział filozoficzny we Lwowie, jednocześnie studjując z ogromnym zapałem zbiory w Ossolineum, próbując swoich sił piórem w poezji i biorąc żywy udział w życiu towarzyskiem.

Dość łatwo znalazł drogę do salonów arystokratycznych, zbliżył się do literatów, — wszędzie spotykał życzliwość, zachętę. Jednak rzucił Lwów po roku i przeniósł się do Wiednia, gdzie też nie wytrwał długo i za namową ojca objął w Sanockiem gospodarstwo w Bereźnicy.

W młodej duszy widocznie wrzało. Gospodarstwo go nie zajmuje, marzy o sławie literackiej, porywa go życie, brzmią w duszy hasła demokratyczne, żądza czynu—i w r. 1846 znajduje się wraz z ojcem w szeregach powstańczych, następnie uwięziony, nawet skazany na śmierć, pozostaje w więzieniu do wypadków w r. 1848, czyli przez dwa lata.

Rzecz naturalna, że w tak młodym wieku, przy burzliwym temperamencie, całe to przejście oddziałać musiało wstrząsająco na usposobienie i przekonania młodzieńcze. Ze skrajnego demokraty i ludowca wyrasta w więzieniu szlachcic, wielbiciel minionej przeszłości, bardzo trzeźwo patrzący na chwilę obecną, szukający myślą dróg nowych, a zarazem wpatrzony uczuciowo w gasnące obrazy minionej epoki.

W spokojnej Bereźnicy prędko odzyskuje siły i budzi się do życia; ambicja literacka odzywa się głośno: chce stanąć do zawodu z pierwszorzędnemi siłami—dlaczego nie miałby zwyciężyć?

Jego „Pieśni z otchłani“, powstałe w więzieniu, niby Skargi Jeremiego, malują ból patrjotyczny i pragnienie wolności,—mimo jednak poprawnej formy, nigdy większego znaczenia nie miały. Brakuje im porywającej siły uczuć.

Natomiast w artykułach i powieściach zwraca na siebie uwagę. Występuje w nich jako przeciwnik romantyzmu i zwalcza go namiętnie, uważając za prąd szkodliwy, odrywający od rzeczywistości, od realnego życia, wiodący na bezdroża i wskazujący cele nieziszczalne.

Powieść „Kato“ na tle wypadków 46 r. maluje nam dwa typy: uczuciowego romantyka, który niczego nie dopnie, mimo całej siły uczucia i cech najsympatyczniejszych,— i człowieka nowego, którym rządzi rozum. I ten jednak dochodzi tylko do zwątpienia, do pustki.—Widocznie i sam autor, choć powiedział sobie, że jedynie „rozum zdobywa i jego zdobycze pozostają na ziemi nieśmiertelne“ — nie znalazł w nim dość trwałej i mocnej podstawy.

Inny charakter mają „Powieści Nieczui“, które zdobyły autorowi sławę, pozyskały sympatję, szeroko rozgłosiły jego imię i kazały krytyce nazwać go malarzem przeszłości, postawić w pierwszym szeregu twórców powieści historycznej.

Za teren dosyć luźno związanych opowiadań obrał ziemię Sanocką, tak dobrze mu znaną, — większość całostek łączy postać Skarbnika Nieczui, w którym scharakteryzował dodatnie i ujemne cechy schyłku epoki saskiej i początku panowania Stanisława Augusta.

Pan Skarbnik budził powszechną sympatję, pomimo swoich czysto szlacheckich poglądów. Innym być nie mógł przedstawiciel tej epoki, przywiązany gorąco do religji, klejnotu szlacheckiego, ceniący pańską klamkę, w której czasem widzi ojczyznę, niegłęboki w poglądach, zamknięty przez autora w kole spraw i stosunków domowych, sąsiedzkich, lecz stateczny, rozsądny, a przedewszystkiem szczerze serdeczny i dobry. Jego zdanie dla współczesnych, dla tej lepszej cząstki — jest wyrocznią, gdyż góruje nad tłumem inteligencją, prawym charakterem, bystrością i trafnością sądu. Nie gardzi też bezwarunkowo postępem, mimo pewnych uprzedzeń i przesądów. Naturalnie jego poglądy dalekie są od pojęć XIX w. lecz inaczej nie miałyby w sobie prawdy,—czytelnik zaś, spragniony i stęskniony do jaśniejszych obrazów przeszłości, znajdował je w tej postaci.

Powieści Nieczujowskich mamy kilka, „Gniazdo Nieczui“, „Murdelio“, „Grób Nieczui“, występuje też p. Skarbnik w kilku innych. Jakby wstępem do tego cyklu była „Bitwa o chorążankę“, obraz prawie dzikości obyczajów, ale tak wyrazisty, pełen życia i werwy, że go rozchwytywano, i odrazu zdobył autorowi sławę.

Z Nieczujowskich powieści najlepszy Murdelio, typ niepohamowanego, gwałtownego temperamentu, który Kaczkowski umiał i lubił malować. Może odtwarzał w nim niektóre cechy własnego usposobienia, podkreślając ich nieszczęśliwe dla jednostki następstwa. Krytycy zestawiają postać Murdeliona z ks. Robakiem z Pana Tadeusza, należy jednak przy tem porównaniu wziąć pod uwagę różnice dwóch epok, ich ideały, i wiele względów indywidualnych. „Grób Nieczui“ to już koniec panowania Stanisława Au-

gusta, początek legjonów. Nowe prądy, nowe hasła, nowi ludzie, zetknięcie się i wzajemny stosunek dwóch światów. Jednak i tutaj autor poprzestaje na tle obyczajowem, wypadki historyczne odsuwając na plan drugi, nawet dalszy, jak gdyby go krępowały jakieś względy cenzuralne.

Do najlepszych powieści historycznych należy dopiero późniejsza „Anuncjata“, na tle konfederacji Barskiej. Jej bohaterem młodzieniec ambitny, pod względem umysłowym przewyższający swoje otoczenie, pełen szlachetnych chęci i zamiarów. Zakochany w kasztelance Anuncjacie, aby stać się jej godnym, zdobywa sławę, stanowisko, uznanie. Powodzenie olśniewa go na chwilę, osłabia w nim energję czynu—nieprzyjaciele korzystają z chwili, pokonanemu błyska król złotą pokusą—upadek i oprzytomnienie. Bierzyński rzuca się znowu w wir walki i ginie bohaterską śmiercią. Obok niego poważne wśród typów kobiecych zajmuje miejsce śliczna postać Anuncjaty, dziewczęcia obywatelki, z silną wolą, dojrzałą myślą i gorącem, szlachetnem sercem.

Jednocześnie daje Kaczkowski szereg powieści współczesnych, w których maluje stosunki bieżące, przewrót z powodu uwłaszczenia włościan, swoje poglądy na sprawę ludową i usiłuje wskazać nowe drogi. Najbardziej programowy jest „Rozbitek“, bardzo słaby pod względem artystycznym. Autor przedstawia trudne położenie szlachty, zaleca wytrwałość, pracę niestrudzoną, zbliżenie się do ludu i zgodne współżycie. W ludzie widzi wiele dodatnich pierwiastków, na dolę jego patrzy ze współczuciem i wierzy w lepszą przyszłość. W Anuncjacie podkreśla upór pana, który po 40 latach wiernej służby, pomimo próśb usilnych, nie chce dać chłopu wolności. W „Bajroniście“ syn chłopski o wiele przerasta wartością dziedzica herbu i majątku, a usynowiony przez srogiego niegdyś pana, obejmuje po nim majątek, żeni się z kobietą wielkiej wartości, szlachetnego rodu, wdową po synu dziedzica. W „Stachu z Kępy“ także wskazuje oświatę, jako najważniejszego przewodnika.

W powieści „Dziwożona“ przeciwstawia typowi jednostronnego, nawet przesądnego społecznie arystokraty — rozwichrzony i pusty typ frazesowicza-demokraty, wielkiego w słowach, a małego w czynach i życiu. Widocznie młodzieńcze hasła zbladły w dojrzałym powieściopisarzu. Ubolewa nad skarłowaceniem pokoleń: „Wnuczęta“, nad wpływami cudzoziemskiemi: „Bajronista“, „Bracia ślubni“ — wogóle jednak powieści współczesne słabsze są od Nieczujowskich i Anuncjaty.

Jednocześnie wesołe, często hulaszcze życie, zwłaszcza we Lwowie, gdzie mu upływała zima, — narażało autora na

surowy sąd opinji, co nakoniec spowodowało pierwszy wyjazd do Paryża i włóczęgę po Europie.

Po powrocie znalazł się jakby na rozdrożu. Nęciła go karjera polityczna, ale nie miał punktu oparcia. Do żadnego stronnictwa nie należał, daleki w gruncie rzeczy zarówno od skrajnych prądów radykalnych, jak i konserwatywnych. Oprócz tego uczuł się odosobnionym: zarzucano mu nieliczenie się z opinją. W tych warunkach, szukając drogi, obejmuje ku ogólnemu zdumieniu w r. 1860 redakcję Głosu, konserwatywnego czasopisma we Lwowie.

Zawodzi jednak tutaj wszelkie oczekiwania: wobec właścicieli pisma nie dotrzymuje umowy, nie troszczy się o jego barwę, — podrażniony wyczekującem i nieufnem stanowiskiem ogółu społeczeństwa, daje się unieść temperamentowi, i robi je narzędziem osobistych rozpraw, osobistych poglądów i pretensyj. Traci też szybko prenumeratorów, a widząc nieuniknioną ruinę, umieszcza w r. 1861 „Posłanie do wszystkich rodaków na ziemi polskiej“, podpisane przez „mieszkańców Warszawy“ i wzywające do walki orężnej z państwami zaborczemi.

Rezultat przewidziany: pismo zostało zamknięte, redaktor półtora roku przebył znowu w więzieniu.

I to jednak nie ocaliło go w opinji. Po uwolnieniu znowu jest odosobniony, nie budzi zaufania. Trafia jednakże do organizacji powstańczej i zostaje jej członkiem. Powstanie wkrótce chyli się ku upadkowi, nadzieje zawiodły, widoków niema żadnych — dokądże wiedzie ta droga?

Materjalnie Kaczkowski jest zrujnowany zupełnie: dochody z książek narazie ustały, zapasów nie ma, a nawyknienia szerokie i nie lubi się ograniczać. Położenie trudne. Siłę przetrwania dać może głębokie uczucie, moc przekonania, zahartowana wola. Kaczkowski najwidoczniej nie miał tych sprzymierzeńców i — ulega pokusom rządu... Nie będziemy rozpatrywali tej czarnej strony jego życia, dziś dopiero stwierdzonej. Sąd organizacji powstańczej mimo braku dowodów potępia go i skazuje na opuszczenie kraju. W odpowiedzi pisze Kaczkowski broszurkę: „Rewolucyjne sądy i wyroki“, gdzie zarzuca im stronność i brak podstaw.

Mimo to kraj opuszcza. Zdaje sobie sprawę, że tu rola jego skończona. Zatrzymuje się w Wiedniu, szczęśliwą grą na giełdzie zdobywa majątek i wyjeżdża ostatecznie do Paryża.

Życie prowadzi tam odosobnione, nie zbliża się do emigracji, z rodakami nie nawiązuje stosunków.

W pracy autorskiej przerwa bardzo długa. Kilkanaście lat upłynęło, nim w jednem z pism warszawskich ukazała się znowu jego powieść, Graf Rak, na tle wartości nauk

przyrodniczych i stosunku nauki do wiary. Wielkiego zainteresowania nie zbudziła.

Dopiero ukazanie się „Ogniem i mieczem“ wywołuje najpierw namiętną krytykę, potem chęć rywalizacji. Oddalony od kraju, a może bardziej jeszcze odcięty od społeczeństwa polskiego, Kaczkowski nie rozumie znaczenia tej powieści, jej wartości w danej chwili dla rodaków. Zarzuca Sienkiewiczowi nieznajomość faktów i ludzi, fałszywy obraz epoki, wprost lekceważenie historji. Wiek XVII inaczej wyglądał. On da obraz prawdziwy.

Wybiera temat bohaterski: odsiecz wiedeńską, — lecz na tem tle maluje jedynie ciemnotę, zawiść, prywatę, najciaśniejszy egoizm i warcholstwo zepsutego i ginącego społeczeństwa. Szlachetne wysiłki toną w tej otchłani. „Abraham Kitaj“ nie podnosił ducha. Zimno przyjęty, zgasł jak blade światło, mimo piękności niektórych ustępów.

Zdaje się, że Kaczkowski sam zdał sobie sprawę z popełnionego błędu: takie obrazy nie przeważą szali. A on zamarzył znowu o zwycięstwie, — zbudziła się uśpiona tak długo ambicja, uczuł nowe siły do walki. Ma dosyć materjału i talentu, by stworzyć powieść historyczną, jakiej literatura nasza nie posiada. Da wzór, da naukę, jak pisać należy.

I dał istotnie rzecz niepospolitą, najlepszy ze swoich utworów, „Olbrachtowi Rycerze“. — Zużytkował tu niezmierne bogactwo nagromadzonych niegdyś materjałów, i roztacza przed nami cały przepych wiedzy, studjów, żywych obrazów, postaci,— umiejętność spożytkowania szczegółów, wyzyskania scen, ludzi, rysów charakterystycznych epoki, temperamentów, uczuć i kolizyj. Stajemy wprost olśnieni wspaniałością tej panoramy, musimy ją podziwiać. Podziwiamy i oceniamy jej wartość, ale czytamy chłodno, choć z zajęciem. Dlaczego?

Odpowiedź bardzo prosta: autor pisze zimno nawet wtedy, gdy maluje niepohamowane ludzkie namiętności. W sercu jego niema miłości i ciepła, więc wzruszyć nie potrafi. Igra diamentowemi błyskami, ale one nie grzeją. Piękna, zajmująca, ciekawa mozajka, która odtwarza przeszłość bardzo wiernie, lecz nie porywa, jak obrazy Sienkiewicza, które targają serce.

Jest to ostatnie dzieło Kaczkowskiego mające wartość trwałą. Następne coraz słabsze,—talent gaśnie. Na wzmiankę zasługuje „Słowo o romantyzmie“, na lat parę przed śmiercią napisane, w którem uznaje wreszcie zasługi tego prądu XIX w.

Umarł odosobniony, zapomniany, obojętny na sprawy kraju,—znaczny majątek zostawił dla Francji.

Talent niepowszedni, zwłaszcza w malowaniu obrazów przeszłości. Powieści Nieczujowskie—mimo zarzutów krytyki—zapowiadały wiele,—„Anuncjata“ zbogaciła literaturę polską historyczną dziełem niepospolitej wartości. — „Olbrachtowi Rycerze“ pod względem historycznym odpowiadają wszelkim wymaganiom. A jednak — powodzenie powieści Nieczujowskich zgasło, inne — mimo uznania — nie cieszą się popularnością.

Dlaczego?

Samo źródło talentu bo duszę autora zatruł i zmroził człowiek, jego temperament, egoizm, wygórowana ambicja i zazdrość. Te cechy charakteru pozbawiły go przyjaciół, odsunęły od społeczeństwa, zaćmiły sławę bolesnem wspomnieniem upadku.

Plon trwały wydać może tylko zdrowe ziarno.

Pożądanem jest przeczytanie przynajmniej „Murdeliona“ i „Olbrachtowych Rycerzy“.

WSTĘP DO GNIAZDA NIECZUJÓW.

„Gdybym siła bajał na pochwałę mojego rodu, znalazłby się niejeden taki, któryby powiedział, żem jest jako owa liszka, która swój ogon chwali, — a niejeden Zoil może, którzy nieposiani sami wschodzą po wszystkich kątach, snadnoby mi łatkę przypiął, utrzymując, że dlatego historję mojego rodu opowiadam na wstępie, iżbym przy owych wielkich mężach, których będę opisywał poniżej, sam się wydał nienazbyt mały i niepośledni. Sądzę jednak, że pierwszemu zarzutowi tem głowę utnę, jeżeli się z tą materją zbiorę jak najkrócej, — a przeciw drugiemu mniemam się tem wytłumaczyć, iż każdy, kto ma wierzyć na czyjeś świadectwo, radby sam pierwej wiedzieć: co zacz jest świadek? jakiemi sprawami się bawił zamłodu? — a że to u nas od niepamiętnych czasów cnota szła rodem, wiedzieć także: — jakiego też on jest rodu i czem się wsławiali jego przodkowie? — Miło też jest nakoniec, a nawet i obowiązkiem poniekąd, kiedy się ma wspomnieć sąsiadów i innych swojego wieku współczesnych, nie przepominać i o własnych przodkach, a tem ci milej mnie, który ostatnim już będąc mojego domu, nie mogę się spodziewać ani nowych dla mojego rodu zaszczytów, ani nowej sławy dla mojego imienia, ani nawet takiego potomka, któryby czy to pismem, czy słowem przechował tych kilka familijnych moich pamiątek, za które moi przodkowie tyle krwi na różnych poprzelewali polach. Na moim grobie,—na którym w dzisiejszych czasach nikt już ani tarczy ani kopji nie skruszy,—i napisu może nie będzie... a podczas kiedy z mojego rodu tylko jakieś kądziele błąkać się będą po tej osierociałej ziemi, imię moje z każdym dniem coraz głębiej nurzać się będzie w ciemnych mgłach niepamięci.

Nie chlubiąc się wcale nad miarę zasługami, zdobytemi przez moich przodków, i nie wymagając dla siebie przeto żadnej nad innymi wyższości, nie taję się wcale z tem, iż mi w każdej chwili miło przypomnieć ich sławę i czyny, i wyznaję otwarcie, iż wolę, żem miał przodków zapisanych na kartach historji, niż gdybym był nie miał żadnych.

A jako po staremu czciłem ojca i matkę, kiedym ich miał żyjących, tak i dzisiaj cześć oddaję ich wiekopomnej pamięci, chociaż już dawno są w grobie. I gdyby tylko to było, że pamięć dawnej chwały mojego rodu strzegła mię od wielu lekkomyślnych w mem życiu uczynków, — to już byłoby dosyć dla mnie, ażebym w tej czci, którą mam dla mojego rodu, nie dał się zbić żadnym nowego świata mędrcom i językowym szermierzom. Ale powracam do mojego opowiadania".

MURDELIO.

Obok głównego bohatera, człowieka nieokiełzanych namiętności, który żyje, jak gdyby świat cały był wyłącznie dla niego stworzony— występuje tu znowu postać p. Skarbnika, przedstawiciela owej szlachty, która—„jest zakonem, jakim jej Pan Bóg być przykazał", a jakkolwiek sam całe życie uznaje korzyść trzymania się klamki magnata, od którego dzierżawi ziemię, potrafi mu jednakże odpowiedzieć śmiało, a stosunek opiera na szczerem zaufaniu i szacunku. Nie uznaje też zasadniczej różnicy między panem i szlachcicem, a kiedy Murdelio porównywa te dwa stany do owsa i pszenicy, odpowiada mu z oburzeniem.

— „Djabelska to mądrość. — Rozumiem ja dobrze, że który szlachcic własną pracą i czynem sam się wyniesie nad innych, ten godzien tego, aby go wszyscy wynieśli; głupiby był Nieczuja, gdyby się Czarnieckiemu powiadał równym; głupi Piotrowicz, gdyby się miał za jedno z Zamoyskim; głupi podstoli, gdyby się kładł obok kasztelana lwowskiego; — dlatego też i senator dzisiejszy lepszy od niesenatora, bo pracuje więcej i na większym warsztacie dla kraju, — ale żeby s y n jego był w czem lepszy ode mnie, tego mi nikt nie dowiedzie".

Następująca rozmowa z Murdeliem charakteryzuje poglądy obu religijne, moralne i społeczne.

Nieczuja zakochany, po stanowczej rekuzie pani stolnikowej jest w rozpaczy. Nagle zjawia się Murdelio, który za stare grzechy pokutuje chwilowo w klasztorze, i przyrzeka mu uzyskać pozwolenie matki na małżeństwo z Zosią wzamian za wzajemną pomoc. Murdelio bowiem od młodości kocha się w p. stolnikowej z właściwą mu namiętnością, a zdobyć jej nie może, ponieważ niegdyś wbrew woli ojca porwał gwałtem.

„I napróżno nieraz całemi godzinami u nóg jej leżę, łzami oblewam ręce jej i nogi, tarzam się w prochu przed nią, jak robak, jak głaz najnędzniejszy... ona jest jak głaz niewzruszona.—„Może jeszcze mam serce dla ciebie — powiedziała mi

niedawno — ale raczej zniosę wszystkie męczarnie, raczej śmierć, niżbym miała oddać ci rękę. Tyś jest zły duch i potępiony".—Ale żebym miał świat cały do góry nogami wywrócić, dusza ta, o której wiem, że mi poślubioną była tam gdzieś za światami, choćby na jeden dzień tylko przed śmiercią — musi być moją! I będzie.

Tak mówił Murdelio. Ja zaś, mając już wyjaśnioną tę całą historję, która dziwnie zdawała się być związaną z mojemi losami — rzekłem na to:

— Kochany panie. Waćpan jesteś tak zły człowiek, i taka czarna przeszłość ciąży nad twoją głową, że nietylko nie zdarzyło mi się podobnego subjectum spotkać w życiu, ale nawet ani mógłbym był wierzyć temu, że się co podobnego należć może na naszej ziemi. Nie dziwuję się też wcale, że świat widzi w tobie djabła, bo iście djabelska dusza jest w tobie. Widząc, jaki jesteś, nie powinienem się ciebie ani ręką dotykać, ani słowa nawet przemówić do ciebie. Ale jam znowu ani taki rygorysta, ani taki bojaźliwy o moje sumienie, i choćbyś ty i djabłem samym był i niewiedzieć jak mistycznie mnie pętał, to mnie nie opętasz. Dobrych nauczycieli miałem zamłodu, i nauka ich w głowie, a wiara święta tak głęboko u mnie jest w sercu, że Panie Boże mi dopomóż, cale się nie obawiam o siebie. Dlatego mówić będę z tobą otwarcie i najprzód powiadam ci to: jeżeli to prawda wszystko, co powiadasz, i jeżeli tak prawda, jak ja sobie tę całą rzecz wyobrażam, to ja wierzę temu, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby się stać dla ciebie zbawiennem. Syt już jesteś łotrowstwa, krew młoda wyburzyła się w tobie; zamłodu wychowany ladajako, żadnego uczciwego nie doznawałeś uczucia, to jedno silnie zapanowało nad tobą i to jedno, dobrze prowadzone, mogłoby z ciebie zrobić człowieka. Wierzę temu, bo bywały już przykłady, że i najzakamienialsi zbrodniarze jakiemś jednem czystem powodowani uczuciem, nawracali się na drogę cnoty i stawali się nietylko uczciwymi ludźmi, ale nawet wzniosłym przykładem i wzorem dla drugich, a niektórzy z nich uznani za to przez kościół święty, błyszczą dzisiaj jako najwspanialsze ozdoby całego człowieczeństwa. Daleko to zapewne do tego, tak jak do każdej wielkiej rzeczy, i aby poprawy i oczyszczenia z takich ciężkich grzechów dostąpić, potrzeba już szczególnej łaski Bożej, a o czem u ciebie dzisiaj ani mowy być nie może. Jednakże bądź co bądź, ja w to wierzę, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby ciebie na dobrą naprowadzić drogę. Ale widać albo Pan Bóg już cale o tobie zapomniał, albo Opatrzność zupełnie innemi drogami nad tobą się ulitować zamyśla, bo gdyby Pan Bóg chciał tego, to pewnoby już dawno tak był natchnął panią stolnikową, że do tego czasu jużbyś był zapomniał, kiedyś się z nią ożenił. Zresztą gdyby i tak było, gdyby i była w tem wola Boża, to

zawsze jeszcze nie rozumiem, jakim sposobem to uskutecznić zamyślasz; chyba że znowu zbrodnię jaką masz za rękawem, co pomimo całej twojej poprawy jeszcze zawsze być może.

— Hm — rzekł na to po niejakiej chwili Murdelio — ty nie wierzysz w moją poprawę, a przecie w tej chwili masz najjawniejszy jej dowód. Powiedziałeś mi Pater noster, jak ksiądz na spowiedzi; pomieszałeś mnie z błotem; podeptałeś mnie tak, jak jeszcze nikt w życiu. Gdyby mnie to był kto dawniej powiedział za oczyma, co ty dziś w oczy, to jużby się dotychczas był kąpał we krwi swojej po uszy; — a ja nic na to, — a ja słucham ciebie pokornie, jak żak profesora, i kładąc uszy po sobie, biję się jeno w piersi i modlę się po cichu.

Ja też na to.

— Ej, niebardzoś ty taki pokorny, jak się wydajesz: niemasz jeszcze tygodnia, jak za nic — ale to, jak mi Bóg miły, za nic — posiekałeś pana Urbańskiego na kwaśne jabłko.

— No, mój kochany, toż znowu trudno. Nikt się na to nie bije, żeby drugiego pogłaskał

— Ej, mniejsza o to. Niema co o tem mówić, ale do rzeczy, do rzeczy. Więc jakież to masz plany względem skłonienia stolnikowej do swoich zamiarów?

— Owóż więc — rzekł Murdelio, zażywając tabaki — tylko słuchaj mię uważnie, bierz rzeczy, jak są, a nie gorąco, boś widzę porywczy i przy zarozumiałości na swoją cnotę, z którą zresztą djabeł tam wie, jak stoi w rzeczy, masz jeszcze skłonność do kaznodziejstwa, a to nudna rzecz na dzisiejsze czasy. Więc jedna jest tylko droga i tej się chwycić należy.

— A tą drogą jest?

— Wykraść stolnikową i zabrać do siebie.

Jam osłupiał. Murdelio ciągnął dalej.

— Wykraść czyli zabrać gwałtem — to jedno. I niech ci się nie zdaje, że to będzie coś złego, lub zgoła zbrodnia nowa; ja wiem pewnie, że ona tylko czeka na to i pragnie, abym to zrobił. Dobrowolnie pójść za mnie nie może, nie dlatego, że jej powiedziałem, żem djabeł, bo u kobiety miłość jest wszystkiem, nie tak jak u nas zabawką tylko lub krotochwilą, ja to wiem dobrze. Więc nie dla djabelstwa mojego dobrowolnie nie pójdzie za mnie, ale dlatego, że ojca swego kocha, a onby umarł raczej, niżby oddał mi córkę za żonę. Ty nie masz wyobrażenia, jak ona do tego starca jest przywiązana! Ale kiedy ją gwałtem zabiorę i kilka tygodni potrzymam na moim zamku, to obaczysz, że wszystko dobrze będzie. Jej ani na myśl nie przyjdzie opierać się woli mojej, a ojciec — udobrucha się prędko. I będziemy bardzo szczęśliwi!... A kiedy już miły pokój zawita w domu moim, wtedy wymuruję klasztor wielki w mych dobrach, sprowadzę z Krosna Franciszkanów, nadam im kilka intratnych wiosek, i tak przy zatrudnieniu codziennem, przy pracy około roli, przy staraniach około codziennego szczęścia

drogich mi osób i przy modlitwach pobożnych za duszę moją, mam nadzieję, że się Pan Bóg zlituje nade mną i da mi dostąpić owego spokoju w chwili skonania, do jakiego wszyscy na ziemi wzdychamy. Cóż ty na to, Marcinie?

Jam chodził po izbie i nie wiedziałem, co odpowiadać. Wielka walka toczyła się we mnie. Głowa moja uznawała słuszność argumentów Murdelionowych, ale serce odtrącało je, samo nie wiedząc dlaczego. Byłem przekonany, że tak jest i tak się stanie, jak on powiadał; otwartość i szczerość w przyznaniu się do win wszystkich, do grzechów całego życia (na początku rozmowy) bardzo za nim mówiła; ale zawsze owo wykradzenie stolnikowej przeciwko jej woli oburzało mnie i obrzydzało mi tak tę całą sprawę, że wolałbym był nigdy nic o niej nie słyszeć. Zbrodnię zbrodnią naprawiać nie jest to rzecz uczciwa ani jakiemkolwiek prawem pozwolona. Bo gdzież rękojmia, że stolnikowa tylko tego czeka? gdzie pewność, że starzec nie skona w samą chwilę zniknienia córki?... Ale Murdelio był to człek bity we wszystkich rzeczach. Poznał on zaraz, że moja w tej sprawie opinja chwieje się we mnie, więc aby szala jego zamiarom przeciwna nie opadła do ziemi, nie tracił ani chwili czasu i począł w swoje szale nowe ciężarki dorzucać.

— Bo uważasz — mówił on dalej — że stolnikowa w duszy pragnie tego, abym ją wykradł, nie masz żadnego wątpienia. Ja mam listy od niej, które jasno tego dowodzą, ja ci opowiem najświeższe między mną a nią sceny... sceny...

— Hola! — zawołałem — ja sam jedną pamiętam.

I dopiero mi się przypomniała owa nocna scena, którą przez drzwi słyszałem, kiedym po raz pierwszy nocował w Zwierinku. Ta chwila przypomnienia była chwilą łaski Bożej nade mną. Człowiek jest słaby, a miljon razy słabszy, kiedy mu miłość zawiązała oczy i całe wyłącznie dla siebie zabrała serce. Kto wie, coby się było stało i do czego pomiędzy nami przyjść mogło! Bóg mi świadkiem, że tak gorąco pragnąłem wieczną przysięgą powiązać się z najdroższą Zosią, i także Bóg mi świadek, że pokusy tego szatana takie były łudzące, że gdybym był natenczas upadł pod niemi, to dzisiaj jeszcze, jak jestem stary i na sercu zakrzepły, calebym się nie dziwił. Ale Pan Bóg łaskawie wejrzał na sługę swego i nie dał go na pastwę nieprzyjacielowi rodu ludzkiego.

Od owej chwili kiedym zawołał hola! czułem to w sobie, że na mnie jakaś moc wyższa spłynęła; jakoż i zaraz inne zająłem stanowisko w tej walce, nie pytając wcale, jakie ono będzie, byleby bitwę wygrać. Otóż na moje hola! również nagle zawołał obrzydły kusiciel.

— Jaką scenę pamiętasz?

— Juści tę scenę, kiedyś stolnikowej mękami groził; kiedyś o panu Wicie (ojcu) mówił, że łotr, kiedy dzwonek upadł ze stołu, kiedy krzesło się wywróciło...

— Ja nic o tem nie wiem — odpowiedział najspokojniej Murdelio, — mnie tam nie było.

— Ale już ty mnie nigdy w tem nie przekonasz, żeby mi się to przesłyszało... No, ale prowadźże swoją sprawę dalej, urwałeś w samym środku. Chcesz wykradać stolnikową, wyspowiadałeś się przede mną jakby przed księdzem, obiecujesz mi wyrobić możność ożenienia się z Zosią, powiadasz, że nawzajem czegoś zażądasz ode mnie?

Powiadają, że djabła nikt w sprycie nie przejdzie; i prawda to i nieprawda. Nieprawda, bo już wiele rzeczy mu się nie udało na świecie, a od niejednej duszy nietylko że haniebnie odsadzony został jak kot od mleka, ale nieraz jeszcze i z bizunami na plecach powędrował nazad do piekła; prawda zaś, bo zaledwie mnie Pan Bóg natchnął dobrą myślą i uczciwą fantazją, już Murdelio zaraz to poznał i zręcznego dał kominka. Więc kiedy ja go pytam na serjo i prosto w oczy, czego on żąda ode mnie, — on mi dalejże wyplatać androny, jako Zosia jest piękna, jak stateczna, jako ja z nią będę szczęśliwy i t. d.

A ja nic; nie tędy, którędy ty chcesz, jeno którędy ja chcę. Rzeknę tedy:

— Ej, wiem ja to wszystko lepiej od ciebie, ale gadaj, czego ty żądasz ode mnie.

On nic. Umilkł, jakby go kto zaklął w drzewo, w kamień. Tedy ja po nim:

— A toż ty tu po to przyszedłeś, łotrze jeden, abyś w tę kałużę, w którąś sam wlazł, i mnie z sobą pociągnął? to mnie do wspólnictwa w łajdactwach twoich chcesz namówić? to nabroiwszy sam po szyję i naładowawszy na siebie zbrodni po sam kołnierz, mną się chcesz dzisiaj przed światem zastawić? to tumaniąc mnie Zosią i pomocą twoją, chcesz, abym dał koni moich i ludzi, i sam abym poszedł i pomógł tobie do umęczenia niewinnej i tak już nieszczęśliwej kobiety? Za kogo ty mnie masz? łotrze jeden, za kogo mnie masz, gadaj zaraz!

— Co to jest? — krzynął na to, prędko powstając z krzesła Murdelio — Waćpan się zapominasz, mospanie Nieczujo, ja waćpana miałem za uczciwego człowieka i spuściłem się przed nim z tajemnic, o których jak mi Bóg miły...

— Co ty się będziesz Bogiem zastawiał, djable jeden! — zawołałem na połowę z udanym, a na połowę z prawdziwym ferworem — hej! jest tam który! ja cię tu zaraz nauczę, jak to sedukować sług Bożych i poniewierać szlacheckiem potomstwem! — I udałem, jak gdybym chciał do drzwi iść i wołać na sługi. Ale wtem on, cofając się ku drzwiom i mnie do nich przystęp tamując —

— Mospanie Nieczujo! — krzyknął — waćpan się zapominasz! ja się zwykłem krwawo mścić każdej krzywdy.

Lecz jeszcze i tych słów nie domówił, kiedy już sobą tak silnie we drzwi uderzył, że się te otworzyły naścieżaj, i w tymże momencie rzucił się do sieni i — jakby go nigdy nie było, zniknął".

OLBRACHTOWI RYCERZE.

I Dom mieszczanina lwowskiego w XV w.

„W tem mieście tak ciasnem, lecz zarazem tak tłumnem i pełnem tak różnorodnego rozgwaru, w rogu wschodniej połaci rynku, obok cokolwiek później zbudowanego pałacu arcybiskupiego, stała kamienica o 6 oknach, wychodzących na rynek, ale ciągnąca się wzdłuż ulicy, wiodącej do cerkwi wołoskiej, aż ku ulicy Ruskiej. Był to wówczas największy i najpokaźniejszy dom w mieście, o 2 piętrach, murowany u dołu z ciosowego kamienia, wyżej z czerwonej cegły, opatrzony kamiennemi krużgankami, a nakryty wysokim dachem z dachówki, który był obwiedziony zębatym murem, prawie jak forteca, a nad którym sterczały olbrzymie kominy, prawie jak baszty obronne. Wszystkie ówczesne domy mogły mieć tylko 3 okna od frontu, bo tak chciało prawo, ale właściciele tej kamienicy, dzięki swojemu bogactwu i wpływom, potrafili sobie wyrobić 6 okien, za co wszakże zobowiązali się zmurować ją obronnie i w danych wypadkach przechowywać w niej skarby, jakieby im do schowania oddano. Toż był ten dom istną fortecą. Prowadziła doń od rynku brama wjezdna żelazna, wszystkie okna w przyziemiach były zakratowane i zamykały się na okiennice żelazne. Tutaj od frontu znajdował się kram otwarty, zamykany także na drzwi żelazne, w którym sprzedawano bakalje i rozmaite inne towary do codziennego użytku. Obok kramu był kantor, w którym wymieniano pieniądze i załatwiano wszelkie inne sprawy pieniężne. Dalej szły składy drogich tkanin tureckich, perskich, indyjskich, a z tyłu znajdowały się magazyny, napełnione wełną, skórami, suknami, płótnem i inną tkaniną pospolitego gatunku. Wewnątrz był wąski a długi dziedziniec, tak że weń mogły wjeżdżać wozy, a wyjeżdżały tylną bramą, już nie tak bardzo forteczną.

W tych przyziemiach trwał ruch bezustanny od rana do późnego wieczora, tak że do otwartych drzwi kramu czasem trudno się było przecisnąć, zaś bramą otwartą wchodzili tylko ci ludzie, którzy na górne szli piętra. Z tego wjazdu prowadziły szerokie, paradne schody, opatrzone rzeźbionym z dębowego drzewa poręczem, na pierwsze piętro, gdzie się znajdowały bardzo obszerne i bardzo bogato przyozdobione komnaty, z których największa część była przeznaczona na przyjmowanie gości, inne — na mieszkanie rodziny. Pierwsze z tych komnat

były napełnione pysznemi sprzętami z rzeźbionego drzewa, i ozdobione makatami, porozwieszanemi po ścianach; nad kominkami błyszczały w misternych ramach wspaniałe weneckie zwierciadła, u stropu pająki bronzowe, rzeźbione przez znakomitych sztukmistrzów włoskich; przy ścianach stały tu i owdzie szafy oszklone gdańskie, nasiekiwane na czarnem drzewie perłową masą, i inne niemieckie, składane z drzewa najrozmaitszych kolorów, — a wszystkie napełnione cennemi naczyniami ze srebra, porcelany i bronzu. Zgoła komnaty te zadziwiały swojem bogactwem; ale bywali już tutaj królowie, biskupi, posłowie papiescy i rozmaitych innych mocarzy, i także nie mogli im się nadziwić.—Na drugiem piętrze znajdowało się jeszcze więcej komnat, bo były mniejsze, ale wszystkie dostatnio we wszelaki sprzęt opatrzone, tak te, w których mieszkała rodzina, jak i owe, co w nich czasem mieszczono gości.

Właścicielem tej kamienicy był wówczas najbogatszy kupiec ormiański. Nazywał się Epaminondas Arzebek Chiaao, ale że niekażdy mógł łatwo jego nazwisko wymówić, więc go powszechnie nazywano Kijasem. O jego pochodzeniu różne chodziły wieści, o które on się jednak wcale nie troszczył... ...Był to człowiek rozumny i wiedział, że kmieć, mieszczanin czy szlachcic tylko tem stać powinien pomiędzy ludźmi, co sam zaważy, a nie tem, co tam kiedyś ważyli jego przodkowie.

Kijas miał wówczas lat 60 z okładem, duży był wzrostem, kościsty i silny, twarz także miał dużą, całkiem ogoloną, nos mocno garbaty, ormiański, oczy duże, siwe, krzaczystemi brwiami nakryte, i siwą czuprynę dosyć bogatą, ale zazwyczaj trochę w nieładzie. Na jego twarzy malowała się bardzo wydatnie przytomność i świadomość siebie samego: dość było spojrzeć na niego, ażeby widzieć, że temu człowiekowi nie można pleść lada czego, bo niełatwo uwierzy; ale na tej trzeźwej twarzy odbijał się także spokój, właściwy wszystkim ludziom wytrawnym, dobroć serca i łagodność umysłu. Toż ten uprzejmy wyraz jego twarzy zniewalał wszystkich do tego stopnia, że kto go poznał, zaraz miał zaufanie do niego i chociaż po raz pierwszy z nim mówił, był z nim, jak gdyby go znał od lat niepamiętnych.

...Był on człowiekiem nietylko ukształconym, ale także uczonym. Mówił pięciu językami poprawnie i płynnie; znał geografję całej Europy na palcach; znał wszystkie targi europejskie pod względem ich znaczenia, ich towarów, kredytu i obyczajów; znał się sam na wszelkiego gatunku towarach; był namiętnym zbieraczem wszelkiego rodzaju osobliwości, — a prócz tego kochał się w pergaminach i książkach, których miał całą szafę, na bardzo misterny zamek zamkniętą.

(wyliczenie pergaminów i druków, jakie posiadał)

Kijas był o te książki, a zwłaszcza pergaminy, tak zazdrosny, że wprawdzie każdemu je pokazywał, czytał sam

i tłumaczył, ale nikomu do ręki nie dawał z obawy, aby mú ich nie zabrukał. Równą słabość miał także do drogich kamieni, które namiętnie skupywał, ale je z zyskiem sprzedawał.

Wszelako jego wielki rozum objawił się głównie w administracji jego niezmiernie rozgałęzionego handlu, a obejmującego prawie wszystkie znane towary i rozpostartego na przestrzeni połowy Europy. Tu trzeba było głowy nadzwyczaj zdrowej, aby tem wszystkiem zarządzać. Kijas miał bowiem zmonopolizowane dla siebie fabryki w wielu miastach i miasteczkach, miał własne statki na Dniestrze, Sanie, Wiśle, miał własne kramy i składy w Przemyślu, Łańcucie, Kamieńcu, Suczawie, miał własne kantory w Gdańsku, Wenecji, Kaffie, Carogrodzie, a do tego mnóstwo rozmaitych przedsiębiorstw w samym Lwowie i po przedmieściach, — a przecie ta cała administracja była jak zegarek, nie zdarzały mu się nigdy znaczniejsze szkody, ani nieprzewidziane wypadki, a majątek się ciągle pomnażał. Kijas miał także w swojem zawiadowstwie b. znaczny majątek ziemski koło Trembowli, należący do jego synowej; sam większych posiadłości szlacheckich nie łaknął, kupił tylko przed kilku laty wieś Skniłów pod Lwowem i dał za nią 60 grzywien, rycerskiego konia, sobolową czapkę i parę butów ormiańskich, — ale kupił ją tylko dlatego, że jego syn, mający ambicje szlacheckie i zamiłowanie w koniach, naparł się jej koniecznie.

Natomiast wszakże, idąc śladem ojców, dbał o to, aby miał w mieście znaczenie, — i miał je, bo był już proconsulem wiele razy; od kilku lat był już w odstawce i nosił tytuł Consul antiquus, ale mimo to tak był respektowany, jak gdyby był arcykonsulem czynnym, i żadna ważniejsza sprawa nie obyła się w mieście bez jego rady. Pomiędzy miejską starszyzną miał zazdrosnych, jak każdy, co głową przenosi innych, ale natomiast wszystkie niższe warstwy były mu całem sercem oddane, bo był uczynny i miłosierny, nikomu nigdy nie odmówił pomocy, często nawet sam się z pożyczką lub datkiem narzucał, — a zawsze to robił po chrześcijańsku, że lewa ręka nigdy nie wiedziała o tem, co prawa wydaje. Lubił także robić basztangi osobom zamożnym (tak Ormianie nazywali podarki), więc temu dywan dywtykowy, drugiemu bursztynowy różaniec, trzeciemu chustkę indyjską dla małżonki, ale wtedy już jego głowa wiedziała, dlaczego to robi.

Epaminondas Arzebek Chiaao nosił zwykle na głowie biret niemiecki, na sobie suknię długą z czarnego sukna lub aksamitu, na nogach zaś buty żółte albo czerwone, i tak go można było widywać siedzącego we drzwiach otwartych swojego kramu na worku pieprzu, witającego uprzejmie przechodniów i rozpytującego ich o codzienne nowiny lub plotki, obiegające po mieście. Pilnował przytem swojego kramu, który mu wprawdzie nie przynosił ani dziesiątej części jego dochodów, ale o którym sam mawiał, że to jego chleb powszedni".

II. Przejście przez lasy Bukowińskie.

„Do tego odwrotu król miał dwie drogi przed sobą: jedną położystszą lecz dłuższą, brzegami rzeki Suczawy, — drugą górzystą lecz krótszą, przez las zwany Bukowiną. Król, nie ufając chytremu Stefanowi, pomimo rozpoczętych pokojowych układów, a widząc już, że Tatarzy gromadzą się nad brzegami rzek gęstemi chmurami, obawiając się zatem nad rzeką zasadzek, obrał drogę przez las. Ale wtedy już wszędzie czyhały na niego zasadzki...

Król zawsze wiedziony szlachetnym duchem rycerskim, nie chcąc dopuścić, ażeby ktokolwiek mógł go posądzić, że sam pierwszy uchodzi z pola, a szlachtę zostawia za sobą, chociaż z powodu choroby leżał na wozie, kazał województwom iść naprzód i między nie porozdzielał piechotę i spiże. Tak szli naprzód Mazury, za nimi Wielkopolanie, potem Małopolska, a Ruś na końcu. A szli wygodnie, broń poskładawszy na wozy, niektórzy nawet pozdejmowali z siebie pancerze albo koszulki i poruczyli je swoim woźnicom. Zgoła odprawowano ten odwrót z tak spokojnym umysłem, jak gdyby nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Tymczasem kiedy pospolite ruszenie weszło w sam środek lasu, którego było więcej niżeli na dwie mile, zaczęły się zjawiać na bokach zbrojne gromady, z prawej strony i z lewej, ba, nawet i z przodu, i hałasować z naszem żołnierstwem. Popłoch poszedł po całem pospolitem ruszeniu: zagrano w trąby, uderzono w bębny i kotły, dając znać jedni drugim, że są napadnięci i muszą się bronić. A wtedy wszczął się gwałt, hałas i nieład, i zamieszanie, jakiego jeszcze nikt nigdy nie widział w armji tak licznej i tak obciążonej wozami. Ten szuka swojego pancerza, ten broni, a znaleźć nie może; ów woła na swoich ludzi, ale nikt go nie słyszy; wojewodowie, kasztelani, rotmistrze latają na koniach tam i sam, krzyczą wniebogłosy na swych towarzyszów, ażeby ich zebrać i sprawić, ale towarzysze zebrać się nie mogą pomiędzy drzewami, rzucają się w tę stronę i w ową, nie poznają się, wpadają jedni na drugich, nie mogą ani głosu dosłyszeć, ani też dojrzeć swojej chorągwi, której chorąży pomiędzy drzewami rozwinąć nie może. Zgoła wre, kipi i przewraca się to wszystko na całomilowej przestrzeni jak w kotle — a z tego wrzątku wylatują tysiączne wołania i głosy, właśnie jak gdyby się dno piekieł rozwarło, i wylatywały zeń rozpaczliwe jęki dusz potępionych.

A tu tymczasem z prawej, z lewej i z przodu chmury cudzego żołnierstwa rozmaitej broni, pomiędzy któremi wszakże widziano dobrze siedmiogrodzkich Szeklerów, gromady chłopów wołoskich, uzbrojonych w siekiery i noże, i całe ściahy, ba! nawet czambuły Tatarów, właśnie jak roje pszczół rozigranych rzucają się na nas, obsiadają nasze rycerstwo, groma-

dzące się w grupy, uderzają z wściekłością dzikiego zwierza, kłują, rąbią, mordują. Tu i owdzie ponadcinane drzewa walą się na nas, druzgoczą konie, ludzi i wozy, na obalonych wpadają chłopi wołoscy z nożami, wykłuwają im oczy i wypruwają wnętrzności.

W lesie ani pomyśleć o tem można, ażeby bronić się kupą, każdy więc broni się pojedynkiem, jak może, inny wymyka się z lasu i chce się ratować ucieczką, ale niebawem zgoniony, pada pod toporem chłopów wołoskich na polu...

Pomiędzy walczącymi stary Fredro był pierwszy, który się w tym straszliwym popłochu obaczył, całą przytomność umysłu odzyskał i młodzieńczą rozwinął energję. W mały czas po pierwszym napadzie, widząc, że w gęstym lesie hufca sformować nie może, rzucił się z trębaczami na najbliższą polanę, i rozwinąwszy tam swoją chorągiew, wołając przytem ze wszystkich piersi, a trąbiąc, zgromadził przecie około siebie blisko stu jezdnych. Z tym hufcem zaczął na najezdników uderzać, gdzie tylko do nich mógł dotrzeć, i swoją siarczystą a uporną odwagą prawie cudów dokazał. Podruzgotał bowiem kilka oddziałów wołoskich i tatarskich na miazgę, które się pokolei na niego rzucały, potratował ich niedobitki, a trupy ich wdeptał w ziemię końskiemi kopyty. Niemało swoich, co byli już w łykach, z pazurów tatarskich uwolnił, wołoskiego hetmana Szoszumiło, murzę Mulasza, jego brata Jadyna i 10 murziaków zabrał w niewolę, i z takiem samem zuchwalstwem na dalszych najeżdżał, ale 7 razy w tych bojach w bok ranny i 2 razy w głowę, opadł na siłach, zsunął się z konia, i został przez Tatarów nielitościwie dobity.

— Fredro zginął!— rozleciał się głos po obozie i nową grozą napełnił serca rozpaczliwie się broniącego rycerstwa.

Jego przykładem zagrzany Mikołaj Tęczyński, wojewoda ruski, poszedł za jego śladami. Także wyprół się z lasu z kilku towarzyszami, pomiędzy którymi był Kmita, i w czystem polu przystojny hufiec zgromadził. Ale raz tylko na siedmiogrodzkich Szeklerów uderzył, złamał ich i rozproszył — a w rozsypce uganiając się za ich hetmanem, uderzony młotem żelaznym w głowę, spadł z konia, ażeby już nie wstać.

Kmita, który w niebezpieczeństwie poczuł swoją krew młodą, wściekł się ze złości na tych chłopów węgierskich, którzy młotem śmieli uderzać na pana, zebrał hufiec na nowo i od siedmiu tysięcy djabłów na Węgrów uderzył, — ale ranny w pierwszym ataku, szczęśliwie uniesiony był z pola przez syna i swoich zamkowych żołnierzy.

— Tęczyński zginął!—rozległ się znowu głos złowrogi po całym obozie, — a odtąd już takie przerażające głosy wciąż się powtarzały: Gabrjel Tęczyński zabity! Piotr Murdelio usieczon! kasztelan sądecki Grot ze Słupca i Konar na drzewie powieszon! Tarnowiecki, Pruchnicki, Humieński zginęli! Odrowąża

uprowadzili Tatarzy! Strach wielkooki zdejmuje coraz bardziej walczących, ale mordercza bitwa trwa dalej.

Król, stojący jeszcze w tem samem miejscu na brzegu lasu od strony Suczawy, gdzie przez cały czas oblężenia leżał obozem, na wieść tego niespodziewanego napadu niezmiernie się przeraził i zrazu chciał ruszać na odsiecz pospolitemu ruszeniu. Miał on wszystkie swoje chorągwie nietknięte pod ręką — a była to siła nieszpetna, zwłaszcza że tam człek w człeka i koń w konia były w wielkim porządku i doskonałej karności, było też przytem i kilka tysięcy piechoty w odwodzie. Ale po naradzie ze starszyzną odsiecz okazała się niemożebną, bo chyba było jeszcze i tę resztę armji rzucić w tę paszczę piekielną, aby ją pojedynkiem wybito.

Król posłał Kamienieckiego w las, aby mu przyniósł wiadomości, ale Kamieniecki nie wrócił. Nie pozostało tedy nic innego, jak porozstawiać chorągwie po brzegach lasu, a zarazem mieć oko na Suczawę, ażeby przynajmniej z tyłu nie dopuścić napadu. Chorągwie tedy przechadzały się po brzegach lasu, ta i owa starła się z jakim hufcem wołoskim albo ściahem Tatarów i powracała z wiadomościami do króla.

Potem zaczęły przylatywać do niego wieści o tych, co zginęli. Śmierć Fredry głębokim dotknęła go bólem, — a kiedy mu doniesiono, że Tęczyński zginął, łzy mu w oczach stanęły. Rannego Kmitę kazał przynieść do swego wozu i zapomniawszy dawnych niechęci, żałował go szczerze i kazał opatrzyć przez swoich lekarzy.

Niebawem potem i Kamienieckiego przyniesiono na derkach, ranny był w rękę i w głowę. Król go pytał: co robić?

— Nic — odpowiedział mu Kamieniecki — w lesie drzewo popodcinane, właśnie jakby cały las był napełniony wilczemi jamami. Padliśmy ofiarą naszej nieopatrzności. Połowa Polski tam zginie. My patrzmy, abyśmy w czystem polu zostali, gdzie się można obronić, a wreszcie nie żal i zginąć.

Król się odwrócił od niego, bo Kamieniecki pewnie mu także tej wojny odradzał i cokolwiek teraz powiedział, to brzmiało mu w uszach jak gdyby wymówka, zatwierdzona krwią tylu szlachetnych.

Tak przylatywały wciąż wieści z lasu i uderzały w króla jak kule armatnie: ten został usieczon, drugi powieszon, a trzeciemu wypróto jelita. I było tych pobitych i pomordowanych już całe setki, ba! nieledwie tysiące. Gdyby mu całe piekło było runęło na głowę, to byłby nie czuł więcej palącego ciężaru na swojem sumieniu. Jakoż otaczający wóz jego panowie i senatorowie duchowni mieli już litość nad nim i nie powiadali mu, kto tam znów zginął.

Jednak niebawem zaczęły tak samo gonić za sobą wieści jeszcze daleko straszniejsze.

Oddział Wołochów, złożony z jakich trzech tysięcy jazdy, uderzył na czoło obozu i wyciął 600 Mazurów do nogi, tak że ich ledwie kilku uciekło.

Ci sami Wołosi prą dalej w las, pozabierali armaty i wywożą je z lasu...

Nasze własne piechoty niemieckie i czeskie zaczynają się burzyć. Owi okrzyczani Husyci z pod Laszek napadają na nasze własne wozy i zaczynają rabować...

A wreszcie Olizar, który najdalsze robił wycieczki i głównie miał na oku fortecę, przyleciał pędem tak wściekłym, że się koń pod nim rozpierał, i przyniósł wiadomość, że kędyś z nad brzegów Seretu ciągną znaczne oddziały wojsk ku Suczawie; jedne zajmują stanowiska opuszczonych przez nas obozów, a drugie wchodzą w bramy fortecy; jakoż widać dobrze coraz wzmagający się ruch zbrojnego ludu na murach...

Trudnoż już było tych wiadomości nie powiedzieć królowi. Kiedy bowiem pospolite ruszenie, co chociaż się tylko broniło, jednak usiłowało przeć naprzód, mogło zostać rozbitem i rozproszonem przez tych Wołochów, co uderzyli na Mazurów; a ci Wołosi, wsparci świeżemi posiłkami, mogli dotrzeć przez las aż do obozu królewskiego; wojska ściągające ku Suczawie, mogły nań z tyłu uderzyć, a tak dwór królewski mógł zostać wzięty w dwa ognie. Zważywszy to położenie, król już się nie namyślał, tylko wysłał co najodważniejszych towarzyszy w las z rozkazem, ażeby się pospolite ruszenie — gdziekolwiek jest — cofało ku brzegom i oparło o obóz królewski.

A wtedy już słońce zaczęło zapadać, i bitwa w lesie zaczęła ustawać".

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dzieciństwo i młodość—zdolności i temperament Kaczkowskiego. Rok 46-ty, — wpływ klęski i uwięzienia na przekonania Kaczk.

Kato jako protest przeciw hasłom romantyzmu. Stosunek Kaczk. do romantyzmu wogóle. Co mu przeciwstawia? „Słowo o romantyzmie".

Powieści Nieczujowskie. Typ Skarbnika. Jak maluje Kaczk. tę epokę? Jaką rolę odgrywa pierwiastek historyczny w obrazie tego społeczeństwa? Czy Kaczk. idealizuje szlachtę tego okresu? Stosunek do ludzi nowych z epoki stanisławowskiej. (Grób Nieczui).

Społeczne powieści Kaczk. Ich tendencja. Wartość artystyczna w porównaniu z Nieczujowskiemi.

Lud i kwestja włościańska w powieściach Kaczk. (Rozbitek, Bajronista, Stach z Kępy).

Olbrachtowi Rycerze. Obraz epoki. Zamek rycerski w Olbr. Ryc. Typy rycerskie: Wilczek, Gniewosz, Kergolay, Olizar. Mieszczaństwo lwowskie w Olbr. Ryc. Typy kobiece. Klasztor. Strona obyczajowa XV w. w Olbr. Ryc. Pierwiastek fantastyczny w Olbr. Rycerzach. Krajobrazy. Historyczna i artystyczna wartość Olbr. Rycerzy.

Historyczna powieść Kaczk. wogóle, jej cechy najwybitniejsze.

Powieści Nieczujowskie i Pamiątki Soplicy Rzewuskiego — zestawienie.

Powieści historyczne Kraszewskiego i Kaczkowskiego, na podstawie dwóch znanych, np. Krzyżacy Krasz. i Olbracht. Ryc.—albo Hrabina Cozel i Anuncjata—lub inne.

Do czytania. Wstęp Ign. Chrzanowskiego do zbiorowego wydania dzieł Kaczkowskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

ELIZA Z PAWŁOWSKICH ORZESZKOWA

1842 — 1910.

Niestrudzona i mężna pracownica na niwie narodowej i społecznej urodziła się pod Grodnem, w majątku dziedzicznym Miłkowszczyźnie. Ojca straciła w drugim roku życia, matka, kobieta młoda, towarzyska, przeniosła się do Grodna, zrażona do pustego, samotnego domu.

W Grodnie więc upłynęło najwcześniejsze dzieciństwo Orzeszkowej, w tem samem mieście, z którem związało się całe jej życie, aż do ostatniej chwili. Tu naukę domową jej i starszej siostry prowadziła nauczycielka, może skromna pod względem zasobów umysłowych, lecz gorącego serca i szlachetnych uczuć. Później autorka poświęciła jej wspomnieniu obrazek „Panna Antonina“.

Tło życia stanowiły stosunki towarzyskie z okolicznemi dworami, trochę miejscowych, i wrogie stanowisko względem władz zaborczych, wobec których aktem niezwykłej odwagi było np. noszenie przez matkę Elizy srebrnego orzełka w broszce.

W dziesiątym roku życia zachodzą duże zmiany w otoczeniu Elizy: umiera starsza siostra, towarzyszka jej i powiernica, matka wychodzi za mąż, a ją odwozi babka do Warszawy, na pensję panien sakramentek.

Nowy świat, nowe wrażenia i ludzie. Cisza klasztorna, powaga zakonnic i ten mur, granica tajemniczej dali. Dla żywej wyobraźni to wielkie podniety. A wewnątrz—trochę wiedzy, koleżeństwo, życie zbiorowe. Tu spotyka po raz pierwszy Marję Wasiłowską, później—Konopnicką. Zbliżają je upodobania pokrewne, wspólne myśli, uczucia i pierwsze próby pióra, któremi wspomagają słabsze koleżanki.

Piętnastoletnią Elizę matka odbiera z klasztoru i w kilka miesięcy potem wydaje za mąż za obywatela z kobryńszczyzny, człowieka jeszcze młodego, chociaż po trzydziestce, bogatego, towarzyskiego.

Młoda mężatka czuje się zupełnie z losu swego zadowolona. W Ludwinowie, majątku męża, życie płynie wesoło i takie znowu inne. Dwór zawsze ludny, gwarny, pełno gości, zajęcia, bo młoda gospodyni pragnie poznać i spełniać wszystkie obowiązki pani domu i właścicielki majątku.

Zresztą prawdopodobnie niewiele czasu na to poświęca — tyle stron nowych odsłania jej życie, przeważnie jasnych, zawsze zaciekawiających. Po klasztornem zamknięciu ileż nowych typów,—dla bystrej obserwacji ileż materjału. Niewiele też korzysta z bogatej nawet bibljoteki, choć książka dla niej zawsze miała powab.

Chmurzy się jednak to życie wesołe, może z powodu przymusowej bezczynności. Budzi myśl sprawa włościańska—szybko rozpala serca. Rząd rosyjski, który tak długo sprzeciwiał się tej koniecznej reformie, pod nowym carem zmienia stanowisko, pyta o wolę ziemian-właścicieli.

I rozpoczyna się walka wewnętrzna. Ziemiaństwo dzieli się na dwa obozy: młode i najgorętsze żywioły, do których naturalnie należy Orzeszkowa, domagają się przeprowadzenia zmian natychmiast. Wszystko przemawia za tem, czyn powinien nastąpić jaknajprędzej. Mniej gorące temperamenty, natury egoistyczne i ciaśniejsze, lękliwsze i biorące pod uwagę przedewszystkiem wzgląd materjalny, rachunek—stawiają mocny opór. Nie przeczą, lecz tymczasem—kiedyś—zwolna —

Do opornych należy pan Orzeszko. I oto konwenansowe małżeństwo rozdziela nagle przepaść. W 18-letniej kobiecie budzą się wszystkie moce, chwilowo uśpione: poczucie sprawiedliwości, ból krzywdy, miłość upośledzonych. I obok siebie widzi cały zastęp tak jak ona myślących i czujących. Tylko mąż... Co złączyło ją z tym człowiekiem?

Zbliżają się wypadki tragiczniejsze. Obóz młody organizuje się szybko, Orzeszkowa jest z nim—każdem drgnieniem duszy. Są szczęśliwi: dla nich wybiła godzina czynu, ofiary, a może zwycięstwa.

Zawód gwałtowny, straszny. Burza, prawdziwa burza rozszalała się i zmiotła wszystko: ludzi, dwory i wioski, — pozostała cisza i pustka. Tak nagle.

Ludwinów skonfiskowany, mąż na Syberji, przyjaciele i krewni wyginęli, albo także w krainie lodów. Nikogo. — To wszystko w ciągu roku.

W r. 1864 przez ziemie opustoszałe, nieuprawne, pośród zgliszcz i ruin podąża Orzeszkowa do rodzinnej swojej Miłkowszczyzny, aby zamknąć się w starym, pustym, cichym domu.

Potrzebuje tej samotności i bezludzia, pragnie być sama z sobą, ocknąć się po okropnych, wstrząsających ciosach, obudzić ogłuszoną myśl, niezapomniane nigdy wrażenia, najgłębsze uczucia doprowadzić do jakiejś równowagi. Ona w tej chwili nie wie, czy dalej żyć można, gdzie szukać pokrzepienia i nadziei.

I zaczyna się sześcioletni okres samotności, rozmyślań, pracy nad sobą, nauki.

Burza przeszła. Zmiana zupełna stosunków. Lud uwłaszczony, — szlachta zrujnowana. Niedlatego, że nastąpiło uwłaszczenie, ale że je tak obmyślono, aby dla posiadaczy ziemi było klęską, zgubą żywiołu polskiego na Litwie.

Miłkowszczyzna też zagrożona. Ciążyły na niej długi, — młoda właścicielka nie rozumie zupełnie interesów, nie ma pojęcia, jak ratować ojcowiznę. Wyobraża sobie, że wystarczy oszczędność, ścisłe ograniczenie wydatków. — Nie widuje też ludzi, w gronie nielicznej służby pracuje, czyta, myśli. Wie o brakach własnego wykształcenia i pragnie je dopełnić sumiennie, gruntownie. Może wiedza wytłumaczy jej niejedno, pozwoli rozwiązać trudne zagadnienia, wobec których czuje się dotąd bezsilną. — Ma pod ręką bogatą bibljotekę, sprowadza nowe książki, krajowe i zagraniczne, pragnie ogarnąć myślą szersze światy.

A ponieważ jej umysł szuka własnej drogi, więc ją znajduje zwolna i zdobywa. W jej duszy budzą się nowe pytania, rzuca je życie samo—trzeba na nie znaleźć odpowiedź. Pod piórem ta odpowiedź staje się jaśniejsza, przyobleka się w kształty i obrazy — więc samotnica wraca do upodobań dzieciństwa i zaczyna pisać—dla siebie. Sprawia jej to rozkosz i wskazuje drogę, lecz zdaje sobie sprawę z małej wartości tych próbek — i giną. Jednak już w Miłkowszczyźnie powstają jej pierwsze obrazki i powieści, które ukazują się w druku: „Obrazek z lat głodowych“, dola ludu i zestawienie z obojętnością dworu, „W klatce“, „Na prowincji“, „Cnotliwi“ i rozchwytany, choć jeszcze rozwlekły „Pamiętnik Wacławy“, która nie chce być tylko panną na wydaniu. Głośnem echem odezwało się to hasło w sercach młodego pokolenia dziewcząt, i autorka zajęła stanowisko przewodniczki sił młodych, szukających drogi.

Co dało jej tę władzę? Własne życie i własne serce. Przedewszystkiem musiała przecież zastanowić się nad sobą. Czem było dotąd jej życie? jej małżeństwo? Czy w ten sposób powinny kojarzyć się związki dwóch istot — święte i nierozerwalne? Co je zazwyczaj łączy? Jak wygląda przed ślubem młoda panna? — jakim bywa kandydat na małżonka? Czy istotnie małżeństwo — to koniec powieści?

Cały szereg obrazków powstaje na tle tych pytań, mówią one, że ołtarz—to dopiero „Początek powieści“, to początek nowego życia, które często bywa tragedją. Stwierdza to dłuższa już powieść „Pan Graba.“ I powstaje nowe pytanie: dlaczego? Gdzie przyczyna tylu zawodów i nieszczęść?

Na to odpowiada najwyraźniej „Marta“, choć odpowiedź jest w każdej. Ale Marta jest krzykiem rozpaczy,

jest wyrzutem, rzuconym matkom, społeczeństwu: czy takiem być powinno wychowanie dziecka? Jakież jest przygotowanie kobiety do życia? Co się z nią stanie, gdy męża zabraknie? Patrzcie na losy Marty! Takich jest tysiące!

Martę przetłumaczono na język niemiecki, używano do celów propagandy w sprawie wychowania kobiet. Dzisiaj treść tej powieści nie ma dawnego znaczenia: zmieniły się stosunki, w owym czasie jednakże była głosem wielkim, wstrząsającym, bo słusznym. Chodzi w niej o to, że młoda kobieta, szczęśliwa żona, matka, nagle po śmierci męża zostaje bez chleba i pomimo wysiłków i najlepszej woli — nie może go zdobyć dla siebie i dziecka, bo nie jest przygotowana do pracy, nic nie umie gruntownie i dokładnie, otrzymała wykształcenie powierzchowne, które było udziałem panien w tej epoce. Musi zginąć tragicznie.

Jak widzimy, Orzeszkowa własne życie wzięła nie osobiście, lecz na tle szerszem ogólnych zagadnień, i to dało jej pracom wagę i znaczenie, obudziło echo rozgłośne. Ona — to cały legjon. I tak było. Do zabawy przygotowane panienki ze dworu znajdują się na bruku i bez chleba.

Ona także w najkrótszym czasie potrzebowała pracy zarobkowej! Miłkowszczyzna stracona, nie umiała jej ocalić, przenosi się do Grodna. Lecz jej talent otwiera drogę, a to przecie dar wyjątkowy. Nie o wyjątki chodzi, lecz o całą rzeszę pokrzywdzonych i szukających ratunku. Dlatego w jej utworach na ten temat nigdy nie znajdujemy utalentowanej artystki. To już kwestja zupełnie inna. Tam los wskazuje drogę. To uprzywilejowane.

Pod względem artystycznym te pierwsze powieści mają wiele stron słabych — ale znaczenie ogromne. Ich wartość leży w treści, tak potrzebnej i pożądanej, podającej spragnionym zdrowy napój. Uczcie się i pracujcie, nie bujajcie pod obłokami marzeniem, — po ziemi chodzić trzeba. Tu każdy ścieżkę znajdzie, kto jest przygotowany torować sobie drogę samodzielnie. Nie gardźcie rzemiosłem ani pracą ręczną: to przesąd. Każda praca daje chleb i niezależność, a zatem względne szczęście, jeżeli ją wykonywać doskonale.

Takie są mniej więcej myśli i zagadnienia w pierwszych pracach autorki Marty. Nowe otoczenie w Grodnie, nowe warunki życia — nowe zaczęły jej nasuwać kwestje.

Dziwnemby się zdawało, że to, co najgłębiej przez całe życie leżało w jej duszy — straszne wspomnienie burzy i ból klęski — długo w jej pracach pokryte milczeniem, zdaje się nie mieć głosu. Lecz to jest pozór tylko: wszak kto czuł wtenczas, musiał chodzić w masce. Nad drukowanem słowem czuwała cenzura. A gdy w roku 1880 chciała rozpocząć w Wilnie wydawnictwo dzieł polskich różnej treści — dopatrzono już w tem antipaństwową dzia-

łalność, internowano Orzeszkową w Grodnie i oddano pod dozór policyjny.

W takiej więc atmosferze pisać musiała ostrożnie, aby nie stracić prawa przemawiania i gruntu pod nogami. Najboleśniejsze kwestje ucisku, oporu, nadziei — trzeba było omijać zdala, uczucia narodowe osłaniać pozorem innego zagadnienia, w temacie społecznym ukryć analogję, nieraz w obce szaty przybraną (Czciciel potęgi), wreszcie powiedzieć sobie i zrozumieć, że całość składa się z części, więc rozpatrując cząstki poszczególne, od całości się nie odrywamy, poznajemy ją lepiej.

Niewątpliwem jest także, że o sprawach najboleśniejszych i najważniejszych razem nie umiałaby jeszcze wtedy pisać, nie była dość opanowaną uczuciowo, ani dojrzałą umysłem. A zarazem zdawała sobie sprawę, że sąd zależy zawsze od równowagi wewnętrznej sędziego. Tę równowagę osiągnęła zczasem, — teraz dążyła do niej.

W Grodnie otacza ją mrowie maluczkich. To nie wieś, nie „Niziny“, — drobne mieszczaństwo, Żydzi. Sfery nieznane, obce. Ciekawą obserwatorkę pociąga do nich współczucie. Orzeszkowa ma w duszy miłość ludzi, odczuwa niedolę ich, ból, krzywdę. Więc obce i ubogie środowisko odsłania przed nią swoje tajemnice, w których znajduje bogaty materjał do nowych zagadnień społecznych.

Na pierwszy plan występują teraz Żydzi, główna masa ludności małego miasteczka (nie tak bardzo nawet małego), pociągająca swoją odrębnością, która musi budzić ciekawość, — narzucająca swoją mnogością pytania: kto to jest? czego można się od niej spodziewać?

Zaczyna się z zbliżanie i badanie, drobiazgowa i głębsza obserwacja. Orzeszkowa nigdy nie pisze z fantazji. Więc na podstawie studjów powstają powieści żydowskie. „Eli Makower“, „Meir Ezofowicz“, „Silny Samson“, „Daj kwiatek“, parę innych. Uderza w nich nietylko zrozumienie, ale odczucie tego tak obcego świata.

Obcego. — Orzeszkowa traktuje Żydów jako Żydów (Meir Ezofowicz, Silny Samson), — stosunek do ludności polskiej – to plan dalszy, nietylko z konieczności. Jej najpierw chodzi o ten świat żydowski sam w sobie. Co to jest? — Widzi w nim złe i dobre. Widzi cnoty rodzinne, wdzięczne, litościwe serca, wytrwałość w ciężkiej walce życia, przywiązanie do wiary i tradycji, tęsknotę do oddalonej, symbolicznej prawie ojczyzny. — A z drugiej strony widzi straszliwą ciemnotę i codzienne płynące z niej grzechy, chciwość grosza, przesądy, fanatyzm, namiętny charakter rasy, decydujący z nieubłaganą zawziętością w sprawach dotyczących religji, a chociażby tylko prze-

sądu, słusznej czy pozornej korzyści ogółu wybranego narodu i t. p.

Najlepszą z tych powieści jest niewątpliwie „Meir Ezofowicz“, jedno z arcydzieł Orzeszkowej. Daje tu obraz świata żydowskiego w jakimś zapadłym kącie. Nie brak takich miasteczek na Litwie. Tu pośród cnót rodzinnych, ciemnoty, fanatyzmu i codziennych zabiegów o materjalne dobro, rozwija się i rośnie duch młodzieńca, który pożąda światła i miłości. Opierając się na „pisaniu“ przodka Michała Senjora, walczy o te hasła i ginie — to znaczy: wyklęty z pośród swoich, iść musi w świat nieznany, gdzie ma nadzieję znaleźć innych ludzi. Potępia go nie złość — lecz ciemny przesąd.

„Silny Samson“ to psychologiczna nowelka: dzieje duszy biednego Żyda, który na scenie amatorskiej był raz silnym Samsonem.

Pierwszą jednakże z powieści żydowskich, wyraźnie choć ostrożnie poruszającą sprawę stosunku do gojów, do miejscowej ludności polskiej — jest „Eli Makower“. W określeniu tego stosunku zawiera się tendencyjna treść powieści, nadzieja Orzeszkowej co do lepszej przyszłości i wskazówki, jak do niej dążyć trzeba, płynące z jej przekonania i serca. W wyjątku podajemy ten pogląd autorki, chociaż w kilka lat później pod wpływem nowych prądów pisze specjalne studja: „O Żydach i kwestji żydowskiej“, „O nacjonalizmie żydowskim“. Tu już widocznie zdaje sobie sprawę, że w ostatnich czasach masowy napływ żywiołu obcego, niczem nie związanego z miejscową ludnością, mającego odrębne dążenia i cele — wytworzył inny stosunek i nastrój. W epoce jednak kiedy powstał „Eli“, ludność żydowską stanowiły jeszcze pokolenia od wieków tu osiadłe, przeżywające z nami w ciągu wieków i złą i dobrą dolę, zespolone z żywiołem polskim i składające nieraz dowody bratnich uczuć. — I dziś pomiędzy nami są Żydzi-Polacy. Poza tem jednak stoi tłum wyraźnie wrogi i zupełnie nam obcy, przed którym jesteśmy zmuszeni się bronić.

Nowy prąd zwrócił uwagę autorki, nawet ją zaniepokoił: To „Widma“. Idą ze wschodu, szydząc z tradycji, przeszłości, ideałów i uczuć narodowych. Kosmopolici i reformatorzy-utopiści. Nie rozumieją sami haseł, które głoszą, nie zdają sobie sprawy z ich wartości. Zatruty posiew zagłady pod pozorami wolności — niesie zgubę nieszczęśliwym obłąkańcom, a polskości — nowego wroga. Do tej grupy należą „Sylwek Cmentarnik“, „Zygmunt Ławicz“, „Bańka mydlana“ i inne.

Widok zarazy zwraca spojrzenie autorki na glebę. Co ona wydać może? Jakie na niej bujają chwasty, jakie plony?

Tak powstają „Niziny“, „Dziurdziowie“, „Cham“, „W zimowy wieczór“, „Romanowa“ i inne. Chłopska dola. Poczciwy i szlachetny, a ciemny lud polski na Litwie. Każdy obraz zdaje się wołać: „Oświaty!“ — Nie zachęca nikogo do tej pracy, nie wspomina o żadnych szkołach, o nauce — gdzieżby znowu! Niewolno. Lecz treść mówi sama za siebie. Uczciwi ludzie zabijają niby czarownicę — dlaczego? Bo są ciemni. Pokątny doradca krzywdzi, wyzyskuje, demoralizuje nieszczęśliwych — bo ciemni. Ich zabawa i odpoczynek — to karczma. Żal głęboki budzi ten widok. Bo iskierka sumienia tli nawet w zbrodniarzu, a ileż szlachetności kryje ewangeliczna dusza „Chama“, prostego rybaka, który przebacza i ratuje trucicielkę!

Chama znowu wyróżnić trzeba, jako jedno z arcydzieł Orzeszkowej.

Obok ludu daje także obraz dworu. Położenie materjalne ziemiaństwa po uwłaszczeniu, trudności i kłopoty, długi, życie nad stan, głupota kobiet, lekkomyślność powszechna, pycha, zarozumiałość, słabość, niezaradność — to wszystko już znajdujemy w Makowerze, to prowadzi do zguby nieuchronnej. Ratunek istnieje w pracy, oszczędności, wyrzeczeniu się zbytku i pańskich nałogów, zrozumieniu własnego położenia, — ale jakże niewielu jest do tego zdolnych, ileż ziemi i sił marnieje, przechodzi w obce ręce. Do tego cyklu należy „Rodzina Brochwiczów“, „Pompalińscy“ i inne.

Wreszcie przychodzi kolej na zaścianki, tę szlachtę chodaczkową, która tyle miejsca zajmuje na litewskiej ziemi, stanowi może tutaj najważniejszą podstawę żywiołu polskiego. I na tem tle powstaje dokument epoki—„Nad Niemnem“, jeżeli nie najlepsza, to najwięcej dla nas wyrazu mająca powieść Orzeszkowej. Daje tu najpełniejszy i wszechstronny obraz tej drobnej szlachty, ze wszystkiemi jej przywarami i wadami, z całą stroną obyczajową, ideową, jej stosunek do dworu w przeszłości i dzisiaj, — jej możliwa przyszłość przy dobrej woli ludzi, którzy wszędzie zdrowe ziarno siać powinni. W takich dziełach przeszłość zostaje zaklęta na wieczne, nieprzeżyte trwanie. Przyszłe pokolenia oglądać ją będą, jak ciekawy i wzruszający zabytek.

Tu nareszcie wyraźniej ośmiela się autorka dotknąć dziejowej burzy i związanych z nią uczuć, bólów. Ostrożnie opowiada nam o bitwie i wspólnej mogile powstańców, otwiera duszę pani Andrzejowej, wdowy po powstańcu Korczyńskim, w zrozumiałych dla nas obrazach kreśli wstrząsające wspomnienia.

Lecz to przeszłość, a dzisiaj — jakże dalekie od niej. Dwór i zaścianek niegdyś stanowiły jedność, wspólnie czuły, walczyły i ginęły za tę samą sprawę. Teraz pomiędzy nie-

mi zimny mur obojętności, niechęci, niezgody i walki. Winy są zobopólne, a następstwa zgubne, bolesne. Odczuwa to najmłodsze pokolenie i ono staje się łącznikiem. Ono odgadło sercem tajemnicę, z której jedynie powstać może odrodzenie i budowa nowej przyszłości. Tajemnica to bardzo prosta—szczera miłość.

Nad Niemnem zaliczamy do lektury obowiązującej, dlatego nie podajemy wyjątku. Zwracamy uwagę na rozmowę ojca z synem, zawierającą najważniejszą myśl autorki o stosunku dworu do zaścianka.

Znakomitym obrazkiem z życia drobnej szlachty jest także „Bene nati“ (Dobrze urodzeni). Doskonale wystudjowane i odtworzone typy, bardzo urozmaicone, a jednolite w pojęciu o wyższości swojej nad chłopem. Obrazowo ujęta strona obyczajowa podnosi jeszcze wartość tej niewielkiej pracy.

Po tych zagonach, miedzach, drogach i drożynach, uliczkach i zaułkach, błądzi myśl Orzeszkowej, ogarniając uczuciem każdą grudkę ziemi, rzucając wszędzie zdrowe i krzepiące ziarno, usiłując wyrywać chwasty i bolejąc nad plonem zmarnowanym. A dostrzegać musi go często. Twarde życie na własnej ziemi, i niejednego skusi daleka karjera. Tak wiele obiecuje na początku. Tak nęci blaskiem, złotem, rozkoszami.—Daleko na obczyznie zapomina się o niskiej chacie i rodzinie. Czy na zawsze?

Autorka wierzy, że gdzieś na dnie duszy kryje się utajona, nieśmiała tęsknota, i słodka rozkosz wspomnień, i miłość wzgardzona, a gdy wiek barki pochyli ku ziemi, one śmielej wołają o swe prawa. Pytają: cóżeś zyskał? czy takie były twe marzenia? czy czujesz się szczęśliwy w tym obcym mundurze, wśród obcych ludzi, którzy nie znali cię dzieckiem, nie widzieli kolebki twojej, ani tego, co ukochałeś pierwszą na ziemi miłością? Cały szereg obrazków na tle emigracji i życia na obczyźnie: „Czy pamiętasz?“ „Karjery“, „Liść uschły“, „Siteczko“, „Argonauci“, „Australczyk“, „I pieśń niech zapłacze“ i t. d.

Orzeszkowa potrąca tyle strun ludzkiej doli, że właściwie należałoby wyliczyć jej wszystkie obrazki, bo w każdym jest myśl inna, żadna nie rzucona bez celu. Niekiedy obejmuje zbiorek wspólnym tytułem, który mówi o treści, np. „Z różnych sfer“, „Melancholicy“ i t. p. Jakże głęboko wzrusza obrazek „Śmierć domu“. Napewno widziała taki dom umarły, gdzie o zmroku wracają cienie, aby pośród ścian drogich westchnąć i poszeptać. Wiele takich domów zostało po burzy. „Bracia“ — dwie drogi: życia i użycia. „Światło w ruinach“—miłość malucz-

kich ogrzewa i zbolałe serca. „Pieśń przerwana“ — smutna sielanka i t. d.

Kilka razy wybiegła wyobraźnią poza granice kraju, w odległe i słoneczne światy, w odleglejsze jeszcze epoki przedchrystusowych czasów. I wtedy jednak jakaś niteczka złota łączy te obce, dalekie tematy—z teraźniejszością, łączy je jakaś prawda, której nie zmienieją wieki: bolesna omyłka „Czciciela potęgi“, może pokrewne struny w duszy dziewczęcia tułaczego ludu, „Mirtali“, czy „Westalce“. Pocóżby o nich myślała autorka, tak wrośnięta w glebę ojczystą, tak dla niej wyłącznie żyjąca?

Poczucie obowiązku względem ziemi własnej jako nakaz moralny i zadanie życia — daje nam w „Dwóch biegunach“. Dla jednostki, czującej wagę obowiązku — niema poza nim szczęścia. — Ad astra — to dążenie duszy ludzkiej ku wyżynom. I pytanie o drogę. Myśl ją znajdzie czy serce? — Zwycięża serce. Nie odtrąca myśli, uznaje ją za niezbędnego sprzymierzeńca, łączność tych dwóch pierwiastków jest konieczna, ale serce jest sterem, a myśl tylko światłem. Bez światła serce zbłądzi, lecz myśl bez steru zbłądzi i zmartwieje, bo życie tkwi w uczuciu, rodzi się z miłości. Ad astra to niby dwa głosy, dwóch ludzi, tak zapowiada tytuł, w treści odczuwamy Orzeszkową w obu.

Burza dziejowa, początek i źródło twórczości Orzeszkowej, znalazła swój wyraz w przepięknym zbiorku drobnych obrazków z powstania „Glorya victis“—(chwała zwyciężonym). Pod koniec życia mogła ten głos wydać! Szereg wspomnień. Ludzie i drobne zdarzenia, rzeczy, które widziała, znała, patrzyła na nie. Drobne zdarzenia? Zapewne — wobec ogromu klęski czy zwycięstwa, lecz ileż w nich wielkości, bohaterstwa? Pierwszy obrazek — objęcie dowództwa nad partją przez Traugutta — (którego później autorka sama wywiozła z matni), — ostatni — mogiła, bo cóż innego być może? Wiele imion, wiele postaci, które nakoniec głośno nazwać może, dać życie tym bezimiennym bohaterom.

Ten mały tomik — to konieczność życia i twórczości Elizy Orzeszkowej. Czyż mogła zamilknąć, nie wypowiedziawszy nigdy tego słowa? W całej prostocie bezpośrednich wspomnień, — zmyślenie artystyczne nie byłoby tu na miejscu.

Czy to wszystko? — Nie. Suche wyliczenie szeregu tytułów nie da wiele, nie o to chodzi. Chodzi o zrozumienie kierunku i ducha autorki, z tym kluczem należy czytać samodzielnie. A znajdziemy w jej dziełach wielkie skarby myśli i najjaśniejszy płomień gorącego serca. Widziała i przeżyła tyle bólów, najbliższych osobistych, najcięższych ogólnych, — a jednak nie widzimy w niej na

jedną chwilę upadku i zwątpienia. Broni ją najpierw młodość, instynkt serca, — potem dojrzewa myśl i duch jej rośnie. Nie wątpi nigdy, bo wierzy w cel życia, niezrozumiały dla nas i nieznany, ale Boski, wiodący ku wyżynom, ku doskonałości, przez pracę, walkę i cierpienie (Bracia i inne). Więc cierpienie jest koniecznością, i znieść je trzeba mężnie, ono prowadzi do zwycięstwa.

Takim gościńcem idzie Orzeszkowa, drogę ma wytkniętą jasno i nie błądzi.

Artystyczna strona jej prac, zwłaszcza pierwszych, niezawsze odpowiada wymaganiom krytyki. Do najlepszych oprócz wielu nowel i obrazków — należy Nad Niemnem, Bene nati, Meir Ezofowicz, Cham, Dwa bieguny. Następnie różne kierunki myśli autorki, jej uczucia, poglądy, drogowskazy znajdziemy w powieściach — Eli Makower, Zygmunt Ławicz, Marta, Niziny. Z noweli — Bracia, Światło w ruinach, I pieśń niech zapłacze, Siteczko.

Język Orzeszkowej bardzo charakterystyczny, stosuje go jednak do ludzi i treści. Inaczej mówią w pałacu, we dworze, w zaścianku, w chacie, a inaczej Żydzi. Nie może przecież używać żargonu, lecz wyodrębnia ich mowę stylem i wyrażeniami. Najbardziej charakterystyczną jest mowa ludu i zaścianku.

Orzeszkowa jako człowiek uderza nas siłą uczucia, stałością przekonań, hartem wytrwania na trudnym posterunku, z czego niewątpliwie zdaje sobie sprawę, kreśląc obraz Seweryny w Dwóch biegunach. Miej serce i patrzaj w serce — to jej hasło.

Jako autor — znaczenie ma przedewszystkiem dla nas. Pisała dla swoich, dla swego pokolenia, którego była dobrym przewodnikiem i sumiennym nauczycielem. Ma zawsze więcej głębi niż żywości, więcej spokoju i powagi niż ruchu. Jako obraz epoki — jej prace nie stracą wartości, będą kiedyś ciekawą ilustracją rzeczy bezpowrotnie minionych. Dla obcych narazie większego znaczenia nie miały, niewiele jej utworów tłumaczono. Niektóre jednak rzeczy niewątpliwie zbogacą literaturę powszechną, czas podniesie ich wartość jako dokumentów.

Eliza Orzeszkowa umarła w Grodnie 1910 roku i tam pochowana.

ELI MAKOWER

I. Żydzi.

Powieść Eli Makower można uważać do pewnego stopnia za program wzajemnego stosunku ludności chrześcijańskiej i Żydów. Nie osłaniając ich wad, głównie chciwości na pieniądz, podkreśla cnoty rodzinne, spryt, radność, solidarność rasową, i wyraża pogląd, że winy są obustronne.

Żyd nie może oszczędzać jednostek lekkomyślnych, nie zasługujących niczem na szacunek ani życzliwość jego. Względem typów dodatnich stosunek się zmienia i porozumienie jest możliwe, naturalnie z jednostkami. Malując lekkomyślność, marnotrawstwo, próżność, głupotę szlachty, zdaje się mówić: czyż jesteście lepsi od tych, którzy was wyzyskują? Oni dążą do dobrobytu niezawsze prostemi drogami; wy nie rozumiecie własnego położenia, w najgłupszy sposób marnujecie skarby, jakie wam jeszcze pozostały.

Jednostką wybitną wśród Żydów jest Eli Makower, faktor, kupiec, dzierżawca, ajent domu handlowego sprzedaży dóbr i t. p. pracą i sprytem dąży o własnej sile po drabinie społecznej. Materjałem jego bogactwa ruina okolicznej szlachty. Budzi w nim szacunek, a nawet życzliwość Mieczysław Orchowski, ale — ma go oszczędzać i wyrzec się znacznego zysku? Waha się. Ulega pokusie.

Wtedy następuje rozmowa Eli z ojcem z powodu ucieczki jego syna, którego Eli kształcił w szkołach, a on teraz zabrał ojcowskie pieniądze.

„Ty, tate, gadał mi kiedyś, że ja względem Abramka wielką omyłkę zrobił. Jaka to była omyłka? w czem ja zawinił? Cały świat gada, że trzeba teraz dzieciom wysoką edukację dawać, ja jemu edukację dał. Czy ja jemu źle zrobił? Czy on byłby lepszy, żeby ja jego w ciemności trzymał? Oto pierwsze moje pytanie. — A drugie takie: On napisał list do mnie, a w tym liście stoi, że on to tylko zrobił, czego ja sam chciał, i taki jest, jaki ja chciał, żeby on był. Gewałt! gewałt! skąd on takie rzeczy wziął? Czy ja chciał, żeby on Żydów zapierał się? Czy ja chciał, żeby on rodzonego ojca i rodzonej matki nie lubił? Czy ja chciał, żeby on kradł i jak złodziej bez paszportu w świat uciekał? Jednak dlaczego on napisał, że ja tego sam chciał? Skąd do jego głowy ta myśl przyszła? Oto jakie drugie moje pytanie. A dwa te pytania palą się w mojej głowie jak dwa płomienie, i kąsają moje serce jak dwa węże. Tate! Tate! wyjm ty ze mnie te płomienie i te węże... powiedz ty mnie to, czego mój własny rozum powiedzieć mi nie może!

Starzec sparaliżowany, który ostatnie lata spędził na rozmyślaniu i rozmowach z mądrym rabinem, odpowiada po długim namyśle:

— Pytasz się mnie, czy ty źle zrobił, żeś swemu Abramkowi edukację dał. Otóż ja tobie powiem: ty, Eli, dobrze pomyślał, ale zrobił źle, bo ta edukacja, co ty jemu dał, była zła.

— Ta edukacja była zła! — wykrzyknął Eli. — A jaka ona mogła być? On chodził do tych szkół, do których chodzili wszyscy panicze...

— A czy ty nie widział takich paniczów, których edukacja była także zła? Kiedy rozumny człowiek co robi, to on siebie samego zawsze pyta: dlaczego ja to robię? A dlaczego ty Abramkowi edukację dawał? Ty myślał, żeby z niego był puryc i wielki urzędnik; ale ty nie myślał o tem, żeby z niego był człowiek. Twój Abramek ma edukację, ale rozumu nie ma, i twarz on ma dosyć gładką i figurę delikatną, ale serce u niego chropowate i twarde. W jego głowie niema żadnej wiary, a w sercu żadnego kochania, a pod nogami on gruntu żadnego nie ma. Jak on edukację dostał, to on żydowski grunt stracił, a innego ty jemu nie pokazał; dlatego on chodził po świecie jak człowiek, który nie miał o co oprzeć się, aż upadł.

— Aj, upadł, upadł! — jęknął Eli.

Stary Judel przymknął znowu powieki, a kołysząc się zlekka i powoli na obie strony, mówił dalej.

— Niejeden nasz Abramek teraz taki. Ja siedzę tu w mojej izbie, ale widzę wiele i słyszę, bo tu różne ludzie przychodzą, i rabin Boruch przychodzi i opowiada mi o wszystkich rzeczach, co się teraz na świecie dzieją. Mnie serce od wielkich boleściów ściska się, kiedy ja o naszych młodych żydkach myślę, kiedy na nich patrzę i o nich słucham. Przyszedł teraz taki czas, że wielka edukacja stała się jak szeroka rzeka, do której każdemu wolno przyjść i napić się z niej. Nasze młode żydki przychodzą do tej rzeki i piją. Ale w tej rzece jest taka woda, która na wierzchu pływa, i taka, która aż na dnie znajduje się. Kto napije się tej wody, co płynie na wierzchu, robi się gładki i może zostać wielkim urzędnikiem lub doktorem. Ale kto napije się tej wody, co pod spodem cicho sobie szumi, ten dobry i rozumny, i słodki względem ludzi, i sprawiedliwy, i do dobrego ochotny. Nasze młode żydki piją tę wodę, która po wierzchu pływa, a jak oni jej napiją się, to jaknajprędzej żydowski chałat z siebie zrzucają i trefne mięso zaczynają jeść, i z biednych Żydów zaczynają śmiać się, i zapierają się tego, że ich braćmi są. Oni po francusku i po niemiecku gadają, i czasem koczami jeżdżą, i u wielkich panów w pałacach bywają. Oni przestali swoich braci lubić i swoją wiarę w sercu chować. A kogo oni na to miejsce polubili? jaką oni wiarę w swoje serce wzięli? Oni są jak chorągiewki na dachach. W którą stronę wiatr powieje, w tę oni kręcą się. Oni nie lubią gadać o tem, że są Żydami, ale gadają, że są Niemcy. A jak kto płacze i jęczy, i w wielkim żalu i ucisku jest, to oni od niego odwracają się tyłem, a jeśli przybliżą się, to dlatego, żeby jego nogą kopnąć, i żeby on w większych jeszcze przepaściach utonął. Ot, jakie oni teraz są, te nasze młode, edukowane żydki.

Gdy stary Judel umilkł i dyszał ciężko i chrapliwie, Eli nie podnosząc głowy i nie zmieniając postawy, wyrzekł krótko:

— Mów, tate, mów! Ty mi jeszcze wszystkiego nie powiedział... mów!

Stary Judel westchnął głęboko. Wzrok jego ogarniał pochyloną głowę syna z dziwnem pomieszaniem uczuć: obawy i surowości, tkliwości i powagi. Otworzył parę razy usta, aby coś wymówić, ale zawahał się, wargi jego drgnęły i nie wymówiły nic. Po chwili dopiero podniósł nieco ręce, widocznem drżeniem poruszane, i zawołał:

— Eli! Eli! ja tobie powiem jeszcze jedno słowo! ważne słowo! Nasze młode żydki złe są dlatego jeszcze, że oni w domach ojców na złe rzeczy patrzą. Twój Abramek, Eli, na złe rzeczy patrzał i zrobił to samo, co ty robisz, tylko innym sposobem.

Tym razem Eli wyprostował się i osłupiałemi oczyma na ojca spojrzał.

— Tate!—zawołał—dlaczego ty mnie tak krzywdzisz? Co ja złego zrobił? Czy ja ciebie nie szanował? Czy ja moich braci nie lubił? czy ja szabesów nie święcił i w bóżnicy nie modlił się? czy ja komu co ukradł?

Starzec wyciągnął rękę gestem nakazującym milczenie i łagodnie lecz stanowczo wyrzekł:

— Still, Sohn! Ja tobie zaraz moje straszne słowo wytłumaczę.

Milczał chwilę z przymkniętemi znowu oczyma, a potem otworzył je i mówił.

— U mnie był dziś pan Orchowski, syn naszego dawniejszego dziedzica, i on mnie wszystko powiedział, co ty robisz, i jakie to interesa są, któremi ty zajmujesz się, i skąd twoje bogactwo.

Na twarzy Elego odmalowało się widoczne i silne zmieszanie.

— Orchowski?—wyrzekł—on tu był? A skąd on tu wziął się? a po co on tu przychodził?

— On ciebie szukał. Chciał z tobą rozmawiać. On chciał prosić ciebie, Eli, żebyś ty jego nie gubił.

Eli pochylił głowę i patrzył znowu w ziemię.

A starzec mówił dalej:

— I ja od niego dowiedział się, że ty już wielu jego braci zgubił dla korzyściów, i że ty jego chcesz zgubić... Eli, Eli! dlaczego ty tak zrobił?

— Tate—szepnął Eli—to goimy, to nie nasze bracia.

Stary Judel drgnął cały i wyprostował się jak struna. Oczy jego zaświeciły dziwnym blaskiem, a usta długo drżały, zanim wyrzekły z mocą i uniesieniem:

— Eli! co ty powiedział? To nie twoje serce tak gadało, ale — tylko twoja głowa, która nie miała nigdy czasu o takich rzeczach myśleć. Niektóre z naszych rabinów i wszystkie nasze chasydy gadają, że niby to w talmudzie napisano jest, że

Żydom wolno oszukiwać gojów i gubić ich i nękać. Ja w talmudzie niebardzo uczony, i tego nigdy nie czytał, i nie wiem, czy to prawda; ale ja to wiem, że jeżeli te słowa są tam napisane, to one złe są i niegodne, i żebym ja mógł, tobym ja tę kartę, na której te słowa stoją, wygryzł z księgi własnemi zębami, i poszarpał palcami, i spalił ogniem moich oczu, aby ich już więcej nie czytał Izraelita żaden!

Zatrzymał się na chwilę dla odetchnięcia, a Eli nie odrywając oczu od ziemi, wyrzekł zniżonym i jakby nieśmiałym głosem.

— Tate, wszak to nieprzyjaciele nasi.

Bolesny uśmiech przesunął się po zbielałych wargach starca.

— Nieprzyjaciele? — powtórzył — Słuchaj, Eli, niech pamięć twoja cała zbierze się w twojej głowie i niech sobie przypomni tę straszną porę, kiedy w naszej biednej chacie w Orchowie taka nędza była... kiedy ja roboty nie miał, a moja żona chorowała i z wielkich boleściów stękała, a wy na półkach leżeli i z głodu i chłodu jęczeli... Aż jednego dnia twój brat Mendel, który wtedy małym bachurem był, zlazł z półki i poszedł w pole, i leżał w polu między zagonami siny cały, jak umarły... Wtedy ojciec tego młodego pana, którego ty chcesz zgubić, przyniósł twojego brata na rękach do naszej chaty, a ta piękna panna, co wtedy jego narzeczoną była, oddała naszego Mendela jego matce, i cieszyła ją, i swoim oddechem moje sine dziecko rozgrzewała... I potem my już nigdy takiego głodu i takiej nędzy nie cierpieli, bo pan Orchowski czynszu od nas nie brał, i kartofli nam dawał i drzewa na opał; a jak twoja matka umarła, przyszedł znów do mojej chaty, i mówił mnie dobre słowa, i w rękę mnie włożył dziesięć rublów. Ot, jakim nieprzyjacielem naszym był ten pan, którego syna ty chciał zgubić! Czy ja tobie o tem nie mówił? czy ty tego nie pamiętał?

Eli milczał długo.

— Ty, tate, mówił mi kiedyś o tem, ale ja zapomniał, i nigdy to wszystko przed pamięcią moją nie stanęło. Ale teraz ja przypomniał sobie... Ten pan Kajetan był dobry człowiek i wiele nam dobrego robił. Nu, to on jeden... ale oni wszystkie? co oni wszystkie nam Żydom dobrego robią?

Starzec wstrząsnął głową pół smutnie, pół gniewnie.

— Gdzie to ty widział, Eli — rzekł — żeby człowiek, co sam nic nie ma, mógł drugim wiele dawać? A zresztą co my Żydzi dla nich robim? My pod nimi doły kopiemy, my ustami na nich plujemy, my do nich tyłem odwracamy się, my ich oszukujemy!

Tym razem Eli podniósł się ze stołka i z uniesieniem wielkiem, z ogniem w oczach zawołał:

— Nu, tate, to wszystko prawda! my im tak robim! Ale dlaczego oni takie pyszne, i takie rozrzutne, i takie głupie, że ich oszukać można?

Stary Judel zatrząsł się na ten wykrzyk syna. Ozwała się w nim namiętna izraelska natura, namiętnie też zawołał:

— Dlaczego oni pyszne i rozrzutne i oszukiwać się dają? A dlaczego my zabobonne i ciemne? dlaczego my szachraje? dlaczego my takie brudne?

. . . . . .

— Jeden tylko Pan trzyma w rękach swoich sądy nad ludźmi. A człowiek... kiedy bardzo mądry i sprawiedliwy, to on wszystko bratu swemu, człowiekowi, przebaczy i śmiać się z niego ani kamienować go nie będzie... Ale żeby człowiek mądry i sprawiedliwy był, trzeba, żeby on widział daleko, bardzo daleko... Jak on zobaczy początek wszystkiego, to zobaczy także, jak z różnych gruntów różne wyrastają ludzie, i na różnych drogach różne przyczepiają się do nich grzechy... On zobaczy, że z grzechów ojców wyrastają grzechy synów, jak jabłka z jabłoni, a potem spadają na ich głowy...

. . . . . .

— Eli, Eli! Ty jesteś bardzo rozumny, ale ty nie miał czasu... i ty o tem nie myślał, i tego nie rozumiał, że złe nie urodzi nigdy dobrego... że jeżeli nieszczęście wielkie nie jest synem wielkiego grzechu, to będzie ono jego wnukiem... ale zawsze będzie... Bo Pan Bóg w swojem prawie napisał, że pszenica rodzi tylko pszenicę, a z kąkolu wyrasta kąkol... nie dziś, to jutro, ale wyrasta... A gdzie dwóch ludzi na jednej ziemi mieszka, tam oni sobie albo przyjaciele albo wrogi muszą być. Jeżeli oni sobie wrogi, to jeden drugiemu w robocie przeszkadza i nieszczęście robi... a jeżeli oni przyjaciele, to jeden drugiemu pomaga, i ze szczęścia jednego wyrasta szczęście drugiego... Ot, jak mój rozum gada. A teraz ty posłuchaj, jak gada moje serce.

. . . . . .

Jak mój mały Mendel wylazł z mojej nędznej chaty i leżał na polu pomiędzy zagonami, siny cały prawie od głodu i prawie nieżywy, — tak lud żydowski wyszedł ze swego kraju i chodził po świecie między innemi narodami, blady cały od wielkich strachów i boleściów, trzęsący się i uciekający od prześladowań strasznych. I jak ten pan wielmożny podjął mego Mendela z ziemi i wyratował jego od śmierci, tak wtedy był jeden naród na świecie, który lud żydowski do swoich piersiów przycisnął i na swojej ziemi posadził i żyć jemu w spokojności pozwolił. Eli, Eli, czy tobie twoje serce nic nie gada? czy twoje sumienie nie zatrzęsło się od tego wszystkiego, co ja tobie powiedział?

. . . . . .

— Tate — rzekł Eli — powiedz ty mi jeszcze rzecz jedną. Jeżeli my Żydzi pogodzim się z nimi i za braci swoich uważać ich będziemy, a dzieciom naszym ich grunt damy pod nogi, co będzie wtedy z zakonem naszym? Czy on zniknie razem z chałatami, które my z siebie pozdejmujem? Czy my pójdziem razem z nimi w ich kościołach modlić się i ich Bogu pokłon oddamy?

. . . . . .

Po długiej chwili starzec przemówił szeptem cichym i urywanym:

— Dwóch Bogów niema — Eli. Jeden jest Bóg, Pan dla nas i dla nich. Był u nas niegdyś mędrzec wielki... imię jego było Hillel... Izrael zwał go słodkim Hillelem... On dwóch pogan, co do niego przyszli, nauczał zakonu... a co on im mówił? „Kochaj brata swego, jak siebie samego“, i powiedział im: „oto cały zakon, dany przez Pana... reszta z ludźmi przyszła i z ludźmi przejdzie“... I przyjdzie pora, że ludzie o zakon Pana kłócić się nie będą, ani wojen z sobą prowadzić i jeden drugiego oszukiwać i gubić... Przyjdzie pora...“

Stary Judel umiera podczas tej rozmowy, błogosławiąc syna—„niech dusza twoja będzie czysta“...

Wstrząśnięty temi wypadkami, Eli ratuje Orchowskiego, pomaga mu i mówi:

„To nic nie pomoże, jeżeli my dla siebie zostaniemy obcymi, to jeden od drugiego nic nie skorzystamy. Jabym chciał przyjacielem pańskim być, przyjacielem prawdziwym, takim, co do pańskiego domu przyjdzie i radzić mu będzie, i całym rozumem swym podzieli się z panem; takim, co nie będzie u pana jak gość, co przy progu siada, i któremu wielki honor robią, jeżeli szklankę herbaty podadzą; ale takim, przed którym serce i wszystkie myśli otwierają się. A może i pan też nie pogardzi domem Żyda i przyjdzie czasem na jego dzieci spojrzeć i zdanie swoje o nich wydać, czy one źle rosną, czy dobrze, tak jak Żyd znowu patrzeć będzie na pańskie interesa i mówić, czy one dobrze idą czy źle. Ot i wszystko. Ja to wziął z ust mego starego ojca i z tego ciężkiego doświadczenia, które ja przebył, i z długiego, bardzo długiego myślenia“.

. . . . . .

„A czy pan wie, czego trzeba, aby takie przymierza, jak nasze zawierały się często? Ja panu powiem. Trzeba, żeby my Żydzi mogli panów szanować“.

II. Pałac.

Autorka daje kilka ujemnych typów mieszkańców dworu i pałacu, — wybieramy najpospolitszy: zbytek i marnotrawstwo w majątku prawie zrujnowanym.

„Dzień był październikowy, pogodny, godzina popołudniowa, gdy w owym kręgu łąki twardej i równej Konrad Ręczyc przypatrywał się bieganiu na linie ulubionych koni. W środku objętej ogrodzeniem przestrzeni stał masztalerz, trzymając powróz, na którym uwiązany piękny koń czystej krwi angielskiej, z grzywą i ogonem na wiatr puszczonemi, zakreślał ogromne koła. Konrad w polowych butach i kraciastym spencerze, przypominającym ubranie dżokejów, stał oparty plecami o ogrodzenie i z uśmiechem zadowolenia ścigał wzrokiem bieg konia; ile razy zaś ten w pędzie zbliżał się do niego, rozwijał trzymany w ręku bicz kilkołokciowej długości, który przeszywał powietrze z przeciągłym gwizdem i wydawał wkońcu klaśnięcie głośne, konia do zdwojenia szybkości biegu pobudzając.

Niedaleko miejsca tego szerokie wrota jednej z murowanych budowli naoścież były otwarte, a koło nich uwijało się gorliwie pięciu stajennych ludzi, wyprowadzając ze stajni konie różnej wielkości i maści, które zmieniały się, przybywały, odchodziły, aż nakoniec skończyło się bieganie i rozpoczęło ujeżdżanie młodych koni, lub przejeżdżanie starszych, już wyćwiczonych, którą to czynnością zajmował się sam pan, masztalerz i dwóch stajennych.

Konrad, zbliżywszy się podczas jazdy ku dziedzińcowi, zobaczył zakręcający na dziedziniec jednokonny wózek, a na nim dwóch Izraelitów.“

Eli Makower przybył ze szwagrem, aby wziąć Ręczyn w dzierżawę, która stanie się ich dziedzictwem wobec rozrzutności właściciela. Jego szwagier z uśmiechem spogląda na stajnię, piękną, murowaną, i obok budującą się nową. Odłużony majątek na to nie wystarczy, czas rękę na nim położyć: dziedzic potrzebuje pieniędzy. Żeby otrzymać jednak większą sumę, musi dać kontrakt na dłuższy czas. Eli proponuje lat 6, 9...

„Na sześć! na dziewięć! — zawołał Konrad, żywo powstając z krzesła. Ho, ho! jak to wam łatwo powiedzieć! Trzebaby chyba warjatem być, żeby na tak długi czas majątek w wasze ręce oddawać. Josiel trzy lata dopiero w Ręczynie gospodaruje, a co on z tym majątkiem już zrobił! Ziemię mi niszczy, budowli nie naprawia, łąk nie czyści... Na dziewięć lat! Jak Boga kocham, to śmieszna propozycja. Na ten rok weźcie sobie Ręczyn od Josiela, ale później nie wydzierżawię... Jak Boga kocham, nie wydzierżawię! Będę sam gospodarował i po-

każę wam wszystkim, co to Ręczyn, i czy ja tyle będę z niego miał, ile mi Josiel płaci.

Mówiąc to, szerokiemi krokami przebiegał salę, rozmachiwał rękoma, a głos i wyraz jego twarzy świadczył o silnem postanowieniu utrzymania się przy wypowiedzianych zamiarach.

Żydzi milczeli. Eli z zamyśleniem patrzył w ziemię, a Efroim z postacią naprzód podaną i otwartemi usty ścigał pilnie wzrokiem każde poruszenie pana domu.

Eli pierwszy przerwał milczenie.

— Przepraszam jasnego pana, że ja ośmielę się jeszcze dwa słowa tylko w tym interesie powiedzieć. Ale jak to mówią: kupić, nie kupić, potargować wolno... co to szkodzi? Otóż ja jasnemu panu to tylko chciałbym powiedzieć, że Efroim nie taki gospodarz jak Josiel... Josiel dobry człowiek, ale biedny; u niego z pieniędzmi kuso, i dlatego u n rzuca się jak ryba w wodzie, a gospodarstwo może i nie tak idzie, jak trzeba. Efroim, dziękować Bogu, ma za co gospodarstwo prowadzić... u n jasnemu panu zaraz 150 sztuk bydła do majątku wprowadzi, a arendę może choćby i za dwa lata zgóry jasnemu panu zapłacić...

Początku mowy Żyda Konrad słuchał z widoczną niecierpliwością, nie przerywając przechadzki po sali i uśmiechając się z lekceważeniem, końcowe przecież mowy tej wyrazy wywarły na niego wpływ widoczny. Stanął, ręce w tył założył i pochylony ku Żydom, powtórzył:

— Za dwa lata zgóry? No, no, każdy z was tak mówi, gdy chce interes zrobić, ale jak przyjdzie co do czego, zaczyna się jęczenie, narzekanie..,

— Nu — przerwał Eli — na co tu jęczenie? kiedy jasny pan chce, to my jasnemu panu zaraz zadatek dać gotowi... Ile jasny pan żąda?

Konrad z pochyloną głową i rękoma w tył założonemi puścił się na zamaszystą po sali przechadzkę. Żydzi milczeli jak wprzódy.

— Nie — rzekł po chwili pan domu, stając i jakby wewnętrzną jakąś walkę stanowczo rozstrzygając — nic z tego nie będzie, moi kochani. Mnie majątku szkoda... sam gospodarzyć będę. Wy nigdy nie możecie mi dać tego, co ja z Ręczyna mieć muszę. Do zobaczenia!

Skinął na znak pożegnania i miał już odejść w głąb domu, gdy milczący dotąd Efroim powstał z krzesła jak sprężyną ruszony i rzekł.

— Za pozwoleniem jasnego pana, ja jeszcze tylko słówko powiem... Ja tu już zadatek przywiozłem z sobą. Kontrakt napiszemy później... My jasnemu panu wierzymy i wiemy, że jasny pan nie będzie chciał tego, co nie może być... Ja te same warunki przyjmę co Josiel, a pieniądzów dam więcej... Tymczasem ja zadatek przywiózł, dwa tysiące rublów. Jeżeli

jasny pan żąda, to ja te dwa tysiące gotówką zapłacę, a jeżeli jasny pan chce dla mnie bardzo już wielką łaskę zrobić, to weźmie tylko 1200, a za 800 ja jasnemu panu czterech koniów dam... ale takich koniów... karetnych... ja ich u księcia R. za dług wziął i teraz nie wiem, co z niemi robić".

Przynęta pochwycona. Konrad zaczyna rozmowę o koniach, tych książęcych, które mogą być jego! (a które nie istnieją). Wypytuje o rodowód, maść etc., częstuje Efroima papierosem. Eli już niepotrzebny — on skuteczniej sprawę poprze w inny sposób. Zna matkę p. Konrada.

„Pani Malwina w białym negliżu, obficie przystrojonym w hafty i różowe kokardy, siedziała na małej kanapce, umieszczonej w saloniku, któryby na pierwszy rzut oka wziąć można było za magazyn drobiazgów, tyle tam znajdowało się sprzętów i sprzęcików najrozmaitszego rodzaju: poduszek w przeróżny sposób wyszywanych, taborecików z włóczkowemi kotkami i pieskami, ekranów z pasterzami i rybakami, obrazów, sztychów, zwierciadeł i zwierciadełek na ścianach, flakonów, dzwonków, posążków z gipsu, z porcelany, ze szkła, na stołach i stoliczkach. Samych lamp było ze sześć, a na każdej wisiało po parze abażurowych przykryć.

Wszystko to razem tworzyło całość bardzo niełądną, bardzo niegustowną, przedstawiającą sumę wartości, tak estetycznej, jak materjalnej prawie żadną, sumę zaś kosztów, na zgromadzenie szczególików tych poniesioną—ogromną. Przez drzwi niedomknięte do sąsiedniego pokoju słychać było rozmawiające z ożywieniem po francusku głosy kobiece, w pobliżu zaś drugich drzwi, o parę kroków od nich, stał Eli z rękoma w tył założonemi i słuchał bardzo uważnie szczebiotania pani domu.

Zaraz po przywitaniu zapytał o zdrowie.

— Ach, mój Elku kochany, remarkuj tylko sobie, jakie to może być zdrowie, kiedy się siedzi na wsi, jak na pustyni! Migrenę miewam codzień prawie... a co wieczór tak mnie dusi poziewanie nerwowe, że nie mogę sobie miejsca znaleźć w całym pałacu... Wczoraj szczególniej dostałam takiego ataku, że... remarkuj sobie, o ósmej godzinie położyłam się do łóżka... Jakie tam może być zdrowie, Elku kochany, na pustyni...

— ...Przepraszam jasną panią—zaczął Żyd powoli i z przyjemnym uśmiechem na ustach — ale ja muszę pani powiedzieć, że kiedy jasna pani choruje i tego poziewania dostaje, to jasna pani sama temu winna... Dlaczego jasna pani nie szanuje się?...

Pani Malwina szeroko ze zdziwienia oczy otworzyła.

— Ależ ja szanuję się, mój Elku, szanuję się tak, że już więcej nie można. Figuruj sobie, że od miesiąca krokiem nie ruszyłam się z pałacu... Chyba karetą... Codzień na noc biorę krople laurowe... piję oranżadę i nic nie jem, prócz piersi od jarząbka i konfitur.

— Nu — rzekł Eli — czy to jasna pani tak szanować się powinna? Te krople i te jarząbki dobre, ale jasnej pani czego innego potrzeba... Jasnej pani do Paryża trzeba na mieszkanie wyjechać, to tam zaraz i doktory dobre, i weselej, i poziewanieby ustało.

— Ach, mój Elku — krzyknęła p. Malwina, podskakując na kanapie — co też ty mówisz! co też ty sobie imaginujesz! Ja do Paryża na mieszkanie!... Wy o paryskich bulwarach i wyobrażenia nie macie... Co wieczór tak tam jasno, że szpilki można zbierać na ulicy. Ale czy to teraz takie czasy, mój Elku, żeby do Paryża można na mieszkanie jechać? Ja Koniowi codzień prawie mówię: jedź do Paryża! Słyszane to rzeczy, aby młody człowiek comme il faut Paryża nie widział! Ale on wybiera się, wybiera, a potem... bęc! coś na niego spadnie, i znowu jechać nie może.

— Nu — przerwał Eli — a co takiego na jasnego panicza spada?

— A cóż, jeśli nie kłopoty, mój Elku. Czasy ciężkie! Konrad ma taką pasję do tych koni... ot, i teraz stajnię dla nich buduje... czy myślisz, że to mało kosztuje? Jak tu przy tem wszystkiem o Paryżu myśleć?

— Nu, to niech jasna pani choć do N. wyjedzie.

— Do N? Ależ figuruj sobie, moja duszo, ile to ekspensów pociągnie. Trzeba mieszkanie nająć, stosowne naturalnie meble z Warszawy sprowadzić, a i toaleta zaraz inna.

— Co to jasnej pani o to biedować? Już ja jasnej pani mówię, żeby ten interes tylko zrobić, co ja radzę...

— Elku — zawołała pani Malwina żałośnie — nie mów mi nic o interesach; ja do nich nigdy żadnej inklinacji nie miałam!... Oj, poziewanie!...

— Nu — rzekł Eli z uśmiechem — ja tylko kilka słów powiem... Tu jest jeden żydek, mój szwagier, co chce od jasnego p. Konrada Ręczyn w arendę wziąć... Un każdego roku wyprawia zboże do Królewca i sam jeździ.

— Do Królewca jeździ? co rok? — z nagłem zainteresowaniem zawołała pani Malwina.

— Każdego roku zboże do Królewca posyła, a czasem to i sam jeździ. Jakby un Ręczyn w arendę wziuł, to un jasnej pani mógłby zawsze wszystkiego z Królewca przywozić...

... — O, mój Elku, jaki ty dobry jesteś, że mi o tem powiedziałeś! Jak twój szwagier będzie się wybierał, to ci dam regestrzyk... zobligujesz mnie mocno... A kiedy on jedzie?

— Un zawsze na wiosnę jedzie.

— Na wiosnę — powtórzyła pani Malwina z westchnieniem. — Widzisz, mój Elku, na wiosnę jakoś najtrudniej.... remarkuj sobie, rzecz śmieszna... Dawniej przednówki u chłopów bywały, a teraz bywają i u nas... Żeby tak twój szwagier zrobił to dla mnie i pojechał w jesieni...

— Un w jesieni jechać nie może, ale jeżeli un Ręczyn w arendę weźmie, to da teraz dwa tysiące zadatku, i jasna pani pojedzie na zimę do N., a na wiosnę un arendę za dwa lata zapłaci, to przednówka nie będzie. Trzeba tylko, żeby un Ręczyn w arendę wziuł.

— To niech bierze, duszo moja! — zawołała pani Malwina — niech bierze!

— A jak un ma wziąć, kiedy p. Konrad puścić nie chce?

— Konio nie chce?... Dlaczego nie chce?... Co rok do Królewca jeździ!... mogłabym wyjechać do N. na mieszkanie, meble z Warszawy sprowadzić... figuruj sobie, że teraz najmodniejsze niepoliturowane.

— Jasny pan Konio Ręczyna puścić nie chce —

— Dlaczego nie chce? — on chyba tak kaprysi... Ach, mój Elku, do N. na zimę! Niech tobie Pan Bóg wynagrodzi!

— Jasny pan Konio Ręczyna puścić nie chce — powtórzył Żyd.

Pani Malwina poskoczyła z kanapki.

— Jakto nie chce? dlaczego nie chce? Oj, poziewanie moje, poziewanie!

— Niech jasna pani z jasnym p. Koniem pogada.

— Idę — idę — mój Elku! Pomówię z Koniem — — Idę, idę, i muszę zobligować go, żeby to zrobił. Parę koni trzymać będę w N... kabrjolet od Rentla... dwie sztuki weby... aksamit dla Róży... batyst królewiecki"...

Dlatego majątki ziemskie ginęły i przechodziły w obce ręce.

CHAM.

Chłop, rybak, wdowiec, „niebo mu chatą, a rzeka żoną", spotyka podczas lata z miasta przybyłą służącą, dziewczynę ładną i „z pięknej familji", histeryczkę, z bogatą już przeszłością, bez skrupułów i moralnego instynktu. Podoba się dziewczynie jako nowość, opowiada mu swoje życie i ze zdziwieniem słyszy wyrazy litości.

„Biedna ty, — o, taka biedna! ze wszystkich już, zdaje się, ludzi na świecie najbiedniejsza! Słyszałem ja, że gdzieściś tam po miastach ludzie tak żyją, ale nie wierzyłem. Teraz widzę, że prawda. Wołoczaszcze twoje życie, sieroce życie, i takie złe, takie grzeszne, że niech Pan Bóg broni! Porzuć, upamiętaj się, popraw się... bo i na tym świecie dobra tobie żadnego nie będzie, i duszę zgubisz".

. . . . . .

„Porzuć ty swoje wołoczaszcze życie. Jaka tobie ochota coraz to inne kąty wycierać, jak ta ścierka? Aaa! mnie dziw bierze, bo zdaje się, że człowiekowi najlepiej, kiedy długo na

jednem miejscu siedzi. Siedź i ty na jednem miejscu, wszystko już lepiej znoś, cierp, a na jednem miejscu siedź. Przyzwyczaisz się i polubisz, i do ciebie przyzwyczają się, polubią. A na tych, co ciebie do grzechu prowadzą, pluń! Dobrych ludzi widać między nimi niema, bo żeby który był dobry, toby z dziewczyną, co dla niego o poczciwości zapomniała, ożenił się. Zlitowania oni żadnego w sercu nie mają, czy co? Pluń ty na nich! I na te wesołe kompanje, co do takich rzeczy prowadzą, pluń! Ustatkuj się, popraw; a i duszę wyratujesz, i zaraz tobie lepiej na świecie się stanie."

Dziewczyna się śmieje i dziwi, „nowy" człowiek ją nęci, staje się pożądany, „czepia go się". On jej prawi morały, ale to nie zraża. Wtem — państwo wyjeżdżają. Franka przybiega do niego.

„Kiedy dowiedziała się o tem, myślała, że zaraz martwa na ziemię padnie, taki żal jej serce ścisnął.

Ona teraz za nic, za nic stąd jechać nie chce! Zginie, a nie pojedzie; jak pies na brzegu rzeki położy się i z głodu zdechnie, a nie pojedzie! Niech tam oni sobie choć do samego piekła jadą, jeszczeby im konie zaprzęgać pomogła; ale dla niej teraz dopiero tu niebo otworzyło się, jak w jakim śnie ukazało się szczęście, i ona go nie porzuci... nie porzuci!.."

Naturalnie — małżeństwo. „Widać, że tak P. Bóg chciał, żebym ja ciebie od ostatniej zguby wyratował". — Ale po roku Franka ucieka z lokajem, który przybył tu z państwem na lato. „Cham" chciałby osłonić żonę, mówi, że wyjechała „do familji", wszyscy jednak wiedzą i wszyscy się śmieją.

Trzy lata mija. Franka powraca... z dzieckiem, — pokorna i skruszona. „Cham" lituje się i przebacza. Wszak przysięgał, że jej „nie opuści aż do śmierci". A dziecko niczemu niewinne. Poprawa jednak krótka. Podoba się France teraz młody sąsiad, „napastuje go". „Cham" wyczerpał już wszelkie środki, próbuje nawet bicia. — Wtedy Franka go truje.

Szwagier dowiedział się od żebraczki o przyczynie choroby rybaka. Biegnie do jego chaty. Paweł jak piorunem rażony tą wieścią.

„już nic nie odpowiadał; osłupiałym, błędnym, strasznym wzrokiem po izbie wodził. Na skrzynkę Franki w kącie otwartą i na leżącą obok niej spódnicę spojrzał, papierek zmięty, nieduży, stopami krzątających się po izbie osób na środek jej wyciągnięty zobaczył, coś sobie przypomniał i powieki zamknął. Pierś jego podnosiła się wysoko, ciężko, ale ze ściśniętych ust nie wydobył się dźwięk najlżejszy. Daremnie Awdocia

i Ulana zapytania swe w samo ucho mu wykrzykiwały, daremnie go za koszulę i ręce targały; z czołem spotniałem, z zaciśniętemi usty, ze szczelnie zamkniętemi powiekami, leżał jak martwa i ciężka kłoda, zdając się nie czuć i nie słyszeć nic. Tylko szybki i ciężki oddech upewniał o tem, że żyje; ale kobietom znowu przez głowy przemknęła myśl, że już kona, a ponieważ tym razem nie od zwykłej choroby, ale od trucizny konał, więc zgrozą zdjęte, wyprostowały się, przeżegnały i pacierze ciche mówić zaczęły.

W tej ciszy, przerażonym szeptem kobiet i trzaskiem ognia przerywanej, zdala, z przeciwległego brzegu rzeki doszło basowe, przeciągłe, w jednostajnych odstępach czasu po wiele razy powtarzające się wołanie:

— Po-rooom! po-rooom!

Filip po raz pierwszy może, odkąd prom posiadał, na wołanie to żadnej uwagi nie zwracał, ale Daniłko natychmiast z sieni wyskoczył, a po minucie wrócił i głowę do izby wsuwając, głośnym szeptem zawołał:

— Filip! chodź prędzej! Uradnik!

Zdala znane mu dobrze konie policyjnego urzędnika i głos woźnicy jego poznał.

Filipa jakby coś w górę podrzuciło, tak podskoczył i w mgnieniu oka z izby wypadł, a potem szost z pod ściany chaty swojej porwawszy, bez czapki, cały naprzód podany, z góry zbiegał.

— Ot, chwała Bogu — wołał — ot, Pan Bóg miłosierny jego tu zesłał! Ot, w czas przyjechał!

Nic w tem dziwnego nie było, że teraz przyjechał, bo w tem miejscu przez Niemen przeprawiał się często, robotę urzędową po obu stronach rzeki do spełnienia mając. Ale Filip zrządzenie samego Boga w tem upatrywał i z szostem wysoko nad głową mu sterczącym ku rzece pędził; Daniłko z takiem samem narzędziem za nim biegł. Wkrótce też na rzece stalowej, w zmroku od światła gwiazd przezroczystym, czarny prom z dwiema czarnemi postaciami ludzkiemi, to pochylającemi się, to prostującemi, i suche, czarne linje ukośnie w wodzie zanurzającemi, cicho, szybko, widmowo wszerz rzeki pomykał.

Izba Pawłowa zaś na krótką chwilę opustoszała. Ulana do chaty swojej pobiegła, aby starsze dzieci do snu ułożyć, a najmłodsze choćby zobaczyć, i ogień zgasić; Awdocia w przeciwną stronę, po ziółko od „zadanego" najprędzej, jak mogła, podreptała. Miała jedno tak wyborne i doświadczone, że gdyby nie wiedzieć co komu „zadanem" było, „zadane" z ciała wyprowadzało. Gdyby była wprzódy wiedziała, od czego Pauluk chory, byłaby je już dawno zgotowała; teraz za to po nie biegła.

Gdy w izbie zrobiło się pusto i cicho, Paweł powieki podniósł.

— Franka! — słabym głosem wymówił..

W kącie, pomiędzy wiadrem z wodą a gospodarskiemi i rybackiemi narzędziami dał się słyszeć lekki szelest, i cicha, skurczona, przygarbiona, z głową i czołem owiniętemi płócienną szmatą, jak ponure, zgnębione widmo, wychyliła się z niego Franka. Parę kroków naprzód postąpiła i z rękoma kurczowo koszulę u piersi ściskającemi, z twarzą schyloną i wzrokiem utkwionym w ziemię, stanęła.

— Franka — słabym i powolnym głosem zaczął Paweł — czy to prawda?

Milczała.

— Franka — przemówił znowu — ty nigdy nie łgała... Powiedz i teraz sprawiedliwie, czy to prawda?

— Prawda — odpowiedziała.

Paweł znowu zamknął powieki.

Nie jęknął przecież, nic nie odpowiedział, tylko obfitszy pot czoło mu oblał, i wargi zwarły się jeszcze silniej.

Franka stała ciągle na jednem miejscu, nieruchomie w ogień zapatrzona. W wyrazie jej oczu nie było ani obawy, ani żalu. Nie miały one w tej chwili żadnego pewnego wyrazu. Malowało się w nich jakby bezmyślne osłupienie, czasem tylko urągliwemi światełkami przerywane.

Wtem w sieni ozwał się chód przyspieszony; Filip bez czapki, zdyszany, z roztarganemi włosami i uroczystym wyrazem twarzy do chorego przystąpił.

— Nie gniewaj się, dziewier — stanowczym głosem wymówił — zaraz uradnik tu przyjdzie szelmę tę zabierać...

Słowa te jakby z ciężkiego snu Frankę przebudziły; zatrzęsła się całem ciałem, przeraźliwie krzyknęła i rzuciła ku drzwiom. Ale zastąpiła jej drogę Ulana, z niemowlęciem na ręku powracająca, a po kilku sekundach wszedł do izby człowiek w ubraniu z połyskującemi guzikami...

Przez kilka minut panowały tu gwar głosów i zawierucha stąpań ludzkich. Filip, Ulana, Awdocia, która z ziółkiem swem wróciła, razem mówili, opowiadali, świadczyli, garnek z krupnikiem pokazywali, Frankę, która na całem ciele drżąc, kilka razy jeszcze rzucała się do drzwi, zatrzymywali i w głąb izby popychali.

Policjant słuchał, dziwił się, oburzał, do Pawła podszedł i pytania zadawać mu począł. Ale Paweł z zamkniętemi oczyma, z zaciśniętemi wargami, w całej długości swego ciężkiego ciała na pościeli wyciągnięty, jak kłoda nieruchomy był, jak grób milczał, i wtedy dopiero podniósł powieki, kiedy uradnik rozkazującym głosem do Franki przemówił:

— No, odziewaj się, a prędko... na spacer pojedziem...

Potem Filipowi mówił jeszcze, że do wyższego urzędu dziś wieźć ją zapóźno, więc ten miły ptaszek u niego przenocuje. Do miejsca, w którem mieszka, niedaleko, cztery wiersty,

a on tyle dziś miał roboty, że chce choć kilka godzin spokojnie przespać. Jutro za to raniutko dalej ją powiezie.

— Już tylko ją stąd zabierzcie! Zmiłujcie się, zaraz zabierzcie!

Paweł, najlżejszego poruszenia nie czyniąc, rozmowy dwóch mężczyzn słuchał, a oczyma za Franką wodził. Na całem ciele drżąca, cicha jak grób, spełniała rozkaz uradnika i ubierała się. Czyniła to nawet z rozmysłem i niejakiem staraniem. Wcale na obecność w izbie kilku mężczyzn nie zważając, zmieniła samodziałową spódnicę na tę miejską, z obłoconemi falbanami, którą podniosła z ziemi, włożyła pończochy, nowe buciki, kaftan, watowaną algierkę, i z głowy płócienną szmatę zdjąwszy, wełnianą chustkę zarzuciła. Wtedy uradnik wziął ją za ramię i ku drzwiom poprowadził.

Gdy oboje przez izbę przechodzili, Paweł mógł widzieć wyraz jej spojrzenia. Szła cicho i bardzo posłusznie, na całem ciele drżała, a oczy jej, rozszerzone i nieruchome, wyrażały śmiertelny przestrach.

Filip uradnikowi aż do bryczki towarzyszył; kobiety zbliżyły się do chorego.

— Lepiej tobie, Pauluk?—pytały.

— Już i zupełnie dobrze—odpowiedział.

Kłamał.

Za mało trucizny przełknął, aby od niej umrzeć, za wiele, aby tak rychło wyzdrowieć. Najdolegliwsze cierpienia już minęły, bo organizm jego, silny i zdrowy, z zabójczym pierwiastkiem skuteczną walkę toczył, a dopomogły mu w niej trochę i leki Awdoci. Ale wewnątrz doświadczał jeszcze bólów, które jednak mógł już utaić.

— Napij się ziółek—prosiła Awdocia.

— Dawaj! — odpowiedział i z podanego garnka wypił, ile kazała.

— Dobrze?—zapytała stara lekarka.

— Dobrze, tylko bardzo spać chce się.

— To i chwała Bogu, że spać chce... to i zdrów będzie— zdecydowały kobiety, on zaś odezwał się:

— Dziękuję ja wam, moje dziatki, i za pomoc, i za ratunek, i za dobre serce... Teraz już spać idźcie, odpocznijcie... bardzo przy mnie napracowali się...

Awdocia odezwała się, że nocować przy nim będzie.

— Nie trzeba mnie, kumo, ciebie — odpowiedział — nikogo mnie nie potrzeba... Zgaście ogień i idźcie sobie... sen mnie nadto mroczy...

Zupełnie uspokojone zgasiły w piecu ogień, na stole lampkę i wyszły.

Kiedy kroki ich i przyciszone rozmowy w oddaleniu umilkły, Paweł z głośnem stęknięciem na posłaniu się dźwignął,

nogi spuścił, usiadł, i z twarzą nisko zwieszoną, nieruchomy siedział.

Dlaczego tak uporczywie wszystkich z chaty wyprawiał? Dlaczego pragnął pozostać sam? — Dlatego, aby w samotności i ciszy zastanawiać się nad tem, co mu w głowie zamajaczyło było już wtedy, gdy Franka przez uradnika ku drzwiom prowadzona, przechodziła tuż prawie obok posłania jego, drżąca, posłuszna, ze śmiertelnym przestrachem w oczach. Zamajaczyła mu wtedy w głowie myśl: — ot, już zgubiona na wieki! Do turmy, na Sybir pójdzie i nijakiego wybawienia już dla niej ani na tym, ani na tamtym świecie nie będzie. — A potem jakby echo, zdala, zdala dochodzące, przypłynęły doń wyrazy, które niegdyś sam przed ołtarzem w kościele wymawiał: „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci".

Długo w ciemnościach napełniających izbę panowało grobowe milczenie, aż po godzinie prawie rozległy się wśród niej półgłosem wymówione słowa:

— Nie opuszczę ciebie aż do śmierci!

Jednocześnie prawie błysnął siny płomyk roznieconej zapałki; Paweł chwiejąc się, postąpił kilka kroków i lampkę zapalił.

W oknach Koźluków było już zupełnie ciemno, wszyscy tam w całej wsi spali. Paweł ukląkł przed łóżkiem i aż do ziemi zgięty, zaczął z pod niego ciężki jakiś przedmiot wyciągać. Z trudnością mu to szło, kilka razy prostował się i odpoczywał, stękał. Cierpiał jeszcze dotkliwie i osłabionym czuł się, ale tak samo, jak przed kilku godzinami działo się z Franką, jedno jakieś uczucie, jedna myśl, podniecały mu nerwy, głuszyły bóle, wzmagały siły.

Po kilku minutach całkiem z pod łóżka wysunął sporą skrzynkę, żelazem okutą, na klucz zamkniętą. Kluczem, którego w kieszeni siermięgi swej wyszukał, otworzył ją i najprzód odzienie różne letnie i świąteczne wyrzucać z niej zaczął. Ruchy jego stawały się coraz niecierpliwszemi i spieszniejszemi. Czasu do stracenia nie miał. Tej nocy, jak najprędzej, albo już nigdy.

Buty wciągnął, siermięgę włożył i spieszył, spieszył. Noce były już wprawdzie dość długie, ale cztery wiorsty przed świtem ujechać musiał... Czem ujechać?... Czy konia Filipa pocichu ze stajenki wyprowadzi i do wozu zaprzęgnie? Mógłby to uczynić, bo stajenki niezamykanej nigdy Kurta tylko strzegł, a Koźlukowie nie zbudziliby się pewno i nie usłyszeli... Coś go jednak od tego wstrzymywało; nie zdawał sobie sprawy, co mianowicie, ale do używania w tym wypadku Koźlukowego konia wstręt czuł.

— Jak Żydzi na Hamana, tak oni na nią zawzięli się — myślał — prawda, że i jest za co, ale kogo ona najwięcej skrzywdziła? Mnie. A toż mnie swoją krzywdę darować można. I co mnie takiego stało się? Nie umrę.

Czuł, że nie umrze. Pomimo nieustających jeszcze cierpień, wiedział, że nie takiemiby one były, gdyby miał umrzeć. Jednak konia Koźluków brać nie chciał. Czółnem jeszcze prędzej tę krótką drogę przepłynie, a od brzegu rzeki do mieszkania uradnika ćwierć wiorsty może.

Czapką głowę okrył, lampkę zgasił, w sieniach omackiem wiosło o ścianę oparte znalazł, chatę z zewnątrz zamknął i z góry ku rzece zszedł.

Kilka godzin minęło, późny świt jesienny na niębie pogasił już gwiazdy, a nad ziemią i wodą kłębił mgły wilgotne i chłodne, kiedy czółno z dwojgiem siedzących w niem ludzi do brzegu pod wsią przybiło. Czy siły zawiodły Pawła i wiosłując słabo, płynął powoli, że tak nieprędko powracał? Ale też nie powracał sam jeden; powoli, choć szerokim krokiem na górę wchodził, głowę schyloną miał i policzki wklęsłe, bardzo blade. Za nim, w znacznej od niego odległości, szła wątła, skurczona kobieta, w watowanej algierce, z twarzą całkiem prawie niknącą w fałdach chustki.

Kiedy on drzwi chaty swojej otworzył i do sieni wszedł, ona stanęła i za progiem pozostała. Zwrócił się ku niej twarzą i rzekł:

— Chodź!

Próg przestąpiła, przez sień za nim przeszła, do izby weszła i u drzwi stanęła znowu tak nieruchoma, jakby ślepą była, albo też co począć i dokąd iść — nie wiedziała.

Paweł, ciężko na ławę opadając, znowu rzekł:

— Rozbierz się.

Chustkę tylko powolnym ruchem z głowy zdjęła, odkrywając czarne, rozpuszczone, roztargane włosy i twarz woskowo żółtą, ze zsiniałemi ustami i spuszczonemi powiekami. Ramiona jej wzdłuż ciała opadły; wyglądała zupełnie tak, jak winowajcy czasem, przed obliczem sądu stojąc, wyglądają; wszystko w niej wyrażało straszny, druzgoczący ciężar wstydu.

Po chwili powieki jej drgnęły kilka razy i podniosły się, a oczy, spotkawszy się z oczyma Pawła, zaczęły nabrzmiewać łzami. Bez słowa, cicho, z oczyma po brzegi nabrzmiałemi łzami, dwa kroki uczyniła, i również o kilka kroków od Pawła oddalona, zgięła się przed nim całem ciałem szybko, a tak nisko, że włosy jej końcami ziemi dotknęły. Tak za doznane dobrodziejstwa dziękując lub o nie prosząc, kłaniają się czasem chłopi i chłopki. Widziała to pewno nieraz i teraz w ten sam sposób ukłoniwszy się przed Pawłem, szybko zwróciła się ku drzwiom i do sieni wyszła.

On ręką po oczach powiódł i mokrą dłoń od nich odjąwszy, ciężką głowę na niej wsparł. Tak kilka minut przesiedział; Franka z sieni nie powracała. Wstał, drzwi otworzył i w ciemnym kącie ujrzał ją z czołem do ściany przyciśniętem stojącą.

— Chodź! — rzekł znowu.

Posłuszna, weszła i przed piecem, twarzą do izby zwrócona, stanęła.

Paweł na ławie usiadłszy, powoli, słabym głosem mówić zaczął.

— Jeszcze i ten raz wyratowałem ja ciebie, choć ty wielkiego grzechu dopuściłaś się... ale żebyś tam została, tobyś już na wieki zginęła, a tutaj może jeszcze i upamiętasz się, może choć teraz złości swojej przelękniesz się i do upamiętania przyjdziesz... Pożałowałem ciebie, oj, jak pożałowałem! a do tego i przysięgałem, że do śmierci ciebie nie opuszczę. Przysięga nie żart. Kiedy przysiągłem, że nie opuszczę, to nie opuściłem... i do śmierci tak, jak przysiągłem, nie opuszczę...

Trudno mu było mówić; jednak widząc, że nieruchoma, osłupiała stoi, dodał jeszcze:

— Nu, czego tak stoisz?... ogień rozpal, bo w chacie zimno, i herbaty zgotuj dla siebie samej i dla mnie... Rób, co chcesz i co potrzeba. Taka sama ty tu gospodyni, jak i wprzódy była."

Rozumie się, wykupił ją nietylko prośbą i pokłonem, niedarmo wyciągnął ciężką szkatułę z pod łóżka, ale o tem autorka wyraźniej pisać nie mogła.

Franka stała się cicha i pokorna. „Nigdy nie zbliżała się do niego, nawet ilekroć mu co podawała, aby nie zbliżyć się, ramię w całej długości wyciągała", — ale — to był lęk przed czemś wielkiem, czego nie mogła zrozumieć.

— „Zabił on mię tą swoją dobrocią, zamordował tak, że już żyć na świecie nie mogę... z samego strachu żyć nie mogę"... (zwierzała się żebraczce, jedynej swojej powiernicy).

— Żebym ja mogła, to zdaje się, zabiłabym ją, jak tę wściekłą sukę.

— Kogo? zapytała przerażona żebraczka.

— Stoi mnie przed oczyma i stoi... gdzie obrócę się, wszędzie ją widzę... a taka straszna!...

— Któż to taki? mojaż ty mileńka! Któż to tak ciągle przed oczyma tobie stoi?

— A jaż sama! — odpowiedziała".

Franka się wiesza. Paweł wychowuje dziecko, może będzie miał z niego pociechę w starości.

ŚMIERĆ DOMU.

Zakończenie.

W ciągu dnia odbyła się licytacja sprzętów po rodzinie zmiecionej widocznie przez burzę. Stare meble, drogie rodzinne pamiątki, portrety — rozkupują obcy na byle jaki użytek. Świadki jedyne — stary pies i stary sługa, któ-

rzy pamiętają przeszłość i przyszli dziś tutaj, aby ją raz jeszcze zobaczyć w wyobraźni i pożegnać ostatnie jej szczątki. Potem odejdą znowu, nikt z żyjących w tej pustce nie zostanie.

„Wieczór staje się coraz ciemniejszy, bo szmaty chmur płyną już teraz pod obłokami i zaczynają spuszczać na ziemię deszczyk drobny i zimny. Tak upływa godzin parę, poczem ciszę przenikają nawskroś coraz silniejsze podmuchy i szmery. Przylatują one od łąki, na której ciemność kłębi się to gęstsza, to rzadsza, budzą w olchach szpaki, na jabłoni gile, w wiotkich gałęziach brzozowych srokę, która wybucha chrapliwym od senności śmiechem: kra! kra! kra! — Potem ptaki usypiają znowu, a wiatry od łąki lecą coraz szybsze, przyciszonem huczeniem napełniają aleje, z lekkim trzaskiem łamią suche gałązki i badyle, przenikają aż do dna warstwy liści zwiędłych, które wzdymają się w tumany, lecą przez ciemność, rozsypują się, padają i znowu wzbijają się, szeleszczą, lecą. Aż w najsilniejszym podmuchu zaszamotały się drzewa najbliżej domu rosnące i gałęźmi jak palcami w ciemne jego szyby zadzwoniły.

Do ciemnego wnętrza domu wnika przez okna mętna światłość, coś nakształt szarej godziny wobec grubej nocy, i pasami kładzie się na sufitach niskich, na gładkich posadzkach, na ścianach, od końca do końca nagich. Ściany te, zalane ciemnością, napełniają teraz szepty ciche, lecz tłumne, w których wyraźnie słychać akcenty zapytań zadziwionych, strwożonych, coraz naglejszych, niespokojnych, szybszych. Zdawać się to może pełnem trwogi i niedowierzania porozumiewaniem się mnóstwa istot, które z różnych stron tu zleciawszy, znalazły się wobec czegoś, co wprawiło je w obłęd zdumienia. Słychać, jak wirują dokoła siebie z szumem drżącym i niespokojnem szeptaniem, nie wiedząc, dokąd iść, gdzie szukać, kędy spocząć, pocieszyć się, wspominać. Zrazu w wielkiej sali zgromadzone, rozpraszają się niebawem po całym domu, w którym już niema żadnego spokojnego miejsca. W jednym z pokojów wszystkie cztery ściany obiega szmer kroków ciągły, nieskończony, niezmordowany, jakby czegoś rozpacznie szukający, jakby goniący widmo, które wciąż ukazuje się i znika. Gdzie indziej odzywa się westchnienie, w którem brzmi jedna zgłoska: ach! ach! ach! a naprzeciw daje się słyszeć stłumiony okrzyk: Boże! Boże! — poczem westchnienie i okrzyk powtarzają się ciągle, to wzdymając się, to opadając, tworząc rozmowę o nierównym i nieznużonym rytmie. Gdzie indziej brzmi wołanie, w którem czuć przyzywanie kogoś po imieniu, przyciszone, monotonne, ciągłe, coraz tęskniejsze, nadaremne. Tu przez pokoje ktoś bardzo spiesznie bieży i ze stukiem na podłogę pada; tam cieniutki głosik brzmi skargą, którą tłumią pocałunki, wnet zagłuszone jękami, przebiegającemi wszędzie i krzyżującemi się z mnóstwem

biegnących w różne strony łkań i wołań, zapytań spiesznych, rozmów szemrzących, jak użalania się przewlekłe i pełne namysłu obrady. W tym zgiełku cichym, a jednak tłumnym, głos męski przerażony donośnie przemówił: — Więc już! więc już! — Inny, łkaniem wzdęty, odpowiedział: — Koniec! koniec! koniec! Inny jeszcze wzbił się głośnym krzykiem: — Wodzu mój! — a inny skrzydłami o ścianę tłukąc, powtarzał długo: — Gwiazdo, gwiazdo, gwiazdo, za którą dałem życie! — jeden jeszcze zaszeptał:—Mamo złota! mamo złota! i stopił się w płaczu, a drugi delikatny, nieco rozromansowany, od starości dygocący, słabo zawiódł: Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły. — Lecz wszystko to zagłuszył wielki szum, wołający: Cicho! cicho! — i wkrótce przemieniony w zbiorowe, ogromne, głębokie szlochanie, które wzdęło się w lament przewlekły, pełen zawodzeń, narzekań, wołań, wzywania Boga, opowiadań brzmiących jak długie recytatywa, w lament, który napełnił dom cały od wierzchu do dołu, i trwał bardzo długo.

Wiatry lecą od łąki, na której kłębią się ciemności, szumią w olchach, huczą w alejach z kasztanów, lip i jesionów, wstrząsają wiekową głową wiązu, łamią z małym trzaskiem suche gałązki i badyle, podnoszą z ziemi szeleszczące tumany zeschłych liści, szamoczą gałęźmi drzew, najbliżej domu rosnących. Te gałęzie bezlistne, twarde, od deszczu mokre, jak palcami dudnią po szybach okien, za któremi w pustem wnętrzu domu zapanowuje o bladym i słotnym poranku niezmącona cisza grobu."

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Przygotowanie do życia „panienki ze dworu": dom, szkoła i małżeństwo.

Rok 63 w życiu Orzeszkowej. Glorya victis.

W przystani po rozbiciu: lata samotności i pracy, — pogłębienie myśli wobec zagadnień życiowych, osobistych i ogólnych.

Głos Orz. w sprawie wychowania dziewcząt: Pamiętnik Wacławy, Pan Graba, Początek powieści, Marta. Przyjęcie i znaczenie Marty u nas i zagranicą.

Grodno i zetknięcie z nowem środowiskiem: kwestja żydowska. Eli Makower jako program Orz. w danej chwili.

Meir Ezofowicz Czy to jedynie obraz świata żydowskiego? Jaki? Jaką myśl wypowiada w tej formie autorka? Artystyczna wartość Meira.

Żydzi w powieściach Orz. Jej pogląd na kwestję żydowską w Eli M. i późniejszych broszurkach?

Widma — nowych prądów społecznych. Stosunek do nich Orz. W jakich powieściach porusza tę kwestję? Jak?

Lud w powieściach Orz.: Obrazek z lat głodowych, Niziny, Dziurdziowie, Cham, Romanowa, W zimowy wieczór.

Dwór w powieściach Orz.: Eli M. Pompalińscy, Rodzina Brochwiczów, Nad Niemnem.

Zaścianek w powieściach Orz.: Nad Niemnem i Bene nati.

Nad Niemnem. Strona obyczajowa drobnej szlachty w powieści Nad Niemnem. Stosunek dworu do zaścianka. Ból narodowy

w pow. Nad Niemnem. Myśl przewodnia i program społeczny Orzeszk. w pow. Nad Niemnem.

Jaką myśl wypowiada: Siteczko, Czy pamiętasz? Karjery, Liść uschły.—Cenzuralny sposób wyrażania myśli: Czciciel potęgi, Australczyk, Argonauci, I pieśń niech zapłacze.

Obowiązek w powieściach Orz. — Dwa bieguny.

Ad astra — myśl przewodnia i jej uzasadnienie.

Krajobrazy Orzeszkowej i stosunek jej do natury.

Liryka w powieściach Orzeszkowej.

Orzeszkowa jako autorka — jakie sfery i horyzonty obejmuje w swoich powieściach? Jakie wygłasza hasła? Czy brzmią w nich echa romantyzmu, czy pracy organicznej, czy jeszcze inne? Społeczne i wychowawcze znaczenie prac Orz. Strona artystyczna, styl i język. Stanowisko Orz. w literaturze polskiej.

Orzeszkowa i Kraszewski: praca, zasługi, znaczenie, różnice.

Lud Orzeszkowej, a Kraszewskiego i Jeża.

Dwór Kraszewskiego i Orzeszkowej.

Które z powieści Orz. cenisz najwyżej i dlaczego?

Do czytania: Wstęp A. Drogoszewskiego do zbiorowego wydania powieści E. Orzeszkowej. Warsz. Geb. i Wolff, 1913.

ALEKSANDER GŁOWACKI — BOLESŁAW PRUS.

apostoł miłości.

1847 — 1912.

Apostołem miłości nazwał go jeden z krytyków — i słusznie, gdyż nie wyłączając nawet Mickiewicza, nie znajdziemy wśród naszych pisarzy tak gołębiego serca. Nienawiści nie zna, wyroku potępienia na nikogo nie podpisuje, chociaż występki i występnych widzi. Dla winnych jednak ma współczucie pełne głębokiego bólu: wszak to najnieszczęśliwsi, najnędzniejsi. Prus jest tylko miłością: kocha Boga, Ojczyznę, rodaków, ludzkość, — kocha cnotliwych, dzielnych i cierpiących, — kocha słabych, ubogich, nieszczęśliwych. Każdem dziełem zdaje się mówić: kochajcie, przebaczajcie, pracujcie pożytecznie dla ogółu—a będziecie szczęśliwi. Pragnie dla ludzi szczęścia, a drogę do niego widzi w pożytecznej pracy i miłości. Umysł ścisły, matematyczny, wiedza przyrodnicza i gorące serce romantyka, dążącego do ideału—wytworzyły niezwykłą indywidualność, jednolitą w uczuciach i dążeniach, a niepozbawioną wyraźnych sprzeczności.

Pomijając matematyka-poetę i przyrodnika-romantyka, w głębokim i uczuciowym pisarzu dostrzegamy przedewszystkiem humorystę. Humor rzadkie u nas zjawisko — zarówno w życiu jak w literaturze, ale właśnie dlatego tak cenione i pożądane. I los daje Prusowi te wesołe napozór okulary. Widzi śmieszności i słabostki ludzkie i umie je malować, bawiąc i ucząc zarazem. Ośmiesza naturalnie słabe strony ludzkiej natury, wady, błędy, ułomności, niedoskonałości, potrąca jednak niekiedy tę strunę i w naj-

rzewniejszej chwili (Anielka). Szereg lat kroniki Prusa uczyły myśleć, patrzeć, były poważną i sumienną pracą, poruszały i oświetlały najważniejsze kwestje społeczne, zawdzięczały jednakże swoją popularność—humorowi. Z upragnieniem oczekiwano sobotniego pisma, rozchwytywano je, żeby się pośmiać. Lecz w rozbawionym w pierwszej chwili czytelniku budziła się świadomość jakiejś nowej prawdy, — zdobywał ją w przyjemny, łatwy sposób. Czyta np. że —

„wobec coraz częściej zdarzających się kradzieży i rabunków na ulicach Warszawy, ustanowiono pożyteczną instytucję stróżów nocnych, zwłaszcza w dzielnicach bardziej oddalonych od śródmieścia. Każdy będzie zaopatrzony w latarkę, mocny sznur i grubą pałkę. Latarka — aby złodziej zauważył go zdaleka, sznur — aby go miał czem skrępować, a pałka przyda się i złodziejowi“ —

Śmiech — ale i krytyka, — uwaga zwrócona, a przecież o to idzie.

Aleksander Głowacki, syn [oficjalisty prywatnego na wsi, urodził się pod Hrubieszowem i prawdopodobnie niejedno z własnych wspomnień odmalował w „Grzechach dzieciństwa“. Ojca stracił dość wcześnie i czas jakiś wychowywał się u babki w Puławach, a potem u ciotki w Lublinie.

Tutaj w dziesiątym roku życia zaczął chodzić do gimnazjum realnego, które porzucił w 1863, by wziąć udział w powstaniu.

Jako uczeń odznaczał się zamiłowaniem do nauk matematycznych i przyrody; pozatem — koleżeński, uczynny, wesoły, lubiony przez towarzyszy, pełen inicjatywy, organizował kółka samokształcenia, nie stroniąc jednocześnie od figlów i zabawy.

W 1864 powraca do Lublina i kończy tu liceum, poczem w dość licznem gronie koleżeńskiem przybywa do Warszawy i wstępuje do Szkoły Głównej, na wydział matematyczno-fizyczny.

Nie kończy jej wszakże. Są to czasy popowstaniowe, bardzo ciężkie materjalnie zarówno dla ogółu jak jednostek, i Prus szuka skróconej drogi, aby się zabrać do pracy praktycznej. Przerzuca się do politechniki w Puławach—przez czas jakiś—prawdopodobnie z potrzeby—jest nauczycielem prywatnym,—potem na kilka miesięcy wstępuje jako robotnik do fabryki Lilpopa i Rau. Uważa się w przyszłości za technika i zapewne chce najdokładniej poznać ten rodzaj pracy.

Jednocześnie—tak, mimochodem—zaczyna trochę pisać.

Nowe prądy już przenikają społeczeństwo, prądy zapału do pracy i wiedzy, hasła t. zw. pracy organicznej,

zerwania z „romantycznemi mrzonkami“, „trzeźwy“ pogląd na życie, krytyka przeszłości. Ogniskiem tej postępowej młodzieży staje się młode pismo „Przegląd Tygodniowy“, pełne najlepszych chęci i dające pole do wypowiadania się młodym umysłom, wrzącym temperamentom. Nic dziwnego, że „Przegląd“ ma charakter dosyć bojowy. Za zadanie swoje uważa szeroko otworzyć drogę dla postępu, wiedzy, krytyki. W tym też duchu piszą tu wszyscy: sprawozdania z ruchu naukowego zagranicą, przekłady nowych dzieł filozoficznych, przyrodniczych, francuskich i angielskich, głoszą nowe hasła, nowe ideały społeczne, wskazują nowe horyzonty.

Jednocześnie powstają w kraju dwa obozy: młodzi bezwzględnie krytykują starych, zarzucając im wiele słusznie i niesłusznie. Starzy stają w obronie swoich uczuć i ideałów, sądzą też młodych—z bólem i goryczą.

Prus pisze także, ale bezimiennie i rzeczy treści naukowej, — w walce czas długi udziału nie bierze, właściwie nie bierze wcale, bo jest po obu stronach. Jego umysł matematyczny należy do młodego pokolenia, patrzy trzeźwo, szuka oparcia w dziedzinie wiedzy ścisłej, prawd naukowych. Jego uczucie i poezja duszy, utajona a żywa, łączy go ze starymi nierozerwalnym węzłem.—Bojowy ton „Przeglądu“ nie trafia mu do przekonania: on nie chce i nie może gryźć i smagać, — pragnie uczyć, tłumaczyć, przekonywać.

Gdy powstają umiarkowańsze pisma postępowe (Niwa, Opiekun), przerzuca się do nich, i tu ogłasza „Listy ze starego obozu“, w których także wytyka błędy, nawołuje do pracy, oszczędności, odrzucenia przesądów społecznych, praktycznego pojęcia życia, jego zadań i t. p. lecz to wszystko mówi spokojnie. Chodzi mu o pożytek, przekonanie; nie dla frazesu pisze. Porusza coraz nowe kwestje i przekonywa czytelnika, że to, na co dotąd nie zwracał uwagi, jest rzeczą bardzo ważną. Weźmy parę tytułów: „O potrzebie gimnastyki“. „W sprawie opuszczonych.“ „Nasi robotnicy“, i t. p. Zawsze gruntownie zna to, o czem pisze, zawsze umie oświetlić sprawę oryginalnie, wskazać jej nowe, bardzo ważne strony, poprzeć przykładem, faktem, zabawić przytem żartem i dowcipem, dla którego miło przeczytać nawet surowe kazanie.

Żądają też od niego coraz więcej, pisze do kilku dzienników i zaledwie podoła pracy. Los i stanowisko już zdecydowane: zostanie publicystą, literatem; tak być musi. Wie teraz, że wiele ma do powiedzenia, i że to jego służba. Ktoś to powiedzieć musi, ktoś, co umie, nikt nie powie za niego. A sam twierdzi, że człowiek nie żyje dla siebie, że wartość jego zależy od użyteczności dla ogółu.

Dlatego musi pisać. Tysiące biorą ten świstek do ręki dla śmiechu. Śmiech szczery to jest zdrowie, to słoneczny promień, — niechże się ludzie cieszą. A po tym śmiechu zostają im w głowie nowe myśli i nowe światła, a często w sercu jakieś nowe ciepło. Bo w tej kronice tyle, tyle rzeczy, niby żartem rzuconych. A przecież otwierają oczy na tyle nowych spraw: Prus porusza w nich setki kwestyj, społecznych, oświatowych, gospodarczych, kulturalnych i t. p. Zdawało się czytelnikowi, że niewarto się niemi zajmować, bo cóż on poradzić może? A tymczasem — zaczyna się nad niemi zastanawiać. To zdawało się błahe, a może mieć takie następstwa, — tamto mu imponowało, a naprawdę —

Oprócz kronik zaczyna Prus pisać nowele. Pierwsze — to karykatury. Zabawne — w głębi smutne, zawsze z utajoną myślą, zawsze chętnie czytane. Tu przemawia już do uczucia, chociaż nigdy nie mówi: kochaj, bądź miłosierny, przebaczaj, nie sądź z pozoru i t. d. Mówią to nam obrazy: student na poddaszu, biedak, który osłania hańbę ojca, skutki lekkomyślnego potępienia, i t. p. Obok tego jednakże pełno żartu, dowcipu, humoru.

Zwolna karykatura ustępuje miejsca prawdziwym ludziom i rzeczywistości. Ukazują się nowele, które każdy znać powinien. Dlatego je tu wyliczamy.

Sieroca dola, poświęcenie matki, prawdziwa dobroć i teorja filantropji, — dusza dziecka.

Antek, późniejsza nowelka i jedna z najlepszych, — uczucia zdolnego chłopca w otoczeniu, ciemnoty wiejskiej i trudna walka o kruszynę wiedzy.

Anielka, owiane ciepłem rzewnego uczucia dzieje serca 13 letniej dziewczynki, którą zabija twarda ręka losu i zimne tchnienie ludzkiego egoizmu.

Grzechy dzieciństwa, zapewne trochę własnych wspomnień, obrazek pełen humoru i smutku z życia chłopca.

Omyłka, krzywda niesprawiedliwego posądzenia i cenzuralna sylweta powstania przez pryzmat wrażeń dziecka.

Katarynka, — postać ślepej dziewczynki jest tu drugorzędna, chodzi o odsłonięcie tajemniczego kącika w duszy zawiędłego w egoizmie starego kawalera.

Zestawiliśmy najpierw te nowele, w których Prus maluje dzieci. Jest to świat do odtworzenia najtrudniejszy, co można stwierdzić na podstawie nieudolnych prób innych autorów. W naszej literaturze nikt poza Prusem nie umie tak wyraźnie czytać w duszy dziecka. I rzadko kto próbuje. Dzieciom Prusa należy się osobne studjum, tak są żywe, prawdziwe, tyle w nich oryginalnej i ciekawej obserwacji autora. Prawdę tego rysunku, tak świeżą, a znaną, niespodzianą, a zrozumiałą — odczuwamy w każdem ich słowie, w całej linji myśli i uczuć. Radują nas te dzieci, bo

znajdujemy w nich własne przeżycia. To jedna z oryginalnych cech talentu Prusa.

Powracająca fala, — krzywdziciel fabrykant i pokrzywdzony robotnik. Kilka wybornych typów: zbogaconego Niemca, jego syna birbanta i hulaki, — a sens: przestroga, że fala krzywdy wraca...

Michałko, najuboższy duchem wieśniak, bezradny i wyzyskiwany, którego prosta dusza zdolna jest do czynów wzniosłych, nie zdając sobie sprawy z ich wartości.

Kamizelka, ból i smutek tajony wobec trwogi o najdroższą nam istotę.

Ból i niedolę ludzką maluje Prus w każdej ze swych nowel i powieści, w tych jednakże stanowią treść główną.

Wymienione nowele są najlepsze i przeczytane być powinny, dlatego nie podajemy z nich wyjątków. Malują one piękną duszę Prusa, czystą, wrażliwą na ludzką niedolę, pełną dla niej współczucia, patrzącą na świat trzeźwo, serdecznie — i poetycznie zarazem.

Ciekawy jest stosunek jego do natury. Rzadko ją opisuje, a zwłaszcza od siebie, — najczęściej posługuje się w tym celu oczami i odczuciem swego bohatera, choćby dziecka. Stąd pogląd bywa często oryginalny. Od siebie — daje zwykle obraz przedmiotowy, rzadko zabarwiony liryzmem, ożywiony jednak nietylko humorem, lecz charakterem i rozumowaniem, jakiem obdarza zarówno rośliny, jak przedmioty martwe, a nawet zjawiska natury, np.

„Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z ponsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i blado-różowe makówki kiwały się jak Żydzi w bożnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het, odpędzał, a samej kowalowej czepek na głowie przekręcał, choć ona mimo 21 lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, i na 6 morgach pola!!“

W innem miejscu rozmawia z chłopem ziemia i łakome wróble, które z niej ziarno wyjadają. — Zwierzęta Prusa mają także swoją psychologję, czy to będzie piesek Anielki, czy pies kowalowej, a wyraz psich uczuć maluje tak żywo, że je także odczuwamy, rozumiemy np.

„Wszystkie te przygotowania do drogi niezmiernie cieszyły Kurtę, a gdy gospodyni wzięła dyszel wózka do ręki, pies wpadł w szał. Skoczył najprzód na Stasia i zdarł mu chusteczkę z głowy, potem o mało co nie oberwał wąsa kowalowi, a zgromiony przez niego, rzucił się z wielkim impetem na gospodynię i ledwie jej nie przewrócił.

Tak gwałtowne oznaki radości na złe wyszły Kurcie. Szarakowa bowiem przypomniała sobie, że nie można domu bez psa zostawić, i — kazała go wziąć do izby. Dziewucha Magda z niemałym trudem zaniosła Kurtę do kuchni, psisko jednak w tej samej chwili wyskoczył na dwór oknem i weselił się jeszcze bardziej. W rezultacie dostał niebożę w kark chustką od pani, w bok obcasem od pana, w grzbiet drewnem od dziewuchy, poczem zaniesiono go do pustego chlewa i zamknięto na kołek. Pies wył tak strasznie, że niejedna baba w polu, usłyszawszy go, przewidywała nieszczęście i zawczasu modliła się za dusze zmarłych“.

Współczucie dla psa i humor składają się na obrazek pełen życia. — Tak samo maluje konia, krowę i każde zwierzę, które zawsze ma swoje myśli i swoje uczucia. — Jest to bogactwo wyobraźni Prusa, która przenika i ożywia wszystko.

Wrażenia i sprawy bieżące, zwykły temat jego utworów, rozwijały się przed nim w szeregu obrazów, które barwi niewyczerpanym humorem, przepaja szczerem, a więc wzruszającem uczuciem — i podaje ku pożytkowi czytelnika. Tak np. wciąż wzrastający napór kolonizacji niemieckiej i jej głosy: „sprzedaj, chłopie, rolę, będziesz miał czerwieńce“ — dla Prusa staje się źródłem P l a c ó w k i, niby noweli, niby już powieści. Placówka powinna być przeczytana bezwarunkowo. Maluje ona walkę upartego chłopa (z jego ciemnotą i wszystkiemi wadami) — z mądrzejszym i silniejszym przeciwnikiem, umiejącym dążyć do celu. Smutniejszy jednak od nieszczęść Ślimaka jest obraz pańskiego dworu, w którym mieszka jedynie lekkomyślność. Chłop spalony i zmarnowany, pozostaje w ziemi korzeniem i odrośnie, — piękny dwór pański dla braku miłości, poczucia obowiązku, zrozumienia życia — znika bezpowrotnie, bez śladu, bez walki, jak domek z kart, zdmuchnięty przez figlarza.

I jakiż to nasuwa wniosek?

Nowele Prusa przedstawiają życie w jego poszczególnych, drobniejszych przejawach, malują jednostkę albo grupę ludzi, jedną społeczną kwestję, — w r. 1887 występuje po raz pierwszy w powieści p. t. „L a l k a“ jako rzeźbiarz całego społeczeństwa.

Rzeczywiście zakrój powieści szeroki, ogarnia wszystkie warstwy, wszystkie prądy, z których splatało się ówczesne życie: — hasła postępu, wielki przemysł, handel i jego nowe drogi, — z drugiej strony arystokracja, studenci, Żydzi, kupcy, pracownicy różnego typu, kobiety, — jeszcze echo ginącego pokolenia, (Rzecki), — słowem obraz całości, ujęty znakomicie, rozrzucony trochę bezładnie, lecz malujący najważniejsze sprawy bez rozpraw i wyjaśnień, wszystko w akcji, ruchu, djalogu, ożywiony dowcipem i humorem, czasem karykaturą. Osią powieści — miłość człowieka niepospolitego, pełnego siły woli i energji, obejmującego szersze horyzonty myślą, czynem, inicjatywą — ku Lalce z arystokracji. Tak się zdarza. Lalka pozostaje lalką, a człowiek się marnuje. Szkoda. Prus jednak nie wyprowadza żadnych wniosków, zdaje się tylko mówić obrazami: patrzcie, ile złego wyrządzić może jedna bezduszna istota.

Lalka powinna być przeczytana i rozważona pod względem treści, charakterów. i tendencji autora — samodzielnie. Dlatego treści jej nie podajemy, odsyłamy do pytań.

Lalka zrobiła Prusa wielkim powieściopisarzem, od którego też więcej żądać można. Odczuwa to sam autor i przystępuje wkrótce do nowej powieści o szerokim zakroju, malującej już rozbudzony ruch samodzielności kobiet. Emancypantki dają cały szereg typów, ilustrujących różne pojmowanie tego dążenia kobiet. A że w istocie było w niem wiele śmieszności i wiele nieporozumienia, więc skłonny do karykatury humorysta podkreśla te właśnie cechy ze szczególnem upodobaniem.

I wywołuje wielkie oburzenie. — Czy słuszne?

Czy wrogiem jest emancypacji autor, który mówi: „Kobieta nie jest dopełnieniem mężczyzny, ale odrębną, samodzielną potęgą, która łączy się z nim dla spełnienia odrębnych przeznaczeń“. A zatem?..

Wyzwolenie kobiety z pod praw niedorzecznych było dla niego koniecznością i pewnością, chodzi tylko o drogi.

Wśród samych kobiet były wówczas dwa obozy: — gorące zwolenniczki równouprawnienia, do którego dążyć należy natychmiast, przedewszystkiem, wbrew najtwardszym okolicznościom i przeszkodom, — i drugi obóz, który ten cel uznawał i miał te same dążenia, całem praktycznem życiem stwierdzając ich szczerość, ale — na pierwszym planie kładł sprawy narodowe. W wolnej ojczyźnie, Polsce, i kobieta wolną być musi i będzie. Dzisiaj bez podziału pracujmy na wolność narodu.

Prus nie był nigdy naturą bojową, choć opisywał bitwy bardzo oryginalnie (Lalka, Faraon), dla niego ruch zdobywczy opierał się zawsze na pracy i spokojnej ewolucji ku lepszemu, na postępie. Dlatego bojową drogę

o równouprawnienie lekceważył, ironizował, karykaturował, mając do tego dosyć materjału. Nie potępia jednak idei. Jego zdaniem lepiej prowadzą do celu ciche ścieżki cichych, nieznanych pracownic, z milczącem poświęceniem dźwigających ciężary życia. I Madzia jest emancypantką, dąży do samodzielności, prowadzi ją genjusz serca, a gubią przesądy, głupie ograniczenia, ciasne ramy. — Właściwie karykaturą jest tylko p. Howard i to do pewnego stopnia, p. Latter to typ tragiczny, głęboko pomyślany, z ogromnem odczuciem i zrozumieniem natury kobiecej,—toż samo można powiedzieć o Adzie, — a parę sylwetek na dalekim planie nieprodukcyjnej pracy — to przecież tylko humor. Natomiast zwraca najsłuszniej uwagę, że hasła emancypacyjne służyły celom rozmaitym, nieraz bardzo dalekim od sztandaru, który je miał prowadzić. Powieść jako całość — daje całą panoramę kobiet różnego typu, scen pełnych humoru, stosunków na prowincji i w Warszawie, a wkońcu filozoficzną rozprawę — o nieśmiertelności duszy, malującą bardzo ciekawe poglądy autora.

Przeczytanie Emancypantek jest bardzo pożądane, lecz kładziemy je na drugim planie.

Ostatnią wielką pracą Prusa jest „Faraon“, powieść egipska na tle około X w. przed Chr. Według opinji znawców starożytności strona historyczno-obyczajowa przedstawiona jest bez zarzutu. Łatwo zdać sobie sprawę, ile nowych studjów i pracy wymagał przedmiot, tak zupełnie obcy twórczości humorysty polskiego, który niewiele wędrował po świecie, (podróż po Europie 1895), a Egiptu nigdy nie widział. Z przeszłości tego ciekawego świata w literaturach obcych mamy cały szereg powieści, które piszą specjaliści w tej dziedzinie, — krytyka uznaje jednak, że Prus przewyższył wielu, i praca jego zajmuje miejsce wśród pierwszorzędnych. — To świadectwo bogatej wyobraźni.

W jakim celu jednak pisze Prus tę powieść, bo przecież nie pisze nigdy dla zabawy? Dlaczego zadał sobie tyle pracy? — Musimy odpowiedzieć sobie, że pociągnął go świat daleki, tajemniczy i mało znany. Znalazł tu dla wyobraźni pole niezmiernie bogate i świeże. A myśl jakąś chce wypowiedzieć niezawodnie.

Spróbujmy ją odgadnąć, wnikając w treść opowiadania.

Młody, genjalny władca, obok młodzieńczych przywar i popędów — ma duszę Prusa. Boli go wszelka krzywda, i chce ludowi swemu zapewnić sprawiedliwość, względne szczęście. Ma jednak silnych wrogów i własne słabości, — popełnia błędy, ginie.

Czy jego dobre zamiary zmarniały? — Nie. Ginie człowiek, ale pozostaje dzieło, nawet niedokonane, nawet usiło-

wanie szlachetne, bo na świecie nic zginąć nie może bez śladu, zwłaszcza ziarno piękne i zdrowe.

Więc powieść pouczająca naukowo, dająca mnóstwo wspaniałych obrazów, budząca wiele myśli i zestawień, zdaje się jeszcze mówić: niech wam nie chodzi o to, aby widzieć owoc swych czynów, — pracujcie tylko wytrwale, szlachetnie, sercem — a on dojrzeje, choćby was nie było.

Czyż można dać silniejszą i rozumniejszą zachętę? Zwłaszcza tym, którzy w bezustannej walce mogą tracić chwilowo nadzieję zwycięstwa.

Jest to ostatnia wielka praca Prusa. Talent jego się wyczerpuje. W życiu zmian niewiele: płynie cicho i pracowicie. Ożenił się jeszcze w 1875 r., lecz ten prawdziwy ojciec wszystkich dzieci — nie ma własnych. Tem silniej może kocha wszystkich ludzi. Niema w nim żółci, niema w nim goryczy. Zło boli go daleko więcej, niż oburza. Może dlatego, że tak mocno wierzy w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

Zdrowie jednak odmawia służby, — życie ciśnie. Jego łagodność i wyrozumiałość, oparta niewątpliwie na wierze w triumf prawdy — razi niekiedy ogół np. nadzieja poprawy stosunków w kraju przez porozumienie z zaborcą (ugodowość). A przecież o ile rozumiemy Prusa, musimy zdać sobie sprawę, że on innego nie mógł zająć stanowiska. To nie było bynajmniej zaparciem się uczuć i dążeń narodowych, tylko wyborem drogi, zgodnej z całą jego psychiką. — Nic nie zginie!

Wojna japońska i wybuch pierwszej rewolucji w Rosji prawie zmusza go znowu do pisania. Tyle rzeczy go boli— i tak mocno. Musi głos zabrać. Trzeba przestrogi, trzeba zrozumienia faktów. Są winy, są pozory, jest dużo nieporozumienia. I pisze powieść „D z i e c i“.

Pod względem artystycznym słaba to już praca, — humor utracił świeżość, wyobraźnia żywość, — pozostało rozumowanie. Rewolucja u nas jest echem obcych prądów, wnosi zniszczenie, demoralizację. Polityczne niby bojówki stają się bandytyzmem,—gromada dzieci błądzi po manowcach, choć zdawało się niejednemu, że wstępuje na drogę bohaterską.

Ostatnie lata życia to już wyczerpanie. Twórczość gaśnie, choć pisze stale rozprawy i kroniki, po części z potrzeby moralnej, ale także dla chleba. Większą pracą z tego okresu jest jakby streszczenie poglądów Prusa w szkicu: „N a j o g ó l n i e j s z e i d e a ł y ż y c i o w e“. W treści właściwie niema nic nowego: to samo głosił całe życie, lecz tu uporządkował, stworzył harmonijną całość. Jakież są te ideały? Przedewszystkiem d ą ż e n i e d o d o s k o n a ł o ś c i, które jest podstawą i celem istnienia, które jedynie może za-

pewnić nam szczęście. W tem dążeniu zawiera całą treść swej duszy, wszystko, co głosił w pismach całe życie, — a więc: miłujcie się nawzajem i wspierajcie, pracujcie i bądźcie użyteczni, bo to pierwsza podstawa szczęścia, — rozpalajcie wszędzie ogniska oświaty, bo ciemnota to najstraszliwszy wróg człowieka, — oświecajcie rozum nauką, serce rozgrzewajcie uczuciem, a do czynu hartujcie wolę:

„Doskonalcie wolę, myśl i uczucie, bądźcie użyteczni dla siebie i innych, a szczęście — o ile istnieje na ziemi — samo przyjdzie".

To praktyczna zachęta. Rysem charakterystycznym tego poety i artysty jest teoretycznie jakby zanik zrozumienia wartości i zadań sztuki. To „zbytek", na który nas nie stać. Nie mamy na to — dzisiaj.

Umarł w r. 1912, pochowany na Powązkach. Pogrzeb był świadectwem uznania, na jakie niestrudzony pracownik społeczny i szerzyciel najszlachetniejszych idei zasłużył.

Jako człowiek — nieskazitelnem życiem i charakterem, jako pisarz—pracą twórczą i szlachetną, budzącą w sercach radość, w głowach myśli, stanowiącą zawsze piękny i zdrowy posiew, rzucany z pogodą, mieniący się niewyczerpanym, a tak cennym u nas humorem. Sam był „genjuszem serca", który, śmiejąc się, nie ma szyderstwa nawet dla śmieszności i błędów.

Oto parę wyjątków z zapomnianych już dzisiaj kronik.

26 kwietnia.

„Że Niwa jest najpoważniejszym naszym dwutygodnikiem, p. Jeleński jej korespondentem z Kalisza, a ja jej kronikarzem — o tem zdaje się wszyscy już wiedzą. Ale o tem, że p. R. jest najznakomitszym filantropem w Kaliszu, dowie się świat dziś dopiero.

Filantropja p. R. należy do tych, które nie szukają rozgłosu, jeżeli zaś chcecie wiedzieć, jaką jest, to posłuchajcie.

Wiadomo, ile nieszczęść spada na kraj z tego tylko powodu, że w nim masa dzieci nie ma odpowiedniego dozoru. Otóż zapobiegając złemu, p. R. w salach swego zakładu zgromadza dziatki od lat 8 — 12 na godzin 14, t. j. na cały czas nieobecności ich rodziców.

Niedość na tem, p. R. nie poprzestaje na prostej gościnności, ale posuwa się krok dalej i niewinnym dziatkom, jak również dozorującym je kobietom, ofiaruje od 15 do 17 kop. dziennie, aby miało z czego wyżyć biedactwo!

Wychodząc jednak z zasady, że praca jest najpiękniejszym sposobem przepędzania czasu, p. R. pozwala dziatkom i dozorującym je kobietom sortować wełnę do swej fabryki, co przedstawia korzyść potrójną. Najprzód bowiem sortowanie

wełny umożliwia produkcję sukna, powtóre wyrabia zręczność w palcach i bystrość w poglądach, a po trzecie — dzieci i kobiety przez zetknięcie z wełną robią się tak niewinnemi, jak cienkorunne owieczki. Na nieszczęście poglądy p. J. na filantropję p. R. muszą się różnić cokolwiek od moich, to bowiem, co ja uważam za dobroczynność, p. J. nazywa wyzyskiwaniem, a co gorsza — przypomina jakieś przepisy, zabraniające używać do pracy dzieci młodsze od lat 14.

Pomimo tak zasadniczą sprzeczność, spróbuję porozumieć się z p. J. a co ważniejsza — mam nadzieję, że go przekonam.

P. J. oburza się. Zapewne! oburzenie to byłoby słusznem, gdyby p. R. przymuszał dzieci do odwiedzania jego zakładów, będzie jednak niesłusznem, jeżeli p. R. działa tylko w imię ewangelicznej zasady: „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie!“

P. J. narzeka na to, że sale są niskie. Przypominamy jednak szan. korespondentowi, że sala bilardowa „na górce“ jest jeszcze niższa, a przecież tłoczą się do niej ludzie, ba! nawet płacą.

P. J. domaga się dla tych sal wentylacji. Za pozwoleniem! Przypuśćmy, że p. R, w roku bieżącym zaprowadziłby wentylację, to któż zaręczy, że p. J. nie spotęguje swoich żądań i np. w roku przyszłym nie zażąda restauracji, w następnym sali balowej, orkiestry stałej, i Bóg wie jakich jeszcze nowości?

Wkońcu p. J. zarzuca p. R. że tenże, mieszkając od półwieku w Kaliszu, nie nauczył się jeszcze po kalisku (po polsku). O panie! i na cóż mu język kaliski? Czy na to, aby czytał w nim nieprzychylne dla siebie korespondencje z Kalisza? Gustu do języka p. R. może nabrać dopiero po odczytaniu mojej kroniki, w której pozna, że niewszyscy tak, jak pan, jego zakład dobroczynny nazywają fabryką sukna!“.

18 czerwca.

„Z wielką radością w sercu dowiedzieliśmy się we właściwym czasie o uformowaniu w Warszawie Tow. Opieki nad zwierzętami, choć dziś z wielką goryczą wyznać musimy, że nadzieje nasze srodze zawiedzione zostały.

O ile wiemy, Tow. miewa odczyty o potrzebie szanowania zwierząt, wydaje nawet wzory kaligraficzne w tym duchu napisane i ściąga od swych członków bardzo regularnie składki. Ale czy robi co dla nas? Wątpię.

Wszystkie sympatje Tow. — jak dotychczas przynajmniej, skierowane są ku wołom i cielętom, tj. tym z jego pupilów, którzy dostarczają zrazów, befsztyków, wątróbek, kotletów itd. My zaś, psy, jesteśmy najzupełniej przez nogę traktowani, jeżeli nawet nie krzywdzeni.

Cóż się bowiem poprawiło w naszej doli? Nic.

Ludzie biją nas tak dobrze, jak i dawniej, — koty wyrządzają nam impertynencje, jak dawniej, — czyściciele łapią

nas i zabijają częściej niż kiedykolwiek, — a co jest najbardziej oburzającem ze wszystkiego, prasa poczyna nas systematycznie prześladować, codzień donosząc, że ten lub ów, że taki lub owaki, wściekł się i został oddany pod weterynaryjny dozór.

Słowem wyszliśmy na opiece tak, jak Ząbłocki na mydle.

Wobec faktów podobnych nie zostaje nam nic innego, jak z głębi piersi zawołać: Moi panowie! zostawcie nas już w pokoju... Obiecujecie nam miski z wodą i nowe kagańce? A djabli nam po wodzie i miskach, jeżeli gęby będziemy mieć zamknięte?...

Czuję, że lada chwila mogę wyjść z granic umiarkowania, ponieważ dotknąłem kwestji dla wszystkich psów najdrażliwszej. Postaram się jednak o niej parę rozsądnych słów wypowiedzieć.

Kaganiec... cóż to za tortura!... Dopóki ci jej nie wsadzą na nos, masz dobry humor, serce lekkie i ogon do góry zadarty. Ale niechże tylko kaganiec się pojawi... Adju, Fruziu!...

Ani jeść, ani pić, ani spać, ani szczekać, ani pcheł łapać, — no, nic, ale to kompletnie nic przy tej machinie robić niepodobna...

I dziwić się tu, że postawieni w warunkach takich, opuszczamy uszy, wpadamy w rozpacz i okazujemy niejaką cierpkość w postępowaniu, która wkońcu bokiem nam wyłazi, zaraz nas bowiem posądzają o wściekliznę... i jazda za Marymonckie rogatki!...

O! jakże jest ciężkie psie życie.

Gdybyśmy się teraz zapytali, w jakim celu zakładają nam kagańce, odpowiedzianoby zapewne, że w takim, aby dostarczyć zarobku rymarzom i druciarzom. Zapewne! cel to piękny, ale czyż Tow. opieki nad zwierzętami po to zostało zawiązane, ażeby druciarzy i rymarzy protegować?

Może powiecie nam, że kagańce zapobiegają kąsaniu ludzi przez psy wściekłe? O, przewrotności!...

Którymże to psom bowiem zakładają kagańce? Naturalnie tym tylko, którzy mają właścicieli. A jeżeli pies ma właściciela, to czyliż chlebodawca jego nie może zauważyć symptomatów zbliżającej się choroby i bez kagańca?

Najniebezpieczniejszemi pod tym względem są psy, pozostające bez pana i dozoru, a któż im sprawia one druciane maski, dobre może przy lekcji fechtunku, ale niucha tabaki niewarte wówczas, gdy chodzi o wściekliznę".

EMANCYPANTKI

I. Panna Howard.

Najbardziej karykaturalną postacią emancypantki w powieści tej jest p. Howard, nauczycielka na pensji p. Latter, mocno wrażliwa w stosunku do płci męskiej, a głoszaca

hałaśliwie hasła niepodległości kobiety, wyrażająca chętnie najwyższą pogardę dla panów świata.

Na pytanie przełożonej, „czego chce ostatecznie?“ — odpowiada:

„Chcę zrobić kobietę samodzielną, chcę ją wychować do walki z życiem, chcę nareszcie... uwolnić ją z zależności od mężczyzn, którymi pogardzam!... Jeżeli zaś pani sądzi, że jestem u niej zbyteczną, mogę usunąć się od Nowego Roku. Pani szkodzą, czy tylko gniewają moje poglądy, a mnie męczy borykanie się z rutyną, rachowanie się z każdem słowem, walka z samą sobą...“

Kiedy się dowiaduje, że p. Korkowicz, w domu którego Madzia, główna bohaterka, jest nauczycielką, przy stole bierze przed nią potrawy z półmiska, wybucha oburzeniem:

...„zapominasz pani o swojej płci i stanowisku!...

W ciągu długiego pasma wieków obdarta, wyzyskiwana, oszukiwana kobieta, wywalczyła sobie wobec mężczyzny to, że przynajmniej w formach zewnętrznych uznawał jej wyższość nad sobą i — na ulicy, w salonie, przy stole ustępował jej pierwszeństwa. Mojem więc zdaniem, kobieta zrzekająca się tego przywileju, dopuszcza się zdrady wobec żeńskiej zbiorowości, której cząstkę stanowi...

— Cóż mam robić? — pytała Madzia.

— Walczyć... Zmusić p. Korkowicza, ażeby uznał swój błąd i zwrócił pani należne miejsce.

— Ależ ja tu mam miejsce płatnej nauczycielki.

— Tem większy powód!... zawołała p. H. — Pani chyba nie rozumiesz wzniosłości stanowiska nauczycielki, które o całe niebo góruje nawet nad stanowiskiem rodziców. Bo my tworzymy umysł dziecka, jego samodzielność, jego ja... podczas gdy rodzice dali mu tylko ciało. No, a chyba nie zawaha się pani w ocenieniu, które z tych zajęć jest trudniejsze...

— Ja nie wiem, proszę pani — odparła wylękniona Madzia.

Ponieważ p. H. przypomniała sobie, że i ona nie wie, które z tych zajęć jest trudniejsze, więc — wzruszyła ramionami i kiwnąwszy Madzi głową, wyszła z pokoju“

Energja p. H. potrzebuje czynu i potrzebuje pola, — potrzebuje słuchaczek, które zapalałaby do walki swojemi frazesami; wierzy zresztą, że zbawia społeczeństwo, dając zajęcie kilku upadłym dziewczętom. Zawiązuje w tym celu Stowarzyszenie kobiet, które skupia i łączy najsprzeczniejsze typy.

„Pań zgromadzonych było ze 30. W tej liczbie kilka młodych i bardzo wesołych, kilka starszych i jakby rozdrażnionych najpierw rzucały się w oczy. Ogół wyglądał spokojnie i bez-

pretensjonalnie, jak osoby, które mają dużo kłopotów, nie kryją się z niemi, ani też ich okazują.

Sama gospodyni domu—mimo obfitości obstalunków robionych w jej pracowni, nigdy nie posiadała nawet 10 rubli zaoszczędzonego kapitału, przypuściła bowiem swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowanice, zupełne sieroty. Pani Ż. introligatorka, ile razy nie miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna U. umiała szewctwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie, pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i brata, który na jej koszt chodził do gimnazjum. Natomiast p. Papuzińska grała na fortepianie jak Liszt, śpiewała jak Patti, malowała jak Siemiradzki, pisała powieści jak Wiktor Hugo i — gniewała się na cały świat, który żadnego z jej talentów nie chciał ocenić.

Pani B. wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobietami wychodzącemi z więzienia, które mieszkały u niej, przez nią dostawały służbę i niekiedy okradały ją na podziękowanie. Pani Z. nauczycielka, utrzymywała rodziców i dwu braci, którzy ciągle szukali odpowiedniego dla siebie zajęcia", i t. d. i t. d."

P. H. prowadzi posiedzenie, walcząc o władzę z parą ambitnemi i wyznaczając kary „niedość obznajmionym z parlamentaryzmem", które odzywają się czasem nieśmiało, nie prosząc o pozwolenie.

Wnioski członków są różnorodne np. „Czy dla społeczeństwa nie byłoby korzystniej zastąpić dzisiejsze małżeństwa wolną miłością?" — inny: „ażeby uwiedzione dziewczęta pobierały dożywotnią pensję", inny: — „otworzenie domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek", ponieważ w tej chwili trzy biedaczki potrzebują przytułku.

Kiedy bogata lecz nieśmiała Ada składa na ten cel ofiarę, zasłaniając się bratem, p. Howard oznajmia: „Nasze Towarzystwo nie przyjmuje darów od mężczyzn".

Jeszcze projekt wysłania kilku młodych panien do uniwersytetów zagranicznych, — cóż, kiedy na wszystko to niema zupełnie funduszu. Podniesienie składki miesięcznej grozi wycofaniem się ubogich członków, którzy stanowią większość, — założona pracownia kaftaników włóczkowych bankrutuje, — przyszłość beznadziejna. Ale —

„gdyby wszystkie nasze kobiety należały do Stowarzyszenia, miałybyśmy 3,500,000 złotych miesięcznie" — zapewnia z przekonaniem p. Howard.

P. Howard jednak— ma serce. Już w pierwszych rozdziałach można to zauważyć. Po wizycie studenta, za pośrednictwem którego umieszcza swoje artykuły w postępowych pismach, odzywa się do Madzi:

„O, bo my kobiety jesteśmy szczególnemi istotami: gardzimy zwierzęcym tłumem mężczyzn, lecz jeżeli znajdzie się człowiek wyjątkowy“...

„Człowiek wyjątkowy“ się znalazł: — pan Mydełko z trochę krzywemi nogami, i p. H., mężatka, przemawia do Madzi: —

— „Wierz mi, panno Magdaleno, że kobieta dopiero wówczas staje się naprawdę człowiekiem, gdy wyjdzie za mąż. Pielęgnowanie rodziny, macierzyństwo — oto wzniosłe posłannictwo naszej płci... Nie mogę przeczyć — dodała skromnie — że trafiają się kłopotliwe sytuacje, nawet przykrości... Ale wszystko znika wobec przeświadczenia, że uszczęśliwiamy kogoś, kto na to zasługuje“.

Jak daleko zaś sięga zaparcie się siebie bojowniczki emancypacji dla „człowieka wyjątkowego“, mówi krótciutka scena z jej „miodowego miesiąca“.

„Wieczór był pogodny i ciepły, niby pocałunek odchodzącego lata, ale nad roślinnością unosił się melancholijny czar jesieni, której nieujęta mgła przenika ludzką istotę i skrapla się w duszy, jak łza bezprzyczynowego żalu.

W altance ogrodowej odezwał się gruby głos.

— Tak mnie bolą nagniotki... Założyłbym się, że jutro będzie słota.

— Więc włóż, aniołku, pantofle — odezwał się głos niewieści.

— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli — odparł bas.

— Ja ci znajdę, duszko...

— Trzeba jeszcze ściągnąć buty — mruknął bas.

— Ależ ja ci zdejmę... Przecież ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój koteczek...“

II. Teorja prof. Dębickiego o nieśmiertelności.

Urywki.

Profesor Dębicki, matematyk i przyrodnik, aby pokrzepić umierającego brata bohaterki Madzi, mówi o wieczności i życiu pośmiertnem. Rzecz prosta, że Prus wypowiada tu własny pogląd.

„Od bardzo dawna nie mogę wyjść z podziwu, że ludzie tej bystrości, co Moleschott albo Vogt, są tak naiwnymi w kwestji dowodów. Powiem krótko. Wszystkie doświadczenia, robione nad mózgiem: badania produktów chemicznych, temperatury mózgu, prądów elektrycznych, wszystkie uszkodzenia mózgu, umyślne czy przypadkowe, dowiodły tylko jednej rzeczy, że —

mózg jest organem ducha. Człowiek z uszkodzonym mózgiem źle myśli, czy nie może objawiać, że myśli; jak człowiek z uszkodzonem okiem źle widzi, lub wcale nie widzi, a człowiek z uszkodzoną nogą — źle chodzi lub wcale nie chodzi.

Tymczasem w naturze zjawisko ruchu bynajmniej nie jest związane z muskułami, ani wrażliwość na światło z okiem. Spadający kamień porusza się, choć nie ma muskułów ani nerwów, płytka fotograficzna i selen są wrażliwe na światło, choć nie posiadają nerwu optycznego.

Jeżeli więc ruch mechaniczny może istnieć poza granicami muskułów, a wrażliwość na światło poza granicami oka, dlaczegóżby myśl, uczucie, świadomość — nie miały istnieć poza obrębem mózgu? Bez mózgu niema myśli — jak bez bursztynu niema elektryczności!?...“

„Mędrzec chciał zbadać własności światła. W tym celu zapalił lampę naftową i wykonał szereg doświadczeń...

...Wreszcie skończył eksperymenta i na ich zasadzie ogłosił, że światło jest funkcją knota i nafty; poza knotem i naftą nie istnieje. Nie ma innych własności oprócz tych, które można zbadać na knocie zapomocą śrubki i patyka, po spaleniu się knota światło ginie — i t. d.

...Otóż w człowieku są trzy różne rzeczy: organizm, który odpowiada knotowi, — zjawiska fizjologiczne, odpowiadające płomieniowi, który powstaje ze spalenia się nafty w powietrzu, i — dusza, która odpowiada światłu. Ta dusza ma swoje własności pozacielesne i swoje zjawiska pozafizjologiczne. Ta dusza nie jest produktem strawienia i utlenienia pokarmów, ale jest oryginalną formą energji czy ruchów, które odbywają się nie w substancji mózgowej, ale w jakiejś całkiem innej, może być — w eterze, wypełniającym wszechświat.

...Naturę duszy — czyli rozmaite jej zdolności i nieskończone łańcuchy duchowych zjawisk — odkrył nam nie wzrok, nie skalpel, ale wewnętrzna obserwacja, nasze p o c z u c i e s a m y c h s i e b i e. Więc to poczucie jest właściwym zmysłem, którym b e z p o ś r e d n i o możemy badać naszą duszę.

Nie twierdzę, że anatomja i fizjologja na nic nie przydadzą się psychologji. Owszem... mogą mieć olbrzymią doniosłość. Dzięki anatomji i fizjologji poznajemy tę zdumiewającą fabrykę, w której dokonywają się najcudowniejsze działania w naturze. Może nadejść czas, że anatomja i fizjologja opiszą nam i wytłumaczą budowę każdego mechanizmu wykonawczego, z jakiego składa się nasz system nerwowy. Ale nigdy nie wytłumaczą i nie opiszą zasadniczej własności ducha, jaką jest — c z u c i e.

Czuję kolor czerwony i zielony, tony wysokie i niskie, czuję twardość i miękkość, ciepło i zimno; czuję zapach octu

i róży, głód i trudność w oddychaniu, ruchy moich rąk i nóg. Czuję radość i smutek, miłość i nienawiść, czuję, że czegoś pragnę, a czegoś się lękam, że pamiętam przeszłość. Czuję wreszcie, że jedne z moich kombinacyj umysłowych odpowiadają faktom spostrzeżonym przez zmysły, a inne kombinacje są — mojemi własnemi utworami.

Słowem odkrywam cały świat zjawisk, będących tylko — rozmaitemi formami czucia, tego dziwnego czucia, które czuje nawet — samo siebie. A jednocześnie spostrzegam, że ani fizyka, ani chemja, ani teorja komórek, ani wszystkie razem wzięte doświadczenia fizjologiczne nie powiedzą mi: czem jest czucie? Jest to bowiem fakt elementarny i dla każdego człowieka jedyny.

Wiem, że w przestrzeni krążą i palą się miljony słońc, że dokoła mnie żyją miljony istot, że wszyscy ludzie myślą, cieszą się, pragną, pamiętają. Ale również wiem, że czucie, które ja posiadam i którem ogarniam cały świat, że to moje czucie — jest jedyne w naturze. Ja za nikogo czuć nie mogę i nikt za mnie; ja nikomu nie zajrzę w głąb jego czucia, i nikt nie zajrzy w moje. Pod tym względem jestem istotą wyłączną i niezastąpioną. I z tego punktu miałeś pan rację, twierdząc wczoraj, że gdyby zgasł twój duch, czyli twoje czucie, razem z niem zginąłby jeden wszechświat".

„Otóż wszystkie nasze sądy o świecie zewnętrznym, wszystkie „obserwacje i eksperymenta"—opierają się na tych zasadniczych faktach, że — „ja coś czuję, ja coś wiem i ja w coś wierzę". Czy świat realny naprawdę istnieje? i czy wygląda tak, jak my widzimy? Czy też cała natura jest złudzeniem naszych zmysłów, niknącym obrazem, który trwa dopóty, dopóki żyjemy sami? — tego nie jesteśmy pewni.

Ale jedno jest dla nas niewątpliwe, że czujemy samych siebie i coś, co nie jest nami, czyli—czujemy własną duszę, na którą działają jakieś wpływy zewnętrzne.

...To, co nazywamy „naturą", jest sumą naszych czuć: wzrokowych, muskularnych, słuchowych, czyli jest wyrobem naszego ducha. Zatem nie mamy prawa uważać siebie za wyrób natury, jak zegarmistrz nie ma prawa mówić, że sam został zbudowany przez swoje zegary. Tem mniej mamy prawa twierdzić, że nasza dusza jest wytworem komórek mózgowych, albo tlenu, azotu, fosforu i t. d. Jeżeli bowiem to, co nazywamy np. fosforem, jest sumą wrażeń, które odczuwa nasza dusza, więc ta odczuwająca dusza jest czemś innem, aniżeli suma jej wrażeń, jest co najmniej płótnem, na którem odbijają się wrażenia.

...Materjaliści mówią: „natura składa się z sił i materji", trzeba zaś mówić: natura składa się z sił i materji, a przedewszystkiem — z duszy, która je odczuwa i określa. To więc,

co nazywamy rzeczywistością, nie jest podwójne (siła i materja), ale potrójne (duch, siła i materja), i pierwsza jednostka z tej trójki, mianowicie duch — jest dla nas pewniejsza, aniżeli dwie inne: siła i materja".

„Dusza ludzka mimo całej prostoty jest pełna tajemnic, których bezpieczniej nie zaczepiać w tem życiu. Bóg na obecną fazę wiecznego rozwoju dał nam ciało materjalne, trzywymiarowe i pozwolił badać trójwymiarową naturę. Tego się trzymajmy i w tych granicach spełniajmy Jego wolę. — A jeżeli chodzi o hasło, to głoszą je wszystkie doskonalsze wyznania: przez ziemskie życie i prace — do Boga. W tem jest cała mądrość świata i światów, jakie kiedykolwiek istniały i istnieć będą".

FARAON

Młody i pełen najlepszych zamiarów następca tronu chce poznać państwo swoje i lud, którym kiedyś ma rządzić, więc jak nasz Król Chłopów, zstępuje na niziny — nieznany.

Zbieranie podatków.

„Od tej pory książę w czółenku, prowadzonem przez jednego wioślarza, zaczął zwiedzać chaty w bliskości swego folwarku. Ubrany w tunikę i wielką perukę, z kijem w ręku, na którym była wycięta miara, książę wyglądał jak inżynier, śledzący przybór Nilu.

Chłopi chętnie udzielali mu wszelkich objaśnień, dotyczących zmian kształtu gruntów skutkiem wylewu, a zarazem prosili, aby rząd wymyślił jakieś łatwiejsze sposoby czerpania wody (do polewania wyżej położonych gruntów), aniżeli żóraw z wiadrem.

...Woda w Nilu z czerwonej stawała się brunatną, a w sierpniu, w miesiącu Hator, dosięgnęła połowy swej wysokości. W nadbrzeżnych tamach otworzono śluzy, i woda gwałtownie zaczęła wypełniać kanały, tudzież olbrzymie jezioro sztuczne Moeris w prowincji Fayum, słynącej z pięknych róż. Egipt dolny przedstawiał jakby odnogę morską, gęsto zasianą pagórkami, na nich ogrodami i domami. Komunikacja lądowa całkiem ustała, a łódek na wodzie krążyło takie mnóstwo, białych, żółtych, czerwonych i ciemnych, że wyglądały jak liście w jesieni. Na najwyższych punktach kraju kończono zbierać pewien rodzaj bawełny i po raz drugi kosić koniczynę, a zaczynano zrywać owoce tamaryndowe i oliwki.

Pewnego dnia, płynąc wśród zalanych folwarków, książę spostrzegł ruch niezwykły. Na jednej z czasowych wysepek rozlegał się między drzewami głośny krzyk kobiet.

Zapewne ktoś umarł... pomyślał książę.

Od drugiej wyspy na czółenkach odpływały zapasy zboża i kilka sztuk bydła, a ludzie stojący pod gospodarskiemi budynkami grozili i złorzeczyli ludziom w łódkach.

Jakiś spór sąsiedzki — rzekł do siebie następca.

W kilku dalszych folwarkach było spokojnie, a mieszkańcy zamiast pracować albo śpiewać, siedzieli na ziemi, milcząc.

Musieli już skończyć robotę i odpoczywają.

Za to od innej wysepki odbiło czółno z kilkorgiem płaczących dzieci, a jakaś kobieta, wszedłszy po pas w wodę, wygrażała pięściami.

Wiozą dzieci do szkoły — myślał Ramzes.

Wypadki te jednak zaczęły go interesować.

Na sąsiedniej wyspie znowu rozlegał się krzyk. Książę przysłonił ręką oczy i zobaczył leżącego na ziemi człowieka, którego bił kijem murzyn.

— Cóż się tu dzieje? — zapytał Ramzes wioślarza.

— Czyliż nie widzicie, panie, że biją nędznego chłopa?— odparł przewoźnik, śmiejąc się. — Musiał coś zbroić, więc chodzi mu ból po kościach.

— A cóż ty jesteś?

— Ja? — odparł z pychą wioślarz. — Ja jestem wolny rybak. I bylem oddał, co należy z połowu do jego świątobliwości, mogę pływać po całym Nilu od pierwszej katarakty aż do morza. Rybak jest jak ryba albo dzika gęś, a chłop jak drzewo: karmi swoich panów owocami i nigdzie nie może uciec, tylko skrzypi, gdy na nim dozorcy psują korę.

— O ho! ho!... spojrzyjcie no tam — zawołał znowu zadowolony rybak. — Hej, ojciec! a nie wypijaj wszystkiej wody, bo będzie nieurodzaj...

Wesoły ten wykrzyknik odnosił się do grupy osób, spełniających bardzo oryginalną czynność. Kilku ludzi gołych trzymało za nogi innego człowieka i nurzali go w wodzie głową po szyję, po piersi, wreszcie po pas. Obok stał jegomość z laską, ubrany w poplamioną tunikę i perukę z baraniej skóry. Nieco dalej krzyczała w niebogłosy kobieta, którą za ręce trzymali ludzie.

Bicie kijem było tak upowszechnione w szczęśliwem państwie faraonów, jak jedzenie i spanie. Bito dzieci i dorosłych, chłopów, rzemieślników, żołnierzy, oficerów i urzędników. Kto żył, dostawał kije, z wyjątkiem kapłanów i najwyższych dostojników, bo tych już nie miał kto bić. Książę więc dość spokojnie patrzył na chłopa, bitego kijem, ale zastanowił go chłop nurzany w wodzie.

— Ho, ho! — śmiał się tymczasem wioślarz — a to go pojąl... Zgrubieje tak, że żona będzie musiała nadsztukować mu opaskę.

Książę kazał przybić do brzegu. Tymczasem chłopa wydobyto z rzeki, pozwolono mu wykaszlać wodę, znowu schwy-

cono go za nogi pomimo nieludzkich wrzasków żony, która zaczęła kąsać trzymających ją ludzi.

— Stój! — krzyknął książę do oprawców, którzy ciągnęli chłopa.

— Czyńcie waszą powinność! — zawołał przez nos jegomość w baraniej peruce. — Któż jesteś, zuchwalcze, który ośmie —

W tej chwili książę zwalił go przez łeb swoją miarą, która na szczęście była lekka. Mimo to właściciel poplamionej tuniki aż usiadł na ziemi, a obmacawszy perukę i głowę, spojrzał na napastnika zamglonemi oczyma.

— Odgaduję — rzekł naturalnym głosem — że mam honor rozmawiać ze znakomitą osobą... Oby ci, mój panie, zawsze towarzyszył dobry humor, a żółć nigdy nie rozlewała się po kościach...

— Co wy robicie z tym człowiekiem? — przerwał książę.

— Pytasz, mój panie — odparł jegomość znowu przez nos — jak cudzoziemiec, nie znający miejscowych zwyczajów ani ludzi, do których odzywa się zbyt poufale. Wiedz przeto, że jestem poborcą jego dostojności Dagona, pierwszego bankiera w Memfisie. A jeżeli jeszcze nie zbladłeś, dowiedz się, że dostojny Dagon jest dzierżawcą, pełnomocnikiem i przyjacielem następcy tronu (oby żył wiecznie!), i że ty dopuściłeś się gwałtu, o czem zaświadczą moi ludzie, na gruntach księcia Ramzesa.

— Więc to—przerwał książę. Lecz nagle zatrzymał się.— Więc jakiem prawem katujecie w podobny sposób książęcego chłopa?

— Bo nie chce łotr płacić podatków, a skarb następcy jest w potrzebie...

Pomocnicy urzędnika wobec katastrofy, jaka spotkała ich pana, wypuścili swoją ofiarę i stali bezradni, niby członki ciała, któremu ucięto głowę. Uwolniony chłop znowu zaczął pluć i wytrząsać wodę z uszu, ale zato żona jego przypadła do wybawcy.

— Ktokolwiek jesteś — jęczała, składając ręce przed księciem — czy bogiem, czy nawet posłańcem faraona, posłuchaj o naszej nędzy. Jesteśmy chłopami następcy tronu (oby żył wiecznie!) i zapłaciliśmy wszystkie podatki: w prosie, pszenicy, kwiatach i skórach bydlęcych. Tymczasem ostatniej dekady przyszedł do nas ten oto człowiek i każe sobie znowu dać siedem mierzyc pszenicy. — Jakiem prawem? — pyta mój mąż— przecie podatki już zapłacone? — A on mego męża wali na ziemię, kopie nogami i mówi: — Takiem prawem, że dostojny Dagon kazał. — Skądże wezmę? — odpowiada mój chłop — kiedy nie mamy żadnego zboża i już miesiąc karmimy się ziarnem albo korzonkami lotosu, o które także coraz trudniej, bo wielcy panowie lubią bawić się kwiatami lotosu?

Zatchnęła się i zaczęła płakać. Książę czekał cierpliwie, aż się uspokoi, ale nurzany chłop mruczał.

— Ta baba swojem gadaniem nieszczęście na nas sprowadzi... A mówiłem, że nie lubię, jak mi się baby mieszają do interesów!

Tymczasem urzędnik, podsunąwszy się do wioślarza, spytał go po cichu, wskazując na Ramzesa:

— Kto jest ten chłystek?

— Bodaj ci język usechł — odparł wioślarz. — Czy nie widzisz, że to musi być wielki pan: dobrze płaci i tęgo wali.

— Ja zaraz poznałem — szeptał urzędnik — że to musi być ktoś wielki. Młodość zeszła mi na ucztach ze znakomitymi panami.

— Aha! jeszcze ci nawet po tych ucztach zostały sosy na odzieniu — odburknął wioślarz.

Kobieta wypłakawszy się, prawiła dalej.

— Dzisiaj zaś przyszedł ten pisarz ze swoimi ludźmi i mówił do mego chłopa: — kiedy nie masz pszenicy, oddaj mi dwu synków, a dostojny Dagon nietylko daruje ci ten podatek, ale jeszcze za każdego chłopca co rok zapłaci po drachmie...

— Biada mi z tobą! — wrzasnął topiony chłop. — Zgubisz nas wszystkich gadulstwem... Nie słuchaj jej, dobry panie! — zwrócił się do Ramzesa. — Jak krowa myśli, że ogonem odstraszy muchy, tak babie zdaje się, że językiem odpędzi poborców... A nie wiedzą, że obie są głupie...

— Tyś głupi — przerwała baba — Słoneczny panie, który masz postać królewską —

— Biorę was na świadków, że ta kobieta bluźni — rzekł półgłosem urzędnik do swoich ludzi.

— Kwiecie pachnący, którego głos jest jak dźwięk fletu, wysłuchaj mnie! — błagała kobieta Ramzesa. — Więc mój mąż powiedział temu urzędnikowi: — Wolałbym stracić dwa byczki, gdybym je miał, aniżeli oddać moich chłopców, choćbyście mi za każdego płacili po cztery drachmy na rok. Bo jak dziecko wyjdzie z domu na służbę, nikt go już nie zobaczy...

— Bodajbym się udusił!... Bodaj ryby jadły ciało moje na dnie Nilu!... jęczał chłop. — Przecie ty cały folwark zmarnujesz swojemi skargami — kobieto.

Urzędnik widząc, że ma poparcie ze strony głównie zainteresowanej, wystąpił naprzód i zaczął znowu przez nos.

— Od czasu jak słońce wschodzi za pałacem królewskim, a zachodzi nad piramidami, działy się w tym kraju różne dziwowiska, o których wiem, bo jestem pełen mądrości. Ale nigdy nie widziano, żeby z wody wyszedł jakiś nieznajomy człowiek i w majątkach najdostojniejszego następcy tronu bronił zbierania podatków.

— Milcz! — krzyknął Ramzes — i wynoś się stąd. — Nikt wam nie zabierze dzieci — dodał do kobiety.

— Łatwo mi wynieść się — odparł poborca — bo mam lotne czółno i pięciu wioślarzy. Ale dajże mi, wasza dostojność, jakiś znak do pana mego Dagona...

— Zdejmij perukę i pokaż mu znak na twoim łbie — rzekł książę. — A Dagonowi powiedz, że mu takie same znaki porobię na całem ciele.

— Słyszycie bluźnierstwo?... szepnął poborca do swoich ludzi, cofając się ku brzegowi wśród niskich ukłonów.

Wsiadł w czółno, a gdy jego pomocnicy odbili i odsunęli się na kilkadziesiąt kroków, wyciągnąwszy rękę, począł wołać:

— Oby was kurcz złapał za wnętrzności, buntownicy, bluźniercy!... Stąd prosto jadę do następcy tronu i opowiem mu, co się dzieje w jego dobrach.

Potem wziął kij i zaczął okładać swoich ludzi za to, że nie ujęli się za nim.

— Tak będzie z tobą!... wołał, grożąc Ramzesowi.

Książę dopadł swego czółna i wściekły, kazał wioślarzowi gonić za zuchwałym urzędnikiem lichwiarza. Ale jegomość w baraniej peruce rzucił kij i sam wziął się do wioseł; jego zaś ludzie pomagali mu tak gorliwie, że pościg stał się niepodobnym.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dzieciństwo Prusa, — szkoła, zdolności i zamiłowania; rok 63 w życiu Prusa, — szukanie drogi życia.

Nowe hasła i nowe prądy w społeczeństwie, — szturm młodych w walce ze starym obozem, — stanowisko Prusa. „Listy ze starego obozu" jako program.

Prus jako publicysta: zadania, cele i drogi.

Dzieci w nowelach Prusa: pamięć wrażeń, wyjątkowe odczucie duszy dziecka.

Lud w utworach Prusa — Placówka.

Lalka — powieść społeczna. Obraz społeczeństwa w Lalce: arystokracja; przemysł i kupiectwo; Żydzi; młodzież w Lalce; typy kobiece; pasorzyty w Lalce; — inne typy. Niedola ludzka w Lalce.—Praca organiczna i romantyzm w Lalce, — sympatje a przekonania autora wobec tych dwóch obozów. Rzecki jako przedstawiciel romantyzmu, — charakterystyka. Charakterystyka Wokulskiego. Jakie zadania społeczne wskazuje Prus w Lalce? Humor w Lalce. Co dała Lalka społeczeństwu i literaturze? Znaczenie Lalki w rozwoju talentu Prusa.

Emancypantki. Pogląd Prusa na kwestję emancypacji kobiet. Karykatura w Emancypantkach. Świat małomiasteczkowy. Typy emancypantek. Czy Madzia jest emancypantką?

Faraon. Jaka myśl wynika z treści? Który autor (czy jeden) i w jakich utworach tę samą myśl wypowiada? Jak się przedstawia świat starożytny w Faraonie? Humanitarne uczucia Prusa w Faraonie. Stosunek Prusa do rewolucji 1905. „Dzieci".

Ból ludzki i miłość bliźniego w utworach Prusa. Prus jako liryk, epik i myśliciel.

Prus jako humorysta.

Umysłowość, wykształcenie i uczuciowość Prusa, — jego ideały życiowe.
Ideały społeczne Prusa i Orzeszkowej — zestawienie.
Ogólny rzut oka na spuściznę literacką Prusa.
Za co cenisz Prusa najwięcej i dlaczego?

Do czytania: „Bolesław Prus“, w opracowaniu Konst. Wojciechowskiego.

HENRYK SIENKIEWICZ.

wskrzesiciel ducha.

1846 — 1916.

Autor „Trylogji“, „Quo Vadis“, „Krzyżaków“, znany wszystkim narodom kulturalnym Europy i Ameryki, urodził się w Okrzejskiej Woli na Podlasiu, i wychowany na wsi tchnieniem polskiej gleby, atmosferą polskiego domu, z których powstał grunt przyszłej uczuciowości i kultury pisarza.

Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie wstąpił do Szkoły Głównej, a w r. 1870 skończył w uniwersytecie wydział filologiczny. Należy więc do grona tej młodzieży, która po strasznej klęsce roku 63 i upadku idealnych haseł romantyzmu — zwróciła się do pracy, nauki i wiedzy, szukając nowych dróg dla siebie i ojczyzny. Wiemy już, że młode siły skupił przedewszystkiem „Przegląd Tygodniowy“, tutaj więc i Sienkiewicz pomieszczał pierwsze swoje prace, wyłącznie treści literackiej. W gorącej walce „młodych“ ze „starymi“ udziału nie brał. Stanął na uboczu, widocznie niezdecydowany, jakie w tej sprawie zająć stanowisko. Wiedza, praca i postęp — to rzeczy konieczne, ale czegoś tej armji braknie, jakiejś potężnej siły, zdolnej zwyciężyć opór głupoty i lekkomyślności. Coś napomyka o tem w humoresce (niby) „Z teki Worszyłły“: gdyby Wilk Garbowiecki nie był tak zapalczywy i bezwzględny — może — kto wie — jedyne dobre słowo do pana Ludwika ocaliło przecież czytelnię.

Jest to jakgdyby nieśmiała uwaga, że „walka na ostre“, którą rozpoczęli młodzi w dobrym celu, nie rozbraja jednak i nie przekonywa, — może zanadto drażni.

Humoreska smutnie się kończy, jak wogóle te pierwsze utwory Sienkiewicza. Niema w tem nic dziwnego: atmosfera wielkiego przygnębienia ciążyła wówczas nad wszystkimi, twarda rzeczywistość oddziaływała zabójczo, zwłaszcza na uczuciowe natury. Pierwsza powieść „Na marne“, na tle studenckich stosunków w Kijowie, już tytułem przemawia. Ileż sił i energji — zmarnowanych, pochłonęła je miłość, która — uleciała

Podpisywał się wówczas Litwos, — pomieszczał także drobne artykuły w „Niwie“, w „Gazecie Polskiej“, okraszone zawsze humorem i czytywane chętnie. Ostatecznie podbiły serca dwa obrazki: „Stary sługa“ i „Hania“. Młody talent zyskał sympatję, uznanie—oczekiwano po nim rzeczy większych.

Sienkiewicz jednak odczuwał widocznie potrzebę szerszego tchnienia, dalekiego wzlotu, nauki życia—nie z martwych kart książki, lecz widoku innych narodów i światów. Ciasno tu, duszno było, czuł kajdany jak inni, ale ciążyły mu bardziej. I wyjechał do Ameryki.

Dwuletni pobyt na drugiej półkuli przyniósł mu wielką korzyść. Nietylko zbogacił umysł nowemi wrażeniami i spostrzeżeniami, lecz pozwolił na podstawie porównania lepiej zdać sobie sprawę ze stosunków w kraju, uporządkować własne myśli i poglądy, wiele rzeczy ocenić trafnie.

W kraju o nim nie zapomniano, a nawet sława rosła, gdyż nadsyłał przepiękne i ciekawe „Listy z podróży“, pisane prześlicznym językiem, zwracające uwagę na odrębne, zajmujące strony życia amerykańskiego. Ukazują się także coraz to nowe obrazki, nowele.

„Szkice węglem“ zwracają powszechną uwagę. Więc tak wygląda teraz gmina wiejska? — lada łotr, głupiec-pisarz takie jej wyrządza krzywdy? A dwór? Czy wolno mu nie wiedzieć o tem? Nie chcieć wiedzieć? — Tragiczne i wstrząsające zakończenie musiało przecież poruszyć sumienia, jeśli niewszystkie, to lepszych, myślących jednostek.—Tu nie było żadnej nauki, żadnego słowa napomnienia—tylko obraz,—szereg obrazów, ale jakich! Można śmiać się na sądzie gminnym, lecz znika uśmiech wobec sądu męża i trupa nieszczęsnej kobiety.

Więc autor podkreśla niedolę i krzywdę, ujmuje się za ludem, rzuca niemy wyrzut dworowi i ludziom oświeconym.

A w innych?

„Janko muzykant“ to znowu obrazek niedoli i znowu smutny koniec. Marnieje chłopskie dziecko, może wielki muzyk, a państwo ze dworu nie widzą, co się koło nich dzieje, — marzą o zagranicy i obcych talentach. — Smutny obrazek „Jamioł“, co miał czuwać nad sierotą: karczma, ciemnota, wódka.—Smutna emigracja Wawrzona z Marysią: „Za chlebem“. Tu znowu brak opieki, zdrowej rady, zaufania do swoich. Przestroga dla łatwowiernych emigrantów. I jeszcze nowa struna: — tęsknota do kraju, do swoich pól, chat, ziemi. Koniec tragiczny jak w każdym obrazku. Czy młody autor tylko ból widzi na świecie?

Widzi ból przedewszystkiem. Od powrotu do kraju dostrzega go tembardziej i mocniej odczuwa w porównaniu

z energją i swobodą mieszkańców puszcz i stepów Ameryki. I tam Polak-wygnaniec, wieczny tułacz, cierpi nieukojoną za krajem tęsknotę - „Latarnik“, lecz to uczucie wielkie—uszlachetnia, nawet w nieszczęściu krzepi i podnosi ducha. A tu—„Bartek Zwycięzca“ w służbie wroga walczy przeciw sobie i nie wie, co czyni — i zginąć musi w nędzy. Tutaj dziecko zabija praca szkolna w obcym języku: „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, nie ocali go nawet miłość matki. Jakże nie boleć nad tem? Gdzie jasny promień nadziei, pociechy?

Nawet amerykańskie obrazki są smutne: „Orso“ ocala dziecko z pod władzy tyrana, lecz „Przez stepy“ kończy się bólem i śmiercią, a „Sachem“ — to upodlenie niewoli.

Zdawałoby się, że nieuleczalny jakiś smutek osiadł w sercu Sienkiewicza i zasłonił mu słońce. Czy na zawsze?

Może i sam to spostrzegł — i ocenił. Od powrotu do kraju jaśniej widział i rozumiał panujące tu przygnębienie. Jest rzeczywiście ciężko, bardzo ciężko, a w duszach ludzkich siły odporu zabrakło. Dawne złudzenia prysły — potępione, a żadna wielka i krzepiąca prawda nie zajaśniała dotąd.

Historycy robią rachunek sumienia przeszłości, każą sądzić nam własne winy i uznać słuszność kary. Tem jesteśmy, na cośmy zasłużyli.

Czyż naprawdę? Jakto—więc nie mamy żadnej zasługi ani racji istnienia? Ciężkie winy,—zapewne,—lecz czy tylko nasze? Czy nikt inny nie grzeszył tak samo? Czyśmy istotnie najgorsi? najlichsi? Czyż w tej dobie upadku — w najciemniejszych chwilach—żadne w duszy narodu nie jaśniały gwiazdy?

Instynkt samoobrony i dziedzicznie polski duch Sienkiewicza poddać się takim wyrokom nie może. Budzą się w nim nieznane siły,—chęć, konieczność rozdarcia tej czarnej zasłony.

A wtem ukazują się „Szkice“ Kubali, oblężenie Zbaraża. Sienkiewicz pisze o nich sprawozdanie, jest porwany tematem—znalazł jasną furtkę.

Rozpoczyna poważną pracę: studja historyczne; aby sądzić, znać trzeba. Przeczuwa, że poznanie będzie objawieniem. Budzi się w nim zapał rycerski stoczenia walki o duszę narodu. Trzeba jej wrócić wiarę w siły własne i własną wartość, w prawo do życia, którego jedynie sami zrzec się możemy. Niech zobaczy w innem świetle tę swoją przeszłość potępioną, niech zobaczy jej stronę bohaterską i niech uczuje się godnym swych ojców.

Tak w nim przemawia instynkt narodowy, pierwszy przewodnik jego działalności, który wkrótce stanie sie my-

ślą dojrzałą, ogarniającą wieki, pokolenia, przeszłość, — i wskazującą drogę do przyszłości.

Wybiera z dziejów chwilę potępioną, bolesną. Wszystkie jej czarne plamy podkreślono, wszystkie winy: klęska, upadek, hańba. — A jednak wypłynęliśmy z tej toni. Czyż bez żadnej naszej zasługi? — Więc cóż nas podźwignęło?

Ukazuje się „Ogniem i mieczem".

Ukazało się i dowiodło, że nikt nie wiedział dotąd, kto jest Sienkiewicz, i czem być może powieść historyczna.

Tyle ich przecież napisał Kraszewski, sumiennie i z talentem, trzeba uznać i prace Jeża, — cóż jeszcze dodać można?

Nastąpiło jednak olśnienie. Tak jak Sienkiewicz — nikt dotąd nie pisał. To nie powieść, to nie obrazy — to ludzie. Życie i przeszłość stanęła przed nami. Zmartwychwstała. Widzimy ją, czujemy, rozumiemy. To my. To nasze duchy, nasze czyny, klęski i bohaterstwa, chwała, nasze uderzenia serca.

Takich wrażeń i uczuć dawno nie przeżywał naród. To było przebudzenie. Zniknęła prawie rzeczywistość, zaczęliśmy żyć tamtem życiem, kochać i nienawidzieć miłością tamtych ludzi, cieszyć się ich radością, płakać z nimi.

Ogarnęło wszystkich zdumienie i podziw, a potem szczęście wielkie i ogromna wdzięczność. Powieść stała się faktem historycznym, epoką w życiu narodu. Poczuliśmy swą godność mimo win niezaprzeczonych, uczuliśmy swą wartość, — miłość i bohaterstwo zajaśniały znowu jako przewodnie drogi do lepszej przyszłości, wiara wstąpiła w serca.

To samo się odnosi do „Potopu", z tem ogromnem uzupełnieniem, że tu mamy win odkupienie w Kmicicu. On mówi: nie wątp nigdy, zawsze jest droga powrotu, jeżeli kochasz prawdę.

Wystarczyły te dwie powieści, by uczynić Sienkiewicza wskrzesicielem swego narodu. Nie nauką ani morałem, bo nic i nigdy od siebie nie mówi, tylko tą pełną czaru panoramą, która zmuszała oczy do patrzenia i poiła dusze wiarą, siłą, dumą.

— Patrz w przeszłość i zrozumiej, że przyszłość twoja w tobie — zdawały się przemawiać te żywe obrazy, i tak też ludzie czuli.

Sienkiewicz w Polsce wyrósł ponad wszystkich.

Rzecz naturalna, że się znaleźli niechętni. Przemówiła zawiść autorska. Niewszystkim podobało się wskrzeszenie ducha, który powinien skonać. Inni nie zrozumieli, o co chodzi, i stawiali zarzuty małe, usiłując obniżyć wartość czarodziejskiego słowa. Więc zarzucano stronność, apoteozę szlachty, zaniedbanie albo potępienie ludu, nieścisłość historyczną: sfałszowanie postaci Jeremiego. — Jakież słabe

a często i niedorzeczne zarzuty. Jakąż rolę odgrywał lud w XVII w.? Polska wówczas była szlachecką i dzieje szlacheckie, a inną być nie mogła. W Potopie mamy nawet lud góralski, który staje w obronie króla i ocala mu życie. Czerń ukraińska w ręku Chmielnickiego to ślepe i ciemne narzędzie jego woli, — a Kozacy? — Wyraźnie o nich mówi stosunek do Tatarów. Bezstronność względem Chmielnickiego stwierdza przyznanie mu talentów wodza i organizatora. Postać Bohuna daje wyraz sympatji — względem jednostek wrogiego obozu, wyróżniających się z tłumu cechami pewnej szlachetności. I przeciwnie — Rzędzian, Zagłoba, Roch Kowalski i inni bynajmniej na ideały nie pozują, choć każda z tych postaci aż porywa prawdą i życiem. Książę Jeremi w czynach jest zgodny z historją w okresie powieści, wolno zaś pisarzowi widzieć w nim takie lub inne uczucia. Krytyka Kaczkowskiego jest zawistna i wyraża jedynie inne zapatrywanie. To nie rozstrzyga kwestji, bo nie o tajniki książęcego serca chodzi tu Sienkiewiczowi. Powieściopisarz nie jest historykiem: prawdy mu fałszować niewolno, ale wolno mieć własne myśli i poglądy na tle historycznej prawdy. Krytykę trzeba także przyjmować krytycznie: w szwedzkiej historji wyprawy Karola Gustawa niema wzmianki o Częstochowie, stąd wniosek — że oblężenia klasztoru nie było? To poprostu legenda!

W świetle rezultatu, jaki wydała trylogja, upadają wszelkie zarzuty. Wielkie dzieło i wielki twórca. Duch królewski, który znów wiedzie swój naród z otchłani do zwycięstwa.

„Pan Wołodyjowski“ jest już znacznie słabszy. Wyczerpał się temat, może i autor zmęczył. I tu jednak mamy sceny i obrazy wzruszające i bardzo piękne.

Napisanie jednak trzech takich powieści — kilkanaście tomów — to praca olbrzymia, i podziwiać musimy siłę natchnienia autora, która mu pozwoliła doprowadzić dzieło do końca.

Na odpoczynek zwraca się poprostu do innego tematu i z nadzwyczajnym humorem daje szereg zabawnych scen z życia malarzy: „Ta trzecia“.

Spojrzał znów na współczesność, na ludzi go otaczających, i pomyślał, że między nimi jest wielu słabych, niezdolnych do czynu — nie mówiąc już o bohaterstwie. To nie tamci.

A dlaczego są słabi? Nie brak im zdolności, nie brak rozumnej myśli, tylko woli. Skąd to wynika?

I pisze większą powieść „Bez dogmatu“. Rozbiór duszy człowieka, nawet niepospolitego pod względem inteligencji. Wychowanie jednak nie dało mu wiary, ani w Boga, ani w żadną inną prawdę, nie dało mu mocnej, głębokiej miłości. Nic nie kocha i w nic nie wierzy: nie

ma żadnego dogmatu. Dlatego nie ma woli. Niema sprężyny, którąby ją dała. Los zresztą otoczył go dostatkiem, nic nie zmusza do walki i wysiłków. I życie płynie jak ta łódź bez steru — gdzie ją poniesie fala. Sięgnąć nie chce nawet po szczęście, nie ma woli. Potem zostaje pustka — samobójstwo.

Na szczęście takich ludzi niema u nas wielu, ale jest wielka prawda w tej powieści, że treścią życia musi być miłość i wiara. Inaczej niema życia. Jednostka ze świadomością tej pustki — ucieknie. Poniżej świadomości—to nie ludzkie życie.

Wyczerpany autor opuszcza znowu Europę, odpoczynku i świeżych wrażeń szuka tym razem w Afryce.

Po Trylogji „Listy z Afryki" mniej interesowały czytelnika, choć odsłaniały znowu inne światy i malowały życie tak odrębne.

Lecz to był wypoczynek. Wielki autor powraca i daje nam powieść współczesną: „Rodzina Połanieckich." I rzecz dziwna: okazuje się, że Sienkiewicz lepiej umie malować przeszłość niż obecność, że lepiej ją odczuwa i rozumie. Rodzina Połanieckich ma karty przepiękne, lecz całość czytelnika nie porywa. Gdyby jej nie napisał, nie ubyłoby mu ani jednego listka z laurowego wieńca. A przecież jest w niej i prawda życiowa, i niezrównany humor i ogromna rzewność, sprawiedliwa satyra i myśl przewodnia jako uznanie energji, konieczności pracy i życia czynnego,— czyż można się na to nie zgodzić? Ale czegoś w tem wszystkiem niema, czegoś nam brakuje i daremnie poszukujemy. Brak wyraźnego i wyższego ideału. Bohater — to prawdziwy człowiek i dodatni, ale nawet w pragnieniach nie ma nic bohaterskiego. Jakby autor zapomniał, że poza codzienną pracą dla rodziny, chleba i ambicji — są jeszcze inne i piękniejsze światy, którym coś się od nas należy. O tych obowiązkach jakieś blade wzmianki za mało mówią, nie widzimy głębszego ich odczucia, i dlatego pomimo ciekawych typów i pięknych obrazów — całość zadowolenia nie daje.

Może autor już wtedy zajęty był innym tematem, więcej go pociągającym, który wymagał studjów i ogromnej pracy, gdyż wkrótce ukazuje się rzecz nowa, z innego świata i innej epoki — „Quo vadis?" (r. 1894).

Sienkiewicza pociągał zawsze Rzym starożytny, studjował go dorywczo i znał nieźle — pozostawało pracę uzupełnić.

Lecz w jakim celu zwrócił się w tę stronę?

Odczuł znowu potrzebę chwili. Wszakże to ów bezsilny schyłek wieku. Zdawało się, że ludzkość wyczerpana walkami, przewrotami, przytłoczona zimną trzeźwością mózgu,

który uznawał tylko świat widzialny i potęgę materji — pochyliła zgarbione plecy pod ciężarem — i nie widziała drogi ani celu, czuła jedynie bezmierne znużenie. Nieśmiało, nieświadomie taiło się pod niem pragnienie jakiejś wiary w coś wyższego, trwalszego, piękniejszego — niż marne wysiłki, które pozostawiały jedynie głód ducha.

Ducha? Jakiego ducha? Kto go widział? Wstyd w wieku trzeźwej wiedzy bajać o marzeniach. I wstydzili się ludzie, i pochylali czoła, i było im ciężko i duszno.

Wtem zjawia się — broń Boże, nie nowa nauka, powieść tylko, wytwór fantazji, w powieści przecież wszystko mówić można — lecz ta powieść dziwne wywiera wrażenie: ukazuje dwa światy. Nie uczy — ukazuje tylko dwa obrazy, dwa obrazy prawdziwe, którym ani historja ani inna wiedza nic zarzucić nie może. Odsłonięta kurtyna i widzimy.

Widzimy z jednej strony świat potęgi i kultury materjalnej, świat życia i użycia, świat władzy, swawoli, rozpusty i zbytku, bo jakiż może mieć hamulec Nero, kiedy chce Rzym podpalić, ludzkość zdeptać, wyszydzić prawo, — a w ręku ma (do czasu) rzeki złota, a przed sobą schylone karki wykonawców, ślepych narzędzi „boskiej“ jego woli?

A z drugiej strony — cichy świat podziemny, bez żadnej władzy, nawet bez praw żadnych, bez broni, — ale potężny wielką siłą ducha, siłą niezłomnej wiary i miłości. Swiat ten oddaje swoje ludzkie ciała na pożarcie, spalenie, męki — i zwycięża. Zwycięża duchem, którego się ludzkość zaparła.

Tym razem wielki artyzm Sienkiewicza wstrząsnął nietylko sercami rodaków i pokrzepił je wiarą, ale przemówił do całego świata i zdjął z niego straszliwe jarzmo. Żadna powieść w literaturze świata całego nie miała takiego powodzenia, tylu wydań [1]). Tłumaczona na kilkadziesiąt języków, rozchodziła się miljonami we wszystkich krajach kulturalnych, niosąc wszędzie radosną prawdę, wielkie słowo wyzwalające, karmiące i krzepiące ludzkość całą.

Sienkiewicz przestał być polskim wielkim powieściopisarzem, wskrzesicielem przeszłości narodowej, — stał się autorem świata cywilizowanego, wszystkich narodów na obu półkulach. Dało mu to odczucie duszy ludzkiej i jej potrzeb, dar wskazywania jej drogi, na której bije wieczne źródło życia.

Zapewne nie on jeden rozumiał te prawdy, nie on jeden je widział, — nie wątpimy o tem, — lecz nikt nie umiał tak jak on przemówić, bez dowodzeń, przekonywania — olbrzymią siłą wielkiego obrazu, który budził i uświadamiał, niezrównanym artyzmem pióra.

---

[1]) Brükner. Dzieje literatury polskiej w zarysie.

Po tym triumfie — jakby po wyprawie do Afryki czy Ameryki, — wraca jednak znowu do swoich. Jeszcze tu niejedno ma do powiedzenia, jeszcze pragnie odsłonić nowy obraz. Trylogja to granica wschodnia i najazd przypadkowy nawpół dzikiego wroga, a czyż mu wolno nie zwrócić uwagi na groźniejsze niebezpieczeństwo? Od wieków toczy się zacięta walka z wrogiem chytrym, silnym, wytrwałym, nie ustała i dzisiaj, może jest niebezpieczniejsza, choć z mniejszym krwi rozlewem — więc czuwajmy! I niech przeszłość będzie nam znów pokrzepieniem, bo zwycięży zawsze duch i sprawiedliwość.

Tak powstali „Krzyżacy".

Znowu wskrzesza autor odległą epokę, tem trudniejszą do odtworzenia, że mniej ma tutaj dokumentów. Nie wątpi jednak i odnosi triumf. Daje nam obraz całego narodu, w objawach życia przenajrozmaitszych. Ogromny szereg typów szlachty i rycerzy, dworzan, dworów i kobiet, duchowieństwa, w perspektywie królewska para. Obok walki widzimy tu życie spokojne, obyczaje i charaktery, całą duszę tych dawnych ludzi, jaką musiała być wówczas. I ten olbrzymi obraz więcej mówi nam niż historja, silniej przemawia do nas, lepiej pozwala poznać własną przeszłość.

Treści ani obrazów szczegółowo nie podajemy, każdy te dzieła musi znać w całości. Piękny rozbiór wszystkich ważniejszych powieści Sienkiewicza znaleźć można w niezmiernie cennej popularnej pracy profesora Konst. Wojciechowskiego, Henryk Sienkiewicz. Tu staramy się tylko wskazać drogę, którą dążył do celu największy z naszych powieściopisarzy, i zatrzymać uwagę na najważniejszych chwilach obywatelskiej jego działalności. Bo Krzyżacy są znowu czynem obywatelskim, nowem pokrzepieniem ducha, mądrą przestrogą, nowem wyznaniem wiary niewzruszonej w zwycięstwo prawdy, jednym z drogich kamieni w naszym narodowym skarbcu.

I Kraszewski uważał za konieczne dać narodowi Krzyżaków i Grunwald, lecz jakże blado wygląda dziś sumienna jego praca wobec natchnionego słowa, jakiem maluje Sienkiewicz tę ostateczną rozprawę. A w tej dziejowej chwili nie pomija chłopów, oni także brali w niej udział. W całej powieści mało dla nich pola, bo niewiele go zajmowali w politycznem życiu narodu, ale pamięta o nich.

W tymże 1900 roku obchodzono uroczyście jubileusz 30 letniej pracy literackiej wielkiego powieściopisarza, ofiarując mu dar narodowy, Oblęgorek. Wdzięczni za skarby, jakie otrzymali, rodacy pewni byli, że to nie koniec twórczości, że niejeden cud jeszcze może przed nami stanąć.

Oczekiwania te jednak zawiodły. Sienkiewicz wyraźnie zdawał sobie sprawę, że koroną jego twórczości powinien

być Sobieski i chwała narodu pod Wiedniem, nieśmiertelna zasługa wobec Europy. Przystępuje też do tej pracy, ale po kilku latach wydaje zaledwie początek „Na polu chwały". Czuje, że jej nie skończy: zbrakło siły twórczej. — Jeszcze raz po kilku latach powraca znowu do przeszłości w „Legjonach". Tym razem przerywa pracę wielka wojna. Niewiadomo, jakby wypadła.

Ze spółczesnych powieści większych napisał jeszcze „Wiry" na tle wypadków 1905, lecz świadczą one, że współczesna powieść nie była jego światem.

Piękniejsze są nowele, z których wspomnimy „Dwie łąki", malujące krainę śmierci — jako cichy, wieczysty odpoczynek. Zdawałoby się, że taki obraz mówi o wielkiem znużeniu antora.

Zostawił także piękną książkę dla młodzieży: „W pustyni i w puszczy", na tle wrażeń afrykańskich i osobistych przeżyć. Mamy tu znowu rycerski typ chłopca i dziewczynkę, ogromnie wdzięczną, chociaż wysnutą raczej z wyobraźni, bo tylko Prus odczuwa z całą prawdą duszę dziecięcą.

Wszystkich dzieł Sienkiewicza wyliczać nie mamy zamiaru, chodzi o te, które każdy znać i rozumieć powinien, więc prócz kilku chociaż noweli — „Trylogję", „Quo vadis?" i „Krzyżaków". — Z tych rzeczy nie dajemy też wypisów.

O życiu Sienkiewicza niema jeszcze dotąd obszerniejszego studjum. Umarł podczas wielkiej wojny w Szwajcarji w Vevey i tymczasowo tam jest pochowany.

Jego artyzm i jasność ducha, miłość najszlachetniejszych ideałów, oraz potęga słowa—zapewniły mu znaczenie wszechświatowe. Imię jego, cenione na obu półkulach, i wysokie duchowe stanowisko pośród własnego narodu, upoważniały wielkiego pisarza do zabierania głosu w naszych sprawach wobec ludów i wobec głów koronowanych. To też niejednokrotnie z cechującą go zawsze dostojnością przemawiał w obronie praw naszych jako przedstawiciel narodu. Gdy autorka niemiecka, baronowa Suttner, podniosła piękne hasło „precz z orężem!"—Sienkiewicz niemniej pięknie odpowiedział jej listem otwartym, że Polak dopiero wtedy zgodzić się z nią może, kiedy zaborcze państwa zrzekną się korzystania z przemocy i krzywdy, zwrócą zabrane ziemie i zechcą szczerze żyć w braterskiej zgodzie. W listach do Wilhelma II i do rosyjskiego ministra, ujmował się za krzywdą dzieci polskich, za odwiecznemi prawami narodu do ojczystej ziemi i mowy, do nigdy nieprzedawnionych praw wolności. Wielkiemu pisarzowi Björnsonowi tłumaczył sprawę „ucisku" Rusinów, z której wrogowie nasi tylokrotnie usiłowali ukuć oręż przeciw Polsce.

Czyż trzeba przypominać, ile mu zawdzięczamy podczas ostatniej wojny? Zaskoczony przez jej wybuch zagranicą, zawiązuje komitet ratunkowy, aby wyżywić ogłodzone dzieci zrabowanej i zrujnowanej ojczyzny. Głos jego rozlega się na drugiej półkuli—nie jak pokorna prośba, lecz jak przypomnienie najważniejszych praw i obowiązków narodów cywilizowanych. I wiemy, jak zaważył ten głos na sumieniu ludów. Pomoc Ameryki była jego echem, pięknem i błogosławionem, lecz zbudzonem przez wielkie serce, ogarniające ludzkość, lecz bijące tętnem i rytmem uczuć własnego narodu.

Taki jest krótki obraz życia i pracy wielkiego pisarza. Życie to otwarta księga. Czytamy w niej od początku współczucie dla niedoli, miłość sprawiedliwości i światła, młodzieńcze pragnienie lotu w świat szeroki, ogarnięcia ludzkości „okiem słońca“, tęsknotę do gniazda, miłość ojczystej ziemi coraz głębszą, myśl czystą, szlachetną, dostojną. Na wyżyny ducha wstępuje spokojnie, jak do królestwa swego, dojrzały, jasny i nieskazitelny.

W pisarzu podziwiamy dar i pracę. Zaprawdę — on talentu nie zakopał w ziemię, — był gorliwym i czynnym sługą,—zasłużył na wezwanie: „wnijdź do Królestwa mego“.

Czegóż dokazał i co nam zostawił?

Przedewszystkiem stał się wskrzesicielem ducha zgnębionego narodu, który omdlewał z braku sił i wiary, z bólu nad nicością własną. On mu powiedział: — Wstań, boś godny życia. Spojrzyj na krwawe trudy ojców swoich, na ich ból i bohaterstwo, ich męki i zasługi, i bądź dumny, żeś jest ich synem. Grzech i wina jest wszędzie, a niewszędzie jest odkupienie.

A płomień jego słowa był tak jasny, a obrazy tak świetne i wspaniałe, głos tak porywający i potężny, że nietylko wstrząsnął miljony serc bratnich, ale w obliczu świata zabrzmiał jak dziw nieznany, który przeniknął obcych zdumieniem, zachwytem i wzruszeniem głębokiem.

Polska nieistniejąca, Polska zapomniana, stanęła nagle w chwale między narodami, chociaż w kajdanach jeszcze, równa w prawach, a wyższa duchem ponad wielu. Ukazał obok niedoli jej chwałę, obok bólu wspaniałe bohaterstwo, wieczyste siły, w duszę narodu zaklęte — i jego nieśmiertelność.

To uczynił Sienkiewicz. — Jakiemi środkami?

Czystością i dostojnością swego ducha, który był cząstką całego narodu i dlatego za cały naród mógł przemawiać,—wielką pracą i wielkim darem, jaki otrzymał od Boga, a który umiał „wyarcydziełować“.

Sienkiewicz był urodzonym artystą i oceniał całą wartość tej potęgi. Kraszewski z najszlachetniejszych pobudek

dla celów użyteczności zrzekł się pracy artystycznej w dziełach swoich. I musimy poczytać mu to za zasługę. Sienkiewicz jednak inną wybrał drogę: on podniósł artyzm do tej wysokości, że zajaśniał jak słońce i przeniknął wszystko: dzieła, ludzi i mroki. Dziełom dał niespożytą wartość sztuki, ludzi olśnił blaskiem nieznanym, mroki napoił światłem i urokiem piękna. Wszak jego książki „zbłądziły pod strzechy". Podziwia je artysta, a kocha prostaczek: dają mu szczęście piękna.

A język Sienkiewicza?—To muzyka. Pieści ucho dźwięcznością, wstrząsa siłą wyrażenia, maluje, rzeźbi, budzi podziw rozmaitością i bogactwem. Porównajmy rycerskie rozmowy z „Ogniem i mieczem" lub „Potopu"—z rzymskiemi Petronjusza lub Nerona, z cudną liryką „S i e l a n k i". A w każdej z tych powieści jeszcze tysiąc odmian, zależnych od tematu i osoby. Mistrz słowa.

Artysta, pan serc, wódz duchowy swojego narodu. Największy i najbardziej zasłużony z autorów polskich drugiej połowy XIX w. Jego dzieła mówić nam będą zawsze wielkie słowa: — Miłość, wiara i praca — to nieśmiertelne dźwignie: pracujcie nad sobą w duchu — dla przyszłości.

To samo przecież powiedział Mickiewicz: „O ile polepszycie dusze wasze"...

PÓJDŹMY ZA NIM.

Obrazek z pierwszego wieku naszej ery. Rzymiankę wysokiego rodu prześladuje widmo i życie z niej wypija. Ratunku nie daje wiedza ani złoto. Nadchodzi chwila ukrzyżowania Chrystusa. Zainteresowana słowami Piłata, Antea chce zobaczyć Skazanego. — I oto wielka scena — oddana z nieporównanym majestatem prostoty i uczucia.

„Tymczasem zdala rozległa się wrzawa, świst, wycie, poczem wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzęst zbroi i ciężki krok legjonistów. Tłumy zakołysały się, rozstąpiły, i oddział prowadzący skazanych zaczął przesuwać się koło lektyki. Z przodu, po bokach, z tyłu szli równym, powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema niema Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak, którego widocznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blisko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną wkształt jagód dzikiej róży lub koralowych paciorków. Blady

był, posuwał się zwolna, chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł wśród urągowiska ciżby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający, i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie błoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki, i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

— Prawdą jesteś — wyszeptała drżącemi ustami Antea.

Orszak przesuwał się teraz tuż koło lektyki. Była nawet chwila, że się zatrzymał, podczas gdy idący na przodzie żołnierze oczyszczali z ciżby drogę. Antea widziała teraz Nazarejczyka o kilka kroków, widziała, jak powiew poruszał zwoje Jego włosów, widziała czerwonawy odblask, padający od płaszcza na Jego wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnem półkolem żołnierzy, tak że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętemi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś, spojrzawszy naokół, jakby się chciał spytać: — Com wam uczynił? — podniósł następnie oczy ku niebu i modlił się — przebaczał.

— Anteo! Anteo! — zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć tego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki, i powstawszy nagle, drżąca, nawpół przytomna z żalu, litości i oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytać hiacynty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć Skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną chorą twarz, i usta Jego zaczęły się poruszać, jakby ją błogosławił. Antea opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa na nią morze światła, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia, i wyszeptała znowu:

— Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu.

Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którem stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił Go znowu, lecz że miejsce owo było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Legjoniści zwrócili się raz jeszcze do tłuszczy i odegnali ją kijami dość daleko, by nie przeszkadzała egzekucji. Poczęto teraz przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem u wierzchołka,

którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze, zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: — Król! król! nie daj się, królu! gdzie Twoje zastępy? broń się! — Chwilami wybuchał śmiech, tak że nagle cała kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chychotem. Jego tymczasem rozciągnięto nawznak na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, potem zaś podciągnąć Go wraz z nią na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lektyki i przybrany w białą simarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć pełnym rozpaczy głosem:

— Byłem trędowaty — uzdrowił mnie—przecz go krzyżują!

Antei twarz zbielała jak chusta...

...Ale w tej chwili żołnierze, przyłożywszy ćwieki do rąk Jego, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szczęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślej brzmiący rozgłos, gdy ostrza gwoździ, przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo. Tłumy uciszyły się znów, prawdopodobnie dlatego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarejczyka. Ale On pozostał cichy, i na wyżynie rozlegały się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznicę wraz z ciałem podciągnięto ku górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jednostajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygważdżać nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przesłoniły słońce. Odległe wzgórza i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchł. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę jak słońce zasuwało się głębiej za zwały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwonawą ciemność. Gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. Powietrze stało się parne.

Nagle i owe resztki rudawych blasków sczerniały. Posępne jak noc chmury poczęły się przewracać i posuwać nakształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napełnił się niepokojem.

Wracajmy — rzekł znów Cinna.

— Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć!—odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciało, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przysunęli się tak blisko, że zaledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnem drzewie widać było ciało Ukrzyżowanego, które w tem powszechnem zaćmieniu wydawało się, jakby ze srebrnych promieni księżyca utkane. Pierś Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, wkońcu huknął jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia sina błyskawica rozdarła chmury, rozświeciła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą jak stado owiec tłuszczę, niespokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet, które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tem łkaniu wśród ciszy. Ci, którzy pogubili się w tłumie, poczęli się teraz nawoływać. Tu i owdzie ozwały się przerażone głosy:

— Ojah! oj lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano?

— Który dawał świadectwo prawdzie! Ojah!

— Który wskrzeszał zmarłe! Ojah!

A inny głos zawołał.

— Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

— Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postaci. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświstach wichru, który zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy, i począł rzucać niemi po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

— Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca — i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tem mętnem wrażeniem tylko, że stało się coś straszliwego.

Ale mrok począł nagle rudnąć. Wicher przewracał chmury, skręcał je i szarpał, jak zetlałe szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, nakoniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lunął nagle potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zaleknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nisko na piersi, blada, jakby woskowa; powieki miał zamknięte i zsiniałe usta.

— Umarł — szepnęła Antea.

— Umarł — powtórzył Cinna.

W tej chwili centurjon sięgnął włócznią do boku zmarłego. Dziwna rzecz: powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspakajać tłumy. Przysuwały się coraz bliżej, zwłaszcza że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, poczem ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

— Zali zmartwychwstanie?...

Wobec śmierci, kładącej błękitne piętna na Jego oczy i usta, wobec tych wyciągniętych nad miarę ramion, wobec tego nieruchomego ciała, które już osunęło się ku dołowi ciężarem rzeczy martwych — głos jej drgał rozpaczliwem zwątpieniem.

A tymczasem coraz liczniejsze głosy wołały naokół:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze we mgle, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. „Turris Antonja“ błyszczała w słońcu, jaśniejąc sama nakształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek.

Cinna dał rozkaz odwrotu.

Z „SIELANKI".

I.

„Godzina była popołudniowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niebie stało wielkie złote słońce, przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie źdźbła owsa drżały niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przędziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawie dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtemi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak między sosnami gorąco już było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy i zboża i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków, i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodyczy, niby rozmarzenie się natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód".

II.

„Przezrocza struga wodna wiła się między drzewami. Nenufary, kołysane lekkim ruchem wody, chwiały łagodnie białem kwieciem; pochylając się ku sobie, zdawały się całować; nad szerokiemi ich liśćmi, leżącemi niby tarcze na powierzchni wody, wiły się w powietrzu ciemno-szafirowe koniki, o skrzydłach szerokich i szeleszczących, a tak delikatne i wątłe, że słusznie je wodnemi panienkami nazywają; czarne motyle z białą żałobną obwódką siadały na ostrzach tataraku. Na rudawem tle torfu kwitły błękitne niezapominajki; tu i owdzie szumiała kępka wysmukłej trzciny, na której powiew wiatru wygrywa zwykle piosenki. Po brzegach rosły posępne krzaki kaliny, a pod krzakami pstrzyły się główki konwalji, przylaszczek i dzwonków wodnych; biedrzenica zwieszała blade główki ponad przezroczystą wodą; srebrne niteczki ostrożków, wyciągnięte z biegiem strumienia, plątały się niby w cienkie a długie warkocze; zresztą — samotność, — ot, ustroń dzika, zapomniana przez ludzi, spokojna, a zaludniona tylko przez światy ptaków, kwiatów i owadów".

III.

„Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkiemi złotemi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igiełki, inne — gąsiennice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała, czarna pszczółka leśna i śpiewając radośnie zwykłe: dana, oj dana! dopełniała ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żałosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzioby kos, lub załopotały skrzydłami wrony, które obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry, król dąb pomruknął zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne chóry: to bór, nim zaśnie, przed nocą modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą, i rzekłbyś: ludzką

rozmawiają mową. Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na lądach i na powietrzu.

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszemi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają jak harfy, o dobry Ojcze nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osiczyna drży lękliwie, bo dała drzewo na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama.

Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołacze, owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok pada: w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i zdaleka, zdaleka dochodzi szczekanie psów".

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dom i szkoła, — rok 63, — nowe prądy. Stanowisko Sienkiewicza wobec nowych prądów, — co mówi niby humoreska „Z teki Worszyłły?"

Niedola ludzka i smutek w pierwszych utworach Sienkiewicza. Wpływ pobytu w Ameryce na twórczość Sienk. — nowe struny.

Szkice węglem jako tragizm nowych stosunków społecznych, — co i komu zarzuca?

Stosunek Sienk. do sądu historyków o przeszłości. Szkice Kubali, ich wpływ na kierunek twórczości Sienk.

Ogniem i mieczem. Epoka, treść. Bohaterstwo i barbarzyństwo w pow. Ogniem i mieczem: postaci i obrazy. Skrzetuski jako przedstawiciel rycerstwa polskiego. Bohun na tle kozaczyzny. Istotna treść rozmowy Skrzetuskiego z Chmielnickim w obozie kozackim: oskarżenie i obrona. Charakterystyka Chmiel. podług Ogniem i mieczem. Rycerska czwórka w Ogniem i mieczem, — rozmaitość typów. Łubnie i dwór Wiszniowieckiego. Życie na Ukrainie w XVII w. podług pow. Ogniem i mieczem. Humor w Ogniem i mieczem. — Cel i znaczenie tej powieści.

Potop. Myśl przewodnia. Bogactwo i rozmaitość obrazów. Kmicic. Kmicic i Robak. Typy. Liryka w Potopie.

Trylogja w naszem życiu narodowem.

Co chce powiedzieć autor w pow. Bez dogmatu?

Dlaczego Rodzina Połanieckich sprawia uczucie zawodu?

Quo vadis? Obraz Rzymu za Nerona. Chrześcijanie w Quo vadis. Petronjusz i Winnicjusz jako przedstawiciele rzymskiego patrycjatu. Idea powieści, — jej wszechświatowe znaczenie.

Krzyżacy jako obraz epoki. Kraków i dwór królewski. Rycerstwo polskie, rozmaitość typów. Obóz krzyżacki: typy. Stosunki krzyżacko-polskie w powieści Sienkiewicza. Jurand ze Spychowa jako rycerz kresowy chrześcijanin. Strona obyczajowa w Krzyżakach.

Postaci kobiece w powieściach Sienkiewicza.

Lud w nowelach Sienk.

Sienkiewicz jako malarz przeszłości i życia współczesnego.

Historyczna powieść Sienkiewiczcza.

Miłość ojczyzny i ból narodowy w dziełach Sienk.

Siła fizyczna i siła ducha w powieściach Sienk. Czy siłę fizyczną lekceważy?

Krajobrazy Sienkiewicza.

Humor Prusa i Sienkiewicza.

Bitwa w pow. Sienkiewicza. Porównanie z obrazami Kraszewskiego, Kaczkowskiego.

Trylogja i Olbrachtowi Rycerze.

Sienkiewicz jako artysta. Język Sienkiewicza.

Obywatelskie zasługi Sienkiewicza.

Narodowe znaczenie Sienk. i powaga wobec Europy.

Które z dzieł Sienk. cenisz najwyżej i dlaczego?

Do czytania: Obszerniejszego studjum dotąd niema, — przeczytać można: „Henryk Sienkiewicz“ przez Konstantego Wojciechowskiego, Kraków 1913.

ADOLF DYGASIŃSKI

przyrodnik, filozof, poeta

1839 — 1902.

Najwierniejszy z synów przyrody, odczuwający jak żaden z pisarzy ten swój związek z macierzą i wielkie braterstwo miłości z ujarzmionym przez ludzi światem.

Urodził się w Niegosławicach nad Nidą, gdzie ojciec jego miał kawałek ziemi, i niewątpliwie swobodne dzieciństwo i obcowanie z naturą dały początek temu ukochaniu i zrozumieniu życia w jego najpierwotniejszych przejawach. Po skończeniu gimnazjum w Kielcach wstąpił do Szkoły Głównej. W r. 1863 brał udział w organizacji powstania w Kieleckiem, skutkiem czego musiał następnie opuścić Królestwo. W Krakowie szukał pracy na drodze pedagogicznej, założył pensjonat dla uczniów, księgarnię, próbował wydawać pismo. Nadsyłał też artykuły do „Przeglądu Tygodniowego“, przeważnie treści przyrodniczej. Po powrocie do Warszawy w 1879 r. rozwinął szerzej działalność literacką i pedagogiczną, nie widząc jednak właściwej swej drogi i nie znając samego siebie, swoich najistotniejszych uzdolnień. Poeta i myśliciel szuka przedewszystkiem chleba, nie dają go przekłady dzieł poważnych i naukowych, ani praca literacka w dziedzinie pedagogicznej. Podstawą bytu musi być nauczycielstwo, wnosi w nie jednak nowe i żywe wartości wiedzy i doświadczenia.

Gorliwy współpracownik „Przeglądu Pedagogicznego“, wydaje oprócz tego szereg prac pedagogicznych: „Nauczanie bez książki“, „Pierwsze nauczanie w domu i w szkole“, „Ogólne zasady pedagogiki“, „Jak się uczyć i jak uczyć innych“, „Lekcje o rzeczach“, „Wypisy“, „Elementarz“, „Podręcznik do nauki stylu“ i t. p. Pomieszcza także inne swoje artykuły w „Niwie“, „Ateneum“, „Głosie“, z którym związał się bliżej ideowo, w „Encyklop. Wychowawczej“, „Tygodniku Ilustrowanym“ i innych pismach. Był przez czas jakiś redaktorem „Wisły“.

A jednakże dla chleba musi opuścić Warszawę, pracuje najczęściej jako nauczyciel prywatny na prowincji. O tem, że jest poetą, może wiedzieć nie chce, — uważa to prawdopodobnie za słabostkę. Jako nowelista pisać zaczyna dopiero w r. 1880, a zatem mając przeszło lat 40. Pisze dlatego, że musi wreszcie wypowiedzieć to, co myśli i czuje, musi się ująć za pokrzywdzonemi, musi ludziom otworzyć oczy na świat nowy, którego nie rozumieją i nie widzą.

Przyszła chwila, że odczuł tę konieczność.

Maluje świat zwierzęcy jako obserwator, przyrodnik i myśliciel, z głębokiem zrozumieniem i odczuciem wszelkich przejawów życia, zwracając uwagę oryginalnem stanowiskiem, jakie zajął wobec człowieka i natury.

Matka-przyroda — to prawdziwa matka wszelakiego stworzenia, ale człowiek pogardza młodszą bracią, bezmyślnie krzywdzi i okrutnie tępi siłą rozumu i pięści, niczyich praw nie uznając poza sobą. Oderwany od wspólnej matki, nie rozumie już jej głosu i wołania,—wyzyskuje przyrodę, nie płacąc za wspaniałe jej dary—miłością.

A wszak miłość to źródło życia, jeden z dwóch przepotężnych motorów istnienia. „Miłość i głód rządzi światem", powoduje nieuniknioną walkę o byt, jest istotną przyczyną wszystkich tego życia przejawów.

Wilk i wrona musi też głód zaspokoić—czemuż nas to oburza? Czyż nie mają prawa do życia, skoro zostały stworzone? Skoro żyją, jeść muszą. A człowiek za to tylko nazywa ich zbrodniarzami, prześladuje i tępi, dla siebie zachowując wyjątkowe przywileje zbrodni.

Świat zwierzęcy Dygasińskiego budzi w nas tysiące myśli, roztacza nowe horyzonty, ukazuje nieznane, ciekawe zjawiska. Krytyka zestawiała go z Kiplingiem,—lecz zwierzęta Kiplinga to właściwie świat fantastyczny, Dygasiński zaś opiera się na obserwacji, odczuciu i filozofji. Zwłaszcza psy Dygasińskiego są tak uderzająco prawdziwe, że budzą zdumienie i podziw. Odczuwa on nietylko typ każdego, lecz charakterystyczne cechy indywidualne i wybryki temperamentu. Poprostu uczy nas patrzeć i dostrzegać rzeczy, na które spoglądaliśmy, nie widząc. Świat jego jest bogatszy od naszego, nieskończenie piękniejszy i zaciekawiający.

Człowiek to istota odrębna. Pyszny, ślepy i samolubny, oderwał się od całości i nazwał panem stworzenia, choć podlega tym samym prawom i zmienić ich nie może, a jeśli zechce spojrzeć w życie zwierząt, zobaczy tam samego siebie, wszystkie swoje namiętności, zbrodnie, cnoty, chęci i usiłowania.

Jednak — „nie o to chodzi, ażeby człowiek stawiał zwierzęta narówni ze swoim gatunkiem; on tylko nie powinien uczyć się na zwierzętach okrucieństwa, które następnie stosuje do ludzi". — (Nędzarze życia).

O berło świata walczy Słońce i Ciemności. Duch Czarny zwyciężyć nie mógł, ale ustąpić nie chce i woła:

„doprowadzony do rozpaczy, stworzę ciemności o wiele groźniejsze niż brak promieni słonecznych. Rzucę mroki nieprzejrzane na duszę stworzenia żywego. Posiędę serce, owładnę

duszą. Uczynię człowieka mądrym, oderwę go od związku z całem życiem stworzonem. Mignę mu widmem szczęścia niedoścignionego, kwiatem paproci, a poleci za nim w przepaść. Na czoło samolubne, chełpliwe, włożę mu wieniec sławy, i zbrodniarz przelewający krew niewinną będzie się zwał wielkim. Wilk obok niego zajaśnieje jako wzór cnoty". — (Gody życia).

Oto mistyczne źródło stosunku człowieka do zwierząt. Duch Czarny zapanował w jego duszy, oderwał ją od związku z Matką. Bezwiednie jednak dąży on do niej bezustannie — walką, męką i bólem—aż powróci kiedyś z miłością, „a ona mu wtedy jako dobremu królowi powierzy berło panowania".

Taką wiarę wyznaje przyrodnik, filozof i czujący syn Matki-Ziemi. Najwspanialszym hymnem tej treści jest ostatnie dzieło poety: „Gody życia". Na tle przedwiekowej pierwotnej natury, w puszczy Bohboru nad Prądnikiem, każe patrzeć nam w ciągu roku na „gody życia" wszego stworzenia. Bohaterem tej pieśni — mysi królik, dziecię słońca i miłości,—wrogiem jego—król nocy, puhacz. Ach, i pisklę kukułcze — fatalizm. Toczy się walka o byt, zacięta i krwawa, bo głód litości nie zna,—snuje się jasna, złota nić miłości przez wszystkie epizody i przejawy życia.

I czujemy, czytając, że to nie dzieło myśli, wybierającej sobie formy artystyczne, ale wybuch uczucia i odczucia, głos duszy samego autora, jasnowidzenie życia z innej strony, olśniewające zmysły, przywykłe do obrazów i rzeczy powszednich.

„Gody życia" są poematem tak oryginalnym, że w naszej literaturze nie znajdujemy żadnego utworu, z którymby je można zestawić. Łabędzia pieśń poety, który miał własną drogę, i pozostał na niej samotny i odrębny.

Po eposie zwierzęcym, stanowiącym najistotniejszą i najlepszą część twórczości Dyg., wymienić należy powiastki ludowe, dość nierównej wartości. Był on jednym z pierwszych pisarzy na tem polu, gdyż czuł się bliższym ludzi z naturą współżyjących, lepiej ich odczuwał i lepiej rozumiał, niż tłum miejski, a nawet pozłacaną półinteligencję.

Pierwsze miejsce w tym dziale zajmuje bezsprzecznie „Beldonek", z dziadem Florkiem na Jasną Górę wędrujący. Znakomicie ujęty typ dziada-filuta i naiwnego chłopca; dalej — „Żywot Beldonka" cierniowy. Autor robi go artystą rzeźbiarzem i—ślepcem. Traci wzrok, ratując z ognia dziecko,—znów fatalizm, kukułcze pisklę.

Wogóle nuta smutku — mimo naturalnego humoru, który jest także cechą pióra Dygasińskiego—odzywa się często i głośno. Złośliwa jakaś ręka plącze losy ludzkie i naj-

boleśniej dotyka niewinnych, czy to będzie nędzna Margiela, czy Małgosia pieszczotka. Marne są ludzkie chęci, los szydzi z zamiarów, i niema nic pewnego, nie ma się o co oprzeć ludzka dola.

Na tle miasta Dyg. nie czuje się w swoim żywiole, nic go tu nie pociąga, wszystko razi, niema odczucia z miejskiem środowiskiem, to też obrazki miejskie należą do słabszych. Toż samo powiedzieć można o powieściach na tle życia dworów, zagadnień społecznych i t. p. Tu szuka przedewszystkiem stron ujemnych, które mu często zasłaniają całość.

Pisał też dla młodzieży: „Wielkie łowy“, „Robinson polski“, „Cudowne bajki“ i t. d. zawsze z szlachetną myślą i tendencją, budząc i zachęcając do czci piękna w każdej postaci.

Taką w głównych zarysach jest spuścizna Dygasińskiego, cenna pod względem oryginalnej myśli, ciekawego wnikania w treść wszechżycia i języka, zbogaconego gwarą, prowincjonalizmami i archaizmami. Gwarę znajdujemy nietylko w powiastkach ludowych, lecz wszędzie, gdzie występuje przyroda, jej siły i dzieci niewykolejone. W niektórych obrazkach język Dyg. stanowi tak niezbędny i jedynie właściwy koloryt, że przerobione na mowę powszednią, straciłyby urok symbolu, poezji, i może wydały się karykaturą.

Naturalnie że wśród utworów niepospolitego pisarza znajdują się i rzeczy słabsze. Któryż nie zostawił takich? Stwarzają je twarde warunki życiowe, niekiedy nakaz obowiązku. Nam chodzi o charakterystykę tej oryginalnej twórczości w dziełach najlepszych, w których podziwiać musimy zarówno myśl badawczą i głęboką, jak piękno formy i siłę talentu. Te cechy zapewniają autorowi wybitne i odrębne miejsce wśród najlepszych naszych powieściopisarzy.

Aby poznać, zrozumieć i ocenić autora, przeczytać trzeba jego dzieła,—przedewszystkiem bezwarunkowo „Gody życia“, arcydzieło Dygasińskiego i treść jego duszy,—z noweli zwierzęcych — „Wilk, psy i ludzie“, „Co się dzieje w gniazdach“,—z ludowych—oba opowiadania „o Beldonku“. Pozatem — o ile można lub w zastępstwie tamtych: „Na odlocie“, Wśród wody“, „Kwiatek“, „As“, „W puszczy“. Wszędzie znajdziemy linję porównania pomiędzy życiem ludzkiem a innych tworów ziemi. Autor widzi te analogje w najdrobniejszych nawet zjawiskach i podkreśla łączność człowieka z przyrodą. Przytoczone urywki mówią nam to właśnie.

Umarł Dygasiński w Grodzisku, pochowany w Warszawie na Powązkach. Pamięć jego uczczono pięknym pomnikiem rzeźbiarza Makowskiego.

Z „ŁABĘDZIEJ WODY".

Trzy psy należały do obsługi gospodarstwa: Łata, Płatek i Kudła. Były to strażniki, stojące u bramy własności, które uważały każdego człowieka obcego za wroga mienia młynarza i rzucały się na przybysza z wściekłością i nienawiścią.

Łata wodził rej w trójce. Pies rosły, okazały i w sile wieku, posiadał nadto zalety, potrzebne każdemu strażnikowi własności: wierność, czujność, siłę, odwagę żołnierską. Śmiało mógł warknąć na inne psy, wymagać od nich uległości, posłuchu. Musiał mieć w postawie dużo dostojności pańskiej, skoro każdy pies obcy spuszczał ogon na jego widok i jeśli nie miał czasu do ucieczki, kładł się nawznak do góry brzuchem, a oczy zamrużał. Językiem ludzkim możnaby to tak wyrazić: Uznaję twoją wielmożność i powierzam swą skórę twej wspaniałomyślności.

Nazwisko Łata pochodziło zapewne od trzech wielkich łat ciemnych na tle brudnobiałem. Pomniejsze plamki czarne, jakby muchy albo litery drukowane, pokrywały i pysk szeroki, i pierś rozległą, uda mięsiste, ogon gruby a gładki, kiełbasowaty. Spoglądał na świat wzrokiem ponurym: coś zbójeckiego było w tych ślepiach dużych, o białku krwią nabiegłem. Budowa ciała mówiła o pochodzeniu od brytanów i buldogów, chociaż byłoby szaleństwem dowodzić, że w Łacie nie płynęła krew kundlów pospolitych, tych chłopów między psami.

Miał on na policzkach zmarszczki srogości — znak pochodzenia od przodków bitnych, którzy drogą srogości wywalczyli stanowisko rasy. Wargi górne wisiały po obu bokach pyska, a z nich spływała często ślina długa, sznurkowata: były to może cechy nadętości, pychy rodowej względem psów gorzej urodzonych. Szczęka dolna, wysunięta nieco naprzód, nadawała psu w chwili wyszczerzania zębów wygląd zwierzęcia krwiożerczego.

Łata, zamierzając napadać, czaił się przez chwilę jak tygrys, potem szedł kilka kroków powoli, ze wzrokiem wlepionym w ofiarę, i nareszcie dopadał w susach gwałtownych. Pewien żydek, handlarz jaj i skórek, zemdlał raz z przerażenia pod młynem, przekonany, że go Łata rozszarpie w sztuki. Inny Izraelita, krawiec wędrowny, ze strachu przed psem wskoczył do stawu i o mało nie utonął.

Obaj Żydzi niepotrzebnie się obawiali, gdyż był to pieskomedjant, udawacz, grający całe życie rolę okrutnika, ponieważ wiedział, że w ten sposób zaskarbia sobie łaski chlebodawcy. Przyroda obdarzyła go miną nadzwyczajną, a stosunki życiowe nauczyły obłudy, z którą było mu dobrze...

Bywają i ludzie tacy: wąsy na pół łokcia, broda na łokieć, wzrok srogi, wzrost olbrzymi,—a chłopisko w gruncie rzeczy— baran dobroci.

Co większa, pies szczekał basem straszliwym, który leciał po rosie nocnej daleko w okolicę i bardzo się przyczyniał do zjednywania szczekaczowi sławy rozbójnika. Nieraz przebywał gdzieś na tyłach młyna i posłyszał, że ktoś zajeżdża, —natychmiast wyprawiał alarm niesłychany. Wozy przejezdne zawsze odprowadzał kawałek drogi za młyn, przyczem szczekał tak straszliwie, że się konie nań oglądały.

Za takie pozory gotowości rzekomej do namiętnej obrony mienia pańskiego pozyskał względy i ufność Nikodema. Mówimy: „pozory", gdyż Łata nigdy nie naraził na szwank swej skóry i zawsze trzymał się w należytej odległości od kija czy bicza. Głaskany ręką, karmiony chlebem za swą sprawność, wykierował się na obłudnika.

Płatek nie był podobny do Łaty ani z powierzchowności, ani z obyczajów. Wzrostu średniego, w wieku młodzieńczym, maści śmietankowo białej, zachowywał się na swem stanowisku lekkomyślnie, szczerze, bez najmniejszego pojęcia o tem, co to jest sztuka życia. Przejmował się zawodem stróża z całym zapałem młodzika, wystawiając na niebezpieczeństwo własną skórę. Zawsze wypadał na pole czynu z okrzykiem namiętnym, przypominającym ujadanie ogara, który goni zwierzynę na oko: u-jej-jej-jej!

Tak wrzeszcząc, pędził naoślep jak szalony w kierunku przedmiotu, jakoby niebezpiecznego dla młyna, i częstokroć z nagłości przewrócił się w biegu, albo wpadł pod nogi Łaty, za co odbierał na miejscu cięgi. Przybysz pieszy na widok psa w bliskości swych łydek, brał się do kija i walił śmiałka, ile wlazło. Od przejezdnych Płatek dostawał zawsze biczem za ucho lub po słabiznie. Rażony boleśnie, odskakiwał z takim samym pośpiechem, z jakim napadał, oblizując się, skomląc wniebogłosy. Dużo wody musi się nalać psu w uszy, nim zacznie dobrze pływać.

Warchoł-pies był tak szczery w swoich uczuciach i niepoprawny, że doświadczenie ślizgało się po jego skórze, pozostawiało blizny, bolaki, a on s e m p e r i d e m (zawsze ten sam). Jakaś gorączka trawiła go i nie dawała spocząć. Zawsze ziajał z językiem wywieszonym, bez względu na to czy biegł, czy leżał. A był tak skory do czynu, że niejednokrotnie złachany już do najwyższego stopnia, zrywał się i pędził za bocianem, który leciał na skrzydłach w łąki. Godzinami szczekał zapieniony na kota, który spoglądał nań spokojnie ze strzechy. Nie dawał spokoju kurom, gęsiom, nawet kaczkom.

Płatek miał na szyi kołnierz suty, wełnisty, uszka stojące, pysk ostro zakończony jak u lisa, ogon w kółko zakręcony na prawą stronę, a przy samej nasadzie zadarty tak wybitnie, jak gdyby chciał przylgnąć do grzbietu. Ten ogon przypominał mopsa, pysk, uszka, wełnistość karku świadczyły o udziale psów owczarskich w pochodzeniu Płatka Na karb też przod-

ków ze stanu pasterskiego należy zaliczyć upodobanie namiętne tego psa do prześladowania zwierząt domowych — odziedziczenie. Warcholstwo jego znowu każe przypuszczać, że i krew gminna kundli musiała w nim płynąć. Skądżeby się wzięła owa krańcowość, pierwiastek czysto demokratyczny?

Ostatni w trójce psiej był Kudła, melancholik zgryźliwy, jeden z tych, co się urodzili pod nieszczęśliwą gwiazdą i przynieśli z sobą na świat zarody cierpienia. Nie młody, nie stary, kosmato obrosły kłakiem rudym, który się skołtunił na ciele tu i owdzie, pozlepiał jakby w plastry, wiszące po obu bokach. Kosmatość bogata sprawiała na widzu wrażenie, że pies nie posiada ogona, uszu i oczu, że to jest wiązka ruchoma wełny zrudziałej i brudnej. Źdźbła słomy, siana, plewy, kotki różnych ostów, wióry, cierniaki, pył ziemi i mąki — tkwiły powszędy w kudłach tego kudły, będących gniazdem wszelkich nieczystości.

Wyglądał jak potwór dziwaczny z mitologji, a życie jego było jednem pasmem utrapień z powodu pasorzytów dokuczliwych, które go udręczały dniem i nocą. Bywało, obowiązki strażnika młyna powołują psa pod broń na pole działania: trzeba właśnie nastraszyć szczekaniem, a może i pokąsać jakiegoś przybysza, gdyż za to ma się kawałek chleba. Kudła, pies służbisty, wypada na dane hasło, rzuca się dosyć zawzięcie, wtem — czuje, że go coś straszliwie ucięło w słabiznę, i trzeba koniecznie natychmiast podrapać się w miejsce świerzbiące...

Trawił on wszystkie chwile swobodne życia na skrobaniu się łapą tylną i na zatapianiu zębów mściwych w las wełny, gdzie zgraja wrogów niewidzialnych miała swą knieję i trapiła go okrutnie.

Łata i Płatek starannie unikały stosunków bliższych z tym towarzyszem, warczały złośliwie, ilekroć Kudła okazywał zamiar wypoczywania w ich sąsiedztwie: „Wara ci, pchlarzu, rozkładać blisko nas swoje zaplugawione cielsko!“—Biedak drapał się nieustannie, a piszczał głosem cieniutkim, aż litość brała.

Musiano mu podawać strawę w oddzielnej skorupie, gdyż Łata i Płatek nie chciały zasiadać razem z nim do wspólnej miski i przychodziło do starć krwawych.

Żywot pełen dolegliwości wyrobił u tego psa podstępną złośliwość charakteru: Kudła miał obyczaj szpetny podchodzenia milczkiem do ludzi i zwierząt, co jeśli mu się udało, kąsał w łydkę i co tchu zmykał.

Niekiedy Łata i Płatek zawierały przymierze ściślejsze, puszczały się w łąki na pohulankę nocną. Kudła nigdy im nie towarzyszył, zostawał przy domu, używając pociechy wewnętrznej, że się nie dopuszcza czynu występnego, zakazanego surowo przez chlebodawcę. Zato wypłatał nieraz kolegom figla, wszczynając ujadanie koło młyna. Psy z oddalenia poznawały głos jego, przypominający pianie koguta, pędziły co tchu do domu

w obawie, aby nie spostrzeżono ich nieobecności w chwili niebezpieczeństwa groźnego dla młyna, i przekonywały się, że Kudła szczekał na wiatr, jak to mówią. Wtedy rzucały się nań wspólnie, obrywały kudły na jego psiej kapocie, docierały zębami do najgłębszych kryjówek pasorzytów.

WŚRÓD WODY.

Rozległa równina otaczała lepiankę Zawodów. Drzew tutaj jest mało, jak w pustyni; zaledwie na tej płaszczyźnie spostrzegam kilka wierzb białych i olszyn, złotowierzb a wiklina niewyżej wzrastają od bujnych sitów dokoła jeziorzysk, bagien, rowów. Zato pełno wszędy rogoży, tataraku, trzciny i skrzypów. Ponad wodami rosną niezapominajki, błotne kosaćce, krwawice, białe sagitarje. Powierzchnia wód tych znowu okrywa się kożuchem gęstej rzęsy, a z rzęsy wystrzeliły piękne, jak z alabastru rzeźbione, białe grzybienie i inne, wspaniałe rozrosłe, niby centyfolje lub kamelje, grzybienie złote.

Kiedy wiatr rozbrykany wpadnie w ajery, wyprawia muzykę w tym gąszczu ziela. I chwieją się jak w tańcu ciemne kity oraz czerwonawo brunatne pałki trzcin wodnych. Wtedy to tysiączne legjony lazurowych i szmaragdowych świtezianek czepiają się łodyg a liści tych grających roślin, i połyskując jakby ich kwiaty, w milczeniu wysłuchują muzyki, z którą przyleciał na Powiśle i Ponidzie wiatr, ów bard z dalekiego kraju. Smutna jest pieśń „co z burzą przychodzi!...“ A i tej ktoś wysłuchać musi.

Ale w dni jasnej pogody bujają świtezianki ponad falami, ułożonemi w zwierciadło, oddają się miłości zachwytom, zajęciom życia znikomego: składają w wodę jajka przyszłości. Bo woda, równie jak ziemia, piastuje w sobie kolebki i mogiły życia.

W pląsającym polocie pojawiają się i złotawe ważki z olbrzymiemi oczyma, i jętki jednodniowe, i wątluchne chróściki; wszystko walczy, kocha, za dobrą sprawę umiera... Czasem z tajemniczych głębin, niby krety wodne, pod wierzch wypływają czarne kałużnice lub pływaki, a zadziwione widokiem świata, czemprędzej trwożnie na dno uchodzą... Niekiedy wygodnie jest zakopać się w błocie.

Jakieś długie, trupio wyblakłe pająki, o ruchach niezdarnych, nastawiły sieci między liljami wodnemi, i strach, mordy krwawe sieją. Płaski pluskowiec łazi na swoich szczudłach, a taki nieruchawy, że zdaje się krwi nie mieć. Powyłaziły rogate ślimaki, wytrzeszczyły dziwne oczy na słońce i zaśliniły czystość zieleni u trzcin wysmukłych. Ustawiły się po brzegach szeregami żaby, bystro zerkają, czy jaki bocian na nie gdzie nie czatuje. One w razie niebezpieczeństwa umieją dobrze skakać i nurkować. Ta bowiem akrobatyka popłaca w wodzie, równie jak na lądzie.

Tuż pod powierzchnią jeziora pokazał się i król tych wód, zielonawobury szczupak, stanął w wodzie jak martwy, patrzy straszliwie, bo bez wyrazu... Milczący tyran-morderca, obłudną maską powagi pokrywający swą dzikość, tylko ruch wody wstrząsa jego płetwami zlekka. I otyły grubokarczysty karp wyłazi ze swej pieczary; przewalił się ciężko po wodzie, jak wielki bogacz, magnat — błysnął złotą łuską, zakłócił spokój wodnej przezroczy. Lin poruszył się z mułu, wyciąga ku górze swą czarną, aksamitną głowę, otworzył okrągłą paszczę, żądnie pochwycił jakąś zdobycz i zniknął w topieli.

A rybia młodzież, liczny zarybek, hula tu gromadami; szczęście życia, swawola wiodą ten drobiazg na zgubę. Pluśnie czasem ponad wodą srebrzysta płotka, da susa kiełbik, zmykający przed zawziętą pogonią żarłocznego okonia. I rak, lichota w biegu, pokazuje się niekiedy na tem pospolitem ruszeniu wszechwodnej rzeszy.

Za państwem owadów szybka ściga jaskółka brzegówka, wydając niekiedy krótki odgłos jakiegoś radosnego friumfu lub kąpiąc ciało w przelocie. Nadbrzeżne pliszki fertycznie się zwijają, podzwaniając jeden takt piosenki; przyczajone w gęstwinach długonogie i długodziobe bekasy oraz chróściele krociami tępią rody muszek, komarów, glist i chrząszczów. Lecz oto nad brzegiem, na jakimś wpółprzegniłym pniaku usiadł grubogłowy a cienkodzioby zimorodek; piękny, blaskiem przepychu mieniący się samotnik; poważnie i cicho wpatruje się w wodę, niby to badacz, a jak kot czatujący, aby złowić nieostrożną rybę. I czapla z esowato wygiętą szyją, o czarnym czubie, stoi posępna, jakby los świata opłakiwała; po faryzejsku się ona zamyśla, bo celem jej życia jest tępić, gubić, pożerać, aby istnieć. Łyska czasem się mignie w wodnych zaroślach, a niedorzecznością jest mniemać, że to jej włóczenie się po zielu jest jakąś bezcelową wędrówką. Dziwne głosy kurek wodnych można podsłuchać wśród owej pozornej ciszy. Serce ci bije prawie z obawy, czy to nie są jakie nadprzyrodzone dźwięki, czy one nie pochodzą z zaczarowanych pod wodą pałaców. Lecz czyś filozof, czy poeta — szukaj prawdy, powabniejszej nad wszelkie zmyślenie: bo bąki rżą, jak gdyby pod ziemią tętniło; ryby mlaskają i klaszczą w norach; zbłąkana ptaszęca matka dzieci do łona wabi; kurka wodna, z jaj spłoszona, wydaje głos trwogi, — może jej pomoc kto przyniesie w nieszczęściu.

Zresztą — gdzież niema tajemnic?... I tutaj są ich miljony. Kto wie dobrze, co na dnie jeziora porabia szczeżuja zamknięta w muszlach? Jakie są bóle i uciechy marnej żaby? Kto wie, czyją krew chłepcą pijawki? Alboż nam znane są macierzyńskie poświęcenia cyranek? Alboż po dnie wód naszych dniem i nocą nie łażą jak widma straszne potwory, równie krwiożercze, jak wilki, tygrysy, hieny? Czyż w ciała wodnych stworzeń nie

wpijają się inne wodne istoty? Wszakże mały pływak skrada się nieraz pocichu do olbrzyma szczupaka i straszną ranę wierci mu aż do trzewów lub serca.

Wśród rozległych bagien, nad jeziorami, nad rzekami — człowiek się przeraża, a jednocześnie religijnie szanuje ciszę tych miejscowości, jakby je uznawał za przybytek wyższych od siebie istot.

NA ODLOCIE.

Jest na północy kraina ogromnie dzika, bogata jeno w torfowiska, bagna, ostrowy i kępy, przesiąkłe wodą. Świat to zimny, strasznie posępny — ojczyzna ślimaków wodnych, ryb, szczeżuj, pijawek, płoszczyc, nartników i innych dziwolągów, którym woda lubuje. Trawy szorstkie, brudnozielone, tną tu za dotknięciem i rzeżą jak noże. Rzęsa, czerwień, błotnica, sity, trzciny, tataraki bujnie rosną na tej glebie. No, i gdzieniegdzie — rokicina albo krzak olszyny.

Tutaj na jesieni zebrały się w jedno stado rodziny liczne żórawi. Stawili się starcy leciwi, choć jeszcze dostatecznie lotni. Przybyli wodzirejowie drużyn, jarzy, zamaszyści, w sile wieku. Matki troskliwie przyśpiały z młodzieżą, latoś wylęgłą w gniazdach i rokującą nadzieje świetne. Właśnie wiec pełen wagi nadzwyczajnej miał stanowić o losach rzeczypospolitej.

Bo oto ziemia, ojczyzna luba gniazd żórawich, poczęła stygnąć, obumierać i zapowiadać niedostatek środków do życia. Trza iść w świat, szukać kawałka chleba! Ej, co tam! Obec żórawia ma mędrców radzieckich, zdolnych rozstrzygnąć, którędy, dokąd należy podążać, i jacy wodzowie poprowadzą ufy pątnicze.

Czas schodzi, i coraz nowe drużyny swojaków — każda z wodzem na czele, przylatywały od wschodu, od północy dalekiej. O, wiele, wiele jest żórawi, rozrzuconych w świecie szerokim! Ale jeden obyczaj, jedna myśl ożywia wszystkich rozpierzchłych i jednoczy. Teraz na jesieni wszyscy bez wyjątku — ktokolwiek przebywa w tych krajach — stają do narady wspólnej.

. . . . . .

. . . . . .

Nareszcie drużyny żórawie przestały nadciągać: zebranie było pełne, więc mogło wydawać uchwały obowiązujące. Przeplatano sobie mozolne zajęcia życia obywatelskiego igrzyskami publicznemi: były to popisy zręczności i siły, wyprawiane w powietrzu albo na ziemi. Występował naprzykład wesołek jaki obrotny, wyginał szyję i w podskoku raźnym dosięgał głową ogona. Niebawem zjawili się inni, otaczali go kołem, podskakiwali, kręcili się wkoło na jednej nodze, machając skrzydłami. A nie, to najsprawniejsi wzlatywali w powietrze tak wysoko,

że tylko oko żórawia mogło ich dojrzeć, i tam naśladowali gonitwę orłów.

Swoboda ruchów, siła i gibkość ciała budziły podziw w gromadzie. Czyste igrzyska olimpijskie!

. . . . . .

Rozrywka krzepiła umysły ptaków radnych, a przeto ważne uchwały wiecowe żwawo posuwały się do kresu. Przedmiotem sporów najgorętszych była droga, którą zamierzano przebyć. Wszystkie bowiem drogi prowadzą na „wyraj", ale jedna jest najkrótsza. Ptacy starsi, doświadczeni, wielce przezorni, doradzali podróż bezpieczniejszą — o ile można — ponad lądem stałym; w razie potrzeby ma się zawsze pewny punkt oparcia pod stopami. Młodzi, junacy zuchwali, zapaleńcy, przekładali podróż ponad-morską, pełną trudów i — na wypadek burzy — ogromnie niebezpieczną. Z pierwszymi połączyli się ptacy lękliwego serca i młodzież, która uległa silnym namowom matek, dbałych o los potomstwa. Każdy, kto czuł w sobie odwagę i pochop ku doświadczeniu przygód nadzwyczajnych, stawał po stronie przeciwnej. Słowem, cała tężyzna żórawia znalazła się pod sztandarem z hasłem „morze". Starcy przedrwiwali ich, mianując kaczkami.

I oto wielka obec żórawi rozpadła się na drużyny pomniejsze, które — każda pod swoim wodzem — obradowały już oddzielnie. Jednomyślni co do celu głównego, różnili się tylko co do środków...

Miano już wyruszyć i każdy przygotował skrzydła, gotowe do odlotu na dany znak przez wodza. Wtem od stepu, z poza bagien, zabrzmiał jakiś chrapliwy głos żórawia. Cała gromada zwróciła oczy w tę stronę. „Widocznie spóźnił się na wiec jeden z panów braci!" Niedługo czekano. Ptak, nawpół biegnąc, nawpół lecąc, z wrzaskiem żałosnym, tęskliwym, przebierał się do swoich przez bagna. Stanął między nimi, i wszyscy starsi wiekiem natychmiast go poznali; jeno nieskorzy coś do powitania, zdawali się wzrokiem zdziwionym wyrażać myśl taką:

— Jakże zmieniony, niepodobny do siebie!

Był to starzec zgrzybiały, niegdyś powszechnie znany z dzielności, junak nad junaki, hetman mnogich wypraw zamorskich, strażnik pieczołowity i rajca mądry gromady żórawiej, pradziad pokoleń licznych. Stanął wobec i głosem drżącym, ochrypłym, w którym się odbijała boleść i rozpacz, powitał zgromadzenie. Miał jedno oko wybite, drugie bez blasku, jakby mgłą białawą powleczone. Brakowało mu górnej połowy dzioba, a skrzydła wystrzępione i opuszczone, prawie się wlokły po ziemi. Nogi z pazurami do cna startemi, gięły się niedołężnie pod ciężarem ciała.

Słońce i gwiazdy oznajmiły mu, że o tej porze gromada rodzima wiecuje w sprawie odlotu. Pędził kaleka dniem i nocą, aby się stawić na sejmie, a potem lecieć daleko z swoimi.

Teraz widział, że uchwały wiecowe już zapadły. Więc zbliżył się do ufca, który właśnie przedsiębrał wyprawę nadmorską, najzuchwalszą. Chciał powiedzieć:

— Bracia, i ja polecę z wami!

Junaki boże z politowaniem spojrzały na starca, a wódz ich krewko podskoczył i odpędzał wiarusa od gromady.

— My polecimy rączej orłów, a niedołęstwo twoje upośledzi i może opóźnić nasz polot. Nie z nami, starcze, nie z nami!

Gabał potem drugą, trzecią, dziesiątą drużynę, każda dawała mu odprawę bardzo surową.

— Przeżyłeś już swoje, sterałeś siły i, syt sławy, wyczekuj śmierci na barłogu ojczystym. Poco ci tułać się i ginąć kędyś za morzami? Zostań tu, głód i zimno przyjdą niebawem, dobiją cię spokojnie.

— Stary załkał. Hasła odlotu padły. Szum skrzydeł, granie cudnej pieśni żórawiej przeszyły powietrze. Jakże dobrze jest lecieć i śpiewać w gromadzie! Właśnie na niebo błękitne bez skazy wychodzi księżyc i pierwsze gwiazdy. Drużyny odlatywały na różne strony w szeregach długich, stykających się pod kątem ostrym. Żóraw stary został samotny, wyciągnął szyję, rozpostarł skrzydła, wydał okrzyk rozpaczy i biegł nieustannie, spoglądając w górę ku swoim, wrzeszcząc wniebogłosy! Cóż, kiedy biedny nie mógł wznieść się do lotu.

Wypadł na bagniska, pędził przed siebie, aż ugrzązł w błocie i padł na piersi, zranione tęsknicą srogą. Klucze żórawi ukochanych zniknęły mu ze wzroku, ich granie brzmiało jeszcze w uszach.

Bekasy skrzeczały po bagnach, gęsi gęgały wrzaskliwie, kaczory trąbiły grubo, czajki chichocząc, zrywały się do odlotu, nury uroczyście snuły się po zwierciadłach wodnych. Księżyc oblewał światłem okolicę.

A stary hetman żórawi, ugrzęzły w błocie, spokojnie wyczekiwał śmierci.

Któż tam z mających cele życia dba o starca, będącego na schodzie żywota?

NĘDZARZE ŻYCIA.

„Królem go uczyniła przyroda, a on bogów na podobieństwo swoje uczynił. Pomnik stworzenia zrobiła z niego przyroda, a on dla stworzenia stał się grobem: pochłonął je w ciągu długich pokoleń swego rodu, jest jakby cmentarzem istot, których śmiercią się zapłodnił. Do ziemi lgnie on mniej niż inne istoty, w ciągłych wędrówkach coraz nową buduje sobie sie-

dzibę, z lądu na ląd się przenosząc. Zato ku niebu dumne i piękne czoło swe wznosi, ażeby stopą mógł snadniej deptać swych współmieszkańców. On jeden w całej przyrodzie umie panować, posuwając butę i dumę aż do pogardy samego siebie. Żadne skarby nie są tak cenne, jak jego życie, które się wytworzyło z przetrawienia wszystkiego, co w przyrodzie jest najkosztowniejsze; w to życie wsiąknęły najcelniejsze siły i materjały bytu. A gdy się przesycił przyrodą, wytworzył sztukę, którą — jako dzieło swoje — nazwał wyższą od samej przyrody. Sam stworzony, potężnym twórcą się staje, tworząc nowe rzeczy na ruinach starego bytu.

Całą ziemię podzielił on na części rozgraniczone i dał im nazwy od swego własnego gatunku. Potomstwo swoje naucza z pokolenia w pokolenie trudnej sztuki panowania nad przyrodą i nie ma żadnego innego pragnienia, jak żądzę podboju wszystkich jej potęg.

Wspaniałym jest ten monarcha świata, człowiek, któremu przyroda-niewolnica służyć musi! Siły jej zaprzągł, aby go obwoziły z miejsca na miejsce i pracowały ku jego korzyści. Gdy mu potrzeba, on ją pali jej własnym ogniem, pruje i kraje jej własnem żelazem, lub w ciemnościach przyświecać sobie każe.

Matka bezsilną się okazała wobec własnego najmłodszego dziecięcia i w uczuciu macierzyństwa swego pozwoliła mu zagarnąć całe dziedzictwo. Z toni wód, z łona ziemi, pełną garścią czerpie on skarby, a ziemie i wody na swe prowincje zamienia. Wdarł się w tajemnice genezy rzeczy, wielkie dzieło stworzenia uznał za rządy sił ślepych, a działalności swojej przyznał świadomość.

Ani skwary słońca, ani straszne mrozy nie powstrzymały jego kroków, kiedy we wszystkich kierunkach przemierzał powierzchnię ziemi. On i w lotnej atmosferze znalazł dla siebie oparcie.

Z ideałem bóstwa w duszy zdąża on do tego, ażeby się stać tak doskonałym, jak sama przyroda. Są wszelkie powody mniemać, że jeśli choć w części tę doskonałość osiągnie, wtedy zwróci się do swej matki z całą miłością, a ona mu — jako dobremu królowi — powierzy tembardziej berło panowania.

Różnym jest bowiem zakon pracowitej walki od zakonu szczęśliwych wywczasów w triumfie. Na wojnie złość i podstęp uchodzą, ponieważ podbojowi dają siłę; pierwszą nazywa się wtedy męstwem, drugiemu się nazwę rozumu przysądza. Ale w pogodnych dniach triumfu gwiazda prawdy oświeca wszystko, dyktując nowe prawa rozumowi i męstwu. Dziki okrzyk: „Biada zwyciężonym!" zamienia się wtedy w pieśń „o spokoju tych, którzy mają dobrą wolę".

Oto drogą chytrości i okrucieństwa zmierza ku prawdzie król zwierząt, a nieraz nienawiść dla własnego gatunku zdobywa w tym pochodzie! Lecz ilekroć okruch prawdy posiadł,

oblicze mu piękniało, wzrok pogodą jaśniał, — znikały z tego oblicza zmarszczki srogości i z oczu połysk okrucieństwa. Bo prawda piękniej niż słońce przyświeca, a jest równie jak słońce dobroczynna; ale nie tak łatwo jak ono widzialna.

Jednakże ten, kto cierpienia sprawia, sam ich doznaje, a przeto fałsz oraz okrucieństwo stanowią piekło ludzkiego bólu na ziemi. Przez całe wieki człowiek do szczęścia dąży, a w cierpieniu się krwawi. A ileż to razy król stworzenia do krzyża bywał przybity, — spokojny, cichy, od strasznych bólów wykrzywiony!... Dla prawdy ponosił tyle cierpień, ile ich sam zadać był w stanie. Żarzy się wielkie i piękne słońce na niebie, ono językiem bóstwa przemawia do nas, ono wspiera sprawę rodzenia się cierpiących królów świata, a wraz z tem płodzi i ziarnka prawdy. Gdy zaszło, to jego zachód posiał nowe cierpienia, a z niemi nowe prawdy kiełkować poczęły.

W męczarniach spiekoty, w katuszach mroków rodzi się i dojrzewa prawdę uznający człowiek. Bóle jego są tak straszne, że im czemś ulżyć potrzeba, potrzeba ratunku przeciwko ich potędze. Ale gdzież w świecie może być ocalenie? Ono jest w tym samym, który cierpi: człowiek sam siebie zbawić musi. Zrozpaczony, zbolały, na kolana pada, wielbi ogniste siły, błaga je we łzach, ażeby zań stoczyły walkę z demonami chłodu. Tymczasem zimno i ciemności górę biorą, a on im także buduje oltarze, boską cześć składa, świętemi hymny je wielbi: „O miłosierdzie miejcie nade mną!“

Straszne i nielitościwe są bogi. Karzą i karzą, jęczącemu ukazują bardzo odległą nadzieję szczęścia. Dla szczęścia owego on pracuje, a jeśli to szczęście go zawiedzie, zawód przynosi mu gorzką prawdę, lecz... prawdę. Wszakże się dla niej żyje?!... W zgryzocie, w rozczarowaniu rozpoczyna się pracę nową, ciężką, znojną. W tej pracy człowiek miljon jednych cierpień utopił, a nowy miljon innych, dotkliwszych jeszcze bólów stworzył“.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dzieciństwo i obcowanie z przyrodą. Szkoła. Rok 63 i emigracja do Krakowa. Szukanie drogi życia.

Dyg. w Królestwie jako pedagog w szkole i piórem. Budzenie myśli. Zasługi i uznanie.

Dyg. jako przyrodnik i myśliciel. Umiłowanie natury i wnikanie myślą w jej życie. Analogja zjawisk w świecie zwierzęcym i ludzkim w utworach Dygasińskiego.

Świat zwierzęcy w nowelach i oświetleniu Dyg.

Stosunek człowieka do przyrody. Jego prawa naturalne i stanowisko zdobyte. Człowiek cząstką przyrody oderwaną od całości. Konsekwencje.

Gody życia. Fabuła i treść symboliczna poematu. Walka światła z ciemnością. Twórcza moc miłości w wszechświecie. Mysi-królik jako głos duszy autora i symbol. Głód i miłość — motory życia w Godach życia. Plastyka i obrazowość w opisach. Poezja w Godach życia.

Dygasiński jako poeta życia przyrody.

Powiastki Dyg. dla ludu i z życia ludu. Odczucie środowiska. Typy. Cel pedagogiczny. Ból i smutek w pow. ludowych Dyg.
Powiastki miejskie. Ludzie Dyg. oderwani od świata przyrody.
Powieści dla młodzieży. Robinson polski.
Język Dygasińskiego.
Porównanie opisów przyrody w przytoczonych wyjątkach Dygasińskiego i Sienkiewicza. — Krajobrazy Sienkiewicza, Dygasińskiego i Orzeszkowej (Nad Niemnem, Bracia).
Charakterystyka Dyg. jako pisarza. Jego odrębność i oryginalność. Czy w nim dostrzegamy jakie cechy romantyzmu?

Które z myśli i poglądów Dyg. najbardziej trafiają ci do przekonania i dlaczego?

Do czytania: Z. Wasilewski: „Dygasiński i jego Gody życia“ Lwów 1907 lub „Współcześni“, tegoż autora.

WŁADYSŁAW REYMONT.

ur. 1868 r.

Autor żyjący i w pełni talentu, trudno więc o nim pisać, a pominąć jednego z najwybitniejszych dzisiaj powieściopisarzy — niepodobna. Z konieczności zatem ograniczyć się musimy do wskazówek, ułatwiających poznanie prac i talentu Reymonta.

„Młodość życia jest rzeźbiarką“ — może najwyraźniej do tego pisarza da się zastosować. Wychowany na wsi, od dzieciństwa przepoił duszę umiłowaniem przyrody i ludu i odczuwa te dwa żywioły, jak nikt może w całem naszem piśmiennictwie. Wcześnie porwany ciekawością życia, nowych wrażeń, ludzi, rzucił się w świat i został członkiem trupy wędrownych aktorów. Poznał tu rzeczywiście życie z innej strony, nowe stosunki, ludzi, walkę o byt — jak wszędzie—ale w odrębnej formie,—a poznawszy to wszystko, wziął miejsce na kolei, na jakiejś prowincjonalnej stacyjce, i badał nowe środowisko. Od czasu do czasu wracał na wieś dla odpoczynku, żywe te studja jednak nie były stracone, stały się znakomitą szkołą jego talentu, zbogaciły niezmiernie zasób obserwacji i dały początek twórczości.

Zaczął od drobnych artykułów i obrazków, które umieszczał w pismach, jak np. „Pielgrzymka do Jasnej Góry“, dopiero jednak „Komedjantka“ i „Fermenty“ zrobiły go pisarzem znanym i cenionym.

Stanął przed publicznością jako znakomity malarz życia, które poznał i umiał odtworzyć w prawdą uderzającą. W Komedjantce widzimy całą nędzę tego świata blichtru, szychu i małości, w którym nieraz ginie okruch szczerego złota, — Fermenty to żyjący i mówiący obraz życia prowincjonalnego.

Żadna z tych powieści nie jest arcydziełem. Autor, nieporównany obserwator, maluje znakomicie to, co zna i widzi: przed naszemi oczami przesuwają się typy niezrównane pod względem prawdy i plastyki, — ale najsłabszą stronę stanowi główna bohaterka. Młody pisarz nie zdążył przestudjować duszy kobiecej.

Zresztą to pierwsze próby, bardzo obiecujące i szczęśliwe, lecz pełen sił i życia temperament sięga już po coś innego. Osiada na czas jakiś w Łodzi i z właściwą mu bystrością studjuje i obserwuje nowy obraz. Rezultatem tej pracy „Ziemia obiecana", świat maszyn, świat przemysłu, nowi zupełnie ludzie, nowe typy, wrzące, tętniące życie, walka podstępna i jawna — nie o suchy kawałek chleba, lecz o złoto, miljony, zbytek. Wszelkie inne uczucia zamarły w tem piekle, szaleje tylko chciwość, namiętności. Szlachetniejsze wzruszenia znaleźć można chyba za miastem, gdzie w cieniu drzewa „umiera po ździebku" opuszczony robotnik-kaleka.

„Ziemia obiecana" sprawia potężne, ale straszne prawie wrażenie. Chciałoby się zamknąć oczy i zapomnieć. Lecz zapomnieć nie można, bo to rzeczywistość. To istnieje. Woła codzień setkami świstków fabrycznych, huczy głosem maszyn, jęczy bólem nędzy, syczy chytrością podstępnych zabiegów i przykuwa ludzi jakąś tajemniczą, a pełną grozy siłą, którą odmalował w niewielkiej nowelce „Pewnego dnia".

Jednocześnie bowiem, obok tych większych powieści, powstaje cały szereg utworów drobniejszych, noweli i obrazków, z życia wsi i miasta, gdzie uwydatnia kontrast żywiołowy potęg natury i sztucznych zbiorowisk ludzkich. Ten kontrast i jak gdyby walkę świata maszyn z wołaniem ziemi „Pewnego dnia" podkreśla najwyraźniej.

„Ziemia obiecana" zapewniła już Reymontowi pierwszorzędne w literaturze stanowisko, nie mogła być jednak jego najlepszym utworem. Dlaczego? Ażeby stworzyć arcydzieło, autor musi tworzyć z miłością, musi ukochać przedmiot, który ma wzruszyć, porwać czytelnika. Reymont nie kochał Łodzi, ani komedjantów, ani życia kolei, chociaż mógł dla jednostek mieć sympatję. Inna miłość żyła w głębi jego duszy, zbyt potężna i wielka, i dlatego do odtworzenia trudniejsza.

Wiedział jednak, że wyśpiewać tę pieśń musi, i myślał o niej długo, myślał lata całe, zanim znalazł ton odpowiedni. Próbował go poprzednio w drobnych nowelkach chłopskich, aż nakoniec zabrzmiała, niby hymn wspaniały, epopeja „Chłopi".

„Chłopi"—fundament sławy, wielkości Reymonta. Nikt mu w tem nie dorównał i może nigdy nie dorówna, bo dał

nam znowu obraz świata gasnącego. Zmieniły się stosunki, szybko zmieni się poziom umysłowy i skala życia na wsi, więc choć natura zostanie ta sama zarówno w glebie jak w duszy człowieczej — całość już będzie inna.

Życie chłopa z życiem przyrody, zespolone najściślejszemi węzłami — maluje autor na tle naturalnem czterech pór roku. Oto szerokie pole do opisów tej pramatki umiłowanej, i nie wiemy, co w nich najbardziej podziwiać: czy żywą i przemawiającą plastykę, czy najgłębsze odczucie treści, zda się każdego drgnienia w łonie ziemi, każdego ruchu gałązki sosnowej, każdego głosu wichru jesiennego. Uczy nas patrzeć, odczuwać, rozumieć.

A dusza chłopa, twarda i surowa, potężna w namiętnościach, silna, głęboka i zdrowa, ukazuje się w całej prawdzie i nagości. Rozumiemy, że taką była przed wiekami, taką zostanie, mimo wszelkie zmiany. To jej typ i charakter. Obok wyraźnej indywidualności każdej z poszczególnych jednostek, mamy cechy zbiorowe tej całości, która stanowi nierozdzielny rój jeden, z jedną matką, ulem i zadaniem życia.

„Chłopów“ — rzecz naturalna — trzeba znać bezwarunkowo i wyczerpać w szeregu ćwiczeń pod względem treści i formy. Materjał w nich znajdziemy przebogaty, a w zestawieniu z „Ziemią obiecaną“ — otwierają przed nami głąb duszy autora.

I musimy powiedzieć sobie: Reymont to autor Chłopów, jak Mickiewicz zostanie przedewszystkiem twórcą Pana Tadeusza, choć w Dziadach wzniósł się duchem aż tam, „gdzie graniczy Stwórca i natura“. To wzlot ducha dla niektórych zrozumiały—tamto obraz wieczysty tego, co minęło, czego niema, i nikt na ziemi nie zobaczy. Gdyby wielki powieściopisarz nic już więcej po Chłopach nie napisał, pozostałby niemniej wielkim w literaturze polskiej i europejskiej. Napisał jednak rzeczy bardzo piękne. Do tych należy skromny rozmiarami, lecz wysoki duchem obrazek „Z ziemi Chełmskiej“, natchniony, a realny i pełen prostoty obraz ucisku unitów i czar tajemnej misji w głębi puszczy.

Sięgnął także po przedmiot historyczny i wybrał może jeden z najtrudniejszych: chwile upadku Rzeczypospolitej: „Ostatni sejm“, „Nil desperandum“, „Insurrectia“. Tytuł trylogji wskazuje przewodnią myśl autora: nie grób malować chce, lecz zmartwychwstanie. Silna i zdrowa dusza w grób nie wierzy: to przejście tylko. Gdy jedna skorupa zesłabnie, Duch znajdzie nową szatę, bo jest nieśmiertelny, i klęski ziemskie złamać go nie mogą.

Taki jest duch Reymonta: zdrowy, silny, pełen energji, niespożyty i rwący wciąż naprzód, po nowe zdobycze, nie

cofający się przed żadnym murem, mocny niezachwianą wiarą w ostateczne zwycięstwo światła. Bo światło jest twórcą życia, warunkiem istnienia.

Zresztą dla autora Chłopów to nie teorja wyrozumowana, lecz najsilniejsze poczucie wewnętrzne. To natura zdobywcza i słoneczna. Dla takich świat otworem. W duszy mają słońce, i nic go nie zgasi. Odsłaniają nam życie, gdzieśmy go nie widzieli, krzepią siłą, gardzą słabością i cieniem, bo zwyciężą nietylko chmury, lecz najgroźniejsze nawet nawałnice, — świadczą o tem obrazki pełne grozy z wielkiej światowej wojny, zebrane w tomiku „Za frontem“. Ginie wszystko, ale pozostanie zawsze ziemia-żywicielka i syn jej najwierniejszy — człowiek.

Nic dziwnego, że talent tak oryginalny i pełen żywotności znalazł szerokie na świecie uznanie. Po Sienkiewiczu dzieła Reymonta najwięcej doczekały się przekładów i podziwu nietylko w Europie, lecz i w Ameryce. Sienkiewicz rzucił ludom i narodom wspaniały obraz naszej przeszłości, wielkiej nawet w bólu i klęsce, — Reymont mu przeciwstawił teraźniejszość. Jak widzimy — dopełniają się wzajemnie na polu autorstwa.

Z dzieł Reymonta obowiązkowo znać trzeba: „Ziemię obiecaną“, „Chłopów“, „Sprawiedliwie“, „Z ziemi Chełmskiej“, — bardzo pożądane są nowelki, zebrane w tomiku „Na zagonie“ i „Za frontem“, — z Trylogji, bardzo obszernej, można poprzestać tymczasem na wyjątkach.

Prócz tego autor pisze, i mogą powstać jeszcze dzieła znakomite, o których się dopiero dowiemy.

PEWNEGO DNIA.

Obrazek z życia inwalida, od lat 20 pracującego przy windzie w fabryce. Pochodzi ze wsi, lecz o niej zapomniał, przykuty do miejskiego fabrycznego ruchu. Budzenie się tych wspomnień i walka w duszy p. Pliszki stanowią treść obrazka. Jednocześnie jest to wymowne przeciwstawienie dwóch potęg, dwóch światów: Boski, cudny i nieśmiertelny świat przyrody, — niewzruszony, potężny i groźny świat maszyn, świat przemysłu, woli i pracy człowieka. Wielki jest, twardy, zimny, nieugięty, twór ludzki, żelazny tyran.

Spójrzmy w duszę p. Pliszki.

„Stanął na codziennym posterunku przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały...

Sale były jeszcze zmroczone, zalane na dole elektrycznem światłem, a w wyższych piętrach przesycone mdłemi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn, niby stado bydląt potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych jakby

do skoku. Pasy i transmisje zwieszały się ciężko, niby żyły wyprute, niby ramiona sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pospiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Nieskończone w drodze pacierze brzmiały gdzie niegdzie pośród żelaznych szkieletów maszyn; gdzie niegdzie rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniej, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza któremi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było, pokryte młodą runią zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskroś fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatemi kołami maszyn... zadygotały żelazne bestje, zatrzęsły się ściany, pochylili się ludzie... Ruch pierwszy — jakby pod uderzeniem huraganu — mgnienie wahania — cichy jęk oporu — stłumiony oddech maszyn i ludzi — przyduszony strasznem rzężeniem wysiłku. Zmaganie się sił — głuchy, śmiertelny bój — a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn, zwyciężonych i puszczonych w ruch.

— Winda! czwarte! — huczał głos ponurem echem w głębokiej, ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował p. Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda! farbiarnia!

Zapadała znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma jak w kalejdoskopie piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, zróżowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonem, straszliwie suchem powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez apreturę, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materjałów, i przez szary, rozłzawiony odblask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w którym połyskiwały zimno długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie śnieżnym — niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki.

A potem niżej jeszcze — przez pralnię; przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisyj, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwytały, spadały z pod sufitów, rzucały się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce, i zdyszane a niezmożone, rzucały się na wały, na koła, ześlizgi-

wały się, podnosiły, okręcały wszędzie, i przeniknięte mocą straszną, rozszalałe, dzikie w swej potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym a strasznym krzykiem triumfu!

A potem niżej jeszcze — na samo dno fabryki; tam, gdzie już nie było świtania, ani dnia, ani nocy — do farbiarni, gdzie światła gazowe w tumanach par kolorowych rozkrążały tęczowe, przegniłe blaski; w monotonny plusk płuczkarń, w chlupot roztrzepywanej bezustannie wody, w gryzące zapachy farb gotowanych, w jęk przeciągły maszyn, w chaos krzyków, ruchów i barw zmatowanych, w nadludzki spazm wysiłków maszyn i ludzi.

— Winda! — grzmiał krzyk z góry, a p. Pliszka pociągał za sznur i jechał; przejechał znowu te cztery piętra - strefy, zabierał ludzi, towary, wózki, przystawał na mgnienie przed otworami sal, zapadał w noce, w mroki, w świtanie, wynurzał się w brzaskach dnia na wyższych piętrach, widział słońce w suszarni i czarną linję lasów dalekich, widział młode liście topoli niżej, widział przymglone sadzawki jeszcze niżej, a potem ogarniała go noc, i majaki maszyn kołysały się w cieniach i mrokach sal dolnych, a on jechał jednako cicho, powoli, automatycznie...

P. Pliszka jeździł już tak lat 20.

Nie chorował nigdy, nie brał urlopu nigdy.

Był najstarszą maszyną fabryki, tylko maszyną, bo już zwolna zapominał o sobie, o własnem życiu, a chwilami już nie wiedział, czem był kiedyś i gdzie. Nie myślał już i nie marzył, nie mógł nawet, bo ilekroć siedział wieczorem w swojej izbie, to zapadał w dziwny stan kontemplacji maszyn,—czuł wtedy w sobie cały ruch fabryki, przesuwały się przez jego duszę nieskończone zwoje pasów, migotały zmatowane barwy materjałów, drgały ruchy maszyn; podnosiły się w nim koła pełne błysków stali, okrywał go dziwny, przyduszony tuman krzyków fabryki, migotały w nim jak cienie nikłe, jak cienie zapamiętane, sylwetki ludzi — a wszystko przyciszone, a tak wyraźne, tak żywe, tak jasne, że nieraz bał się poruszyć, aby nie być stratowany przez te potwory, które w nim się przewalały, które w nim żyły.

I zwolna, zwolna żył tylko życiem fabryki, rozumiał i odczuwał tylko życie maszyn i o nich tylko myślał, a myślał z trwogą i czułością niezmierną.

Cóż go obchodzić mogli ludzie, którzy jak fale przepływali tylko przez fabrykę; cóż go mogli obchodzić ci ludzie, którzy jak psy warowali na usługach maszyn, którzy jak nikłe cienie tulili się trwożnie do kolosów, służyli im, zależeli od nich, żyli z łaski tych potężnych, tych nieśmiertelnych i tych strasznych w swojej mądrości i potędze...

Uśmiechał się pogardliwie, patrząc na ich pogięte ciała, na ich trupie, wycieńczone twarze, na ich spracowane ręce...

Czemże byli wobec tych potężnych, których stalowe, połyskliwe ciała widział ciągle,—czemże byli wobec sił tamtych?—Marnością, pyłkiem, niczem...

Przez 20 lat p. Pliszka widział już dziesiątki tysięcy tych ludzkich nędznych istnień, wyżętych przez maszyny niby łachmany i wyrzuconych na śmietnik: a maszyny były, a fabryka trwała.

Pogardzał też ludźmi, a wielbił maszyny.

I żył coraz głębiej życiem fabryki.

Tygodnie poznawał po niedzielach, bo odwiedzał wtedy swojego kapitana. No, i wiedział, że jeśli w suszarni na czwartem piętrze rano świeci słońce, to już napewno wiosna, — a jak w apreturze — to lato z pewnością. Zimę poznawał po śniegu, no, i po tem, że w postrzygalni palono światło do południa.

I zresztą nic go nie obchodziło; był nawet dobry i uczynny, ale tą dobrocią bierną automatu, bez udziału woli i świadomości.

Takim był p. Pliszka do dzisiaj".

. . . . . .

. . . . . .

„Miasto wrzało świąteczną radością, radością beztroski chwilowej i odpocznienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła. Tak lśniły radośnie dachy, tak błyszczały okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka cisza leżała wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach — tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzi, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokiemi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Lodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

P. Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią, poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą ogólną bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić z sobą na wolnem powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie radować, nie umie żyć.

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszony i pełny trwogi, spojrzenia tępe i zalęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn, z któremi zawsze żyli; twarze jakieś szare, martwe, pochylone, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała spłaszczone i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki!

Cały ten tłum dusz — nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizernych, najprostszych kółek i trybików, tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych, tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażerjach,

w panoptikach, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami i nie wiedział, co robić z sobą, co robić z tą świątecznością — onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnemi, ciszą i powstrzymywany w ruchach wewnętrznych nieświadomą zależnością od tych potworów-fabryk, stojących dookoła czerwonym, potężnym wałem ciał kamiennych, uśpionych tylko na chwilę, a czuwających, znikłych w odpocznieniu, a stróżujących tysiącami okien, setkami kominów, które zdawały się pochylać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice, w place, w zaułki w pola, w domy — jakby pilnowały swoich niewolników i trzymały ich grozą swojego czuwania.

I p. Pliszka czuł to wszystko, — nie rozumiał, ale czuł, i dlatego pozwolił się porwać jakiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w pola, jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala miasta, rozprysnęła się, a on pozostał nad ławicą pól pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej, świergotu ptaków.

Fala się rozpłynęła po tym zielonym brzegu, a on pozostał tylko z Kruczkiem, który ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki wzbijające się w górę, i na rozkołysane zboża...

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami.

P. Pliszka patrzył długo, patrzył pogardliwie na ten zielony, rozkwiecony, rozszumiały szmat ziemi, a potem z uśmiechem politowania spostrzegał ludzi siedzących po miedzach, że im tylko głowy widać było ze zbóż.

— Głupie chamy! Kruczek, do nogi, Kruczek! — krzyczał, bo pies, jakby nagle oszalał, rzucił się w zboże, gonił za jaskółkami, szczekał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące, tarzał się po bróżdach, to leciał bez pamięci po tem szumiącem, zielonem morzu, to znowu przystawał niespodziewanie i dziwnym, pomieszanym wzrokiem patrzył na żyta, jakby biegnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytem przywierał do ziemi, rozpłaszczał się i patrzył, jak zboża ruszały się, szły — pochylały się nad nim i dzwoniły zielonemi, lśniącemi źdźbłami... i odchodziły w drugą stronę...

— Także mi parada, nawet usiąść niema gdzie — szepnął p. Pliszka, zirytowany na wszystko, a szczególniej na Kruczka, odwrócił się z pogardą od pól i powracał do miasta jak tylko mógł najspieszniej, powracał do domu. A gdy Kruczek przyszedł, już był gęsty mrok, p. Pliszka wybuchnął i zbił go srodze.

— To ja sam tu będę siedział, co? ty chamie, ty parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co? — krzyczał strasznie, ale że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego ręce, więc p. Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na ręce i rozpłakał się — pewnie pierwszy raz w życiu.

— Cicho, Kruczek! Widzisz, twój pan—widzisz, sam... sam...

...Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio

w szynkach, i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czemś, że już na godziny prawie obliczał czas, dzielący go od powrotu tych „głupich chamów“ (sąsiadów, którzy wybrali się na wieś).

Po południu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włóczył się po salach pustych i cichych, pogrążonych we śnie... Maszyny spały, obwisłe, nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce — szarzały tajemniczo w świetle słońca; stosy kolorowych towarów leżały spiętrzone po salach. Korytarze były ciche, kotłownie nieme i wygasłe — ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym załomie maszyn, czuć było straszną siłę, powstrzymywaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drżenie ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie, ciche głosy chodziły po salach, przepływały wskroś maszyn i murów... Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas się zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabrzęczały cicho — a potem znowu cisza, straszna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali...

P. Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a potem majestat odpoczywających maszyn obezwładniał go i hypnotyzował. Skurczył się pod jakiemś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitach i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że widzą, iż jest tutaj; te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń — prawie, przenikały go zimnem i trwogą, — a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwoju sztab, i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów — i przepełniały sale dziwnem światłem, przerażającem duszę ludzką światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko było tutaj p. Pliszce lepiej niż w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł jak pies do nóg odpoczywających potworów, i chociaż w trwodze, czuł się spokojnym, bo nie był pozostawiony samemu sobie“.

. . . . . .

Pod wpływem opowiadania sąsiadów, którzy święta spędzili na wsi, niedaleko miejsca jego urodzenia, budzą się w p. Pliszce wspomnienia dzieciństwa i coraz silniejsza tęsknota. „Wrócić albo co? a może tam kto z moich żyje jeszcze!“ — I sypiać nie mógł. Pieniądze ma — mógłby kupić kawałek ziemi — widzieć światło...

„A dnie przechodziły nieubłaganą koleją i przepadały nieubłaganie.

...były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne...
P. Pliszka płakał w męce.
...były zadeszczone, szare, smutne, długie jak żal...
P. Pliszka płakał z tęsknoty.
...były zimne, zmęczone i smutne, jak maszyny spracowane...
P. Pliszka — ach, p. Pliszka się modlił...
...A noce były jak krzyki tęsknoty.
...A wieczory były jak ciężkie marzenia konających.
...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zrozpaczone — a p. Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzał w świat — tam!

Ale p. Pliszka odejść nie mógł — bał się fabryki!...

Tak, p. Pliszka bał się fabryki.

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przytem trzymał go jeszcze dziwny lęk.

— Cóżbym tam robił? — zapytywał siebie po tysiąc razy, i coraz częściej widziano go zapatrzonym w pole i niebo, ale i coraz częściej nocami siadał przed domem i patrzył na fabrykę, na ciemne kontury murów, co jak zmora dusząca przywarły do ziemi, objęły sobą i ssały nieubłaganie; coraz częściej p. Pliszka czuł w sobie ruch tych sal nieskończonych, ten zgiełk maszyn, te wiry sił, i coraz słabszym się czuł, coraz niedołężniejszym, coraz pokorniejszym wzrokiem patrzył na żelazne profile... coraz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po całych tygodniach tej męki niewypowiedzianej, gwiznął na psa i poszedł za miasto, daleko, daleko, w pole czyste... tam, gdzie już nie było fabryk, a tylko dachy słomianych domów wychylały się ze zbóż wykłoszonych, gdzie drzewa nie konały, zatrute odpływami fabryk, gdzie zboża jak woda falowały w blaskach słońca, tam gdzie łany, niby barchan zielony, nakrapiany żółtemi ognichami, rozlewały się jak morze, gdzie wiatr pieszczotliwy, miękki, gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochylonych, i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego żyta—tam, na wieś prawdziwą... P. Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, — wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole...

Nie krzyczał już p. Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy dla ludzi, łażących po miedzach i dróżkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem pełnym wody, po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia!..

P. Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki, jakby pijane wiosną, śpiewały nad nim, a tam w puszczach żytnich ćwierkały kuropatwy, zwoływały się; woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby

wychylały swoje okrągłe oczy z pod wody i nukały głucho... monotonnie... sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek; płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, zapachy ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

P. Pliszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział, i patrzył, i słuchał, i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

— Jezus mój najsłodszy! — szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki.

— Jezus mój, Jezus! — powtarzał i szukał wciąż chustki, a łzy ciężkie jak ziarna pełne całym różańcem spływały mu po twarzy; nie wiedział o tem, nie wiedział już nic, tęsknota szeroka jak te pola objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!...

...Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się za lasy, zboża się pochyliły jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązł w lasach, wieczór nadchodził...

— Pójdę, dosyć mam tego, pójdę!—powiedział sobie stanowczo, powracając do domu.

Ale rano, w fabryce, nie śmiał już tego powtórzyć: czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydlęta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury...

Nie, nie puści...

A tymczasem nocami w marzeniu już był tam, u swoich; już chodzi po chatach panów braci, wita się, raduje, odnajduje wszystkich, i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O, dosyć mu tej męki, dosyć.

— Jutro pójdę,—żeby nie wiem co, pójdę—powiedział.

I przyszło wkońcu to jutro, P. Pliszka czekał wieczora, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał pocichu z łóżka, spakował w tłumok rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

— W świat pójdziemy, do swoich, w świat! — powiedział cicho.

P. Pliszka siedział w oknie, pomiędzy rozkwitłemi fuksjami, czekał świtu i patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

— Jutro już tam będę — myślał p. Pliszka, i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryk jakby zolbrzymiał, i jakby pękł, i rozlewał się szeroko—na świat cały.

P. Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blisko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwytać.

— Winda!

Drgnął gwałtownie. Ten krzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

— Nie dam się, nie! — Wyskoczył przez okno, zarzucił tłumok na plecy i ruszył drogą.

Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki!

— Winda!

— Jezus, Marja! — Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne, straszne okna fabryczne...

Wydało mu się, że te okna czuwają, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębiły i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz spływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie dosłyszalnie wśród liści.

Bielało już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spostrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w mrokach i zagradzały drogę... Szara deszczowa kurzawa oblewała je jeszcze, i mroki przysłaniały, ale one rosły w tem świtaniu ponurem, potężniały, podnosiły szyje coraz wyżej... coraz groźniej!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętemi oczami obok fabryki i odetchnął aż w polach, pod lasem, który mu zagrodził drogę, a że czuł się strasznie zmęczony, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się: gdzieś daleko, na drugim końcu miasta zadrgał świst fabryczny.

P. Pliszka porwał się i wszedł spiesznie w las.

A świsty szły za nim jak psy i gryzły go w samo serce... O! jeden, drugi, dziesiąty, co chwila, co sekunda, co mgnienie— wołały przenikliwe głosy fabryk.

Obejrzał się: — w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca i wykwitały nad miastem...

— Jezusie najsłodszy! Jezusie! — bełkotał przerażony.

Przyspieszał kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie, i znajdowały go, i biły w jego duszę, przenikały ją bólem, strachem, skowytem dzikim buntu i rozpaczy.

Naraz potężny głos jego fabryki rozdarł bolesnym dźwiękiem powietrze,—ach, tak znał ten głos, tak znał!

Stanął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

— Wróć! wróć! wróć!...

. . . . . .

W pół godziny później stał znowu przy swojej windzie.

— Winda, blich!

— Winda, suszarnia!

— Winda, apretura!“

. . . . . .

INSUREKCJA.

Trzecia część Trylogji: powstanie Kościuszkowskie. Jeden z najpiękniejszych wyjątków—to wymarsz kosynierów z Rzeplińskiego dworu; podajemy go w urywkach ze względu na rozmiary.

„Pora była wczesna, przedświtowa, ziemię otulały jeszcze grube kożuchy mroków, jeno na niebie poczynało się już nieco przecierać i wskroś chmur, rozsypanych szarawemi stadami, leciał ku zachodowi blady, jakby przetrwożony księżyc. Dzień już był niedaleki, zwiastowały go bowiem piania kogutów i pierwsze przebłyski zórz. Niekiedy zawiewał zimny, przenikający wiatr. Brał też wcale grzeczny przymrozek, jaki nawiedza pola o wczesnej wiośnie, że ścięta na grudę ziemia łamała się z chrzęstem pod nogami wolontarjuszów Ślaskiego, stojących głębokiemi szeregami przed Rzeplińskim dworem. Prawie dwa tysiące zbrojnego chłopstwa pokryło wielki majdan jakoby śniegiem, przyprószonym sadzami nocy. Mrowili się gąszczem nieprzejrzanym cieniów. Las pik i kos, osadzonych na sztorc, połśniewał w mrokach lodowemi soplami. Stali rozwiniętym frontem, ramię przy ramieniu i w przepisanym ordynku, z oficerami na swoich miejscach.

Bił od nich szmer cichych szeptań i pobrzęków; pary oddechów przesłaniały twarze szarym tumanem, że nie sposób było kogo rozpoznać.

— Zewrzyj się! Baczność! — przeleciała grzmiąca komenda.

Zbrojny lud zwarł się w nieprzełamaną ścianę, zjeżoną lśniącemi grotami.

W ganku dworu pod wysokiemi kolumnami wystawiony ołtarz rozmigotał się nagle jarzącem światłem. Obraz Częstochowskiej wyzierał z pośród świateł, choin i kwiatów, jakoby z obłoków.

— Naprzód! Marsz! — padł znowu krótki rozkaz.

Zadudniła ziemia pod ciężkiemi krokami, jakoby ciemny bór poruszył się z miejsca i szedł, szeleszcząc rozchwianemi konarami, ogromny i groźny.

— Stać! Do nogi broń!

Ucichły bicia kroków tysięcy; szczęk przerzucanej broni wionął niby wicher, i zbrojny lud znieruchomiał nagle i jakby wrosnął w ziemię o kilkanaście kroków przed ołtarzem. Pęk znaków i chorągwi wykwitnął przed frontem, stanęli pod niemi oficerowie z kapitanem Kaczanowskim i Janem Ślaskim, generałem ziemiańskim, na czele. Na flankach, nieco jeno naprzód wysunięci dobosze, przybrani weselnie w pawie kity i wstęgi u czapek, z pałeczkami w rękach, czekali tylko znaku, aby uderzyć w tarabany.

Zasię na stronach i pod białemi ścianami dworu cisnęło się chłopstwo, niby na odpuście. Dwie ogromne lipy, dźwigające się pod oknami, obwieszone były chłopakami, jakby stadem rozświegotanego ptactwa.

Poruszyły się naraz ciżby i zaszemrały, gdy w ganku zasiadła imć. Ślaska, pani obywatelskiego ducha i cnót wielkich, prawdziwa matka poddanych, matrona postaci wspaniałej, a mimo lat pięknego jeszcze oblicza. Otoczył ją liczny fraucymer i najmłodsi synaczkowie. Kilku sąsiadów i rezydentów stanęło na stopniach ganku, rozglądając się ciekawie po szeregach. Widniały bowiem w tej przedświtowej bladości niskiego nieba jak łan zbóż, połśniewających sinemi kłosami.

Dzwonek zabrzęczał i ks. proboszcz ze Skały wyszedł ze mszą świętą.

Na jakiś znak zbrojne zastępy padły na kolana, pochyliły się gąszcze kos i pik, wszystkich przejęło uroczyste skupienie. Rozmodliły się dusze, z warg spływały gorące szepty pacierzy, że zdało się, jakoby ten rozdrgany, wzmagający się szmer był tajemniczym śpiewem wszystkiego przyrodzenia o słońcu, cieple, bujnym roście i świętych łaskach budzącej się wiosny...

Aż owo dzwonki dały sygnał na Podniesienie.

Bębny zawrzały rzęsistym grochotem, trąbki uderzyły fanfarą, pokłoniły się chorągwie; jęk zerwał się palącym wichrem, rozpinały się ramiona, gdzieś z cieniów buchnęły łkania kobiet i naraz runęły w proch przed Majestatem.

I kiedy msza przeciągnęła się dalej, znowu przyszły chwile żarliwych rozmodleń. I znowu tysiące wiernych serc w tym momencie żywota, może ostatnim, przywierały w kornej czci do stóp Częstochowskiej.

Chłopskie rycerstwo modliło się wszystką mocą wiary i ufności, suplikowało żarliwie o zwycięstwo nad wrogiem.

„Przyczyń się, Królowo Korony Polskiej! Ziścij błagania! Wyproś u Syna“.

Niby młoty zabiły rozpalone serca. Gdzie już łzy bróżdżą srogie oblicza, gdzie z szeregów wyciągają się błagalne ręce, i ktoś głośno wzywa Boskiej pomocy. Święte uniesienia ogarniają zbrojne męże. Nagła burza wezbranej potęgi rozpręża przygięte w jarzmie karki, skrzepłe dusze, i ponosi je szlakiem chorągwianym na bój zaciekły, na zwycięstwo, na wolność!

— Jezu, Marja! Jezu, hej! — rwą się upalne westchnienia. Ledwie już gardziele zdołają wydać głos jakiś. Ledwie już serce pomieszcza czucia. Dziw — dusza nie wyrwie się jak ptak w obłoki. Pazury ściskają drzewce aż do bólu. Pot zalewa czoła. Twarze stają w łunach. Pioruny migoczą w oczach jadowitemi połyskami mieczów. Bezmierna, cicha radość przejmuje szeregi.

„Daj śmierć, daj rany, ale spraw zwycięstwo!“

Oto prośba jedyna, oto pacierz powszechny, oto wiara dufna, wybuchająca niebosiężnym krzykiem tysięcy, i bije ku gasnącym gwiazdom, do zórz widnych już krwawym rąbkiem wschodu, unosi się w nieskończoność i tam leci, gdzie nawet najzuchwalsza myśl nie dosięga.

— Żołnierzu polski! — zagrzmiał naraz tubalny głos od ołtarza. — Żołnierzu! — powtórzył ksiądz, tocząc dokoła orłowemi oczyma — któryś dobrowolnie stanął pod chorągwiami Polski, któryś gotowy wylać za nią krew swoją, mówię ci: Uczyniłeś, jak Pan Bóg przykazał, jak uczynić byłeś powinien. Pytam się jeno, za kogo to jeszcze wybierasz się wojować? Czy za panów, jak ten i ów głupi powiada? Nie wierz kpom. Za pohańbione kościoły, za sponiewieraną świętą wiarę, za swoją wieś, którą ci wrogowie łupią i palą, za swoją wolność i ziemię bić się będziesz! Za swoją ziemię i wolność będziesz wojował, żołnierzu! Bowiem na Polskę, niby paskudna szarańcza, zwaliły się nikczemne sąsiady i dalejże ją rozrywać na strzępy! Wrogi nie wybierają co pańskie, a chłopskie, jednako paląc, rabując i do nędzy przywodząc. Ostatnią krowinę wyprowadzą ci z obory, ostatni kęs chleba odbiorą, ostatni grosz ukradną. Wszystka Polska we łzach i uciemiężeniu. Ciężkie terminy spadły na tę prześwietną Rzeczpospolitą! Więc kto jeno żyw, kto ma Boga w sercu i sumienie, staje w obronie matki rodzonej! Generał Kościuszko zwołuje na wielką wojnę wszystkie mieszkańce tej ziemi, wszystkie stany i wszystkie chłopy polskie. To mówię ci, chłopie czy panie, spadaj na wrogów, gdzie ich dopadniesz, i bij psubratów; bij kłonicą, bij orczykiem, bij kamieniem i czem ci się jeno żywnie spodoba, byleś ich tylko prał do ostatniego dechu, do ostatniej pary. I ty, żołnierzu, bądź bez miłosierdzia dla nieprzyjaciół wiary i ojczyzny! Zwycięstwo albo śmierć, a zbawisz Polskę, wolność weźmiesz w nagrodę i największym panom równym się staniesz.

Zasię pogromione twojemi rękami wrogi wnukom swoim zapowiadać nie przestaną: „Nie zaczepiajcie chłopskiego narodu. Cichy on i sprawiedliwego serca w pokoju, ale straszliwy i nieprzebłagany w wojnie. Cudzego on nie łakom, lecz swojego z garści nie popuści, a krzywdy nie daruje". A pamiętaj tam jeden z drugim, że nie grzechem jest wytępiać wroga, a jeno zasługą przed Bogiem i narodem. Bo jeśli padniesz w tej potrzebie, i już w białej szacie niewinności zapukasz do niebieskich podwojów, święty Piotr wyjrzy i zapyta: „A coście to za ludzie?"—To śmiele wołajcie: „My polscy żołnierze".—„Cóżeście znacznego dokonali, że się tak na dwór Boski ciśniecie?" „Pobilim wrogów i dalim gardła za wiarę i Polskę". Zdziwuje się temu wielce święty namiestnik, może i głową pokręci, może zrazu i nie powierzy, że to jeszcze do tej pory rycerzów w sukmanach do nieba nie wpuszczał. Ale wy nic, jeno wołajcie: „My kosyniery pana Ślaskiego! My som chłopy z Rzeplina, ze Skały, z Cianowic, z Przegini, z Sułoszowej, z Jerzmanowic, z Łąk; i gdzie się tam który ulągł, które z dobrawoli stanęlim bronić Rzeczypospolitej; otwórz, święty Pietrze!" Wysłucha i rzeknie: „Kiedyście tacy poczciwi, to wejdźcie!" I otworzą się przed wami święte wierzeje wiecznej szczęśliwości. Sprawiedliwe lenungi [1]) wypłacą ci w niebie, żołnierzu, na ziemi sto mszów odprawi się za ciebie, i wspominać cię będą po wiek wieków; zaś wdowy i sieroty opatrzy szczodrze Rzeczpospolita! Płaczcie, ojcowie i matki—wołał potężniej, dosłyszawszy szlochania — płaczcie! Pofolguj swoim łzom i ty, jaśnie wielmożna dziedziczko, aby się spełniło wedle Pisma Świętego: „czyja siejba w płakaniu, tego żniwo weselem się stanie". Nie łamać szeregów!—zagrzmiał, widząc tu i owdzie wyginający się front.—Stój w miejscu! Amen!

Poczem przystąpił do poświęcenia znaków i chorągwi, nastożonych na stopniach ganku. Odprawowała się ta ceremonja bardzo uroczyście i wśród rzewnego nastroju, a kiedy, skończywszy modlitwy, pokropił wodą święconą wszystkich dokoła, chorążowie dźwignęli w górę bojowe sztandary. W perłowem powietrzu świtów zaszemrały orle loty. Królewski biały ptak uniósł się na skrzydłach amarantów.

Na ten obraz zagrały trąby, zawarczały wszystkie bębny, mosiężne kotły huknęły, zakolebał się gwałtownie las pik i kos, wyrwane z pochew szable zamigotały błyskawicami, lunęła karabinowa salwa i z tysięcy gardzieli buchnął ogromny krzyk:

— Zwycięstwo albo śmierć!

— Żołnierze — wołał ksiądz, wskazując chorągwie. — Oto święte znaki, które was powiodą na bój, na zwycięstwo i na wolność!

---

[1]) Lenungi—zasługi, żołd.

— Zwycięstwo albo śmierć—zerwał się głos tysięcy, a od uderzeń kos o kosy poszedł brzękliwy łomot, jakoby bicia niezliczonych żelaznych cepów. Bojowa zawierucha ogarnęła wszystkich. Wichura krzyków, strzałów, uniesień zatargała chorągwiami, że załopotały, rozwijając amarantowe skrzydła i pokazując naprzemian to orła białego, to pszeniczny, złoty snop na skrzyżowaniu kosy z piką i napis zdala widny: „Żywią i bronią“ złotem aftowany.

— Baczność! Równaj się! Stać! — huknęła komenda.

Przycichło, szeregi stanęły zwartym, nieprzełamanym murem.

Ksiądz, stanąwszy na stopniach ganku, podniósł wysoko srebrzysty krzyż i przy blaskach zórz jął odczytywać rotę przysięgi. Czytał zwolna, wyraźnie i z taką mocą, jakby wrębując w umysły na wieczną rzeczy pamięć. Wiara zaś powtarzała niby pacierz jednym wielkim głosem. Przysięgali warem serc ofiarnych, wszystką duszą i wszystką dufnością, że ten zgodny chór podobien się stawał w swojej mocy wiosennym grzmotom, huczącym gdzieś nad polami“.

. . . . . .

„Dzień był na świecie, widno się zrobiło, siwy mróz pokrywał ziemię, z dachów już kapało, zorze pobladły, gdyż słońce co tylko miało się pokazać. Niebo zdało się być wydęte, jakby szklane, bez chmur, niebieskawe. Powietrze pachniało przymrozkiem. Nad ziemią słał się niski tuman mgiełek, przez który kapoty kosynierów dawały obraz zagonów rozkwitłej gryki, nad nimi powiewały suche badyle kos, pik i bagnetów. Ciche szepty brzęczały niby pszczoły. Stali rozwiniętym frontem we cztery bojowe kolumny; w odstępach, czyniących podobieństwo głębokich ulic, widnieli dobosze; oficerowie zajmowali powinne miejsca, zaś flanki okrywały sekcje fizyljerów z karabinami o nastawionych bagnetach.

Kaczanowski obrzucił wzrokiem wodza zbrojne zastępy, zabłysnął szablą i krzyknął:

— Hufiec w kolumnę, półsekcjami, dyrekcja na lewo, krok drożny! Marsz!

Ruszyli z miejsca ostro i wraz zagrała kapela do wtóru krokom bijącym w ziemię; maszerowali defilująco przed dworem, skręcając na drogę wyboistą, wijącą się w łagodnych spadkach wskroś nagich sadów.

Z ganku leciały za nimi błogosławieństwa, słowa tkliwych pożegnań, znaki krzyża, wiewania chustkami, a nawet ciche szlochania fraucymeru. Zaś chłopstwo, ciżbiące się na majdanie, wybuchało lamentami, kobiety zawodziły w niebogłosy, a co młodsi, wieszali się po płotach, drzewach i zrębach, byle dłużej się napatrzyć, jak rozciągnięta kolumna, niby wstęga barwista, połyskująca ostrzami grotów, pawiemi czubami, białością

sukman, przewijała się wśród niskich chałup, poletek, sadów i zarośli, opłyniętych jeszcze modrawą przesłoną mgieł porannych.

Ostatni właśnie pluton był przemaszerował i ostatnie furażowe wozy się przetoczyły, że nawet kapelę słychać było coraz ciszej, gdy pokazało się słońce. Wyniosło się nad światem ogromne i czerwone, niby oko Pańskiego Majestatu. Wtedy na ganku poprzyklękali, a sama dziedziczka zaintonowała pobożnie:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!“

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Dzieciństwo w otoczeniu przyrody wiejskiej i jego wpływ na całą twórczość Reymonta. Ciekawość życia i zmienne koleje w młodości, jako materjał do pierwszych utworów.

Komedjantka i świat aktorski. Reymont jako obserwator i malarz życia.

Fermenty. Typy prowincjonalne mężczyzn i kobiet. Psychologja bohaterki.

Ziemia obiecana. Materjał. Obraz świata maszyn i walki o złoto. Typy. Uczuciowy stosunek autora do tego świata. (Pewnego dnia).

Świat maszyn i przyroda jako dwaj przeciwnicy — wrogowie w utworach Reym. (Ziemia obiecana, Pewnego dnia).

Chłopi. Życie chłopa na tle natury i w ścisłej łączności z przyrodą. Chłop polski według powieści Reymonta. Poszczególne typy: Boryna i Antek, — Rocho. Typy kobiece. Strona obyczajowa w Chłopach. Obrazy i epizody. Przyroda w Chłopach. Umiłowanie piękna przyrody przez autora.

Z ziemi Chełmskiej. Uczuciowa strona utworu.

Trylogja Reymonta: epoka, obrazy, idea.

Na zagonie i Przed frontem—wrażenia z ostatniej wojny.

Charakterystyka twórczości Reymonta. Czy sąd o niej może być dzisiaj zamknięty?

Styl i język Reym. Gwara w języku Reym. Artystyczna strona powieści.

Obrazy przyrody Reym. i Dygasińskiego.

Chłopi Reymonta i Dygasińskiego (lub Prusa).

Do czytania: Wstęp Ad. Grzymały - Siedleckiego do zbiorowego wyd. dzieł Reymonta, Warszawa, Geb. i Wolff, 1921.

STEFAN ŻEROMSKI

ur. 1864.

Z żyjących powieściopisarzy wymienić musimy Stefana Żeromskiego. Praca jego autorska nieskończona, ale to, co powiedział, stanowi już całość, ma swój wyraz, z którego możemy sobie zdać sprawę, i spełniło pewne zadanie. Na najważniejsze zatem strony twórczości Żer. zwracamy tutaj szczególną uwagę, pozostawiając resztę ocenie przyszłości.

O dzieciństwie autora „Ludzi bezdomnych“ i „Popiołów“ nie mamy dotąd szczegółowych wiadomości, lecz wymownym jest głosem data urodzenia. Przychodzi na świat w pierwszej chwili po powstaniu, kiedy naród upada pod brzemieniem klęski, kiedy na całym obszarze ziem polskich panuje krzywda, krwawi się rana bolesna, jęczy zwątpienie i rozpacz. Taka pieśń kołysała jego sny dziecięce, — pierwsze wrażenia dziecka musiały być odczuciem bólu, przygnębienia.

Żer. nie przeżył dzieckiem żadnej jaśniejszej chwili historycznej, żaden słoneczny promyk nie rozpraszał wtedy panującej w kraju ciężkiej atmosfery poczucia bezsilności wobec potężnego wroga.

A dziecko było wątłe i wrażliwe, wchłaniało jęki podeptanej ziemi i ciche, smutne westchnienia serc ludzkich. Dusza jego musiała napełnić się smutkiem, który stał się tłem wszystkich wrażeń i uczuć późniejszych, nieodłącznym ich towarzyszem.

Urodzony na wsi, w Strawczynie, w pięknej ziemi kieleckiej, swobodnie od dziecka obcował z naturą, która mu szeptała swoje tajemnice. Gimnazjum kończył w Kielcach, ale uniwersytet już musiał porzucić, zarówno dla wątłego zdrowia, jak prawdopodobnie moralnej atmosfery apuchtinowskich stosunków. Czas jakiś był nauczycielem w domach prywatnych na wsi, a jednocześnie pracował gorliwie nad własnem wykształceniem. W r. 1892 dla zdrowia i studjów wyjechał do Szwajcarji, podróżował po Europie, a po powrocie do kraju na długo osiadł w Zakopanem.

Pisać zaczął wcześnie i pomieszczał artykuły i powieściowe obrazki w „Głosie“ i innych pismach. Wstrząsające jednakże i oświetlające charakterystycznie autora wrażenie wywarł zbiorek, wydany za kordonem pod pseudonimem Zycha: „Rozdziobią nas kruki, wrony“.

Już sam tytuł jest zaprzeczeniem całej wiary romantyzmu w niespożyte siły narodu, a każdy poszczególny obraz to krzyk rozdartego bólem, szarpanego zwątpieniem serca.

Takim głosem nikt jeszcze do nas nie przemawiał, nikt nam nie kazał przejrzeć się w takiem zwierciadle. A gdzież nasza nadzieja, siła, wiara? Kto ma budować przyszłość?

Można spierać się o to, czy wszystkie obrazy są odbiciem rzeczywistości, czy to nie gorączkowe marzenia, — nie można jednak wątpić, że autor tak widzi, tak odczuwa, i krwią z pod serca pisze sąd surowy.

Ten sam ból zresztą znajdujemy w innych, we wszystkich pracach Żer. Niema w nich nigdzie słońca. Młody autor przedewszystkiem widzi na świecie krzywdę, nędzę,

niedolę, podłość, zło. Te strony życia uderzają go wszędzie i zawsze.

Zło. Tyle złego. Zawsze triumfuje. Dlaczego? Dlaczego na marne idą wysiłki najszlachetniejszych? Dlaczego giną niewinni i dobrzy? Czemu zło rządzi światem? Któż tu najpotężniejszy?

To nam mówią wszystkie drobne obrazki i opowiadania, utwory młodzieńcze, ale już świadczące o sile uczuciowości i talentu autora. Treść ich epiczna, a każdy jest liryczną pieśnią, bo każdy jest wyrazem uczuć Żer. Poeta-liryk malujący na tle zdarzeń własną duszę.

Największą poczytnością cieszyły się „Syzyfowe prace“ (później cenzuralny Andrzej Radek), zmagania się prądów rusyfikacyjnych z odpornością uczuć młodzieży w gimnazjum prowincjonalnem. Pisane niewątpliwie na tle własnych wspomnień, uderzały prawdą i siłą obrazów i błyskały iskrą nadziei, jeżeli tytuł zastosujemy do wysiłków wroga. Jeżeli! To chyba mówi lekcja języka polskiego, którą nieznany przybysz wskrzesza serce nauczyciela, budzi dusze kolegów. — Oprócz obrazów szkolnych niezwykle miękko, serdecznie, subtelnie odczuty stosunek matki i syna-dziecka, a niektóre przynajmniej chwile zdają się być przepięknem i wzruszającem wspomnieniem z własnego dzieciństwa autora.

Za to ponury „Promień“ sprawia tylko przygnębiające wrażenie. Czytelnik zamyka oczy i szuka ucieczki od widoku, jaki sprawiają najszlachetniejsze wysiłki jednostki, pragnącej budzić życie w jakiejś zatęchłej gnojówce, rozbite o złą wolę, podłość i głupotę. To nie nowela — to akt oskarżenia.

W 1900 roku ukazali się „Ludzie bezdomni“, pierwsza powieść społeczna o szerszych rozmiarach. Treść ta sama, lecz obraz większy i pełniejszy: niedola, krzywda, zło. — I obrońcy. Ci obrońcy — to ludzie bezdomni. „Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością... Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden“... mówi bohater główny, zrywając serdeczny stosunek z Joasią, która pragnie iść jego drogą, obok niego. Tego wymaga walka ze złem od człowieka, który chce być jej rycerzem. — Czy rzeczywiście? Czy to jedyna droga? Czy wytrwa na niej szlachetny obrońca? Czy nie przysparza nieszczęścia na świecie o jedną szlachetną duszę?

Lecz nie o te pytania chodzi autorowi. Nie zadaje ich, nie szuka rozwiązania. On tylko widzi ogrom bezmierny niedoli i za miljony cierpi. Treścią utworu ból, ból nieskończony, i — brak wiary w skuteczność walki. Zło jest potężne, — może silniejsze niż dobro?

Szczerość wzruszeń i uczuć Żeromskiego silnie wstrząsnęła serca. Czytać go obojętnie niepodobna, bo każde słowo drży, żyje, cierpi i zaraża bólem.

Szczęściem — natura stwarza „Zapomnienie“,—inaczej życie byłoby niemożliwe. Ale istnieje „boskie, wspaniałe, dobrotliwe, najlepsze z praw przyrody — mądre prawo zapomnienia“.

W 1902 roku ukazują się „Popioły“, „powieść z końca XVIII i początku XIX w.“ to znaczy—powieść historyczna na tle dziejowej tragedji. Lecz autor nie nazywa jej historyczną. Historja stanowi tło, jemu chodzi o duszę ludzką, jej uczucia, jej męki, zmagania się i walki rozpaczliwe, mimo wiary, że „Polska jeszcze nie zginęła“. Głęboko przemyślana i odczuta epopeja napoleońskich legjonów, przesycona nawskroś liryzmem, jest znowu pieśnią serca Żeromskiego. Wspaniałe obrazy widzi przez pryzmat uczucia, i to im nadaje wzruszającą siłę, czy będziemy świadkami rabunku Wenecji, czy Mantuańskiej zdrady, czy zdobycia Saragossy. Obrazy przesuwają się przed nami, budząc podziw i zdumienie zarówno wobec umysłu, który tak szeroko objął tę wielką kartę naszych dziejów, tak głęboko przeniknął do jej treści, — jak wobec potęgi uczucia, które jest rzeczywistą i wstrząsającą treścią. Szereg typów maluje całą gamę narodowych uczuć, nastrojów i pojęć, i stanowi charakterystykę oryginalną, obok odczutej prawdy — pełną niespodzianek.

I znów—ileż idzie na marne! krwi, wysiłków, uczuć— cała żywiołowa potęga narodu, kwiat myśli i kwiat serca, rozsiany spróchniałemi kośćmi po dalekich lądach i morzach. A rezultat? — Moskwa, Berezyna — Lipsk.

Zło zwycięża, zwycięża. Gdzież nadzieja?

W obrazku „Aryman mści się“ autor zdaje się streszcza swe zwątpienia. Zło zawsze triumfuje zemstą.

Osobną jakby kartę stanowi powieść „O Walgierzu Udałym“ na tle starej legendy niby z czasów Bolesława Chrobrego. Podanie kronikarskie to zaledwie wątek, na którym autor rozsnuwa myśl własną, stwarza dusze swoich postaci. Zuchwały i krnąbrny witeź po twardych próbach życia uznaje konieczność podporządkowania samowoli jednostki wspólnym celom całości - narodu. Przedewszystkiem jednakże uderza nas nowy a prastary język, jakim autor tutaj przemawia, rytmiczny, niemal śpiewny, zbogacony mnóstwem wyrazów zapomnianych czy odtrąconych, a pięknych, i nadających całości jakieś odwieczne piękno.

Wszystkich dzieł Żeromskiego wyliczać nie będziemy, chodzi o myśl przewodnią, która je dyktuje, która stanowi także charakterystykę ich twórcy. Prócz niedoli społecznej mówią już „kruki, wrony“, że boli go niedola naro-

dowa, i prawie rozpaczliwie szuka jej przyczyn w nas samych. Takim palącym aktem oskarżenia jest „Duma o hetmanie“ czyli cecorska klęska. Znowu nietyle obraz historyczny, choć w szczegółach nawet najściślej malowany, ale to tylko harfa, na której on wygra pieśń własną. Bo to jest znowu pieśń, wielki głos serca. Czy Żółkiewski tak czuł i myślał pod Cecorą — nie wiemy, lecz tak tragiczny zgon odczuwa dusza Żeromskiego, niezdolna o rzeczach wielkich mówić powszedniem słowem, drżąca potęgą bólu, zwątpienia, rozpaczy.

A jednak tutaj właśnie znajdujemy pierwsze słowo pokrzepienia:

„Jest w orszakach ludzi polskich genjusz lotny, jest od przemocy zamęczona czcigodna wola.

Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej, motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cudowne w rubasznem pustkowiu.

Przez trud tych dusz w Polsce samotnych przysięgam, iż wydźwignie się anioł jej wewnętrzną mocą swoją z cielesnej poczwary“.

Promyk ten znowu gaśnie. Ogrom zła i niedoli, jakie widzi poeta na ziemi, zdaje się go przytłaczać, pozbawiać władzy wzroku dla rzeczy szlachetnych. Może zamyka oczy, aby ich nie widzieć: wszak idą na zagładę, na marne, na marne!

Czyż nie to mówi „Wierna rzeka“, bolesny, rozdzierający chwilami epizod czy obrazek z r. 63, — jednostronny, — niesprawiedliwy? Bo wyjątkowo tylko lud był prześladowcą powstańców. Oskarżenie wstrząsające i straszliwe.—„Uroda życia“ znowu potrąca ten temat ubocznie. Syn powstańca, wychowany w Moskwie czy Petersburgu, świetny uczeń rosyjskiej szkoły i jej historycznych poglądów na Polskę—na mogile ojca przeżywa bolesną, głęboko utajoną mękę odrodzenia.

Epizody, wspomnienia, drobne obrazki i echa powstania odzywają się często w utworach poety, zawsze z tą samą siłą.

Nie wyliczając całego szeregu prac, które oceni przyszłość i studja krytyczne, wspomnimy o obszernej Trylogji społecznej, ukończonej już podczas wojny i związanej z nią treścią: „Nawracanie Judasza“, „Zamieć“ i „Charitas“. Znowu walka z głupotą i podłością ludzką, klęska szlachetnych, triumf przewrotnych i tłumu, co gotów zgasić słońce — gdyby go dosięgnął.

Lecz wypadki wojenne musiały głęboko wstrząsnąć duszę Żeromskiego, a świt wolności rzuca jasny promień nawet w to zbolałe serce. Zadrgała w niem milcząca dotąd

struna wiary w zwycięstwo nad potęgą zła na ziemi—i powstał „Wiatr od morza“.

Wiele nowego znajdziemy w tej pieśni na tle dziejów prastarej dzielnicy, Pomorza. Zjawy i echa dalekiej przeszłości przemawiają językiem starym a bogatym, pełnym jakiejś odwiecznej siły i nieznanego czaru. Przesuwa się przed nami szereg obrazów dziwnych, coraz bliższych, a wszędzie rządzi skrycie albo jawnie nieśmiertelny Smętek, pierwiastek zła niepokonany, zuchwały, groźny i szyderczy. Istnieje w czasach przedchrześcijańskich, panoszy się w Krzyżackim płaszczu, szydzi z orężnych zwycięstw Jagiellonów — lecz na ostatnich kartach porzuca prastarą dziedzinę, gdzieindziej się przenosi dobrowolnie, bo tu — niema dla niego pola.

To już nietylko nadzieja i wiara, to radosne i silne przekonanie o zwycięstwie. To nowa struna w harfie Żeromskiego, która jeszcze pieśni swej nie wyśpiewała. Możemy na nią oczekiwać.

Niekiedy poeta-liryk próbował także formy dramatycznej. Tu należy „Sułkowski“, ginący tragicznie z woli Napoleona, który twardo usuwa ze swej drogi genjalnego współzawodnika, — ostatnia tragedja „Turoń“ — rok 1846— symboliczne uosobienie pierwiastku zwierzęcości i okrucieństwa w zapustnym ludowym turoniu.

Nie wyrażając sądu o autorze jeszcze w pełni sił i twórczości, chcemy tylko zaznaczyć jego najważniejsze cechy: głęboka i gorąca uczuciowość, miłość ludzi i kraju, współczucie dla wszelkiej niedoli i krzywdy, często brak wiary w zwycięstwo światła nad ciemnością, uznanie potęgi zła. To zło widzi w duszy człowieka, i dlatego tak trudne jest do pokonania: wymaga zwycięstwa nad sobą.

Co do formy — oprócz budowy niektórych utworów, należy zwrócić uwagę na język, zbogacony archaizmami i gwarą, niezwykle oryginalny, dźwięczny, w opisach barwny, rytmiczny, często język hymnu, nie codziennej prozy. Dają o nim pojęcie wyjątki z Walgierza i Dumy hetmana. Wyjątek z Wiatru od morza charakteryzuje jasny zwrot w twórczości Żeromskiego — ustąpienie Smętku — z naszej przynajmniej dzielnicy.

Za obowiązujące do przeczytania uważamy chociaż niektóre, osobno wydane obrazki z „Rozdziobią nas kruki, wrony“, — „Syzyfowe prace“, „Ludzie bezdomni“, „Popioły“, — pożądane: „Sułkowski“, „Wiatr od morza“.

Z WALGIERZA UDAŁEGO.

„Weszli rycerze w pustosz, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołysząc się w spławach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący

wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze[1]) konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wicher z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur, z grzmotem pod kopytami, a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłemi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody, wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty jodłowy bór, i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawżdy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Plączą się twarde rózgi i dotykają liście.

Zdala tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty[2]) i snuć chłodnemi rankami po ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwe pawęże[3]) gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hodują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem,--raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnemi pięściami, cicho się wrótnie rozsunęły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łan, niwa bodze[4]) poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich rzemień kiścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

---

[1]) Wojownicy. [2]) Śniat—pień. [3]) Tarcza. [4]) Zam. Bogu, stara forma.

Żyły tu wieszcze rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy wola, ze źródliska wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a z pod przyciesi bożnicy baniami przejrzystemi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uśpiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układły, spać z dobrowoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Polel obmył czystemi wodami z chmur, na bukach osiadłych, kości białe, krew struchlałą, a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnemi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie — i strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznemi od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co jak serce w piersi człowieka, wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień, chodzący dokoła węgłów, i niweczy wszelki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu niezmrużonemi oczyma promieniste złocienie. Jasna ich moc za siódmą górę, a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem jak gdyby poblask na wodach zorzy wieczornej,.. Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemno-niebieskich dzwonków zatoka. Na powikłanych odnóżkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty, plemieniu ludzkiemu przychylne, a darowują oczom tę barwę, której ponad wszystkie inne trwożą się dziwożony".

DUMA O HETMANIE.

„Wpośrodku wojska, między synem Janem, hrubieszowskim starostą, synowcem Łukaszem, kałuskim, a Aleksandrem Bałłabanem, winnickim, siostrzeńcem z żółkiewskiej krwi, — orzełmogilnik Rzeczypospolitej wojen i rada, Stefana króla żołnierz,—

hetman i kanclerz, sławy polskiej piastun, na oczu wszystkich w wysokiej cecorskiej krzepi... Kołpak na nim ciasny, z czaplem pierzem, znacznie wydanem.

Wiatr pierze muska.

Lamparcia zwisa skóra z twardych karwaszów, złocących ramiona. Nieruchoma buława, — znak chwały polskiej, cnoty męskiej, przelanej od wieków krwi — na łęku siodła spoczywa.

Grzeje się koń i niepokoi pod kanafacowym czaprakiem, pod siodłem srebrnostrzemiennem, w złoto oprawnem, drogiemi wysadzonem kamieńmi.

Wyciąga gibką szyję hetmański koń, co po dziedzińcu kniazia Groźnego Iwana, po łobnem miejscu Borysa, u wrót dwuramiennej cerkwi Błażennego Wasyla srebrną dzwonił podkową. Czujnemi chrapy wciąga wiatr z obozowisk Skinderabaszynych lecący...

Dostojne czoło hetmańskie, ozdoba rasy, szedziwemi oplecione promieńmi, na załogę bezpieczeństwa ojczyzny z granic jej wyniesione, duma nad sprawą. Majestat i piękno twarzy tej, skryte w niej sumienie szlacheckiego Polski gminu — włada tłumem.

Uśmiech, żałosna mądrość, szydzący i miłościwy, na ustach siadł i nie schodzi.

Czujne oczu spojrzenie w dal poleciało ku olbrzymiemu wrogowi — i nie wraca, jakoby ów podjazd szalony Odrzywolskiego Jana, co pocwałował orłoszumiący skrzydłami w paszczękę nieprzyjacielską — i nie wraca.

Powiał z dalekich koszów Gałgi, z czat Kantemira—gwar, zgiełku echo, poryk bydła, rżenie koni.

Wzmógł się uśmiech od głębokiej hetmańskiej dumy.

Ściągnie się w przestrzeń biała dłoń.

— Nie ciebie się boję, — nie ciebie się boję, o wrogu! Nie ciebie się boję, zewnętrzna potęgo, nawałności janczarska, co mię strasznemi chcesz ogarnąć skrzydłami, góry kamienne na piersi me dźwigasz i kraczesz nad sercem złowieszczych wron chmurą. Nie wobec ciebie trwoży się serce moje, gdy zstępujesz nieprzejrzanym obłokiem na tę garsteczkę szlacheckiej krwi, — gdy błyskasz włócznią setek tysięcy i Goljata wywlekasz miecz...

Dawidzie mój!...

Zwróciły się oczy hetmańskie na zastęp siedmiotysięczny i szły po chorągwiach koleją, koleją. Patrzą w demeszkowane szyszaki pancernych Korony, na kopije lasem stojące z powiewnym jak welon proporcem i grotem błyszczącym, — na pancerze ruskich województw srebrem nabijane i złotem, — na litewskich petyhorców poczty, przybrane w brzeszczotowe koszule i gięte kolczugi. Obejmują głowy misiurkami okryte, hartują miecze u boku szerokie i długie, utwierdzają drzewa kopji olbrzymiej, przywiązane do łokcia sznurem z jedwabiu.

Wpośrodku między taborami, na czele, troistym szykiem w półkole, we sto dwadzieścia koni każda, husarskie czatują chorągwie hetmanów.

Rozkosz oczu rycerskich, pociecha ducha twardego!

Tarcze z rodowemi lśnią znaki.

Rycerze i konie obleczeni w kirys. U boku ich — koncerze. Pod prawą nogą u siodła — rapier do ścinania wroga, dziewięćłokciową zwalonego na ziemię kopiją. Na łęku młot sześciofuntowy do miażdżenia szyszaków, albo berdysz dwubrody do płatania na poły pancerza. Skóry lampartów i lwów, czarnych albo białych niedźwiedzi, i wilków na barach. Z przyłbic strzelają czaple kity, pióra żórawie, indycze i bocianie. Zaramienne skrzydła w kunsztownej oprawie zrosły się w las, w puszczę młodą, po której strzelistych piórach sława szeleszcze. Długie, ze złotemi krzyżami, żółte i białe, czerwone i błękitne wieją proporce. Hetmański na czele znak, drzewo z wprawionem w nie skrzydłem rozpostartem orłowem.

Przed chorągwiami rotmistrze. Na czele ich — pułkownicy. Przy znakach pancernych trębacze z surmą przy ustach na sygnał czekają. W pogotowiu pałki trzyma bębenista.

Ponad nimi wszystkimi — jako żałosny polski biały ptak — polata myśl hetmańska, wszystko nieulękłem rozsądzająca baczeniem:

— Ciebie się nietylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca, duszo polska!

— Przed tobą drżę, ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma...

— Widziałem cię w krwawych bitwach.

— Gdyśmy się siekli w pałasze z Kozaki i z wojewodą Michałem, pod Rewlem z Karolusem, pod Toropcem z Moskiewskiego Tatary, u bram niezłomnego Połocka, pod tynami płonącemi Wielkich Łuk, we trzydziestu nogajskich zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata, po Monomacha czapkę szafirową, dla polskiej skroni królewskiego dziecięcia... Widziałem cię w byczyńskiej opresji, gdy w djabła łańcuckiego kudłaty łeb przyszło cisnąć siekierą, — i pod Guzowem, gdy po ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

— Och, polskiego wyuzdania duchu, wrosły w serce, ojcowski, własny — a obcy, — rodzimy — a wrogi!

— Nie przed najeźdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o sobie - pany!

— Każdy zosobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wiszniowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohiłowi zięciowie — każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce,

prowadzi wojnę, i gdzie chce, szuka ojczyzny. Djabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszaninem. Samuel banita praktykuje Kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski gromadzi stotysięczną armję przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka rozbija ogromne pułki jedynowładców północy pod Zamkiem Biełozierskim, u Wielkiej Soli, i pod błotnistym Suzdalem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki, na moskiewskim budowane lodzie, zechce zaglądać. Książę Korecki we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hordy na tem wołoskiem palenisku, wiecznie krwią polską gaszonem.

— A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hospodara na multański tron, podpał pod całą Rzeczpospolitą wzniecą; skoro lisowczycy, wspierając cesarza z Betlenem Gaborem, rozjuszą sułtana do tyla, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie; kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gołe granice zastawić od nawały, — wtedy nielża!

— Ze wszystkiej, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów — siedmiu tysięcy żołnierza!

— Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek, — gdyby nie koligaci z pod Karpat podnóża, co na słowo najświętsze zaklęci, skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedzkiej wyjdą przyjaźni — iłużby ze mną było?

— Darmo w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha, wpośród mów, a szumnych odpowiedzi — w zimnem kole skomleć, gdzie w pośmiewisko obracają uniwersał, — żeby Warneńczykową strzałę woli na cięciwę Stefana króla zuchwałej rady położyć,— nie zasłaniać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu u węgłów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka drzwiach, — lecz w nieprzyjaciela ślepie iść, najeżdżać go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi wolnych postawić nogę.

— Lecz któż w płytkie serce ludzi wolnych tchnie, żeby w sobie jedno uczcili Prawo, niem się związali, zbudzili wolę, wzniosłość i zachwyt wielki?

— Jeśli nie skoczyć z tym zastępem sam na dwudziestu nieprzyjaciela, zarzucą w tył zniewagi, idąc na swą pijatykę, me główne imię z niedbałą sarmacką pychą, z niewdzięczną polską fantazją, jako wylot kontusza. A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym szlochem mą pamięć, unurzają moje

imię wojenne w błocie obmowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je w pomietle pospólnego sądu, w śmiechu swym bezrozumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym mym hełmem kitę przekleństwa".

WIATR OD MORZA.

I.

„Od majowego z południa powiewu morze stawało się bławe, niby oczy kobiece. Wody jego snuły się same w sobie i bezwładem fal, ciężarem opadania wygładzały piaski wybrzeża, poorane od lodów. Gorący oddech dalekich stron południa kołysał się w gęsiach tych i przybijał do wyziębłych brzegów. Piaski były nieustępliwe, niemal twarde, jak skrzyżale kamienne. Miękka kidzenia, zielonawa powłoka zwiędłych wodorostów, wypchnięta z toni, rozpościerała się na wzór kobierca, żeby snadź ostre kamyki, z głębokiego wymiecione odmętu, bosej stopy nie skrzywdziły. Równe, powłóczyste, ciężkie morze, na rewach i mieliznach żółte, na głębinach ciemnomodre, w cieniu obłoków zielone, przeistaczało się w przystań cichą, w rozkosz spojrzenia. Wysuwało się z błękitu niewidzialne dotychczas, dalekie, jasne pasmo międzymorza. Naprzeciwko niego miłościwym łukiem zaznaczał się szlak mierzei, jeszcze mniej znaczny, ni to plama podłużna w źrenicy, — ląd, który wielka rzeka z ziem swoich przez wieki wieków wynosi. Zataczały się ku sobie w źrenicy patrzącej te dwie krzywe linje, jak gdyby rzęsa górna i rzęsa dolna nad okiem niewysłowionej piękności. I otwierało się ku wiosennemu słońcu oko morza wiosenne, nieobjęte, nienapatrzone, samo w sobie doskonałe. Błękit niebieski i światło niebieskie przeniknęły wody i ziemie dalekie, czyniąc z nich jedyną istność piękności. Nad ziemią sunęły białe i śniade obłoki. Gdy obłok sunął nad kolebskiemi wzgórzami, wątły cień przesuwał się po zieleni lasów. Tam między jedną a drugą duną, gajem sosnowym obrosłą, otwierała się cicha dolina. A za doliną wznosiła się duna osobna, którą od podnóża do szczytu pokrył żarnowiec sam, jedyny. Witeczki jego, z korzeni twardych jak róg pędzące nagiemi rózgami, nie miały jeszcze liści. Sam jeno jasno żółty, płomiennobarwny kwiat od korzenia do najwyższego pędu je okrył. I wszystka góra od podnóża do okrągłego, najwyższego wierzchołka, stała jak jeden krzak ognisty, jasnożółta, na wzór słońca płomieniejąc. Zapach traw młodych niósł się z poprzecznych łąk między górami, gdzie Kaczy strumień po kamieniach z lasów spada, ażeby potem cichym błądzikiem zataczać się między wierzbami i niepostrzeżenie w żółtych piaskach przelewać swe leśne wody. Daleki odgłos morza uderzał w ciche doliny między górami. Jakby usiłując naśladować piękność i nieskończoną melodję morskiego szumu, zanosiły się od śpiewu słowiki i kosy, przelewając melodje w melodje swoje. A jak gdyby na skutek

śpiewu kosów i słowików, wzruszała się śniada i żółta ziemia, gliny i piaski, a z łona jej wonne konwalje tryskały".

II.

„Wiatr wschodni spędził z pokładu parowca większość pasażerów.

...Na pokładzie pozostało kilku mężczyzn.

Dwóch prowadzi dłuższą rozmowę.

Statek minął wody Helu, wypłynął na potężne fale pełnego morza i zakołysał się silniej, bujniej, swobodniej.

Podróżni rozmawiali.

— Pana te rzeczy widać nie bolą i nie obchodzą. Ale dla nas, Niemców rodowitych i czujących swą krzywdę i zniewagę...

— Już mię te sprawy wistocie nie obchodzą. Interesowały mię dawniej. Bardzo długo. Teraz już mię nawet nie zajmują.

— Dlaczego?

— Poprostu dlatego, że one wistocie już tu nikogo nie mogą obchodzić.

— Och!

— Pana może jeszcze ostatniego.

— Ja tego wszystkiego nie mogę znieść. Wyjeżdżam stąd. Emigruję.

— Ja także.

— Pan jedzie do Niemiec?

— Nie, do Anglji.

— Jeżeli sprawy tutejsze i ich bieg, dla Niemców fatalny, nie obchodzą pana, to pocóż wyjeżdżać? — spytał blondyn.

— Jakby to panu powiedzieć? Wygasa tutaj to, co mię dawniej interesowało. Nastaje tu martwy spokój, którego nie znoszę. Niema tu już niemieckiej duszy i pasji.

Blondyn przysunął się do bruneta i zapytał go zcicha:

— Pan pracował w niemieckiej robocie?

— Być może — rzekł angloman.

— Czemuż ją pan rzuca? Tacy ludzie są nam potrzebni.

— Tu już niema i nie będzie dla mnie roboty. Margrafowi Geronowi zastąpił drogę jakiś ciemny a podstępny Mieszko. Spojrzeli sobie w oczy i — o dziwo! — postanowili zawrzeć zgodę. Jeszcze jej nie zawarli, ale ją zawrą. Cóż ja tu mam do roboty?

Tęgi Niemiec zaśmiał się grubo.

— Śmiej się pan — rzekł brunet. — Stanęła już w miejscu wasza siła i dalej na wschód się nie pomknie. Przeciwnie. Będzie się na zachód odginała. Widziałeś pan, co się stało z Poznaniem, Bydgoszczą, Grudziądzem? Czy wiesz pan, co za lat kilka będzie z Gdańskiem? Niemcy się polszczą. Przypominają sobie dawne swoje słowiańskie pochodzenie i — horrenda się dzieją. Zresztą w głębi was samych słabe cnoty zaczynają pul-

sować. Wyciągacie stare szlafmyce i pantofle. Stajecie się potulni i zgodni.

Blondyn żachnął się głośno, a groźnie zaprzeczył.

— Nie zaprzeczaj pan. Umiecie gniewać się i perorować, ale już robić na całego, po dawnemu, nie zdołacie. Ja wiem dobrze.

— Nigdy się nie wyrzekniemy tej ziemi!

— Ale ona was się wyrzekła... Zresztą mnie osobiście robota istotna, robota w moim — to znaczy — wielkim stylu, nastręcza się gdzie indziej.

— Gdzież to?

— Gdzie indziej. Tam, gdzie jeszcze naprawdę handlują ludami, ziemiami, prawami, cudzemi niepodległościami i prastarą kulturą. Tam, gdzie jeszcze kłamią w żywe oczy, mając na obliczu bezczelną a wspaniałą maskę nieposzlakowanej prawdy i cnoty. Tam jadę ofiarować swe usługi.

— Ha — szczęśliwej podróży!

— Z wami cóżbym tu teraz robił? Zapisać się chyba na śląskiego lub wschodniopruskiego najmitę z nożem w rękawie, lub ręcznym granatem w kieszeni. To wam wykona według zleceń prawą lub lewą ręką każdy dobrze płatny parobek. A ja mam jeszcze oprócz ręki także i głowę. Moja głowa nie ma już dla was tęgich myśli. Stoicie na rozdrożu nowych gościńców, wiodących do krainy cichych cnót i zgodnego posłuszeństwa każdemu, nawet cudzemu prawu.

— Mylisz się pan grubo!

— Nie mylę się. Będziecie robili w cnotach, jak umiecie robić w sklepikach, porządnie i systematycznie. Maluczko — a ockniecie się w ramionach braci Polaków, tudzież łzy miłości będziecie w ich brudne kamizelki wylewać. Przebaczycie sobie nawzajem winy, odpuścicie grzechy, zapomnicie starą przeszłość, podacie sobie prawice, wykreślicie najsprawiedliwsze na świecie zazębienia gminy o gminę, i każdy w swoim kraiku, albo przetasowani pomiędzy sobą w miastach mieszanych, będziecie zgodnie i na zawsze pracowali nad normalnym przyrostem żywej wagi mamy cywilizacji i spokojem żywota papy postępu, uchylając wszelkie powody niezdrowej alteracji.

Machnął Niemiec groźnie prawicą.

— Nie zaprzeczaj pan. Podpatrzyłem was dobrze, uważnie, w szczegółach i na przestrzał. No — i długo. Teraz już na zawsze żegnam — i wyrywam, gdzie pieprz rośnie! Należycie do przeszłości. Wygasł w was Henryk Ptasznik i ocknął się ze snu przy grobie św. Wojciecha Otto III.

— Cóż to za mistyka?

— Ręczę panu. Jadę do tych, co chylą się wprawdzie także ku przeszłości, sypią się tu i tam w gruzy nowoczesnego zwichnięcia rasy człowieczej, ale mają w sobie jeszcze wigor Ryszarda Lwie Serce, któremu ludzkie mięso równie dobrze

smakowało jak bycze lub baranie, a który chętniej zwykł był zabijać ludzi niż zwierzęta. Tam jeszcze odżyję i będę miał o co ręce zaczepić. Bo tam w silnych rękach pali się jeszcze robota. Tam jeszcze stoją otworem kuźnie, i walą ręce potężnych kowali w kajdany na gorących od młota kowadłach. Tam jeszcze czczą dumę z siebie jako bożyszcze, a na deptaniu wszystkich innych, białych i żółtych, czarnych i śniadych, zasadzają i gruntują swoją własną, na wyspie wyrobioną sprawiedliwość.

— Więc pewny pan jesteś dobrej posady u tych nowych panów?

— Będę się starał o dobrą. Mam niezłą szkołę i niezłe rekomendacje. A gdzież dziś, panie, ocenią wysoką wartość mych rekomendacyj? Tylko tam, dokąd się kieruję. Tam jeszcze wygłaszają słowo — sprawiedliwość, z flegmą dusząc objekt za gardło.

W tej chwili pociąg przebiegł wzdłuż helskiego półwyspu. Świecił jaskrawo okien szeregiem i sunął po niskiej, przymorskiej ziemi. Zdawało się, że mknie po powierzchni morza.

— Patrz, pan, patrz! Pociąg na Helu... — mówił do Niemca angloman.

— I cóż? Śmieszna impreza Polaków.

— Mówiłeś pan, że to barbarzyńcy. Tymczasem oni wybudowali kolej tam, gdzie wy zostawiliście barbarzyństwo.

— Mógłbym dużo śmiesznych anegdot o tej tam kolei powiedzieć. Ale szkoda na to czasu. Wybudowali ją pod przymusem wypadków, ze strachu.

— Ejże! Ten pociąg nawiezie ich tu z głębi lądu. Obsiądą ten przylądek i zaludnią. Wysypią na piaski z jednej i drugiej strony tysiące tysięcy dzieci. Uczynią z jałowego pustkowia południową plażę w tych północnych wodach. Będą się tu leczyli i nabierali zdrowia. W siły tu porosną. Będą tu wypłókiwali wszystek brud i skarlenie swe, w niewoli nabyte. A gdy się dobrze nauczą myć, czesać, kąpać, — a gdy się jeszcze nauczą po waszemu zamiatać, szorować, — no, i pracować, — biada, synowie Bismarka!

— Nigdy się nie nauczą myć, czesać, kąpać. A już po naszemu pracować — przenigdy!

— Dobrze jest mieć w sobie na składzie większe zapasy pewności swego dostojeństwa. Owszem. Ale muszę jedno szepnąć w zaufaniu. Już te bramy piekielne, któreście — powiedzmy — któreśmy tutaj wielekroć nad nimi zatrzaskiwali, ta pokrywa szczelna i z dobrego żelaza — zardzewiała, połupała się i pękła na zawsze. Nigdy już nie odzyskacie Pomorza!

— Skądże taki horoskop? Nim jedno pokolenie podrośnie, zawali się w gruzy to własne ich śmieszne „państwo“.

— Kto to wie!

— Z rozkoszą nas powitają Kaszubi, gdy tu powrócimy.

— Kto ich tam wie, tych Kaszubów! Było już tak, żeście pracowicie osadzili swych własnych ludzi na piasku pruskiego pojezierza, żeście im grunt wykarczowali pracowicie, żeście im domy porządne zbudowali, żeście ich zaopatrzyli w co potrzeba, — a przeciwko wam samym skoczyła rewolucja tych ludzi, dzika i straszna, na noże idąca. Cóż dopiero teraz, o Niemcy!

— Przeciwko Polsce wypowiedział się wierny nasz Mazur.

— Czy się drugi raz przeciwko niej wypowie za lat dziesięć, piętnaście, gdy go dzieje spytają o zdanie—któż zaręczy? Powtarzam: już raz wasz lud własny do Polski się twarzą obrócił i na twarz przed nią upadł, błagając, żeby go wzięła pod swą władzę. Któż wie, czy Mazur nie otrze z twarzy potu a brudu niewoli i nie wspomni sobie, że nad nim panują cudzoziemcy?

— Przypatruję się panu i myślę, że z zamaskowanym Polakiem się spieram.

— Uspokój się pan. Zbyt dobrze wam życzę. Ale właśnie dlatego, że dobrze wam życzę, prawdę w oczy wam mówię. Sami sobie nie lubicie prawdy w oczy wyjawiać.

— Pracuje w głębi Niemiec tysiące tysięcy warsztatów, zakładów, pracowni. Organizujemy nowe Niemcy. Państwo przyjmuje warsztaty i wspólnie z rzeszami pracowników organizuje olbrzymie zespoły. Kto lepiej od nas pracuje i wytwarza na ziemi?

— To właśnie, to właśnie! Lecz wśród wszystkich tych zjawisk jedno was zaskoczyło straszliwie.

— Wojnę przegraliśmy z kretesem, sami jedni przeciw globowi ziemskiemu!

— Nie, nie to. Czyż pan tego nie widzisz? Masa się wam z garści wymknęła. Już ani Niedźwiedź, ani Fryc, ani Bismark nie udepce jej, nie ujarzmi, nie ugniecie w żelaznych swych dłoniach. Masy nie macie, jak ją mieliście niegdyś. Wyszła poza was i stała się sobą. To jest wasza klęska najgorsza.

— A tam, dokąd pan jedziesz, masa nie chce być sobą, nie wyłamuje się z ręku?

— I tam, dokąd ja zdążam, masa staje się sobą, tężeje jak lawa wypływająca z krateru. I tam płynie ta klęska równie dobrze, jak u was. Ale tam jest gmaszysko przestrone, olbrzymie, kolosalne, na całą kulę ziemską rozległe. Tam jeszcze pan znajdziesz przy wszystkich nowoczesności pozorach, maskach i snobizmach — podziemia, zapadnie, jaskinie, wieże tortur, trupiarnie, kostnice, Gibraltary, Malty, Indje — i inne nory i dziury z dziesiątego wieku, w których działają obcęgi i kuny metodami ludzi z wieku czwartego. Tam jeszcze stoją interesujące zamki Lady Makbeth. Śmieszna to była pycha wasza, żeście się z tamtymi ludźmi równać zamierzyli.

Czyż wy jesteście takim gmachem? Tyleście zyskali, że wasz stary Malborg z jego tajnemi schodami i gruboskórną jego legendą prześwietlili światłem elektrycznem, ażeby was było widać wzdłuż, wszerz i naprzestrzał. I widać was jak na dłoni.

— Skarze Bóg Anglję!

— O, najśmieszniejszy z okrzyków! Zacznijcie już lepiej czytać na nowo pisma Ludwika Tiecka. Albo Cierpienia młodego Wertera na nowo czytywać zacznijcie. Zalejcie się na nowo waszym quasi-płaczem. Mniej śmieszni będziecie.

— Znieważasz nas pan, gdy jesteśmy w nieszczęściu. Ale wydźwignąą Germanję ramiona jej synów!

— Wydźwignąą, lecz nową i wam samym nieznaną. Aby starą wydźwignąć — już ludzi nie macie.

— My, panie? — śmiał się Niemiec.

— Ci, o których pan myślisz, to nie ludzie, to pały. Trzebaby za nich kręcić głową, za rękę ich prowadzić, ramieniem ich podpierać. Dość tego. Nim się wielkie gmaszysko, cel mej drogi, zacznie walić, w gruzy lecieć, w pył rozmiatać, nim ten teatr godny bogów napełni glob łoskotem i szczękiem nielada — zabawimy się jeszcze.

Statek zatoczył półkole"...

. . . . . .

ZADANIA USTNE I PISMIENNE.

Dzieciństwo Żer. na tle epoki popowstaniowej: pierwsze odczucia i wrażenia, — atmosfera krzywdy i bólu. — Wykształcenie, podróże, — dlaczego osiadł w Zakopanem?

Rozdziobią nas kruki, wrony — jako straszny krzyk bólu i zwątpienia. Co Żer. widzi w swej ziemi ojczystej? Na czem opiera groźną przepowiednię?

Syzyfowe prace. — Czyje? Czy tytuł jest słowem nadziei czy zwątpienia? Szkoła i jej zadania w Syzyfowych pracach. Co zapewniło książce wielkie powodzenie?

Ból i krzywda w szeregu drobnych opowiadań i obrazków Żer.

Ludzie bezdomni. Krzywda ludzka w Ludziach bezdomnych. Charakterystyka dr. Judyma. Rycerze sprawiedliwości w Ludziach bezdomnych. Społeczne znaczenie powieści.

Popioły. Tło historyczne. Bogactwo materjału, wiedzy i myśli autora w Popiołach. Epizody—ich znaczenie i rola w budowie powieści, plastyka i wykończenie. Bogactwo i rozmaitość typów. Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro. Chłop w Popiołach. Książę Gintułt. Opisy natury. Liryka i ból w Popiołach. Berezyna i Lipsk jako zakończenie. Budowa powieści. Język.

Walgierz Udały. Myśl, — język, — obrazy.

Duma o hetmanie. Obraz epoki czy duszy autora? Historja czy poemat historyczny? Otchłań zwątpienia i błyski nadziei w Dumie. Język hymnu.

Wiatr od morza. Rola Smętku w dziejach Pomorza. Smętek jako pierwiastek zła we wszystkich utworach Żer. Budowa powieści. Co mówi zakończenie? Język przystosowany do treści ustępu.
Żeromski jako poeta bólu i zwątpienia.
Natura i krajobrazy w powieściach Żer.
Bitwa w powieści Żeromskiego i Sienkiewicza.
Lud Żerom. i Reymonta.
Język Żerom. — porównaj z językiem Sienkiewicza, Dygasińskiego, Reymonta.

Który z utworów Żerom. najgłębsze podług ciebie sprawia wrażenie i dlaczego?

Do czytania: Ign. Matuszewskiego „Twórczość i Twórcy“, — Żeromski.

POCZĄTEK LITERATURY DLA MŁODZIEŻY.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA. 1798—1845.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa, zasłużona autorka z początku XIX w., stwarza nową i wielkiej doniosłości gałąź piśmiennictwa polskiego.

Urodzona w Warszawie, wychowała się jednak na wsi, u ciotki Szymanowskiej, ponieważ ojciec, dzierżawca skromnego folwarczku, odumarł ją wcześnie, a niezamożna lecz liczna rodzina potrzebowała pomocy.

Ówczesne wychowanie panien w szlacheckich domach zamożniejszych było wyłącznie francuskie. Modliły się po francusku, historję Naruszewicza tłumaczono dla nich na język francuski, aby z niej mogły korzystać! — naturalnie że w tym języku odbywały się wszystkie lekcje, — rozmawiały wyłącznie po francusku. Taką szkołę przeszła Klementyna i po 10 latach wróciła do matki, aby już stale zamieszkać z rodziną.

Matka Klementyny była kobietą rozumną, — toż samo powiedzieć można o wiekowej już babce, która wcale po francusku nie umiała. Bywał u nich biskup Woronicz, poeta i miłośnik literatury ojczystej, czytywano utwory polskie, a „Żal za polskim językiem" Brodzińskiego wielkie zrobił wrażenie na młodej duszy Klementyny. Zrozumiała i głęboko odczuła potrzebę gruntownej zmiany w wychowaniu dziewcząt, zastąpienia francuzczyzny książką polską. Zapragnęła gorąco przyczynić się do tego własną pracą.

W r. 1818 dwudziestoletnia autorka wydaje dość obszerne dziełko—„Pamiątka po dobrej matce". Umierająca matka pozostawia córce rady i wskazówki, zlekka urozmaicone fabułą. Książka niezupełnie może oryginalna w pomyśle, lecz niewątpliwie jej własna i polska w duchu, samodzielna pod względem młodocianych jeszcze, a jednakże tak mocnych już przekonań, iż żadna z prac późniejszych im nie przeczy, pogłębia tylko i rozwija wyrażone tutaj poglądy. Samodzielna praca kobiety na polu tak poważnem i spragnionem jasnych i polskich wskazówek, powodzenie miała ogromne. W ciągu lat dwóch rozchwytano trzy nakłady, p. Tańska stała się odrazu sławną, a zachęcona tak wielkiem uznaniem i życzliwemi radami przyjaciół, całą duszę oddaje rozpoczętej pracy, obmyśla plan i środki, uzupełnia dziełko poprzednie, i ukazuje się wkrótce dalszy ciąg „Pamiątki" p. t. „Amelja matką".

Wyrażając w obu książeczkach zasadę reformy wychowania dziewcząt w duchu polskim, p. Tańska rozumie, iż do pewnego stopnia jest to zobowiązaniem z jej strony do gorliwej pomocy w tym kierunku. A najważniejszą pomocą być musi przedewszystkiem istnienie polskiej książki do nauki i do czytania.

Wie o tem p. Tańska bardzo dobrze, z właściwą jej sumiennością poznała i rozpatrzyła istniejącą dotychczas literaturę dla młodego wieku, składającą się z kilku przekładów i paru drobnych zbiorków oryginalnych. Przekłady były liche i nie mogły zawierać treści polskiej, rzeczy oryginalne—dorywcze, bez planu, przeważnie pobudzające fantazję.

Ten czynnik p. Tańska uważa za szkodliwy,—jej chodzi o gruntowne wiadomości, o rozbudzenie uczuć w jasno określonym kierunku, o rozwój myśli polskiej, oparty na znajomości ziemi własnej i dziejów, ludzi, tradycji, cnót przodków i zasług.

Wykonanie zamiaru rozpoczyna systematycznie od książeczek dla dziatwy najmłodszej. Tym sposobem powstaje „Wiązanie Helenki", rozmowy matki z małą dziewczynką o najbliższem jej otoczeniu, nauki na tle zdarzeń i zabaw dnia całego, początki czytania, kilkanaście powiastek. Pogadanki b. szczęśliwe w pomyśle, są jeszcze bardzo słabe w wykonaniu, ale—to początek. Następuje „Druga książeczka Helenki", zbiór powiastek dla młodszych dzieci, i stanowiące całość „cztery większe powiastki" dla dzieci starszych.

Chęć dostarczenia dzieciom i kobietom pożytecznej i zajmującej lektury stanowi oś wyraźną pracy Hofmanowej w kraju i na obczyźnie, aż do końca życia. Pracuje niestrudzenie, obejmując myślą coraz nowe dziedziny, jakby pragnęła sama dostarczyć wszystkiego, wypełnić wszelkie braki własnemi siłami. Co rok ukazują się zbiorki powieści, przeważnie treści etycznej, komedyjki, gry umysłowe, anegdoty, powiastki i powieści historyczne, życiorysy ludzi zasłużonych, opisy kraju, książeczki do nauki i t. p. Więc kolejno: „Powieści moralne", „Powieści moralne dla dzieci starszych", „Rok w powieści", 12 opowiadań, przystosowanych każda do innego w roku miesiąca, „Opisy okolic Polski", „Życiorysy (sławnych Polaków) porządkiem chronologicznym ułożone", „Pismo święte Starego i Nowego Testamentu", „Święte niewiasty", „Historja powszechna dla płci żeńskiej", „Encyklopedja doręczna cz. zbiór ciekawych wiadomości dla panien", „Listy Elżbiety Rzeczyckiej", „Dziennik Franciszki Krasińskiej", „Jan z Czarnolasu", „Krystyna", „Karo-

lina", „Listy brata do siostry, do ukształcenia serca i umysłu służące" i t. d. i t. d. Wymienione tu dziełka obejmują jej twórczość aż do zgonu.

Oprócz tego już w r. 1824 zaczęła wydawać „Rozrywki dla dzieci", bardzo dobrze redagowane czasopismo, zajmujące, pouczające, urozmaicone anegdotami, grami, zagadkami i tp., któremu zarzucić tylko można brak działu przyrodniczego, obcego i dla redaktorki, oraz brak zupełny pierwiastku fantazji. Znajdowała tu młodzież opisy ziemi polskiej, wiadomości o sławnych ludziach, wyjątki z ich dzieł, powieści i td.

W r. 1829 p. Tańska poślubiła Karola Hofmana, prawnika, nie porzuciła jednak zajęć literackich, a działalność społeczną miała sposobność rozwinąć jako nauczycielka w nowozałożonym „Instytucie guwernantek", oraz wizytatorka wszystkich zakładów naukowych dla panien w Warszawie.

Po wybuchu powstania listopadowego tworzy „Związek dobroczynności Warszawianek", którego zadaniem opieka nad rannymi w lazaretach. Po upadku powstania zmuszona jest wraz z mężem opuścić kraj na zawsze.

Odtąd przebywa w Dreznie i w Paryżu, pracuje piórem z niestrudzoną gorliwością, lecz tęsknota do kraju coraz bardziej podkopuje wątłe jej zdrowie, a wkońcu zgon przyśpiesza. Umarła w Paryżu, mając lat 47.

Zagranicą usiłowała wydawać „Nowe rozrywki dla dzieci", lecz pismo się nie utrzymało z powodu trudności komunikacji z krajem. Z innych jej prac najważniejszą była niewątpliwie „O powinnościach kobiet", streszczenie całego poglądu na życie i zadania kobiety, przemyślane sumiennie i starannie opracowane. Dziś, po stu latach prawie, możemy nie zgadzać się na wiele rzeczy, zmienił się zasadniczo pogląd na stanowisko i prawa społeczne kobiety, a jednakże dziś jeszcze znaleźć tam możemy wiele rad zdrowych, słusznych zapatrywań.

Z powieści największą wartość artystyczną ma „Dziennik Franciszki Krasińskiej", tajemnie poślubionej żony królewicza Karola, syna Augusta III. Tło epoki ujęte bez zarzutu, typy malowane z prawdą, psychologja bohaterki zajmująca, całość ma dużo wdzięku, i pomimo formy dziennika nie nuży jednostajnością, a pomimo pedagogicznej tendencji, wynikającej z treści, że wielkość nie zapewnia szczęścia, jest interesująca i nie sprawia wrażenia morału.

Mniej udatne są „Listy Elżbiety Rzeczyckiej", chwilami przeciążone zbytecznemi epizodami. Dają jednak obraz ciekawy wychowania dziewcząt szlacheckich w końcu wieku XVIII, na początku XIX, malują obyczaje,

życie domowe i poglądy przeciętnej szlachty tej epoki; dwór puławski, jego zwyczaje, dworactwo; trochę życie klasztorne i sylwetki kobiet, pracujących już wówczas piórem.

Obrazem obyczajowym jest także „Jan z Czarnolesia“, rodzinne życie domowe poety, śmierć Urszulki, zgon szwagra i tp.

„Krystyna“ stanowi bardzo ciekawy przyczynek do zrozumienia poglądu autorki na sprawę kobiecą. Zasadniczo— autorka uważa kobietę głównie za osłodę życia i pomocnicę mężczyzny, na to stworzoną i tak wychowaną, aby temu zadaniu jak najlepiej odpowiadała. Powinna być dobrą matką, skrzętną gospodynią, wierną i uległą żoną. Samodzielność jej jest zamknięta w zakresie spraw domowych.— Krystyna przeczy temu do pewnego stopnia, gdyż jest typem samodzielnej starej panny, o wysokiej inteligencji i wartości moralnej. A więc uznaje wyjątki. Czyż nie była nim sama? Przytem umiała stworzyć kolizje życiowe, uwydatniające niepowszednie cechy duszy bohaterki.

„Karolina“ — niby poradnik dla młodych mężatek, poślubionych ze względów światowych, ubocznych, które muszą zdobywać miłość męża dobrocią, łagodnością, wyrozumiałością.

Łatwo zdać sobie sprawę, że dzieła Hofmanowej muszą być wartości różnej, zależnie od przygotowania autorki, zawsze jednak widzimy gorliwe jej usiłowanie przyniesienia pożytku ogółowi i dostarczenia w swej pracy wszystkiego, co współczesna wiedza dać mogła. Zarzucano jej brak żywej wyobraźni i polotu, trzymanie się spraw ziemskich i praktycznych. Słowacki nazwał ją złośliwie „kluczykiem od śpiżarni“. Jest to wielka niesprawiedliwość. Umysł Hofmanowej obok Słowackiego jest istotnie bardzo poziomy, ale przecież to król fantazji, a ona mrówka pracowita. Słowacki dał nam chwałę — ona pożytek tylko, ale wielki. Prawda, że nie samym chlebem człowiek żyje, ale bez chleba także żyć nie może. Dzieło Hofmanowej, spełnione tak sumiennie i gorliwie, było poważną zasługą narodową i obywatelską.

Narcyza Żmichowska, najgorętsza z gorących entuzjastek, no, i młodsza o całe pokolenie, znieść nie mogła spokojnej uczuciowości Hofmanowej. Znów różnica temperamentu i poglądów. Lotny i głęboki umysł poetki daremnie usiłował przez całe życie zwinąć skrzydła, zejść do praktycznej pracy „na tej niskiej ziemi“. Hofmanowa bujać nigdy nie umiała. Chodziła prosto i cicho po ziemi, na której wydeptywała jednak nowe ścieżki, do pożytecznych celów prowadzące. Spokojna jej uczuciowość nie umie rzucać słów płomiennych, lecz jest serdecz-

nie ciepłą, równą i głęboką. Tęsknota do kraju skraca jej przecież życie.

W wyjątkach podajemy pierwsze próby „pogadanki“, powiastkę, zestawienie poglądu na kobietę w pierwszej i ostatniej niemal pracy Hofmanowej i pogląd jej na inne kwestje zasadnicze, jak np. powinność.

Z dzieł Hofmanowej należy poznać Dziennik Franciszki Krasińskiej, — bardzo pożyteczne okazać się mogą Listy Rzeczyckiej i Jan z Czarnolasu, — do zrozumienia jej stosunku do sprawy kobiecej przyczyniłaby się bardzo Krystyna.

WIĄZANIE HELENKI.

15. Helenka rozmawia z mamą.

— Przystaw sobie stołeczek i uklęknij przy mamie. Pogadamy z sobą.

— Jakie Helenka zna zwierzęta?

— Pieska, kota, krowę, konia i baranka.

— Piesek szczeka, piesek dobry, wierny, ale nie trzeba targać go ani za uszy, ani za ogon, bo ugryźć może.

— Kot miauczy. Nie sprzeciwiaj mu się, Helenko: kot ma pazury, podrapie cię, głaszcz go tylko delikatnie.

— Koń rży, koń bardzo duży i ładny. Dzieci nigdy blisko koni stawać nie powinny, bo jak koń uderzy, to i zabić może. Helenka lubi konie, bo ją na spacer wożą. Jak braciszkowie urosną, to im tata kupi koniki; Helenka z mamą i ze Stefunią będzie siedziała w powozie, a Kazio i Gucio na konikach patataj! patataj! i pojedziemy daleko.

— Krowa ryczy, krowa mleko daje. Z mleka zbierają śmietankę dla taty i dla mamy do kawy, z mleka robią ser i masło. Krowa bardzo potrzebna.

— Baranek beczy. Dzieci mogą się bawić z barankiem; baranek niezmiernie dobry, nic im złego nie zrobi. Baranek ma na sobie wełnę; z tej wełny wiele rzeczy robią.

Z części czwartej.

Rozmowa osiemnasta.

Teraz chcesz, Helenko, żebym ci powiedziała, co jest najpotrzebniejszego człowiekowi do ubrania i do okrycia?

— O! bardzo proszę mamy.

— Oto len i wełna.

— Len rośnie podobnie do zboża, ma ładne niebieskie kwiateczki, a jak uschnie, to robią z niego włókno.

— Z tego włókna robią przędzę, a z tej przędzy płótno i nici.

— Koszulki twoje, Helenko, prześcieradła, poszewki, ręczniki, serwety, chustki do nosa, pieluszki Stefuni, wszystko to z płótna, a pończoszki z nici.

— Mama najczęściej niemi szyje.

— Wełną zaś barany i owce są okryte. Co rok strzygą im wełnę, przędą ją i z tej przędzy robią sukno, baję, flanelę i inne tkanki.

— Wszystkie suknie taty, wszystkie mamine chustki — to z wełny. Helenki merynosowe sukienki, braciszków majteczki — także z wełny.

— Len i wełna bardzo są potrzebne. Trzeba dziękować Bogu, że nam dał tak dobre rzeczy; bo lnu i wełny jest bardzo dużo w Polsce.

Nie zapominajmy, że pisane przeszło sto lat temu.

HISTORJA JÓZI.

(Początek).

Bardzo małą byłam, kiedy mi umarła mama, bo ta mama, którą tu widzicie, nie była odrazu moją mamą: pierwej miałam inną i dotąd doskonale ją pamiętam. Tata bardzo żałował tej pierwszej mamy i podobno najwięcej dlatego, że taką dobrą była, poszukał sobie niedługo drugiej. Rano tego dnia, kiedy miał być ślub, wziął mnie na kolana, jak często od śmierci tamtej mamy robił, pocałował mnie kilka razy, powiedział, żem jest biedna sierota, i spytał:

— Czy kochasz pannę Zofję?

Odpowiedziałam mu, że kocham.

— Kiedy tak, moja Józieczko—powiedział—to bardzo dobrze, bo ja się dziś z panną Zofją żenię, ona będzie mieszkać z nami i będzie twoją drugą mamą.

Mówiąc to, tata miał twarz tak wesołą, oczy tak żywe i miłe, żem pomyślała sobie zaraz:

— To będzie przedziwna rzecz dla taty i dla mnie znowu znaleźć mamę.

Tata potem uściskał mię, zdaje mi się nawet, że mnie pocałował w rękę, i powiedział, żebym się poszła ubrać, gdyż on pojedzie i za kilka godzin powróci już z mamą. Niezmiernie z tego szczęśliwa, pobiegłam opowiedzieć wszystko bonie. Szukałam jej długo po całym domu, nareszcie znalazłam przed sienią; stała tam z szafarką i innemi służącemi i patrzała, jak tata wsiadał do karety. Śliczna była nasza kareta, ale już trochę brudna; tata kazał ją umalować na nowo, cztery konie były u niej, szory ich świeciły się jakby złote, lokaje i stangret mieli nową liberję, a konie — róże z niebieskich wstążek przy uszach. Tata także był ślicznie ubrany: nie w żałobie,

ale w kamizelce białej, w czarnym fraku. Już siedział w karecie, kiedy mu ogrodnik oddał przepyszny bukiet; ledwie go tata objął obu rękami, potem zawołał jeszcze na mnie:

— Bywaj zdrowa, Józieczko!

Kucharzowi, szafarce i innym służącym powiedział:

— Miejcież wszystko gotowe,—stangretowi: ruszaj co koń wyskoczy. I pojechał.

Gdy już kareta była za bramą i nie było jej widać, poszłam do mego pokoju, a ze mną szafarka i bona; spostrzegłam dopiero wtenczas, że miały nowe suknie: jedna zieloną, druga szafirową, i u czepków atłasowe wstążki; a spojrzawszy na moje łóżeczko, zobaczyłam różową atłasową sukienkę, nowiuteńką, prześliczną, a drugą białą krepową, wstążkami obszytą; były i majteczki, była i przepaska, i trzewiczki różowe, i rękawiczki białe, łańcuszek złoty z krzyżykiem: powiedzieli mi, że to wszystko tata kupił dla mnie, a ja myślałam, że oszaleję z radości. Biegałam po pokoju, skakałam, krzyczałam, ściskałam bonę i szafarkę, mówiłam:

— Co to za szczęście, że tata dziś się żeni z p. Zofją, że ona będzie mieszkać z nami, że nie będę sierotą, że będę miała znowu mamę!

Szafarka trząsnęła głową, bona ruszyła ramionami, westchęła głęboko i powiedziała: Biedna dziewczynka! Zaczęła sobie nawet obcierać oczy, a szafarka pod nosem zamruczała:

— To straszna rzecz, jak to i dzieci mają krótką pamięć!

Nie myślałam wcale, żeby te słowa były do mnie, bom sobie właśnie w ten moment przypomniała, że mnie mama zawsze z dobrej pamięci chwaliła. Bona wtenczas zaczęła dmuchać w moje rękawiczki i rozciągać je, a że pękły przy wielkim palcu, powiedziała:

— Takie same, widzę, białe, jak i czarne, bo w dzień, kiedy naszą biedną panią...

Tu szafarka położyła swój palec na ustach i nie dała bonie mówić dalej, a mnie te czarne rękawiczki przypomniały zupełnie chorobę, śmierć i pogrzeb mamy. Widziałam ją bladą, leżącą na karmazynowym szezlongu, w czarnym szlafroczku i w czepeczku tiulowym, a potem na łóżku, tak dobrze uśpioną, że na żadne moje wołanie obudzić się nie chciała; widziałam ją potem w skrzyni drewnianej, na atłasowej białej poduszce, w tym samym czepku, w tym samym czarnym szlafroczku, bo tak ubraną po śmierci być chciała; widziałam potem, jak ją w tę skrzynię zamknęli, jak ją ludzie nasi czarno ubrani wzięli i do kościoła zanieśli. Widziałam, jak tata mdlał, a ciocia i inne osoby cuciły go wódką pachnącą, wodą, i prosiły, żeby tak nie rozpaczał, żeby pamiętał, że ma córkę. Widziałam to wszystko przez ten czas, jak mi bona loki na głowie układała, ale widziałam to wszystko w myśli, nic nie mówiąc głośno. Bo od tego czasu, jak mama umarła, nikt mi o niej nie mówił, ale ja

o niej często myślałam i wcale jej nie zapomniałam. Prawie codzień upatrywałam sobie chwilę, kiedy mnie nikt nie widział, brałam stołeczek mamy pod nogi, lalkę, którą mama dla mnie w pierwszych dniach słabości swojej ubrała, i szłam do jadalnej sali. Tam na boku są drzwi do pokoju, w którym mama umarła, w tym pokoju dotąd nikt nie mieszka; jam codzień próbowała otworzyć te drzwi, bom tam mamę ostatni raz żywą widziała, alem nie mogła: szafarka zamknęła je na klucz; patrzyłam więc przynajmniej przez dziurkę od klucza, stanąwszy na stołeczku, żeby cośkolwiek zobaczyć; i widziałam zawsze szezlong karmazynowy, na którym mama leżała. Napatrzywszy się go, siadałam sobie na stołeczku, bawiłam się moją lalką, piastowałam ją, kołysałam i śpiewałam jej, jak mama mi śpiewała, kiedym bardzo była maleńka: „Lulajże mi, lulaj, czarne oczki stulaj...” Ale nie mogłam nigdy udać miłego głosu mamy, ona tak przyjemnie i śpiewała i mówiła. Pamiętam raz, kiedy już była bardzo chora, tata chciał mnie wyprowadzić z jej pokoju, a ona tak słodko powiedziała:

„Daj jej pokój, moje życie, mnie głowa nie boli od szczebiotania Józieczki”.

O, jak bona ułożyła mi loki ze wszystkich włosów, jak mi włożyła te nowe sukienki, te rękawiczki, ten łańcuszek, byłabym z duszy chciała, żeby mama żyła i widziała, jak byłam ładna na weselu taty. Ale to być nie mogło; pobiegłam przynajmniej do sali, zajrzałam przez dziurkę od klucza, przypatrzyłam się szezlongowi, siadłam pode drzwiami na stołeczku, piastowałam lalkę i śpiewałam jej. Dziwna myśl przyszła mi do głowy: zdawało mi się koniecznie, że gdy tata ożeni się z p. Zofją, ona powinna przemienić się w moją mamę: być tak, bladą, słabą, jak ona była. Bo już tamtej mamy zdrowej wystawić sobie i teraz nie mogę.

Jak tylko tata wrócił do domu, już z p. Zofją i z innymi gośćmi, zaraz mnie szukać zaczął; przyszedł do jadalnej sali z moją drugą mamą. Już miałam odchodzić i na pożegnanie patrzyłam sobie właśnie przez dziurkę od klucza; mama chora i blada tak mi stała w oczach, że kiedy tata powiedział:

— Patrz, Józieczko, oto twoja mama!

Ja tylko tyle, żem się odwróciła i oczy podniosłam na chwilkę, ale czemprędzej zasłoniłam twarz rękami i zaczęłam rzewnie płakać. Doprawdy nie wiem dobrze, dlaczego tak płakałam; chyba dlatego, że p. Zofja była rumiana i świeża, a mamy twarz blada; że p. Zofja miała oczy czarne, niezmiernie żywe, a mamy oczy były niebieskie i miłe; że mama miała czarny szlafroczek, czepek tiulowy, a p. Zofja białą suknię, bukiet u boku i zielone liście na głowie; zaczęłam więc wołać:

— Nie chcę, żeby p. Zofja była moją mamą! to nie mama!

I tak krzyczałam, że tata musiał zawołać bony; wiem, że ją łajał i kazał mnie zanieść do mego pokoju, mówiąc, żem bardzo niegrzeczna..." (Cztery większe powiastki).

PAMIĄTKA PO DOBREJ MATCE.

Z rozdziału II-go. O płci żeńskiej.

Ty więc, córko moja, nie trap się, że do płci słabszej należysz; i jej przeznaczenie jest piękne: wszak kobieta i kochaną i użyteczną być może? Przyrodzenie mocą udarowało mężczyznę, bo obronę słabszych, sprzeciwianie się niesprawiedliwości, karę występku — jemu powierzyło. On krew swoją na placu bitwy wylewa, mądre pisze ustawy, pilnuje ich wykonania, kraje podbija, wznosi, broni ich i rządzi niemi: słowem, jest mężczyzną. Czulszą i słabszą Bóg stworzył kobietę: łagodzić, miękczyć, uszczęśliwiać śmiałego towarzysza swego powinna. Dzikim i ponurym byłby świat, gdyby na nim byli sami mężczyźni; gnuśnym i nieczynnym, gdyby go same napełniały niewiasty. Wspólny ich związek i wzajemna pomoc są zasadą towarzyskiego porządku, — jeżeli płeć męska włada światem, nasza go upiększa.

Troskliwa Opatrzność potrzebnych nam do tego dzieła użyczyła darów: wdzięki, tkliwość, słodycz dała niewiastom w podziale. Zbywałoby życiu na najsłodszych, najmilszych powabach, gdybyśmy nie tak słabe, nie tak czułe były; mniej powolne powołaniu, mniej do kochania skłonne, mniej o podobanie staranne, nie byłyby może kobiety zdolne do wykonania prostych a razem wielkich cnót, które im Wszechmocny naznaczył.

Znieść nie mogę, kiedy się głos jaki nierozsądny odezwie i twierdzi, że źle, iż kobiety są w tak szczupłym podług niego zamknięte obrębie. Jego zdaniem równe mężczyznom powinny posiadać nauki, do rządu należeć, ledwie że nie pierwsze piastować urzędy, i chyba nie być kobietami. Szczęściem umiejętniejszym był pierwszy Prawodawca świata, i nikt już Boską ręką zaprowadzonego porządku odmienić nie zdoła. Ach! jak okropnie błądzi kobieta, która więcej chce być nad to, na co ją Bóg przeznaczył. Ameljo, nie podpadnij tej szalonej żądzy, powtarzam to raz jeszcze: przeznaczenie nasze jest piękne. Kobieta słodka, cierpliwa, uprzejma, skromna, rozsądna, kobieta taka, jaką być każda powinna, cechę niebieskiej Istoty na sobie nosi.

O POWINNOŚCIACH KOBIET.

Obszerna praca „O powinnościach kobiet" jest jak gdyby streszczeniem wszystkich nauk, jakie pragnie dać Hofmanowa swoim siostrom. Dzieli je na dwie części: o powinnościach względem siebie i względem drugich. W pierwszej części na czele kładzie kwestję przeznaczenia

kobiety i przystosowania się do tego celu przez znajomość siebie samej, odpowiednie wykształcenie i stałe doskonalenie się moralne. Rozpatruje w osobnych rozdziałach zdrowie, pracę, pobożność, wady i zalety, a nawet strój kobiety. W części drugiej — mówi o powinnościach względem rodziny, służby, towarzyskich, o miłości, wyborze męża, małżeństwie, powinnościach żony, gospodyni, matki i obywatelki, miłosierdziu poświęca kilka ostatnich rozdziałów.

Poglądy autorki lepiej poznamy z kilku krótkich urywków, niż z całości jednego rozdziału.

Z rozdziału I. O przeznaczeniu kobiety.

Przeznaczenie kobiety w tem ziemskiem życiu, jednako będąc zacne i ważne, ale odmienne jak mężczyzny, jej powinności muszą także być odmienne. Uczynioną została jako „pomoc mężczyźnie podobna, pod moc męża oddana“, rzadko też bardzo kobieta na swój własny rachunek, na swoje imię żyje; rzadziej jeszcze bez szkody ten przywilej znosi: a nigdy, w jakimbądź jest stanie, w jakichbądź okolicznościach, pierwszeństwa i władzy, do której mężczyźni są powołani, dojść i pragnąć nie może i nie powinna.

Być drugą w społeczeństwie, a raczej pomagać niż działać, więcej znaczyć przez drugich, niżeli przez siebie, pełnić chętniej wolę cudzą niż własną, żyć mocniej w innych niż w sobie, nie wypatrywać nowej drogi, tylko iść ubitą, nie sięgać daleko, lecz widzieć świat w domu, szczęście w sobie i koło siebie; obok światła prostotę ducha zachować, obok mocy uczucia umiarkowanie, obok wdzięków i zalet skromność; w młodości być kwiatem rodzaju ludzkiego, przez całe życie ziemskim aniołem, który modli się, kocha, dzieci piastuje i uczy, cnotę szczepi, pokój sieje, łzy ociera, niebo ku ziemi przychyla: oto treść przeznaczenia kobiety.

Z rozdziału VI. O powinności.

Niema na całej ziemi człowieka bez powinności. Każdy, skoro żyje, ma cząstkę dobrego sobie wydzieloną, którą spełnić może i winien, a która należy do wielkiego dzieła uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego. Ani podobna wątpić o tem; ogromna ta budowa od pierwszego dnia się wznosi; robotnikami są ludzie, a budowniczym jest Bóg. Śmierć coraz zmienia robotników; młodzi na miejsce starszych przychodzą i znowu podobnie są zastąpieni; ale każdy z nich miał lub ma cząstkę swoją w tej wielkiej robocie, bądź ona drobna, bądź znaczna, bądź ręki, bądź głowy wymaga; spełnić ją tylko wiernie i chętnie potrzebuje, jeżeli pragnie być użytecznym i szczęśliwym, jeżeli chce wykonać wolę najwyższą. Biada tym z robotników, którzy przez niedbalstwo nie spytają się nawet, jaka im robota

wydzielona? albo którzy poznawszy ją, nie czynią jej zadosyć; biada jeszcze większa tym, co znając cząstkę swoją, wbrew postępują, a zamiast wznosić, niszczą: na tym ciąży straszliwa odpowiedzialność, ci są przyczyną, że dzieło uszczęśliwienia ludzi nie idzie tak, jakby szło, gdyby wszyscy robotnicy społem mądre i dobroczynne widoki spełniali.

Każda z nas, jakiekolwiek jest jej położenie na tej ziemi, ma swoją cząstkę roboty. Każda powinna dowiadywać się pilnie tej drogi swojej, doglądać posługiwania, jakie wzięła od Pana, aby mu uczynić zadosyć. Żadna kobieta ani wierzącą, ani moralną nazwać się nie ma, najmniejszej spokojności o szczęście swoje doczesne i wieczne mieć nie może, tylko ta, która zna ile możności przeznaczenie swoje i wie, że w położeniu swojem obecnem dopełnia go wszelkiemi siłami. Przy najlepszych chęciach, przy największem poświęceniu się, jednego kroku w moralności nie postąpi ta np. któraby czytając niniejszą rozmowę, w odpowiedziach nie poznała samej siebie:

— W jakiem jesteś położeniu?

— W przyzwoitem; nic w niem niema, cobym ukryć chciała przed Bogiem, czegobym się wstydziła przed ludźmi.

— Nie masz więc potrzeby zmienić go w niczem?

— Nie mam. Opatrzność postawiła mnie na prostej i właściwej drodze, pragnę iść dalej, jakem zaczęła, iść coraz pewniej i lepiej.

— Czy znasz dokładnie, jakie powinności i obowiązki nakłada na ciebie położenie twoje?

— Znam, a przynajmniej staram się poznawać je i wypełniać, ile to jest w mocy mojej; a wiedząc, gdzie siła i mądrość kobiety, modlę się codzień, żeby mnie Bóg wspierać i oświecać raczył.

— Pokój Pana i łaska Jego niech będą z tobą w życiu i po śmierci.

Kobieta, która bez zarumienienia się, bez zająknienia, tę parę prostych zapytań odczyta, a w czystem sumieniu, rękę na sercu położywszy, myślą, okiem spojrzawszy w niebo, podobnie odpowie, zaprawdę godna będzie tego błogosławieństwa.

Taka zapewne dobrą jest córką; jeśli ma rodziców cnotliwych, wypłaca im się uległością, zaufaniem, miłością, względami; jeżeliby, niestety, godnymi byli nagany, osłania ich błędy przed drugimi i przed sobą.

Taka zapewne dobrą jest siostrą i krewną, żyje w zgodzie z rodzeństwem i rodziną, jest im chlubą, osłodą, pomocą.

Taka dobrą jest żoną; nikt w jej sercu, w jej zaufaniu, w jej względach pierwszeństwa przed mężem nie trzyma, żadnej mu myśli nie tai, żadnego postępku swego nie kryje, czcią jego, uszczęśliwieniem, pomaganiem mu ciągle zajęta; a gdyby nie mogła mieć dla niego słodkich uczuć szacunku i miłości, gdyby mimo starań nie wystarczała mu do szczęścia, — nikt

nie może najmniejszą skazą przyćmić jej małżeńskiej cnoty, nikt z ust jej słowa nie usłyszy na tego, któremu przed Bogiem wiarę i posłuszeństwo przysięgała, na tego, który jest ojcem jej dzieci.

Taka dobrą jest matką, dziatkom w kolebce już mówi o Bogu, karci ich złe nałogi, ku dobremu wiedzie; nie kocha ich zanadto, nie psuje, nie kocha jednego nad drugie, zapewnia im zdrowie, wychowanie, los i chleb, a do śmierci własnym przykładem naucza.

Taka jest dobrą gospodynią; sprawiedliwa, rządna, pracowita, gościnna; nikt w jej domu ani krzywdy, ani zbytniego pobłażania nie doznaje; nic u niej lenistwem ani nieładem nie ginie, — owszem, choćby najbogatszą była, oszczędza, przysparza, bo pamięta, że bogaci osłaniać powinni niedostatek ubogich, aby było porównanie między dziećmi jednego Boga; a pilna w domu i lubiąca go, wszystkim miłym go czyni.

Taka nareszcie dobrą jest chrześcijanką i w tym jednym wielkim przymiocie wszystkie inne zawrzećby się dały. Pełna miłości ku bliźnim, pełna miłosierdzia, jak najmniej złego, jak najwięcej dobrego o ludziach myśli, wierzy i mówi; ile tylko może, dobrze czyni; pokój, zgodę, pociechę wszędzie roznosi, wszystka wszystkim chce zostać. Wiarę swoją zna, przed jej tajemnicami upada z pokorą, przepisów strzeże, lecz stąd ani się chełpi, ani tak niemyślącymi i nieczyniącymi nie pogardza; modli się o ich oświecenie, a z jej własnej drogi nikt ani nic sprowadzić jej nie może, bo wie, że ta droga jest jej szczęściem i zbawieniem.“

Z rozdziału VIII. O wartości osobistej.

„Łatwiej czuć niźli wyrazić, co to jest wartość osobista; jej treścią jest prawda: jest to bowiem rzetelne istnienie nasze, skarb moralny, umysłowy, nieprzeżyty, żywioł, którego nikt ani nic zniweczyć, zniszczyć, przebrać w nas nie może; jest to zaszczyt w mocy naszej będący, cała rzetelna chluba nasza, jedyna istotna przyczyna, stanowiąca różnicę między ludźmi, jedyne prawdziwe bogactwo, które pana z ubogimi równa; jest to skarbnica duszy naszej, a raczej sama dusza, owa cząstka Bóstwa, w zasługi odziana, w szatę godową przystrojona, a raczej władze i zdolności duszy przez starania i zabiegi najprzód drugich, potem nasze własne, do czynności użytku i udoskonalenia przyprowadzone. Bo wszystkie nasze cnoty i zalety, wszystko, co jest w nas dobrego, wszystko, co rzetelnie umiemy, czem jesteśmy sami przez się, wszystko, co jest prawdziwie nasze, czego nam nikt bez naszej woli odebrać nie może; wszystko, coby nie zmieniło się, nie zgasło w nas przy największych losu pociskach, przy najprzeciwniejszych okolicznościach, przy odmianach życia; wszystko, cobyśmy unieść z sobą, a raczej w sobie mogli, choć najokrutniej przez

niedolę obnażeni; wszystko nareszcie, czego sama śmierć zupełnie w nas nie zniszczy: wszystko to jest wartością osobistą, jedynym skarbem godnym szacunku i zabiegów naszych. Kto ją posiada w wysokim stopniu, ma cnotę, ma los w samym sobie, ma szczęście; gdyż niema rzetelnego szczęścia bez szacunku samego siebie, a ten szacunek jedynie na wartości osobistej ugruntowany być może.

Człowiek w wartość osobistą bogaty, obejść się potrafi bez łask losu i ludzi, bo go nikt jego samego pozbawić nie zdoła. Wartość osobista jest tem, co prawdziwą godność natury ludzkiej wogóle i w szczegółach stanowi, z czego wypływa, na czem stoi wszystko, co się dzieje na ziemi wielkiego, dobrego; z człowiekiem, wartość osobistą mającym, czyń, co ci się podoba: on zawsze samym sobą, zawsze godnym szacunku, cnotliwym, szczęśliwym zostanie. Odejm mu nadobny kształt ciała i młodość, on jeszcze zniewalać serca potrafi; on zawsze sam przez siebie znaczyć będzie, szacunek zyska, uszanowanie wzbudzi; staw go w zapasy z niedolą, ubóstwem, chorobą, ze śmiercią, naraź go na wszelkiego złego ponęty i podszepty: on jeszcze świetniej w tej walce się wyda; on wytrwaniem — zmęczony los przeciwny, pracą ubóstwo zwycięży, odwagą niedolę pokona, mocą duszy słabość ciała nagrodzi, czynami uwielbienie i zazdrość szlachetną obudzi; bo wartość osobista jest owem czystem złotem, którego cenę i zaletę kamień probierczy wykrywa.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Wychowanie panien w epoce Kl. Tańskiej. Wpływ otoczenia po powrocie jej do domu. Zrozumienie potrzeby reformy i początek pracy na tem polu.

Społeczna i pedagogiczna działalność obywatelska Tańskiej do r. 30-go. Emigracja. Tułactwo, tęsknota i gorliwa praca dla swoich na obczyźnie do ostatniej godziny.

Pamiątka po dobrej matce. Cel książki,—treść,—powodzenie zachętą do dalszej pracy.

Pierwsze książki Tańskiej dla małych dzieci i młodzieży. Książki treści wychowawczej, nauczającej, powieści. Pismo dla młodzieży.

Listy El. Rzeczyckiej. Epoka. Obraz wychowania dziewcząt w klasztorze i w domu. Dom szlachecki i dwór pański. Warszawa w Listach El. Strona obyczajowa.

Dziennik Fr. Krasińskiej. Życie dworskie w zamku pańskim na prowincji. Warszawa w sferze Fr. Kr. Etyczna myśl autorki w Dzienniku Fr. Krasińskiej.

Krystyna i znaczenie tej powieści w rozwoju poglądów Hofmanowej na kobietę.

O powinnościach kobiet, — znaczenie tej pracy dla współczesnych.

Pogląd Hof. na kobietę i jej rolę w społeczeństwie.

Ogólna charakterystyka twórczości Hof. Jej zasługi i znaczenie w dziejach literatury.

Do czytania: P. Chmielowski. „Autorki polskie XIX w."

STANISŁAW JACHOWICZ

pedagog i przyjaciel dzieci

1796 — 1857.

Literatura dla młodzieży stanowi dzisiaj już dział tak obszerny, że należałoby poświęcić jej osobną książkę, aby rozpatrzyć nagromadzony w ciągu stulecia materjał. Tu musimy się ograniczyć do najpoważniejszych jej twórców, Jachowicza i Hofmanowej, którzy rzucili pierwsze polskie ziarna na słabo plonujące dotąd pole. Bo dla dzieci właściwie dotąd nie pisano, choć korzystały z bajek Krasickiego, paru wierszy Kniaźnina, otrzymały od Mickiewicza „Powrót Taty". Oprócz tego istniało kilka lichych przekładów z niemieckiego, francuskiego, angielskiego, z których cieszył się już powodzeniem „Robinson Kruzoe" w pierwotnej formie.

Pierwsza do tej pracy stanęła Klementyna Tańska, rozpoczynając ją piórem. Jachowicz zaczął skromniej, jako nauczyciel, i pozostał do końca na tem stanowisku, wolne chwile oddając dzieciom jako pisarz.

Stanisław Jachowicz urodził się nad Wisłą, w Sandomierskiem, w pięknym Dzikowie, gdzie ojciec jego był administratorem majątku hr. Tarnowskich. Wcześnie utracił ojca, a wychowany przez pobożną matkę, po ukończeniu szkół w Stanisławowie miał zamiar zostać księdzem i udał się do Lwowa, aby wstąpić do seminarjum.

Pierwotny jednak zamiar uległ zmianie, skończył wydział filozoficzny w uniwersytecie i w r. 1818 przybył do Warszawy. Początkowo pracuje w biurze jako skromny kancelista; jednocześnie daje lekcje i korepetycje, zwraca na siebie uwagę zarówno niezwykłą jasnością wykładu, budzącego myśl dziecka, — jak serdecznym stosunkiem do swych wychowańców. Wkrótce porzuca biuro i zostaje wziętym i cenionym nauczycielem. Uczniów kocha jak własne dzieci i nie poprzestając na godzinie wykładu, myśli o nich, pracuje dla nich, pisze, obcuje z niemi.

Któż z nas nie zna bajeczek Jachowicza? Proste, ciepłe, serdeczne, dostępne dla najmłodszych, czerpią zawsze temat z życia dziecięcego i w sposób łatwy, przekonywający podają piękną prawdę lub naukę. Oprócz bajeczek pisał i wierszyki, zawsze treści dydaktycznej, choć przepojone szczerem i tkliwem uczuciem. Wydawał także pismo dla młodzieży, w którem pomieszczał i powiastki prozą i rozmowy pedagogiczne dziecka z matką lub nauczycielem.

Cechą wszystkich utworów szlachetna, zdrowa myśl, tkliwość serdeczna, niekiedy prawie czułostkowa, i jasna, prosta, niewykwintna forma.

Powtarzające się ciągle wydania powiastek, bajeczek i wierszyków były najwymowniejszem świadectwem użyteczności tych małych książeczek, w których serdeczny i rozumny wychowawca mieścił całą swą duszę.

Jako człowiek mógł budzić podziw niewyczerpaną dobrocią i ofiarnością, skierowaną głównie ku dzieciom. Oprócz własnej licznej gromadki wychowywał sieroty po siostrze, a naprawdę dom jego był przytułkiem dla wszystkich sierot, nie mających własnego ogniska. Dzielił się z niemi ostatkiem.

Po powstaniu listopadowem, gdy liczba sierot nagle wzrosła w kraju, zostaje najgorliwszym członkiem Tow. Dobroczynności, zakłada ochrony dla ubogich dzieci, opiekuje się szkółkami sierocemi.

Nieustająca praca i stały prawie niedostatek z powodu hojnej ofiarności najzacniejszego przyjaciela dzieci wyczerpały przedwcześnie siły Jachowicza. Zagrożony ślepotą, złożony chorobą, potrzebował pomocy społeczeństwa. Aby się wywiązać z tego obowiązku, w dowód uznania i szczerej miłości — wydano na jego korzyść zbiorową książkę „Wieniec", która zapewniła na czas jakiś byt rodziny zasłużonego pracownika.

W tym samym roku, wkrótce po ukazaniu się „Wieńca", Jachowicz umarł w Warszawie, w wigilję Bożego Narodzenia.

Życie jego to wzór najpiękniejszy pracy, miłości, poświęcenia.

Prace, obejmujące kilkaset wierszyków i powiastek, oraz dziełka specjalne z zakresu nauczania języka ojczystego lub wychowawcze z tendencją moralną, mają rozmaitą wartość. Najtrwalsze okazały się bajeczki, zwłaszcza wybór wolny od czułostkowości (np. litość nad złamaną igłą, która nam przecież uczciwie służyła). Powiastki pod względem formy ustępują dzisiaj opracowanym bardziej artystycznie. Dziełka pedagogiczne należą do historji tego przedmiotu.

Przytoczymy tu kilka tytułów: „Pamiątka dla dobrych dzieci", zbiorek; „Nauka w zabawce", niby pamiętnik chłopca i rozmowy jego z matką; „Rozmowy matki z Józią", początki gramatyki i innych nauk; „Czytanie Józi", „Zabawka dla małych dzieci", „Nowe śpiewy dla dzieci" z muzyką; „Książka dla rzemieślników", „Pomysły do poznania zasad języka polskiego" i t. p.

Z bajeczek przypominamy najbardziej znane i lubione: „Staruszek przy pracy", „Dziecię i staruszek", „Nie śmiej się, dziadku", „Chory kotek", „Czysty kotek", „Kotek kulawy", „Stróż domowy",

„Zając", „Kłamstwo", „Dwa pługi", „Tadeuszek", „Żydek", „Gołębnik", „Wiewiórka i małpa" i tak wiele innych. Ze względów osobistych i pedagogicznych, jako drobiazg, który jednak na moje własne życie wywarł wpływ ogromny, jeśli nie decydujący, pozwalam sobie przytoczyć bardzo znaną bajeczkę:

Skała i kropla.

— Jakież zamiary zuchwałe!
Ty, miękka kroplo wody, chcesz wydrążyć skałę?
Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzała
Na kropelkę, co spływała.
Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada.
I stałością dokazała,
Że uległa kropli skała.

Do najlepszych wierszy liryczno - pedagogicznych należy:

Modlitwa w komórce.

W samotnej komórce dziecina klęczała,
I łezka świeciła jej w oku,
I słówka pobożne tkliwie wymawiała,
Jak Anioł Boży w obłoku.
I prosty paciorek mówiła przykładnie,
A w niebo głosik szedł czysty;
A z tem jej tak wdzięcznie, tak było jej ładnie,
Jak gwiazdce w chmurce przejrzystej.
— Dlaczegóż komórkę obrałaś, dziecino?
Niema obrazków na ścianie;
Dlaczegóż ci łezki przy modlitwie płyną?
Zadała matka pytanie.
— Ach, mamo, Bóg wszędzie, Bóg widzi, Bóg słyszy,
Takeś mówiła mi, mamo!
I łezkę uronić tak miło w zaciszy,
Wszak prawda, przyznasz to sama?
Tu cicho, spokojnie i lepiej, że ciemno...
Myśli tam trafią do Boga;
Bóg widzi w komórce i czuwa nade mną,
I łezka cicha mu droga.
Nikt mnie tu nie widział, tyś tylko widziała,
Aleś ty Anioł mój, mamo!
Nikomu nie powiesz, coś z ust mych słyszała,
Więc serce było tu samo.
I święta modlitwa do Boga wstąpiła,
Cień jej próżności nie zmazał.
Bo taka pobożność nad wszystko Mu miła,
Tak się Pan modlić przykazał.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Wychowanie i wykształcenie. Charakter i zamiłowania Jachowicza. Życie i praca Jachowicza w Warszawie. Miłość dzieci i praca dla nich słowem, piórem i czynem. Społeczna działalność Jachowicza.
Bajeczki Jach. Treść i forma. Zadanie i znaczenie.
Zasługi Jach. na polu pedagogicznem i społecznem.
Charakterystyka Jach. jako człowieka, pedagoga i autora.

KILKA SŁÓW DOPEŁNIENIA O KSIĄŻKACH DLA MŁODZIEŻY I LUDOWYCH.

Nie rozpatrując całości rozwoju tak obszernej dziś literatury dla młodzieży, wspomnieć można w uzupełnieniu wiadomości o jej początkach, że pierwszą utalentowaną popularyzatorką działu przyrodniczego była Marja Julja Zaleska, autorka wielu cennych książek oryginalnych i przekładów, pod koniec życia redaktorka Wieczorów Rodzinnych (+1888).

Właściwą powieść historyczną poprzedziły obrazki dziejowe, t. j. krótkie opowiadania o królach, bohaterach i zdarzeniach historycznych. Do pierwszych i najudatniejszych prac tego rodzaju należą „24 obrazki“ Góralczyka (Wład. Anczyca) około r. 1856, które przez lat dziesiątki były ulubioną książką naszych dzieci, przez dłuższy okres czasu zabronioną.

„24 obrazki“ Anczyca należą także do książek ludowych i w tym kierunku miały szerokie rozpowszechnienie. Popularyzowanie dziejów Polski rozpoczęło się o wiele wcześniej. Uczony badacz historji, Lelewel, już pisze „Dzieje Polski potocznie opowiadane“ „które stryj synowcom opowiedział“. Izabela Czartoryska pozostawia „Pielgrzyma w Dobromilu“, dzieje polskie wyraźnie dla ludu przeznaczone. Cieszyły się też powodzeniem „Wieczory pod lipą“ L. Siemieńskiego, przystosowane potem do wymagań cenzury i wydane jako „Wieczory w Ojcowie“. Obrazki Góralczyka miały jednak więcej wydań i czytelników.

Wogóle w drugiej połowie XIX w. budzi się w literaturze wyraźny prąd ludowy, powstają czasopisma: „Czytelnia niedzielna“ (Warszawa r. 1856), „Kmiotek“ (Warszawa r. 60 L. Anczyc, J. K. Gregorowicz), „Dzwonek“ (r. 1859 Galicja), „Gwiazdka Cieszyńska“ i inne. Powstają tanie książeczki dla ludu powieściowe i popularno naukowe. Pośród tych pracowników może najtrwalsze zasługi położył Mieczysław Brzeziński, przyrodnik i pedagog, przytem niestrudzony działacz na polu oświaty ludowej. Kilkadziesiąt jego książeczek stanowi niemal całą bibljoteczkę, obejmuje wszystkie grupy stworzeń żyjących, przy-

rodę martwą, zjawiska natury, przemysł, wkracza w dziedzinę geografji i charakterystykę niektórych narodów. Na tem ostatniem polu pomagała mu gorliwie Faustyna Morzycka.

Pomimo całej odrębności, wynikającej z różnicy poziomu umysłowego czytelników, literatura dla młodzieży i ludowa spotykają się i łączą bardzo często. Młodzież czyta chętnie książeczki ludowe, — wiele rzeczy przeznaczonych dla młodzieży okazuje się równie dostępnemi dla czytelników z ludu. Niewątpliwie w miarę rozwoju oświaty różnica coraz bardziej zacierać się będzie — oprócz rzeczy fachowych i specjalnych, dla ogółu nie przeznaczonych.

Dziś już te same pióra znajdujemy zarówno na tytułowej karcie książek dla inteligencji, jak skromniejszych zakresem — dla ludu czy młodzieży. Od pisarza dla ludu wymagamy teraz, jak od każdego innego — wykształcenia i talentu. Poczciwe próby dobrych serc i woli tracą znaczenie i zwolna znikają. Poziom wymagań i wartości książek się podnosi.

W jednym i drugim dziale mamy dziś całe zastępy pisarzy, — nie będziemy ich wyliczali. Znajdziemy te nazwiska w katalogach, zwykłych i rozumowanych. Musi powstać zczasem krytyczna ocena i zarazem wskazówka, jak, gdzie i czego szukać wśród tych skarbów bardzo nierównej wartości. Dzisiaj książki takiej nie mamy.

Historja.

Dla średniowiecznych dziejopisów ustalono nazwę kronikarzy. Pojęcie kroniki obejmuje różnorodne i różnej wartości prace.

Ogólnie biorąc, kronikarz średniowieczny nie notował samych tylko faktów w ich naturalnem powiązaniu, ale wiązał je i jednoczył w system.

W dziejach szukał badacz myśli Bożej; widział w nich nie prawa życia, ale cudowny, nieustanny współudział Opatrzności w pracy narodów. Przez długie wieki pogląd ten panował w nauce polskiej, wzmocniony potężnie talentem Długosza. Dopiero od połowy w. XVIII teologiczny punkt widzenia ustępuje nowemu. Badacze widzą niebezpieczeństwo w tłumaczeniu wypadków karą lub nagrodą Nieba. Zdają sobie sprawę z niemożności odgadnięcia wyroków Stwórcy. Rozumieją, że wszelkie próby odkrycia ostatecznych przyczyn wydarzeń dziejowych przechodzą siły człowieka. Prowadzą one często nie do wyjaśnienia prawdy, lecz do sądów czysto osobistych, których sprawdzić niepodobna.

Za cel swych badań biorą więc historycy w. XVIII poznanie naturalnych przyczyn zjawisk, uchwycenie praw, które rządzą życiem zbiorowem.

W Polsce przedstawicielem tego kierunku myśli jest Naruszewicz. (Patrz: Nasi Pisarze cz. I). Zrywa on z wszelką cudownością, unika wniosków, mówiących o przeznaczeniu narodu, o jego rachunkach przed Bogiem. Stara się natomiast ocenić bezstronnie i wszechstronnie zdarzenia; ma przytem ciągle na myśli życie współczesne.

Naruszewicz żyje w dobie upadku państwa polskiego. Dlatego na przeszłość swego narodu patrzy z troską męża stanu, szuka w niej źródeł rozkładu, przyczyn klęski późniejszej.

Wyznanie wiary, zamknięte przez historyka w „Głosie umarłych“, daje oświetlenie dziejów z punktu widzenia katastrofy rozbiorowej. Nad kartami książki unosi się pytanie: czemu upada Polska?

Pytanie to staje się odtąd w nauce polskiej podstawą wszystkich niemal prac, obejmujących dłuższe okresy dziejów ojczystych. Rozwiązują je uczeni rozmaicie, zależnie od swych poglądów i sympatyj politycznych. Przyświeca im cel praktyczny. Historja ma uczyć, ma wykreślać narodowi właściwe drogi działania.

W historji Polski uznał Naruszewicz za czynnik rozkładu paraliżowanie władzy królewskiej. Ale na tem stwierdzeniu nie poprzestał. Uderzył w moralną stronę życia społecznego, piętnując w niem brak cnót obywatelskich.

Z winy narodu ginie państwo; słabość rządu i prywata szlachty wiodą je do upadku. Przemoc sąsiadów nie odniosłaby triumfu nad silnym, zjednoczonym narodem.

Śladami Naruszewicza poszło Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, zbierając materjały historyczne, wydając program przyszłych badań. Najwybitniejszy z tego grona, Niemcewicz (Patrz: Nasi pisarze cz. I) widzi również główny czynnik upadku państwa w słabości rządu, w egoizmie magnatów („Zygmunt III“).

Inne oświetlenie przeszłości niosą lata późniejsze. Demokratyczna konstytucja Księstwa Warszawskiego, głosząca wolność osobistą i równość wszystkich w obliczu prawa, wysunęła znaczenie mas ludowych. Życie konstytucyjne Królestwa sprzyjało również szerzeniu się nowych haseł socjalnych. W czasie powstania Listopadowego wzmogła się jeszcze agitacja radykałów, którzy pragnęli pozyskać lud dla sprawy wolności Polski.

Na emigracji, w oderwaniu od kraju, agitacja ta nabrała rysów krańcowości. W atmosferze ścierających się kierunków wyłonił się z całą wyrazistością nowy pogląd na przeszłość narodu. Powagę nadał mu wybitny historyk tych czasów Joachim Lelewel (1786 — 1861). Rozporządzając większym materjałem historycznym niż Naruszewicz, do odmiennych doszedł wniosków, inne też narodowi swemu zostawił wskazania.

Nie w słabości władzy monarszej, ale w rozterkach wewnętrznych, w upośledzeniu mas widzi Lelewel przyczyny złego. Wysuwa nieudolność i złą wolę królów, najlepszym nie waha się zarzucić dążeń sprzecznych z duchem narodu.

Zwolennik polityki Jagiellońskiej, opartej na idei wolności i szeroko pojętej tolerancji, krytykuje działalność Batorego:

„Jagiellonowie i Zygmunt August naprawę Rzeczypospolitej dopełniający, unikali podrzędnych widoków, jakim była rzecz czci religijnej; uchylili ją od istotnych urządzeń. Batory zamierzył niepewność w tej mierze uprzątnąć... Mówił on o tolerancji, sprzyjając papieskiemu stronnictwu; podnosił swą władzę, przywracał jej dawne prawa i chwytał za miecz prawowierny a nieubłagany, co najdolegliwszym przejęło dyssydentów niepokojem. Jagiellonowie żyli w majestacie królewskim z całą wielmożeństwa monarszego wystawą, będąc właściwie głową

Rzeczypospolitej. Batory uznał się być monarchą, przedsięwziął podnieść swą władzę, a tym niewczesnym zamiarem monarchiczną zasadę wywiódł w spór z republikańskim porządkiem; przejmując trwogą wolności szlacheckie, przygotował opłakane zgiełki i zawichrzenia.

Wielkie Księstwo Litewskie wtedy, kiedy było dziedziczne, zapisało w swych statutach prawo obrażonego majestatu. Polska, na Rzeczpospolitą postępująca, nie znała tego, w prawodawstwie swojem obrazę posła ziemskiego, reprezentanta narodu, trybuna ludu, obrazą majestatu nazwała, ale nie przypuszczała obrazy głowy państwa, tak, jak nie znała obrazy izby jakiej lub sejmu. Batory, przejęty monarchiczną myślą, a walcząc wespół z Zamoyskim... Zborowskim wytoczył bezecną sprawę obrazy majestatu, w dziejach Rzeczypospolitej nieznaną, co rozerwało na zawsze wyrozumiałą zgodę między obywatelską wolnością a naczelną państwa głową".

(Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej).

Stosunek społeczeństwa do spraw wyznaniowych ujmuje historyk z całą bezwzględnością:

„Duch narodowy pragnął utrzymać niepodległość kościoła narodowego, domagał się poprawy w karności; polityka Dworu Rzymskiego przynosi mu uchwały Soboru Trydenckiego i bierną uległość. Skłonność narodowa do tolerancji usiłuje pokój między dyssydentami utrzymać: polityka Dworu Rzymskiego wywołuje protestacje, podburza, rozognia prześladowanie. Usposobienie narodowe chce przynajmniej polityczne między dyssydentami zawiązać braterstwo: opiera się temu niemiecki luteranizm. Wolność szlachecka osłania wszystkie nauki i mniemania, cudzoziemski jezuityzm jątrzy ku nim zawziętą nienawiść".

Znacznie surowiej niż z Batorym obszedł się Lelewel z innymi władcami Polski.

Oto wizerunek Zygmunta Wazy:

„Zygmunt III, rodem Szwed, z kraju sprotestantyzowanego, pociągiem skłonności i przywyknieniem do zwyczajów—Niemiec, katolik, bigot — egzorcystami, jezuitami, nawracającymi świętoszkami otoczony... skrycie kierował cudzoziemskie knowania... wywoływał o sukcesję i religijne wojny, których Rzeczpospolita znać nie chciała, wysysał zasoby krajowe, na rzecz swoją skarb odzierał...".

Poglądy Lelewela zyskały szeroki rozgłos i uznanie. Powoływali się na nie radykalni politycy, czerpali z nich najwięksi poeci romantyczni.

Zwłaszcza teorja najazdu—głoszona już przez Naruszewicza, zdobyła sobie niezmierną popularność na emigracji.

Według tej teorji miejscową ludność rolniczą podbił szczep rycerski, który następnie opanował najwyższe godności. Stąd podział na stany i przewaga szlachty nad ludem. Pogląd ten wyzyskano dla celów politycznych. Lud — mówiono—to właściwy gospodarz Polski, szlachta-najeźdźcy, którzy przemocą i gwałtem zdobyli sobie przodujące stanowiska. Rewolucja ludowa przywróci sprawiedliwość, oddając ludowi zagrabioną mu przed wiekami własność. Uwłaszczenie chłopów miało więc znaczenie zwrotu grabieży, stawało się obowiązkiem dziejowym szlachty.

Teorję najazdu odrzucili badacze późniejsi, jako nieuzasadnioną. W nowszych czasach opowiedział się za nią Piekosiński, ale jej dość przekonywająco nie obronił.

Wielki trud Lelewela, jako wysiłek jednostkowy, nie mógł sprostać wymaganiom nowoczesnej nauki. Przynosił sądy zbyt ogólnikowe i chaotyczne.

Dopiero zbiorowe wydawnictwa źródeł, przyczynki i prace analityczne, objęte w tomach Krakowskiej Akademji Umiejętności, dały bardziej wszechstronny i bardziej dokładny obraz przedmiotu. Kraków dzięki Szujskiemu jako wydawcy; Lwów dzięki działalności profesorskiej Liskego, stały się głównemi ogniskami badań historycznych.

Młodzi uczeni wnosili różnorodne wartości: jedni skrupulatną ocenę dokumentów, inni wnioski ogólne, dotyczące wybitnej postaci czy epoki dziejowej, przygotowując w ten sposób drogę do stworzenia nowej syntezy.

Szerzycielem wiedzy o Polsce, dostępnym przez swój żywy i barwny sposób pisania szerokim kołom czytelników był Karol Szajnocha (1818—1868). Stworzył on t. zw. szkic historyczny, będący rozprawą i równocześnie artystyczną opowieścią. Dał się poznać jako autor studjów: „Bolesław Chrobry“, „Jadwiga i Jagiełło“, „Dwa lata dziejów naszych“ i drobniejszych t. zw. „szkiców“. Niekiedy artysta odnosił zwycięstwo nad uczonym, patrjota nad spokojnym sędzią przeszłości. Niemniej zasługi Szajnochy są niewątpliwe: przeciwstawił on znakomicie żywioł germański słowiańskiemu, odtworzył życie społeczne narodu. Starał się przytem określić rolę Polski w Europie, pisząc o niej:

...„Z jednej strony oświetlony jest ten naród blaskiem zachodnio-europejskiej oświaty, z drugiej strony otłukują go bałwany barbarzyńskich hord Azji; z jednej strony odpromienia on całą zachodnio-europejską oświatę, z drugiej strony jest on przedmurzem przeciw całemu wschodniemu barbarzyństwu... stoi on na swem wysokiem pogranicznem podgórzu europejskiem z skrwawioną w bojach piersią jako zbrojny wciąż — rycerz na straży nowożytnych dziejów”.

(„Pogląd na ogół dziejów polskich”).

Śladem Szajnochy poszedł w swych szkicach historycznych Kubala, wskrzeszając obrazy wojen polskich za Jana Kazimierza z niepospolitym talentem pisarskim.

Na całokształt dziejów narodu zdobyli się równocześnie prawie dwaj wybitni historycy: Józef Szujski i Michał Bobrzyński (1849).

Ostatni, jako zwolennik monarchji nieograniczonej, hołduje w swych „Dziejach“ t. zw. racji stanu, mając przedewszystkiem na względzie dobro państwa. Nie wymaga też od polityki zasad moralnych czy religijnych. Idzie mu o rząd silny, o stłumienie zbytnich swobód jednostki.

Szujski inne zajął stanowisko. Zrazu przejęty poglądami Lelewela, odrzucił je później, aby w monarchji katolickiej ujrzeć zbawczą formę życia społecznego Polski.

Panowanie Batorego uznał historyk za wielki epizod w życiu swego narodu, dając w „Dziejach Polski“ (t. III, Lwów 1864) rys ogólny historycznej pracy Batorego.

„Stefan Batory był wielkim człowiekiem, który podbudował gmach wielkiej, silnej i rządnej Polski, ale go wykończyć nie mógł, człowiekiem, którego śmierć przerwała na zawsze dalszą jego budowę.

Wyszedłszy z votów szlachty, Batory nie zostaje jej narzędziem, umiarkowaniem pozyskuje przeciwny sobie senat, prawowiernością katolicką odgradza się od dyssydentów i jedna duchowieństwo. Energiczną wyprawą na Gdańsk odpycha nawał niemiecki, niszczy intrygi cesarskie. Podejmuje program narodowej polityki: walkę przeciw zachodniemu cesarstwu i wschodniemu caratowi, którą przygotowuje wstępny bój z Turcją. Równocześnie chwyta się jedynej rozsądnej polityki królewskiej, przywiązuje do siebie senat, ukraca dumę luźnego i wichrzącego możnowładztwa, podnosi człowieka szlachty w osobie Zamoyskiego, a burzom wewnętrznym daje najsilniejsze antidotum: zewnętrzną wojnę...

W zaciętym z Moskwą boju Polak przywyka do karności i oręża, magiczny węzeł przyjaźni wiąże króla bohatyra z bohatyrskim narodem.

Wewnętrzna choroba narodu wstrzymała na chwilę Batorego działalność. Trzeba było stawić czoło burzom sejmowym, pokazać, że prawo włada, że swawola odnosi karę, trzeba było szlachcie pokazać, że interes państwa obrażanym być nie może. I oto pada głowa Samuela Zborowskiego, Krzysztof Zborowski pod sąd idzie...

I tak praca dziejowa Stefana Batorego pozostała w historji jak złamana kolumna, jak berło olbrzyma, którego nikt po śmierci właściciela dźwignąć nie umiał“.

Na upadek Polski patrzył Szujski inaczej niż jego poprzednicy. Przyczynę klęski znalazł w t. zw. teorji przestrzeni, sądząc, że unja z Litwą przyniosła młodemu państwu zadania nad siły.

„Społeczeństwo, które zaledwie do europejskich zaczęło przychodzić porządków, ma przed sobą zadanie pokonania ogromnej pół-pogańskiej pół wschodnio-katolickiej przestrzeni... Ostatecznie przestrzeń pokonała ów niewielki ale jędrny zarodek polityczny, jakim była Polska".

Poglądy Bobrzyńskiego i Szujskiego wywołały ożywiony spór naukowy. Zarzucano im propagandę konserwatyzmu politycznego, jak dawniej Lelewelowi szerzenie haseł radykalnych.

Uczeni zaczęli coraz częściej podnosić sprawę uniezależnienia historji od polityki. Jeden z najwybitniejszych, autor monografji o Kościuszce, wielkiego dzieła: „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta" (1839—1918) — Tadeusz Korzon — domagał się uznania w historji nauki.

„Pojęcie — nauka — uwolni ją od służebnictwa „królowi pruskiemu i cesarzowi austrjackiemu", od zgadzania się z interesami państwa, z widokami politycznemi... jak wolne są wszystkie inne nauki w swych twierdzeniach, dowodzeniach, wnioskach.

Obaj wymienieni oraz wszyscy niewymienieni monarchowie i wszyscy prezydenci republik nie odmówią jej przeto swego zaufania, jak nie odmawiają obliczeniom astronoma, wykładom anatoma i fizjologa, wynalazkom chemika, chociażby te pochodziły z kraju obcego, a nawet jawnie wrogiego. Naczelnicy stronnictw politycznych utracą jeden ze środków swej agitacji, ale to przynajmniej zyskają, że i sami i stronnictwa ich i, co najważniejsze, naród cały nabędzie jasnego, trzeźwego poglądu na sprawy sporne...

Wpływ oczyszczonej historji stanie się pożyteczniejszym przez podniesienie szczerości i prawdy. Nabędzie też historja przymiotu uniwersalności"...

(„O nauczaniu historji", Warszawa, 1882).

Wyrażony przez Korzona pogląd zyskał uznanie powszechne wśród uczonych. Prowadził on do bezstronności w ocenie wypadków. Pamiętać wszakże trzeba, że bezstronność ta — mimo najlepszych chęci uczonego — ma granice.

Każde pokolenie odrębne zakreśla sobie cele i zadania, każde więc inne wartości poczytuje za najważniejsze. Stąd płynąć muszą różnice w ocenie wydarzeń dziejowych, stąd potrzeba rewizji dawnych sądów i ocen. Nowe pokolenie dokonywa krytyki tego, co stworzyło poprzednie i następnemu zostawia obowiązek przezwyciężenia swoich omyłek.

Jest to konieczna droga postępu. Na dnie każdej bowiem rzetelnej pracy zostaje osad prawdy. Co raz obali przekonywująco nauka, to już nie wróci jako argument polityczny czy moralny.

Niewszystkie jednakże sądy dawnych historyków uznaje nauka dzisiejsza za równie pewne. Naród bowiem częściowo się tylko wypowiedział w przeszłości. Ma jeszcze przyszłość przed sobą, w której wykazać może twórcze siły na nowych polach, tworząc nowe formy życia społecznego.

Mówić więc, że Polsce odpowiada ten lub inny ustrój rządowy czy społeczny, jest to mówić rzeczy przedwczesne, których słuszność lub niesłuszność ocenią dopiero potomni. Historyk ma naturalnie prawo rozważać te kwestje na podstawie przeszłości, może nawet stawiać przewidywania na przyszłość, ale pamiętać musi, że wchodzi w sferę przypuszczeń, wybierając jedną z możliwości, że z historyka staje się agitatorem politycznym czy społecznym.

Dzisiejsza wiedza historyczna rozumie dobrze niebezpieczeństwa, płynące z naginania wniosków naukowych do potrzeb chwili i programów stronnictw. Stara się więc przez pogłębienie znajomości źródeł osiągnąć możliwie dokładny i wierny obraz przeszłości, unikając wyrokowania na przyszłość.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Poglądy badaczy polskich na zadania historji. Upadek Polski w oświetleniu różnych kierunków historycznych. Czy poglądy te się wykluczają czy też uzupełniają wzajemnie?

Rola Polski w Europie (Szajnocha). Czy pogląd ten znajduje potwierdzenie w dobie obecnej?

Znaczenie dziejowe rządów Stefana Batorego według Lelewela i Szujskiego. Który z historyków daje ocenę bardziej rzeczową? Który powoduje się nie faktami, ale raczej pewnym ideałem politycznym?

Przeczytaj szkic historyczny Szajnochy lub Kubali i zdaj sprawę z jego treści i budowy.

Filozofja.

Grecki wyraz „filozofja“ oznaczał pierwotnie umiłowanie mądrości; później zacieśniła się treść pojęcia, osłabła w niem rola uczucia. Ustala się pojmowanie filozofji jako nauki najogólniejszej, która na wynikach nauk specjalnych buduje swe sądy.

Każda epoka inaczej rozumiała zakres i zadanie filozofji, każda na inny jej dział kładła nacisk główny.

W Polsce dość późno zaszczepiły się badania filozoficzne i wybitnych rezultatów zrazu nie przyniosły. Krzewili je profesorowie Akademji Krakowskiej, wzorując się na filozofji Zachodu, która w w. XIII otrzymała nazwę scholastyki.

Miała ona służyć teologji, uzasadniać dogmaty religijne i prawdy etyczne. Samodzielnej roli nie przyznawano jej wówczas. Przemiana pojęć, która dokonała się w Europie zachodniej w dobie humanizmu, słabe zostawiła ślady na polskiej myśli filozoficznej. Zwycięstwo katolicyzmu po soborze Trydenckim umocniło wszędzie, a w Polsce tembardziej, średniowieczny punkt widzenia.

Zastój w życiu umysłowem Polski za Sasów odbił się niekorzystnie i w zakresie dochodzeń filozoficznych.

Epoka ta powtarzała i przetwarzała nieudolnie formułki ustalone w średniowieczu, nie tworząc nowych pojęć.

Dopiero wpływ pisarzy francuskich w. XVII i XVIII zmienił postać rzeczy. Rozpowszechnia się w Polsce uznanie dla powagi rozumu, i nowy kierunek od łacińskiego wyrazu ratio — rozum — otrzymuje nazwę racjonalizmu.

Najwybitniejszym myślicielem tego typu był w Polsce Jan Śniadecki. Zwolennik ścisłości w badaniach naukowych, odwoływał się zawsze do doświadczenia i obserwacji. Oto jak pojmował filozofję:

„Nazwisko Filozofji... najwłaściwiej... służyło tym naukom, które obejmowały wiadomości o duszy, o rzeczach przyrodzonych i obyczajach: to jest, nauki umysłowe, fizyczne i moralne razem wzięte... Ale jeszcze w każdej prawie nauce chciano mieć filozofję... ogólniejszy widok jakiejkolwiek szczególnej nauki, odniesiony do początków pewnych i jasnych, przez rozum ustanowionych.

Jeżeli nazwisko filozofji przeniesiemy do człowieka, natenczas mądrość zależy na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy i razem w postępkach życia; bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do utrzymania towarzyskiego porządku i do szczęścia osobistego... Słowem, filozofja jest to nauka prawego

myślenia i życia, w ciągłej praktyce okazywana. Prawdziwy filozof... patrzy na nieprawości, ale z drogi sprawiedliwości nie schodzi; uzbraja się stałością i męstwem tak na nieprzyjazne ciosy, jak na zwodnicze uśmiechy fortuny".

Racjonalizm rozwijał się w Polsce pod wpływem myśli francuskiej i angielskiej, idącej przez Francję. Nowy prąd zwany idealizmem filozoficznym płynie z Niemiec. Starcie się tych kierunków przypada na czas walki literackiej klasyków z romantykami.

W walce tej powoływano się na przykład Niemiec, polemizując z sobą o pierwszeństwo myślicieli i poetów niemieckich przed pisarzami francuskimi.

W sporze filozoficznym biorą udział ci sami pisarze, którzy podnosili głos w sprawie nowej poezji.

Śniadecki, zwalczając dążenia romantyczne, zwalcza równocześnie nowy kierunek filozofji, widząc w nim niebezpieczne dla ścisłości naukowej działanie nadmiernie podnieconych uczuć i wyobraźni. Mochnacki—wielbiąc romantyków, z zapałem pisze o zdobyczach myślicieli niemieckich, o rozszerzeniu sfery badań na tajemnicze strony życia.

Nowy kierunek filozofji wkraczał bowiem w dziedzinę religji, roztrząsał jej prawdy, tłumaczył je i nieraz uzupełniał. Inaczej niż w średniowieczu, filozofja występowała w roli najwyższej instancji dla wszelkiej prawdy.

Ostateczne przeznaczenie człowieka, narodu, ludzkości, całego wszechświata stało się umiłowanym przedmiotem badań filozoficznych.

Obudzone po wojnach napoleońskich uczucie narodowe znalazło także wyraz w tej filozofji. Najsilniej rozbrzmiewało ono w dziełach Polaków.

Upadek państwa, ból patrjotyczny po klęsce powstania Listopadowego pogłębiły miłość ojczyzny w sercach polskich.

Zarówno poeci jak i filozofowie, zwłaszcza po r. 1831, podejmują prace swe z troską synowską o los nieszczęsnej ojczyzny. Ani jedni ani drudzy nie wpadają jednakże w szowinizm, wiążą bowiem ściśle dobro Polski z dobrem powszechnem ludzkości.

Mickiewicz żywi serdeczne uczucia dla szlachetnych ludzi wśród Rosjan („Do przyjaciół Moskali"), boleje nad niedolą ludu rosyjskiego („Przegląd Wojsk").

Filozofowie, wierząc w powołanie Słowian, nie wyłączają Rosji z pracy dziejowej, co więcej wyznaczają jej w tem dziele rolę poważną.

Uznając ideę narodowości za podstawę życia, spodziewają się wszyscy nowego ukształtowania świata Chrystu-

sowy nakaz miłości uzdrowi panujące stosunki, gdy zasady Ewangelji staną się wskazaniem działań polityków.

Nowa era, której zapowiedź widzą w obietnicy Chrystusa o zesłaniu Pocieszyciela, ma wkrótce nastąpić. Siebie uważają za tłumaczy Słowa Bożego, za objawicieli prawd najwyższych. Podstawą ich systemów jest wiara w Boga i w wielką moc człowieka.

Wiara ta w poezji stwarza „III cz. Dziadów", „Psalmy Przyszłości" i wiele innych utworów, w filozofji zaś przenika wszystkie niemal dzieła ówczesnych myślicieli polskich, z których najwybitniejsi: Hoene-Wroński, Cieszkowski, Trentowski, Libelt—pracują nad stworzeniem filozofji narodowej.

Pierwszy z nich, Józef Hoene-Wroński, urodzony w Poznaniu r. 1778, kapitan artylerji kościuszkowskiej, później legjonista z pod znaków Dąbrowskiego, poświęcił się pracy naukowej w dziedzinie matematyki i filozofji, zajmując się przytem ekonomją polityczną, geografją, a także chemją.

W licznych pracach, pisanych po francusku, jak: „Mesjanizm", t. I: „Prodrom mesjanizmu", 1831; t. II: „Metapolityka mesjaniczna", 1839; „Przeznaczenie Francji, Niemiec i Rosji jako Prologomena do Mesjanizmu", 1842 r. głosił Wroński zasady nowej filozofji.

W życiu umysłowem, społecznem i politycznem ludzkości dostrzegał ciągłą walkę sprzecznych kierunków. Widział w tem objawy jednostronności myślenia.

„Istnieją dzisiaj—pisał—we wszystkich państwach cywilizowanych dwie partje polityczne pod różnemi nazwami: wigów i torysów; republikanów i rojalistów, niezależnych (liberałów) i zależnych... Obie te partje socjalne mają za cel ostateczny wyłonić z siebie czy stworzyć na ziemi jedna prawdę, druga dobro, te dwa pierwiastkowe elementy świata, od których zależy dopełnienie przez człowieka aktu stworzenia... Obie jednako i w jednakim stopniu mają słuszność i nie mają słuszności". („Prodrom mesjanizmu").

Obie bowiem rozwiązują jedną tylko stronę kwestji. Pierwsi ufają wyłącznie doświadczeniu, drudzy, wpatrzeni w Objawienie, podnoszą ułomność rozumu ludzkiego. Pierwsi szukają pewności oczywistej, namacalnej, drudzy opierają się na ślepej wierze, nie mając odwagi spojrzeć na jej prawdy oczyma rozumu.

Krańcowość tych kierunków przezwyciężyć ma zbawcza dla świata nauka: mesjanizm. Pragnie ona wytłumaczyć ostateczny cel świata, istotę przeznaczeń człowieka i w praktyce życia teorję swą sprawdzić. Od liberałów

bierze ich trzeźwość, ich wysokie pojęcie o zdolnościach rozumu, od ich przeciwników zaś wiarę w byt pozamaterjalny.

W dążeniu ludzi do prawdy i dobra widzi dowód zbliżania się ludzkości do Boga.

„Religja, a mianowicie religja absolutna, którą powołany jest ugruntować mesjanizm, winna... odsłonić niebieskie pochodzenie Dobra i piekielne pochodzenie Zła, wykazując, że realna produkcja pierwszego jest dobrowolnem dziełem Stwórcy, i że istnienie rzeczywiste ostatniego może się ugruntować jedynie jako równie dobrowolne dzieło stworzeń wolnych, obdarzonych przez Potęgę twórczą rozumem, którego przewrotny użytek tylko może sprowadzić zło na świecie".

Królestwo prawdy i nieśmiertelności musi być samodzielnym tworem człowieka.

„Tak więc to dobrowolne dobywanie przez człowieka prawdy czyli odkrywanie Absolutu, które jedynie może nietylko zapewnić, ale wprost stworzyć nieśmiertelność stworzeń rozumnych, jest aktem własnej twórczości człowieka, aktem, dla którego jedynie istnieje wszechświat, i który tworzy w ten sposób podstawowy dogmat mesjanizmu... Mesjanizm... winien wskazać niewątpliwy kierunek, który ma odtąd nadać ludzkości Unja ludzi wyższych".

Postęp wiedzy odwraca — według Wrońskiego — średniowieczny stosunek religji do filozofji.

„Religja — pisze — musi z konieczności i podczas wieków całych wyprzedzać filozofję, ale w miarę jak ta dochodzi do samodzielnego ustalania zagadnień, które jej podaje religja, zbliża się do niej, użyczając jej swojej ważności poznawczej wzamian za ważność uczuciową, którą otrzymuje od religji". („Prologomena do Mesjanizmu").

Chrześcijaństwo dotychczasowe poczytuje Wroński za niepełne lub wprost skrzywione. Mesjanizm dopiero ma stworzyć religję powszechną, czyli prawdziwą religję katolicką.

Przechodząc do wniosków praktycznych, stwierdza Wroński, że Francja, Rosja i Niemcy mają pierwsze rozpocząć realizację zasad mesjanizmu, jako najlepiej do tej pracy przygotowane. W idei św. Przymierza widzi przeczucie swojej filozofji. Dlatego wysoko ceni Aleksandra I. Nie przeszkadza mu to bynajmniej w charakterystycznym dla owych czasów kulcie Napoleona, którego uważa za poprzednika nowej epoki dziejów, epoki Ducha św. Opóźnienie jej przyjścia powodują ludzie złej woli, których nazywa

Wroński bandą piekielną. Przeciw niej właśnie ma działać Unja mesjaniczna.

Do podobnych wniosków doszedł na drodze samodzielnych zresztą rozważań i przeżyć August Cieszkowski (1814—1894). Bezpośrednio przez swe prace filozoficzne i pośrednio przez wpływ, jaki wywarł na Zygmunta Krasińskiego, oddziałał on silnie na inteligencję polską.

Gdy Wroński na plan dalszy niejako odsunął sprawę polską, sądząc, że w nowym układzie stosunków wszystkie ludy uradują się wolnością, Cieszkowski podnosił stale i z naciskiem misję dziejową swej cierpiącej ojczyzny.

Ale obaj, wychowani przez filozofów niemieckich, odczuwający żywo potrzebę gruntownej przemiany we wszystkich dziedzinach życia, głęboko przejęci zasadami Ewangelji, wzywają zwaśnione partje i koterje do zgody w obliczu Chrystusa.

Wroński widzi w mesjanizmie prawdziwe chrześcijaństwo, Cieszkowski nawołuje do zrozumienia świętego nakazu miłości.

„Ufajcie i kochajcie: — już raz miłość zbawiła świat. W imię tej samej Miłości wzywamy was dzisiaj, opuśćcie jałowe rewolucyjne zamysły, opuśćcie wszelkie zaprzeczne uczucia zemsty i nienawiści,—lecz bądźcie gotowi do Dzieła Obietnicy, do Chrystusowego Czynu...“

Czyż niedość już jęków wydała pierś ludzkości, czyż niedość łez oczy jej wyroniły?

Komuniści, demagodzy, utopiści wszelkiej barwy, którzy macie prawe przeczucia i prawe domysły, ale czucia i myśli zwichnięte — i wy synowie umęczonego, rozkrzyżowanego narodu,—żywej i świętej ofiary, przez którą Bóg staje się Ludzkością, jako przez Jezusa Chrystusa Bóg stał się człowiekiem, nie rozrywajcież dalej świata niedojrzałemi zamysły, — lecz bądźcie dobrej myśli ku zrozumieniu... i bądźcie dobrej woli ku spełnieniu“. („Ojcze Nasz“).

Po mniejszych pracach, jak „Prologomena do Historjozofji“, podejmuje Cieszkowski olbrzymi trud wyjaśnienia i uzasadnienia Modlitwy Pańskiej w duchu potrzeb ludzkości sobie współczesnej. Za życia wydaje tylko pierwszy tom dzieła p. t. „Ojcze Nasz“, sądząc, że czasy jeszcze się nie wypełniły, że niektóre prawdy zgorszyć mogą umysły nieprzygotowane.

Z namaszczeniem kapłana przystępuje do wykładu tajemnic Słowa Bożego, ufny w opiekę Stwórcy nad sobą.

„Boże Duchu Święty — woła — który wymierzasz czasy i ważysz czyny ludzkie, dozwoliłeś mi pojąć, iż wielka godzina nadchodzi, — iż nowy otwiera się zawód.

Że gotuje się ludzkość do nowego a wielkiego dzieła Objawienia — i woła o nowe Zbawienie.

A jeżeliś mnie wybrał, Boże, na Zwiastuna świętych postanowień Twoich, kieruj opatrznie słowy mojemi, aby właściwe w duszy ludzkości uderzyły struny...

I nie dozwól, aby błąd lub zła wola wykrzywiały myśli, któremiś mnie natchnął,—śmiem bowiem głośno wyznać, o Panie, że je wprost od Ciebie mam.

Bo nim jeszcze pod ścisłe rozumowanie poddać je zdołałem, już mi stały one żywo w przeczuciu mojem, z natchnienia Twojego...“

Okres współczesności wydaje się Cieszkowskiemu strasznym chaosem:

„Zewsząd prawda się wykluwa, a kłamstwo przemaga wszędy. Stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych lub mordowanych narodów. — Morze Rozkoszy — i ocean Cierpienia; a przy rozkoszy nuda, rozpacz przy cierpieniu! — Powołani obsiedli rozpustne życia biesiady — a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi, — a w ziemi wspólne grobowisko...

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową potęgę i dzielność... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi... na dni Noego i na dni Lotowe...

Miałżeby znowu potop jaki, — potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię?

O nie, — Potopu już nie będzie... Mogą być klęski, — mogą być powodzie, — jeśli je sami rozpuścicie; a wtedy jako ślepe uragany porwać mogą ludzi złej i dobrej woli, — lecz ani ludów ani ludzkości nie dosięgną one. A zapobiec im, — od was samych zależy.“

Cel ostateczny świata, wskazany przez Chrystusa, wypełnić się ma przez działanie dobrej woli człowieka, cel ten wskazał Zbawiciel w modlitwie.

„Modlitwa Pańska jest szeregiem próśb społecznych, — a więc wyrazem dążeń i potrzeb całego społeczeństwa — Nadaną nam została przez samego Zbawiciela, aby nam wskazać istotne cele ludzkości i dać nam zarazem rękojmię ich dostąpienia, — albowiem rzekł: „Proście, a będzie wam danem”, stanowi ona przeto istne objawienie Boże, — atoli objawienie nie tego, co jest, lecz tego, co będzie; — ani też tego, do czego pojedyńczy chrześcijanin, ale tego, do czego cała Ludzkość dąży; — a tem samem jest nadzwyczajnem proroctwem, wyższem nad wszelkie zwyczajne proroctwa i właśnie tem ważniejszem, że nie w kształcie szczegółowego proroctwa, ale w kształcie powszechnego domagania się, w kształcie społecznej prośby światu udzielonem“.

W odrodzeniu świata przodującą rolę odegrać mają Słowianie, a pośród nich — najbliższa Ukrzyżowanemu — Polska.

W postępie ludzkości wiązać ma ludzi i narody religja. Rozumie Cieszkowski, że nieraz nadużywano tego wyrazu, że za stróżów religji podawali się ludzie niegodni, mimo to z bezwzględną siłą przekonania stwierdza:

„Religja jest i zawsze była związkiem, ale nigdy więzieniem, stanowi ona węzły, nie zaś kajdany...

Skoro zobaczycie skojarzenie, spójność i spólność Ducha, tam zgóry bądźcie pewni, jest Religja. Skoro owszem zobaczycie tylko kajdany, żelazne pęta, nałożone na ludzi w imię religji, — tam zgóry bądźcie pewni — Religji już niema. Tam niegodni służalcy nadużywają już tylko jej świętego imienia"...

...„Walka jest życiem, — obojętność śmiercią. Religijne więc zatargi, gdziekolwiek się objawiają, dowodzą żyznej i płodnej roli...

Wydobyć się niby z pod przemocy Religji wychodzi to dla ludzkości na takie samo absurdum, jakoby dla ciała wydobyć się z pod przemocy duszy... Bezreligijne społeczeństwo jest albo dogorywającym w konwulsjach skonu skazańcem, albo też rozpadającym się już trupem...

Lecz jak dusza niemowlęca nie przystoi dojrzałemu ciału, tak też dojrzała ludzkość dojrzałej wymaga duszy, — dojrzałej Religji. — Nie znoście więc, ale wznoście! — i żyjcie coraz pełniejszem, coraz silniejszem, coraz religijniejszem Życiem".

Poglądy Wrońskiego, Cieszkowskiego, jak też ich uczniów, omawia Bronisław Trentowski (1808—1869) w wielkiem swem dziele p. t. „Panteon". Autor „Przedburzy", w której zapowiedział bliską „walkę rasową na zabój pomiędzy Słowiańszczyzną a Germanizmem", spodziewając się, że Słowianie zwyciężą, czyni w Panteonie przegląd filozoficznego dorobku Polaków. Widzi w nim budowlę jednolitą. Stwierdza zgodne rozwiązanie głównych zagadnień, oparte na fundamentach wiary w moc twórczą człowieka i w posłannictwo narodów. Sam do podobnych doszedł przeświadczeń:

„Bóg — pisze — uprzedmiotowił się w stworzonym od siebie świecie i ujrzał wkońcu samego siebie w człowieku, którego jaźń zrobił swem zwierciadłem... Światem, który ma utworzyć człowiek, jest powiat prawdy, piękności i cnoty, świętości i wolności, światła i prawa. Jego czynem: walka za dobro, jego zasługą: poświęcenie się i ofiara. On znajduje obraz swój w Bogu i usiłuje wejść z Nim w unję... Jak Bóg rozlewa niebo na ziemi... tak człowiek ma skupić w sobie to niebo i odnieść je napowrót Bogu".

Podstawą wartości wszelkich prac i poczynań ludzkich jest według Trentowskiego idea narodowa. Aby wszczepić ją w naród, trzeba zacząć od wychowania dzieci i młodzieży. Dlatego pisze Trentowski „Chowannę“, w której głosi zasady rozwijania i nauczania młodocianych serc i charakterów.

Twierdzi, że Polacy zanadto rządzą się wyobraźnią. Cytuje zdanie Napoleona, że wszystko robią oni przez entuzjazm, a nic przez system.

„Każdy Polak jest urodzonym poetą... jednakże nie ma on ani właściwego rozsądku, ani umysłu“...

...„Polacy! uderzmy się w piersi i wyznajmy szczerze, iż braknie nam istotnie rozsądku! Nasza dawna konstytucja, nasza wolność złota, nasze liberum veto, nasze krucjaty religijne przeciw kozactwu, były utworem romantycznego umu (wyobraźni).“

Wychowanie musi zwalczać wady przyrodzone, rozwijając inne zadatki charakteru.

Zdawaćby się mogło, że Trentowski staje w ten sposób do walki z charakterem polskim.

Tak nie jest. Chce on tylko wszechstronnego rozwoju ciała i duszy, pragnie ustrzec Polaków od grożących im niebezpieczeństw.

Niemniej za podstawę wartości wszelkich prac ludzkich poczytuje ideę narodową.

„Kto nie idzie jednocześnie z genjuszem przodków i z genjuszem następców, ten albo zostanie nocną marą, albo skończy jak Masław — za wysoko.“

Jeszcze głębiej sięgnął w istotę narodowości Karol Libelt (1807—1875) w swej rozprawie: „O miłości ojczyzny“. Oto jak rozwija to zagadnienie:

„Narodowość jest duchowem piętnem, charakterem niezmazanym, którym Bóg lud nacechował, aby go od innych ludów ku niedoścignionym celom odróżnił. Kto się więc targa na narodowość, bluźni Bogu i podnosi rokosz przeciw wyrokom Jego. Z tego to tytułu obyczaje każdego narodu są tak święte i szanowne, i tylko niedowiarek, tylko człowiek bez Boga i bez miłości ojczyzny z nich się natrząsać może. Ty, co szydzisz z obyczajów narodowych, nie wiesz może o tem, że szydzisz z ducha narodowego, który wylał się z łona samego Ojca przedwiecznego! — nie wiesz, że zadrasnąłeś naród twój w najdotkliwszej jego stronie, bo on kocha obyczaje swoje i w nich siebie kocha; — nie wiesz wreszcie, że tą ohydą, rzuconą na świętość narodową, ohydziłeś samego siebie—bo czem

jesteś bez tej narodowości? uschłą gałązką i odpadłą od pnia dębu narodowego."

Polacy wśród Słowian, według Trentowskiego, Cieszkowskiego i Libelta, mają szczególne pomazanie na obrońców wolności.

Czyn zbawczy, obejmujący ludzkość całą, to cel, który wysuwa polska filozofja romantyczna, oddając jego realizację w ręce narodów wybranych.

Aby ten święty nakaz wypełnić, działać trzeba na możnych i biednych, na mędrców i prostaków.

Tak też czynili filozofowie polscy, pisząc listy do monarchów, memorjały, broszury, wreszcie dzieła przeznaczane dla potomnych.

Według tych samych założeń religijnych i społecznych podejmują pracę nad własnemi duszami emigranci polscy, zgrupowani w t. zw. Domku Jańskiego, później w Zgromadzeniu Zmartwychwstania Pańskiego (1842). Na powstanie pierwszej nielicznej zresztą organizacji, jak też drugiej, która się stała zakonem uznanym przez kościół, potężnie oddziałał Adam Mickiewicz. On też stał się oparciem dla wielkiego działacza religijnego tych czasów, Andrzeja Towiańskiego (1799—1878).

Nie był Towiański filozofem, ale człowiekiem praktykującym cnoty ewangeliczne. Siłą swego wpływu pociągnął wielu głęboko czujących Polaków. W Kole towiańczyków znaleźli się wybitni poeci (Mickiewicz, Słowacki), wypróbowani w służbie rycerskiej patrjoci (Karol Różycki), działacze społeczni w duchu radykalnym (Seweryn Goszczyński), duchowni (ks. Edward Duński). Wpływ mistrza Andrzeja nie ograniczył się do swoich. Wielu wybitnych cudzoziemców przejęło się jego misją.

Towiański uważał siebie za sługę Bożego, za jednego z posłanników Stwórcy, podobny w tem poczuciu do poetów i filozofów romantycznych. Ale gdy tamci tworzyli programy, Towiański domagał się bezwzględnej ich realizacji. Jak oni mówił o nowej epoce chrześcijaństwa, przyznawał niektórym narodom misję szczególną, szerzył kult Napoleona. Jak wszyscy niemal nowi poeci i filozofowie doby tych czasów — wierzył w metampsychozę. Wtajemniczonym mówił o kolumnach duchów, wspierających człowieka, o swoim związku z zaświatem, przeczuciach i jasnowidzeniach.

Główną pracę podjął nad charakterem narodu, stawiając mu nakaz świętości, dając wskazania praktyczne, jak ten trudny ideał osiągnąć.

Nie był Towiański marzycielem, jak to dzisiaj mniemają niektórzy, co więcej był wrogiem wszelkich marzeń.

Wielokrotnie poruszał tę sprawę, walcząc z szkodliwą egzaltacją. Weźmy jeden z licznych ustępów:

„Oddawanie się zbyteczne modlitwie lub muzyce, przyjmowanie skarbów niebieskich nad miarę naznaczoną, przebywanie nad miarę w głębokościach ducha, zatrzymując człowieka na tamtym świecie, czyni go marą i utrudnia mu życie na tym świecie. Tym sposobem z tego świętego źródła, z którego w prawdziwej ofiarnej pobożności wypływa życie chrześcijańskie, niebieskie, może w pobożności fałszywej wypływać samo marzenie, ta to śmierć ducha i człowieka, która najwięcej oddala od drogi i od postępu chrześcijańskiego."

Często powtarzał Towiański, że nie jest filozofem ani uczonym.

...„Nie przynoszę wam—mówił—ani mądrości rzeczy ludzkich, ani nauki, umiejętności, talentów... tych więcej ode mnie posiadacie. Z wyżej idzie to, co wam przynoszę, bo idzie z Woli i Łaski Bożej, idzie ze źródła otworzonego przez Chrystusa Pana..."

„Nic się tu nie zmienia, co Kościół święty podaje i naucza, wszelka jego ustawa, wszelka forma i obrządek nietylko szanuje się, ale w pełniejszem świetle okazuje się, duchem miłości i ofiary ożywia się, spełnieniem, czynem czci się...

Ewangelja jest jedynem światłem i prawem mojem; nic wyższego nad to nie zejdzie na ziemię...

W sprawie Bożej zawarta jest cała wielka przyszłość Polski, ojczyzny naszej...

Ducha miłości i ofiary cała Polska powołana jest przyjąć i podać światu w życiu swojem, w czynach swoich prywatnych i publicznych, a naprzód w naznaczonym jej czynie pokuty narodowej...

W tym tylko duchu może Polska skutecznie czynić z Rosją, może nawet walczyć z nią, walczyć — nie jak dotąd siłą nienawiści i zemsty, pragnącej poniżenia i zguby bliźniego jarzmiącego, ale siłą miłości, która ofiarując się dla prawdziwego dobra tego bliźniego, stara się dać mu chrześcijańską pobudkę, aby on z wroga stał się bratem i przyjacielem w Chrystusie."

Domagał się Towiański od uczniów swoich energji chrześcijańskiej, chciał wydobyć z ich duszy ton żołnierzy napoleońskich, wdrożyć ich do heroicznej służby Bogu. Siłą przekonania i miłości mieli ci ludzie zdobywać serca bliźnich, nawet wrogów śmiertelnych.

Przyszły inne czasy. Zawody polityczne Polaków po upadku ruchów wolnościowych r. 1848, zwłaszcza po stłumieniu powstania Styczniowego musiały wywołać rewizję haseł i wskazań romantycznych. Zdawało się nawet nie-

którym patrjotom, że filozofowie - idealiści łudzili swój naród, że odwracali wzrok jego od rzeczywistości.

Wysunięto ważność czynników gospodarczych w prawidłowem życiu narodu, zwrócono uwagę na potrzebę rozwoju przemysłu i handlu, aby tą drogą uzyskać samodzielność ekonomiczną.

Rozumiał te potrzeby społeczne Stanisław Szczepanowski (1846—1900). Przebywał dłuższy czas w Anglji, zapoznał się z organizacją pracy na Zachodzie i zaczął działalność polityczną, w której ujawniał dowodnie zapomocą danych statystyki ciemnotę i ubóstwo Galicji, w broszurze p. t. „Nędza Galicji“ 1888. Ale nietylko słowem działał Szczepanowski. Przykładem własnym zachęcał rodaków do wyzyskania bogactw naturalnych kraju, a mianowicie do eksploatacji źródeł nafty i węgla. Równocześnie rozumiał Szczepanowski, że wysiłki celem wzmożenia bogactw krajowych nie wystarczą, że oprzeć się trzeba w każdej sprawie publicznej na energji duchowej, wyrabiając w narodzie tężyznę moralną, a zwłaszcza w młodzieży.

Pojmował intencje myślicieli romantycznych. Słusznie widział w ich drogowskazach rękojmię postępu. Dodawał wprawdzie nowe czynniki, ale z tradycją swych wielkich przodków nie zrywał, wzbogacając ją jedynie zdobyczami nowszej wiedzy ekonomicznej. Hasło wychowania narodu w duchu równowagi sił duchowych, rozbrzmiewające w „Chowannie“ Trentowskiego, znalazło w pracy „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych“, Lwów 1901,— oddźwięk donośny.

„Zasadniczem przykazaniem pedagogiki polskiej jest dzielność w dobrej sprawie...

To przykazanie jest kamieniem probierczym dla każdego Polaka...

Bo też niedołęstwo... jest najgłówniejszym z grzechów śmiertelnych, grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, za który niemasz przebaczenia!

Niedołęstwo jest zarazem narodowym grzechem polskim, któremu winniśmy wszystkie nasze klęski, bo usiłowania garstki bohaterów marnowały się zawsze niedołęstwem ogółu. Dlatego też sprawa polska dotąd nie zwyciężyła, bo Polacy dotąd byli niedołężnymi przedstawicielami tej sprawy.

To też cała historja polska jest marnotrawieniem bohaterstwa i genjuszu z braku czynników niższej kategorji, t. j. wiedzy i musztry...

Każdy prawdziwy genjusz czuje też potrzebę wiedzy, a poddaje się karności i nie

lekceważy nawet drobnostek, bo—jak mawiał Michał Anioł, od drobnostek zależy doskonałość...

Brak należytego zrozumienia doniosłości wiedzy i jej roli w walce o byt jest także główną, bodaj czy nie jedyną przyczyną dotychczasowej bezpłodności naszego objawienia narodowego i naszej wielkiej literatury.

Mickiewicz czuł potrzebę realizacji, Krasiński wołał: „zgińcie, me pieśni, wstańcie, czyny moje", ale jeden i drugi nie rozumiał, że salto mortale z zamiaru do czynu wiedzie właśnie przez to, co oni tak nienawidzili, co tak lekceważyli: przez wiedzę, umiejętność, technikę, przemysł, finanse, przez codzienną, szarą, praktyczną pracę...

Nie mówię tego dla krytyki naszych wieszczów. Oni nam w spuściźnie przekazali swoją duszę i na wszystkie wieki zapewnili odrębność duchową narodu polskiego. Dali najwznioślejszy wyraz nowej wierze i wskazali cele wszelkiego działania. Nam epigonom pozostaje szukać środków do skutecznego przeprowadzenia tych celów".

Sąd Szczepanowskiego o Polakach, nacechowany głęboką znajomością ich charakteru narodowego, budzi poważne refleksje. Z zaufaniem także słuchamy jego opinji o poezji romantycznej. Doniosłe, nieprzedawnione wskazania Mickiewicza uczynić pragnie Szczepanowski podstawą wysiłków i poczynań narodu, choć wzbogacić je chce zdobyczami wiedzy i techniki współczesnej.

Zgodnie z najistotniejszem wskazaniem swych czasów, złożył Szczepanowski hołd pracy swych ojców, nie wyrzekając się przez to bynajmniej postępu.

ZADANIA USTNE I PIŚMIENNE.

Pojęcie filozofji według Jana Śniadeckiego.

Co stanowi istotę filozofji absolutnej Hoene—Wrońskiego?

Czy pojęcie to odpowiada idei mesjanicznej Mickiewicza? (Rozwinąć porównanie).

Związek filozofji z religją w pismach filozofów romantycznych.

Idea narodowości w ich pismach.

Walki polityczne i socjalne w pismach filozofów romantycznych.

Typ filozofji doby romantycznej (misja, jej podstawy i cele).

Na czem polegała misja Towiańskiego? Jej związek z epoką.

Cechy odrębne towianizmu jako ruchu religijno-moralnego.

Dorobek polskiej myśli romantycznej w oświetleniu Stanisława Szczepanowskiego.

Do czytania z opracowań: Cieszkowski, Trentowski, Libelt'— Sto lat myśli polskiej, t. VI; — Towiański, t. IV.

Z pism: Andrzej Towiański, Wybór pism i nauk, St. Pigoń, Bibljoteka Narodowa. Nr 8. — Cieszkowski, „Ojcze nasz", t. I, Poznań, 1905. — Karol Libelt „O miłości ojczyzny", w oprac. W. Hahna, Brody, 1907. — St. Szczepanowski: „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych, Lwów 1901.

SPIS RZECZY.

Str.

Powieść — *C. N.* 3
Henryk Rzewuski — *C. N.* 7
Ignacy Chodźko — *C. N.* 18
Michał Czajkowski — *C. N.* 27
Józef Korzeniowski — *C. N.* 40
Ignacy Kraszewski — *C. N.* 66
Zygmunt Miłkowski - T. T. Jeż. — *C. N.* 90
Zygmunt Kaczkowski — *C. N.* 111
Eliza Orzeszkowa — *C. N.* 130
Bolesław Prus — *C. N.* 160
Henryk Sienkiewicz — *C. N.* 182
Adolf Dygasiński — *C. N.* 200
Władysław Reymont — *C. N.* 214
Stefan Żeromski — *C. N.* 231
Literatura pedagogiczna, początek literatury dla młodzieży—*C. N.* 249
Klementyna z Tańskich Hofmanowa — *C. N.* 249
Stanisław Jachowicz — *C. N.* 262
Kilka słów dopełnienia o książkach dla młodzieży i ludowych—*C. N.* 266
Historja — *Z. Szmydtowa* 267
Filozofja — *Z. Szmydtowa.* 274

DOSTRZEŻONE OMYŁKI.

str. 11 cytata — zamiast r. 1789 powinno być r. 1780
str. 239 „ łobne miejsce — Łobne miejsce